

Graham Masterton

Panika



Graham Masterton

Panika

Przełożył
Piotr Kuś



REBIS

DOM WYDAWNICZY REBIS

Obozowisko skautów, Owasippe, Michigan

Pierwsze zwłoki czarny labrador Billa, Mack, znalazł, węsząc w pokładach liści, które pozostały po zeszłorocznej jesieni. Dwukrotnie warknął, a potem zaczął chodzić w kółko, energicznie machając ogonem.

– Co tam znalazłeś, stary? Chyba nie kolejnego pieprzonego jeżozwierza? Pamiętasz, co się stało, kiedy ostatnio goniłeś za jeżozwierzem? Przez kilka dni miałeś pokaleczony cały pysk.

Mack nadal węszył w stercie liści. Pod drzewami panował mrok, jednak rozciągające się przed nim jezioro Wolverine lśniło w słońcu wszystkimi odcieniami błękitu. Dostrzegł molo, z którego skauci często skakali do jeziora i przy którym cumowali łodzie. Ich łajby o czerwonych poszyciach kołysały się na wodzie, nigdzie jednak – co wydawało się raczej niezwykle – nie było widać skautów.

Nie było też słyhać żadnych krzyków ani śmiechów. Bill zatrzymał się na chwilę i zaczął nasłuchiwać, do jego uszu dotarł jednak tylko łagodny szelest drzew rosnących przy plaży i przenikliwe nawoływania dwóch sójek błękitnych, które sprawiały wrażenie, jakby nie mogły siebie odnaleźć.

Mack znowu warknął. Bill odwrócił się i zobaczył, że pies nadal krąży wokół tej samej sterty liści, wymachując ogonem z taką energią, jakby chciał go sobie oderwać.

– Daj spokój, Mack! Cokolwiek to jest, zostaw to! Pamiętaj, jak mnie nie posłuchasz, to się spóźnimy.

Ale Mack go nie posłuchał, wsunął natomiast nos pomiędzy liście, a po chwili zaczął gwałtownie kopać w ziemi łapami.

Bill niechętnie podszedł do psa i złapał go za obrożę.

– Wiesz, jak kończą psy, które nie słuchają swoich panów? Zdychają z

głodu. Zostaw to, do cholery, i chodźmy stąd!

Zaczął odciągać Macka od sterty liści, kiedy dostrzegł wśród nich bladą ludzką rękę. Wyglądała jak ręka dziecka, nadgarstek otaczało kilka plecionych bransoletek, jakie dzieci często ofiarowują sobie w dowód przyjaźni.

– O mój Boże – stęknął Bill.

Lewą ręką mocniej złapał obrożę Macka, przykleknął i prawą dłonią zaczął odgarniać liście. Nie zabrało mu to dużo czasu – pokrywa z liści była dość cienka, miała jedynie skrywać ciało przed przypadkowymi spacerowiczami.

Był to chłopak najwyżej dwunasto- albo trzynastoletni. Miał rude włosy, zadarty nos i mnóstwo piegów na twarzy. Ubrany był w bawełnianą koszulkę z emblematem Obozowiska Rosomaka i w niebieskie spodenki, nie miał jednak ani skarpet, ani obuwia. W prawej ręce trzymał finkę, na której ostrzu widać było ciemne plamy zakrzepłej krwi.

Mack znowu warknął, ale tym razem Bill skarcił go ostro:

– Zamknij się, dobrze? Trochę szacunku dla śmierci.

Nie było najmniejszych wątpliwości, że chłopiec nie żyje. Miał głęboko poderżnięte gardło – rozcięcie na szyi wyglądało jak drugie usta. W ranie i wokół niej roiło się od much.

Bill wyciągnął z kieszeni telefon komórkowy, jednak tutaj, pomiędzy drzewami, nie miał zasięgu. Wiedział, że aparat telefoniczny znajduje się niedaleko, w jadalni Obozowiska Rosomaka, wstał więc z kolan, przypiął smycz do obroży i odciągnął Macka od zwłok, po czym szybkim krokiem ruszył w kierunku jeziora. Do brzegu było jeszcze jakieś sto metrów, kiedy Mack szarpnął w bok i znowu zawarczał.

– Na miłość boską, Mack! Co tym razem?

Mack ciągnął coraz mocniej. W pewnej chwili zacharczał, przyduszony

obrożą, i Bill postanowił mu się poddać. Mack zawsze był posłusznym psem, skoro więc reagował tak, jakby działo się coś złego, Bill postanowił, że pozwoli labradorowi, żeby pokazał, o co mu chodzi.

Niedaleko od brzegu drzewa zaczęły się rozstępować, tworząc niewielką polanę porośniętą trawą. To na niej skauci po zmroku palili ognisko, piekli kiełbaski, śpiewali *Great Green Gobs of Greasy Grimy Gopher Guts* i opowiadali sobie przerażające historie.

Była godzina jedenasta przed południem. Świeciło słońce, a lekka bryza marszczyła powierzchnię jeziora. Jednak to, co Bill zobaczył w tych sielankowych okolicznościach, w swoim niezmiernym okropieństwie nie mogło się równać z niczym, czego dotąd doświadczył w życiu. W piachu na polanie leżały zwłoki przynajmniej piętnastu chłopaków i siedmiu dorosłych mężczyzn. Niektóre ciała były ubrane – w mundury skautowskie, bawełniane koszulki i spodenki – ale przynajmniej kilka było zupełnie nagich. Część miała poderżnięte gardła, podobnie jak rudy chłopak w lesie. Inni mieli porozcinane nadgarstki, jednak nie w poprzek, lecz aż po barki wzdłuż żył i tętnic, które były dosłownie porozrywane w taki sposób, żeby ofiary wykrwawiły się jak najszybciej, by uratowanie ich było niemożliwe, nawet gdyby jakimś cudem pomoc dotarła do nich, gdy jeszcze żyli. Z piersi przynajmniej trzech ofiar wystawały finki. Jeden z chłopców leżał na boku z tak brutalnie rozciętym brzuchem, że jego wnętrzności wypłynęły na zewnątrz, tworząc na trawie cuchnącą stertę. Chłopak miał na nosie okulary w grubych rogowych oprawkach.

Teraz nawet Mack znieruchomiał i przestał warczeć. W absolutnej ciszy popatrzył na Billa, a ten ujrzał w psim wzroku coś takiego, czego jeszcze nigdy nie widział u żadnego ze swoich psów, a miał ich już w życiu kilka. To był strach. Cokolwiek się tutaj wydarzyło, Mack panicznie się tego bał. Zatrząsł się i szarpnął smycz, a po chwili zaczął drapać ziemię tak, jakby

chciał razem ze swoim panem jak najszybciej stąd uciec.

Bill musiał się odwrócić. W gardle czuł wielką gulę, jednak za wszelką cenę chciał uniknąć wymiotowania.

– Chodź, stary. – Pociągnął psa za smycz.

Na sztywnych nogach ruszył przez las równoległe do brzegu jeziora, zmierzając ku drewnianym zabudowaniom ośrodka.

Kiedy dotarł do budynku jadalni, kazał Mackowi poczekać, a sam wszedł do środka. W korytarzu było ciepło i parno, a w powietrzu unosił się silny zapach drewna cedrowego. Zanim dotarł do telefonu, puścił się pędem w kierunku toalety na końcu korytarza, szarpnął drzwii z głośnym charkotem zwymiotował do umywalki pomarańczową, kwaśną breję.

Gdy skończył, podniósł głowę i popatrzył na siebie w lustrze. Ujrzał spoconego, siwowłosego faceta z długą brodą, o ogorzałej twarzy osobnika, który bardzo dużo czasu spędza poza domem, w różnych warunkach. Jeszcze nie docierało do niego znaczenie tego, co przed chwilą zobaczył, jednak był pewien, że już nic gorszego nie może mu się przydarzyć.

Przeżegnał się – po raz pierwszy od bardzo długiego czasu.

Restauracja Nostalgia, North Clark Street 5307, Chicago

Kiedy Sally weszła do kuchni, Jack akurat sprzeczał się z Michałem na temat dodatków do faszerowanej kapusty.

– Na miłość boską, w ogóle nie dodałeś do niej sosu pomidorowego ani suszonych pomidorów! Nie dorzuciłeś ani kawałka papryki, do cholery! Nic dziwnego, że w ogóle nie miała smaku!

– Moja matka zawsze dodaje tylko wołowinę! – protestował Michał. – Sól, pieprz i wołowinę. I to jest kapusta po polsku. Jeżeli dodasz do niej pomidorów, to będzie już kapusta po słowacku.

– A co mnie obchodzi, jak gotowała twoja matka? Moja matka dodawała do kapusty sos pomidorowy i suszone pomidory i właśnie w taki sposób my będziemy podawać kapustę w tej restauracji.

– Nienawidzę Słowaków.

– A ja nie przepadam za Francuzami, ale to wcale nie oznacza, że nie używam w kuchni sera.

Sally przerwała sprzeczkę.

– Przepraszam, Jack, że przeszkadzam. Muszę zamienić z tobą kilka słów.

– Jasne. Zaraz pogadamy. – Wyciągnął palec wskazujący w kierunku Michała. – Rozumiesz? Sos pomidorowy, suszone pomidory i mnóstwo papryki.

Michał wzruszył ramionami i wykrzywił twarz w niechętnym grymasie.

– Dobra... Chcesz, żebym gotował jak Słowak, to będę gotował jak Słowak. Słowacy to najgorsi kucharze na świecie. A to dlatego, że nie odróżniają jedzenia od gówna. Słowak potrafi podnieść z ziemi psie gówno i

je zjeść, ponieważ głównie wygląda jak frankfurterka.

– Michaił... – ostrzegł go Jack.

Michaił uniósł w górę obie ręce w geście poddania, po czym zaczął zdejmować z haków nad głową rondle, chochle i durszlaki. Robił przy tym mnóstwo hałasu, niczym jednoosobowy zespół perkusyjny.

Jack poszedł za Sally do restauracji. Było wpół do piątej po południu i czas na wydawanie obiadów już się skończył. Dwie kelnerki, Jean i Saskia, sprzątały stoliki i nakrywały je obrusami w biało-czerwoną kratę. Za oknami jeszcze świeciło słońce, jednak w restauracji panował półmrok. Jej ściany były wyłożone boazerią z ciemnego drewna, a w kącie miejsce zajmował mahoniowy bar, stylizowany na lata dwudzieste. Za nim na półkach stało mnóstwo butelek z różnymi egzotycznymi trunkami. Na ścianach wisiały duże ciemne obrazy olejne z widokami polskich miast, takich jak Kraków czy Wrocław. Większość prezentowała zachmurzone, burzowe niebo i strzelające ku niemu wieże kościołów i zamków.

– O co chodzi, Sal? – zapytał Jack. – Napijesz się piwa czy jesteś na służbie? A może masz ochotę na wodę mineralną?

– Nie, nie będę nic piła, dzięki – odparła Sally. – Stało się coś straszego. – Na moment umilkła, po czym wzięła głęboki oddech i kontynuowała. – Dwa dni temu grupa skautów rozbiła namioty na terenie Obozowiska Rosomaka w Michigan. Uczestniczyli w tygodniowym obozie wędrownym.

– Tak, wiem o tym. Jeden z tych dzieciaków, Malcolm, to dobry kolega Sparky'ego. Boże, chyba nie doszło do wypadku?

Jack nagle zdał sobie sprawę, że w oczach Sally błyszczą łzy.

– Oni wszyscy nie żyją, Jack. Wszyscy. Siedemnastu skautów w wieku od jedenastu do osiemnastu lat oraz siedmioro dorosłych opiekunów.

– Nie żyją? Jak to? Wszyscy? Jakim cudem?

– Właśnie rozmawiałam z jednym z zastępców szeryfa z okręgu

Muskegon. Ciągłe nie wiadomo, co naprawdę się stało ani kto jest w to zamieszany, ale jedno pozostaje bezsporne. Oni wszyscy się zabili, co do jednego. To było zbiorowe samobójstwo.

– Nie wierzę. Jak oni to zrobili? Zażyli truciznę czy co?

Sally pokręciła przecząco głową.

– Niektórzy poderżnęli sobie gardło, a inni podcięli sobie żyły. Jeden z opiekunów miał rozplątany brzuch... jakby popełnił harakiri.

– Jezu... Kiedy to się stało? Przecież w telewizji nic na ten temat nie mówili. Chociaż, fakt, rzadko teraz cokolwiek oglądam. Ten dom wariatów – zatoczył ręką, wskazując na salę restauracyjną – zajmuje cały mój czas.

– Dzisiaj przed południem, około jedenastej, znalazł ich jeden z leśników; akurat był na spacerze z psem. Na razie policja nie ujawnia żadnych szczegółów. Najpierw o wszystkim mają zostać poinformowani rodzice oraz krewni ofiar.

– I oni wszyscy naprawdę nie żyją? Malcolm też się zabił? Malcolm Cusack?

– Obawiam się, że tak – powiedziała Sally. – Dostaliśmy kompletną listę nazwisk, żebyśmy mogli poinformować Związek Skautowski i najbliższe rodziny ofiar.

– Na miłość boską, Malcolm miał zaledwie dwanaście lat. To był cichy, grzeczny chłopak, nie skrzywdziłby nawet muchy. Nie wiem, jak mam to przekazać Sparky'emu. Będzie zdruzgotany.

Nagle Jack poczuł, że kręci mu się w głowie. Wyciągnął krzesło spod najbliższego stolika i usiadł. Sally wzięła drugie krzesło, po czym usiadła obok Jacka. Położyła dłoń na jego przedramieniu i powiedziała:

– Jestem tu właśnie z powodu Malcolma.

Jack zmarszczył czoło. Nie zrozumiał, co miała na myśli.

– Jutro rano podstawiamy samolot do Muskegon dla rodzin ofiar. Krewni

zidentyfikują ofiary i pojedą na miejsce ich śmierci. Istnieje możliwość, że to pomoże wyjaśnić przyczyny tego, co się stało. Może wszyscy zaplątali się w działalność jakiejś sekty, w której panuje kult samobójstwa?

– No dobrze, ale co ja mam z tym wszystkim wspólnego?

– Corinne Cusack jest samotną matką, jak pewnie wiesz. A właściwie już nie jest, skoro Malcolm...

– Racja. Zdaje się, że jej mąż zmarł rok temu.

Sally pokiwała głową.

– Jeff Cusack zmarł niespodziewanie. To bardzo smutna historia. Krótco przed jego śmiercią przeprowadzili się do Edgewater, dlatego Corinne nie ma w okolicy żadnej rodziny. Nie zdążyła też się z nikim zaprzyjaźnić. Cóż... wdowa w żałobie to nie jest najbardziej upragnione towarzystwo. Widzisz, Jack, zapytałam ją, czy chce, żeby ktoś poleciał do Muskegon razem z nią, rozumiesz, żeby ją wspierać. Oczywiście ja również tam pojedę, ale nie będę miała czasu, żeby opiekować się wyłącznie nią. Corinne wybrała ciebie i Sparky'ego.

– Corinne Cusack chce, żebym poleciał z nią do Michigan?

– Obaj, ty i Sparky. Według Corinne Sparky był jedynym przyjacielem, jakiego miał Malcolm. Często dokuczano mu w szkole i tylko twój syn stawał w jego obronie.

– Jeśli zdecydowałbym się na tę podróż, i tak musiałbym go wziąć ze sobą, przecież wiesz.

– Oczywiście. – Sally pokiwała głową. Przez chwilę milczała, po czym popatrzyła badawczo na Jacka. – A więc? Policja chicagowska pokrywa wszystkie koszty: przelotu, a nawet zakwaterowania, jeżeli będziecie musieli zostać na noc. Chociaż wątpię, czy to będzie konieczne.

– Nie wiem, Sally. Muszę pomyśleć, jak wpłynęłoby to na Sparky'ego.

– Może właśnie chciałby odwiedzić miejsce, w którym zginął jego

przyjaciel. Może potem łatwiej mu będzie pogodzić się z jego śmiercią.

– Och, jasne. Ale z drugiej strony, może to się dla niego skończyć okropnymi koszmarami. Pamiętam, jak jego ukochanego psa przejechał samochód, nie mógł dojść do siebie przez pół roku.

Sally jeszcze przez chwilę milczała, wreszcie wstała z krzesła.

– Dobrze, Jack. Dam ci jeszcze trochę czasu do namysłu. Ale jeśli się zgodzisz, wyświadczysz mi naprawdę wielką przysługę, uwierz mi. Postaraj się zadzwonić do mnie jeszcze dzisiaj po południu.

Jack popatrzył na nią uważnie. Pod wieloma względami przypominała mu jego zmarłą żonę Agnieszkę. Była od niej trochę niższa i miała trochę większe piersi. Ale, podobnie jak Agnieszka, miała jasne, krótkie włosy i niemal identyczne wysokie kości policzkowe. Jej usta były trochę pełniejsze i zawsze używała szminki o mocniejszym odcieniu czerwieni. Pomyślał, że – w następnym życiu – mogliby stać się dla siebie kimś więcej niż przyjaciółmi. Sally była jednak policjantką, silną i twardą kobietą, a on restauratorem, który w wolnym czasie, którego i tak miał bardzo mało, lubił malować akwarele. Ich postawy wobec życia różniły się od siebie tak bardzo, że Jack nie potrafił sobie wyobrazić, by związek pomiędzy nimi mógł potrwać przez dłuższy czas.

Popatrzył na zabytkowy polski zegar na ścianie, z leniwie kołyszącym się wahadłem. Było za dwadzieścia piąta, a on musiał wkrótce odebrać Sparky'ego ze szkoły. Nie miał jeszcze pojęcia, jak mu przekaże wiadomość o śmierci Malcolma. Poszedł do swojego małego biura na tyłach restauracji, żeby zabrać kluczyki do samochodu. W tej samej szufladzie, w której leżały kluczyki, trzymał batony czekoladowe Oh Henry, ulubione słodczyce Sparky'ego. Odbierając go ze szkoły, Jack codziennie dawał mu jeden batonik; był to rodzaj rytuału. Jak powinien zachować się dzisiaj? Czy ma powiedzieć:

„Cześć, masz tu swój ulubiony batonik. A tak przy okazji, Malcolm się zabił”.

Zajrzał do kuchni, żeby sprawdzić, jak sobie radzi Michał. Ten akurat szatkował kapustę. Popatrzył na Jacka w taki sposób, jakby podobnie jak kapustę zamierzał potraktować także jego głowę.

– Wiem – odezwał się. – Słowacki przepis. Pomidory. Papryka. Chlast!

Jack wyszedł na wąskie podwórko za restauracją, gdzie pomiędzy pojemnikami na śmieci i murem parkował swoje czarne camaro z 1998 roku. Było tu tak ciasno, że codziennie z trudem otwierał drzwiczki, żeby wejść do środka. Właśnie przeciskał się, żeby usiąść w fotelu kierowcy, kiedy usłyszał wołanie:

– Jack! Jack! Poczekaj chwilę! Jack!

Była to Bindy z księgarni, która sąsiadowała z restauracją. Drobna i energiczna kobieta nosiła okulary bez oprawek i miała wiecznie potargane ciemne włosy, przez co przypominała Jackowi jednego z bohaterów z kreskówki Disneya. Miała na sobie obszerną suknię w kolorze musztardy i przynajmniej pięć sznurów bursztynów.

– Cześć, Bindy. Przepraszam, ale się śpieszę. Muszę odebrać Sparky'ego ze szkoły.

– Och, jasne. Chciałam ci tylko powiedzieć, że w środę będzie u nas Tamara Thorne.

Jack, niewygodnie wygięty, nadal tkwił w otwartych drzwiach samochodu.

– Tamara Thorne? Czy ja ją znam?

– Tamara Thorne, Jack! Medium! Autorka książki *Jak rozmawiać z ukochanymi, których utraciliśmy*.

– Ach, coś sobie przypominam. Chyba podarowałaś mi egzemplarz, prawda?

– No właśnie. Możesz go w środę przynieść i Tamara ci go podpisze. Ale, co najważniejsze, przeprowadzi u mnie seans spirytystyczny. Będzie próbowała się skontaktować z ludźmi, którzy już zeszli z tego świata.

– Bindy, ja naprawdę nie mam teraz czasu. Porozmawiamy o tym później, kiedy wrócę, dobrze?

– Dobrze, Jack. Pomyślałam jednak, że nie zaszkodzi, jak ci powiem o wizycie Tamary. Może będziesz chciał się skontaktować z Aggy?

Jack posłał Bindy krzywy uśmiech i w końcu wcisnął się do samochodu. Ona jeszcze mu pomachała, a potem szybko wróciła do księgarni. Jack popatrzył na swoje odbicie we wstecznym lusterku. Ostatnią rzeczą, na jaką miał teraz ochotę, było kontaktowanie się z umarłymi.

Gimnazjum von Steubena, North Kimball Avenue 5039, Chicago

Jack zatrzymał auto przed głównym wejściem do szkoły. Spóźnienia były u Sparky'ego czymś niezwykłym. Zazwyczaj cierpliwie czekał na ojca na chodniku i natychmiast wsiadał do samochodu.

Minęło prawie pięć minut, w czasie których Jack nerwowo się rozglądał. Cholerni strażnicy miejscy w Chicago znani są z tego, że namiętnie wlepiają mandaty za parkowanie wszelkim maszynom na kołach, nawet jeśli do końca opłaconego czasu parkowania pozostało kilka minut. Zdarza się, że wystawiają je nawet dwie minuty po dwudziestej pierwszej, kiedy to czas płatnego parkowania się kończy. Wreszcie Sparky zszedł po schodach budynku z czerwonej cegły. Niósł w rękach niebieski globus, albo przynajmniej coś, co wyglądało jak globus. Z jakiegoś powodu miał marsową minę. Był blondynem, jak jego matka, i zawsze miał bladą skórę, nawet kiedy Jack zabrał go na Florydę, żeby pobył parę dni na słońcu. Ubrany był w bordową koszulkę i brązowe spodnie z krokiem na wysokości kolan. Jak zwykle nie chciało mu się zawiązać sznurowadeł.

Otworzył drzwiczki, popchnął do przodu oparcie fotela pasażera i ostrożnie ułożył globus na tylnej kanapie.

– Co to jest? – zapytał Jack, kiedy chłopiec zajął miejsce obok niego.

– Globus astrologiczny – odparł Sparky, bardzo starannie wymawiając słowa, jakby mówił do kogoś o ograniczonej inteligencji. – Pani Hausmann pozwoliła mi pożyczyć go na weekend, jeśli w zamian specjalnie dla niej narysuję kartę nieba.

– Aha – mruknął Jack, włączając się do ruchu i kierując samochód ku North Kimball Avenue. – Więc ten globus ma służyć przepowiadaniu przyszłości?

– Globus pomaga astrologowi ustalić, które gwiazdozbiory zodiakalne znajdują się pod wpływem których planet i kiedy.

– Rozumiem. To bardzo ciekawe.

– Tak. Pani Hausmann powiedziała, że pożycza mi ten globus tylko dlatego, że jeszcze nigdy nie spotkała kogoś, kto tak dobrze jak ja potrafiłby przepowiadać przyszłość.

– Cóż, rzeczywiście masz taki talent. A przecież nie wierzyłem w takie rzeczy, dopóki ty nie zaczęłaś wróżyć.

Za stacją Shell Jack skręcił w West Foster Avenue.

– A poza tym jak ci minął dzień? – zapytał Sparky'ego.

Doskonale wiedział, co teraz nastąpi, i chciał to odwlec możliwie jak najbardziej.

– Nic szczególnego się nie zdarzyło. Mieliśmy matkę z panem Kamińskim i było w porządku. Cheeseburger na lunch też był w porządku. Tylko wyciągnąłem z niego pomidory.

– Dogadałbyś się z Michałem. On też nienawidzi pomidorów. Twierdzi, że to słowackie świństwo.

– Przecież pomidory pochodzą z Ameryki Południowej. Pierwsi nauczyli się je jeść Aztekowie.

– Aztekowie, co?

– Tak. Nazywali jest *xitomatl*. – Sparky na chwilę urwał, po czym zapytał: – Tato, gdzie jest mój baton?

– Przepraszam, Sparks, ale chyba zapomniałem go zabrać.

Przejeżdżali nad północnym kanałem rzeki Chicago. Popołudniowe słońce odbiło się od powierzchni wody i jego promienie na moment padły na Sparky'ego. W tej chwili jego twarz mogła się wydawać jeszcze bielsza niż normalnie, a we włosach chłopca rozbłysły złote refleksy.

– Nigdy nie zapominasz o moim batonie. Zawsze mi go dajesz, kiedy mijamy Jimmy'ego Johna.

– Wiem. Ale dzisiaj trochę się śpieszyłem. I zapomniałem o batonie.

Jack zerknął na syna i stwierdził, że chłopak patrzy na niego tak, jakby mu ani trochę nie wierzył.

– To się stało, prawda? – zapytał Sparky.

– Co? O czym mówisz? Zapomniałem twojego batona i to wszystko. Przepraszam. Dostaniesz go, kiedy tylko wrócimy do domu.

– Chodzi o Malcolma, tak?

– Malcolma? Nie rozumiem. Co z nim?

– Nie żyje. To dlatego nie przywiozłeś mi batonika.

– Sparky, to niemożliwe, skąd ty mógłbyś o tym wiedzieć? Przecież Malcolm jest na obozie skautowskim w Michigan.

– Mówiłem mu, żeby tam nie jechał – powiedział Sparky. Zacisnął dłonie w pięści i kilkakrotnie uderzył nimi w kolana w bezsilnej rozpacz. – Powtarzałem mu, powtarzałem, powtarzałem i powtarzałem, ale nie chciał mnie słuchać.

Jack położył dłoń na kościstym ramieniu syna.

– Malcolm nie żyje, prawda? – zapytał chłopiec.

– Tak, nie żyje. Nie wiem, jakim cudem się o tym dowiedziałeś, ale on rzeczywiście nie żyje.

Oczy Sparky'ego nagle wypełniły się łzami. Przez chwilę energicznie kręcił głową, zły i rozczarowany.

– Mówiłem mu, żeby nie jechał na ten obóz. Zobaczyłem wszystko w gwiazdach. Wszystkie znaki na to wskazywały. Nawet zrobiłem kartę nieba, specjalnie dla niego, i pokazałem mu ją.

– Przykro mi, Sparks. Nie wiem, co ci powiedzieć. Wiem, że był ci bliski.

Sparky pociągnął nosem i wytarł oczy wierzchem dłoni.

– Chciał wszystkim udowodnić, że jest odważny. Mówiłem mu, że nieważne, co inni o nim myślą. Ale on się uparł, że pojedzie do Owasippe i pokaże wszystkim, że potrafi pływać, rozpalać ognisko, wiązać węzły i tak dalej. Mówił, że jak to udowodni, nikt już nie będzie go wyzywał od palantów i maminsynków.

– Ale karta nieba, którą dla niego wykreśliłeś, powiedziała, że Malcolm umrze?

Sparky tylko pokiwał głową. Usta miał zaciśnięte w grymasie żalu.

– Muszę ci powiedzieć, że nie chodzi tylko o Malcolma. Nie żyją wszyscy skauci i opiekunowie jego grupy. Siedemnastu chłopców i siedmioro dorosłych. Była u mnie Sally i powiedziała mi o wszystkim. Pewnie później poinformuje o tym telewizja.

– Wszyscy? Tego w gwiazdach nie widziałem. Miał umrzeć tylko Malcolm. Czy ich nie zamordowano, co? Co się z nimi stało? To chyba nie było tak jak w filmie *Piątek trzynastego*?

Jack przez chwilę milczał, w myślach układając słowa w kolejne zdanie. Wreszcie powiedział bardzo cicho:

– Oni wszyscy się zabili, Sparks. Popełnili samobójstwo. Także Malcolm. Tak przynajmniej powiedziała Sally.

– Widziałem na jego karcie Castora – odparł Sparky. – Castor to nieruchoma gwiazda i zwykle oznacza poważną ranę głowy albo szyi, która może spowodować śmierć. Słońce było w znaku Barana, a otaczały je Mars i Saturn. Była to niemal taka sama karta, jaką król Francji Henryk II otrzymał w roku tysiąc pięćset pięćdziesiątym czwartym. Pięć lat później, w czasie turnieju rycerskiego, kiedy jechał na koniu, przypadkowo włócznia przebiła mu oko i ostrze dotarło aż do mózgu.

Jack znowu popatrzył na Sparky'ego. Chociaż ostatnie słowa

wypowiedział spokojnie, po jego policzkach toczyły się łzy. Jack był przyzwyczajony do takich sprzeczności w zachowaniu syna. Chłopiec zawsze odzywał się spokojnie i mówił jasno, bardzo logicznie, jak mężczyzna co najmniej dwukrotnie starszy od niego, nie akcentując swoich słów barwą głosu – jakby czytał z góry przygotowany tekst. Jack jednak wiedział, że często targają nim wielkie emocje. Kiedy Sparky po raz pierwszy zobaczył w szkole, jak inne dzieci drwią z Malcolma, po powrocie do domu aż trzął się ze zdenerwowania i bezsilnej frustracji.

– Matka Malcolma poprosiła, żebyśmy, ty i ja, pojechali z nią jutro do Muskegon – powiedział Jack. – Ona musi formalnie zidentyfikować ciało syna, a policja postanowiła zawieźć najbliższych krewnych tych wszystkich chłopców na miejsce ich śmierci. Kiedy zdarza się coś takiego, niektórzy ludzie nie potrafią uwierzyć w odejście swoich bliskich. Policja uważa, że kiedy znajdą się w miejscu, gdzie ci skauci zmarli, lepiej zapanują nad emocjami.

– Czy ktokolwiek wie, dlaczego oni to zrobili?

– Nie jestem pewien. Może zostawili jakieś listy, ale na razie Sally ani słowem mi o tym nie wspomniała.

– Nie chcę tam jechać.

– Na pewno? Bo ja myślę, że mama Malcolma naprawdę potrzebuje teraz naszego wsparcia.

– Malcolmowi coś wydało rozkaz, żeby się zabił. A ja nie chcę tego czegoś spotkać.

– Nie rozumiem. On popełnił samobójstwo, Sparks. Tak jak oni wszyscy. To nie było tak, że z lasu wybiegł Jason Vorhees w masce hokejowej i go zabił.

– Nie chcę tam jechać.

Dotarli do restauracji. Jack zatrzymał się przed głównym wejściem i

wypuścił Sparky'ego, ponieważ na podwórzu nie dałoby się otworzyć drzwi wozu na tyle szeroko, żeby wyciągnąć z niego globus.

– Jasne. – Jack westchnął. – Jeżeli naprawdę nie chcesz tam jechać, zadzwonię do Sally i powiem jej, że nic z tego. Zresztą już ją uprzedziłem, że taka wyprawa mogłaby źle na ciebie wpłynąć. Teraz idź do restauracji, a ja zaparkuję samochód. Jesteś głodny?

Sparky pokręcił głową. Jack objął go ramieniem i przytulił.

– Przykro mi, Sparks. Naprawdę jest mi przykro. Wiem, jak byliście sobie bliscy, ty i Malcolm.

– Mówiłem mu, żeby tam nie jechał – wyszeptał Sparky. – Mówiłem mu. Ale on nie posłuchał.

Prośba Corinne

Zanim Jack zaparkował samochód i się z niego wydostał, Sparky zdążył zanieść globus na piętro, do swojej sypialni.

– Co się stało Sparky'emu? – zapytała Saskia, kiedy Jack wszedł do sali restauracyjnej. – Ledwo przyszedł, od razu pobiegł na górę, z nikim się nawet nie przywitał.

– A w dodatku płakał – dodała Jean.

Jack pokrótce opowiedział dziewczynom, co się wydarzyło. Jean przycisnęła dłoń do czoła i zawołała:

– O nie! Jimmy, syn mojej przyjaciółki Ruby, należy do tej samej drużyny skautowej. Mam nadzieję, że nie było go w Michigan.

– Zadzwoń do niej i upewnij się – zasugerował Jack. – Zrób to od razu. Chyba nie chcesz się tym zamartwiać przez resztę dnia?

Jean poszła zatelefonować, a Jack tymczasem udał się do kuchni. W pracy pojawiło się już dwóch pomocników Michała i teraz przygotowywali potrawy na wieczór. Piotr energicznie rozgniatał ziemniaki na purée, a Duane miksował grzyby, orzechy i chrzan.

Piotr był niski i otyły, miał krótko obcięte włosy. Dopiero niedawno przyjechał do Chicago z Lublina. Z kolei Duane, wysoki, młody Afroamerykanin – łysy i z wielkimi złotymi kolczykami w uszach – mieszkał tutaj całe życie. Nie wiadomo skąd miał talent do przygotowywania autentycznych polskich potraw. Nawet matka Jacka twierdziła, że zrazy w wykonaniu Duane'a to niebo w gębie.

– Co Sparky będzie jadł dziś wieczorem? – zapytał Duane.

– Nie wiem. Jest zdenerwowany. Później ci powiem dlaczego. Może jakąś zupę?

– Dzisiaj mamy żurek. Ale jakby co, to znajdzie się i barszcz, i zupa owocowa.

– Dzięki, Duane. Wszystko w porządku, Michaił?

Michaił nie odwrócił głowy, a tylko podniósł rękę na znak, że nad wszystkim panuje. Jack nie powiedział już ani słowa o pomidorach.

Wąskimi schodami przeszedł do trzypokojowego mieszkania, które znajdowało się nad restauracją. Było duże, wysokie, jednak skromnie umeblowane staromodnymi kanapami i fotelami, które Agnieszka odziedziczyła po rodzicach. Ciężkie brązowe zasłony z aksamitu na oknach sprawiały, że w mieszkaniu panowała atmosfera wschodnioeuropejska, podobnie jak w restauracji na parterze.

Jack podszedł do drzwi sypialni syna i zapukał.

– Sparks? Dobrze się czujesz? Chcesz coś zjeść?

Nie odpowiedział, więc Jack otworzył drzwi. Sparky siedział przy biurku i wpatrywał się w stojący przed nim globus astrologiczny. Przez okno widać było ceglana ścianę sąsiedniego budynku. Znajdował się na niej wielki billboard ze stylizowaną głową kozła i napisem KOZIOROŻEC – SPRZĘT KOMPUTEROWY. Zupełnie przypadkiem Sparky widział ze swego okna znak zodiaku i zupełnie przypadkiem on również był spod znaku Koziorożca.

Jack usiadł na skraju łóżka i patrzył, jak chłopak obraca globus. Od czasu do czasu zatrzymywał go palcem, a wtedy zapisywał w notesie symbol, jaki pod nim się znalazł.

– Co teraz robisz? – zapytał Jack.

– Patrzę wstecz – odparł chłopiec. – Chcę zrozumieć, co się wydarzyło.

– Patrzysz wstecz? A ja myślałem, że astrologi patrzą jedynie w przyszłość.

– Gwiazdy potrafią również pokazywać przeszłość. To, że ktoś w porę nie spojrział w niebo, wcale nie oznacza, że nie było tam ostrzeżeń. Popatrzyłem w gwiazdy prezydenta Kennedy'ego na dwudziestego drugiego listopada tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego trzeciego roku. Gdyby wtedy ktoś w porę pokazał mu jego kartę gwiazd, na pewno nie przejeżdżałby przez Dallas w otwartej limuzynie. Gemini uniosło się wtedy do trzeciego stopnia, a Księżyc docierał do Kwadratu Merkurego.

– Sparky. – Jack wstał i położył dłoń na jego ramieniu. – Chyba powinieneś od tego odpocząć. Chodź na dół, pomożesz mi trochę w restauracji.

Sparky nie odwrócił się, nie popatrzył na ojca. Jack jednak wiedział, że chłopiec płacze.

– Nie, tato – powiedział. – Ja muszę to zrobić. Chcę.

Jack czekał przez chwilę, z ręką wciąż na ramieniu Sparky'ego. Chłopiec miał teraz na sobie koszulkę z emblematem Chicago Bears, a na szyi zawiesił zielonkawoniebieski metalowy wisiołek w kształcie wielkiej łzy, który odziedziczył po zmarłej matce. Ponury kozioł patrzył na niego z ceglanej ściany żółtymi, pełnymi złości oczami – wyglądał bardziej jak demon.

– Dobrze. Dołączysz do nas, jak będziesz gotowy. Duane ma dla ciebie zupę owocową albo żurek. Zjesz to, na co będziesz miał ochotę – powiedział Jack i zostawił chłopca samego.

Zszedł po schodach. Kiedy wszedł do restauracji, otworzyły się główne drzwi i stanęła w nich Corinne Cusack.

O cholera, pomyślał. A ja jeszcze nawet nie zadzwoniłem do Sally, żeby jej powiedzieć, że ani ja, ani Sparky nie pojedziemy do Muskegon.

– Jack! – zawołała Corinne.

Była prawie taka wysoka jak on. Miała figurę modelki, raczej płaską klatkę piersiową, ale za to bardzo długie nogi, które zawsze stawiała w jakiś

nieskoordynowany sposób, podobnie jak źrebię. Długie rudawe włosy związała szarą jedwabną wstążką. Miała na sobie luźny szary sweterek i czarną spódniczkę do kolan. W wąskiej, pociągłej twarzy uwagę przykuwały piękne zielone oczy w obramowaniu długich rzęs. Nie miała makijażu.

– Corinne! – zawołał Jack. Podszedł do niej i uściskał ją. Pod swetrem była niewiarygodnie chuda i koścista. – Nie wiem, co powiedzieć. Tak mi przykro z powodu twojej straty...

– Malcolm tak się cieszył na tę wyprawę – powiedziała Corinne cicho. – Tym bardziej że dzięki niej mógł przez tydzień nie chodzić do szkoły. Wiesz, co mi powiedział?

– Corinne, proszę, usiądź. Napijesz się czegoś? Może kawy?

Usiedli na stołkach przy barze. Corinne niezgrabnie skrzyżowała nogi, popatrzyła na butelki za kontuarem i poprosiła:

– Napiałabym się wódki z tonikiem. Bez lodu.

Barman jeszcze nie zaczął pracy, Jack sam więc przygotował jej drinka, a sobie nalał Jacka Daniels'a. Normalnie nie pił alkoholu w pracy, ale dzisiejszy dzień na pewno nie był normalny.

– Powiedział, że na obozie będzie dzielny jak Clark Kent, a wróci do domu jako Superman – powiedziała Corinne. W jej zielonych oczach błyszczały łzy. – Jednak bał się tego wyjazdu. Wiem, że się bał. Ale uważał, że koniecznie musi wszystkim udowodnić, jaki jest dzielny. Chyba nawet bardziej chciał to udowodnić mnie niż chłopcom ze szkoły. Chciał udowodnić, że potrafi się mną opiekować.

– Tak mi przykro...

Corinne wyciągnęła chusteczkę z kieszeni swetra i wytarła oczy. Upiła łyk wódki z tonikiem i kontynuowała:

– Detektyw Faulkner zapytała mnie, czy mam kogoś, kto pojechałby ze mną do Muskegon. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu;

powiedziała jej o tobie i o Sparkym. Nikt inny nie przyszedł mi do głowy, a w końcu Malcolm i Sparky byli naprawdę dobrymi przyjaciółmi.

– Tak, już mi o tym wspominała. Jedyne problem polega na tym, że... cóż, Sparky ma zespół Aspergera.

Corinne pokiwała głową.

– Również dlatego to było takie niezwykle, ta jego gotowość do pomagania Malcolmowi...

– Jest jeszcze inny problem, Corinne. Widzisz, Sparky nie chce tam jechać. Wiem, że zabrzmi to irracjonalnie, ale Sparky uważa, że coś zabiło Malcolma, i cokolwiek to było, on się tego bardzo boi. Przykro mi.

– Zupełnie tego nie rozumiem – powiedziała Corinne. – Wiem, że Malcolm był w szkole popychadłem, tęsknił za ojcem... ale dlaczego? Dlaczego to zrobił? Przecież kiedy mnie potrzebował, zawsze byłem przy nim. No i te pozostałe dzieciaki? Dlaczego one także popełniły samobójstwo?

– Naprawdę nie wiem, Corinne. Mogę cię tylko przeprosić, że nie pojedziemy z tobą. Pojechałbym sam, jednak nie mogę teraz zostawić Sparky'ego. Zawsze kiedy wyjeżdżam, opiekuje się nim moja matka, ale ona jest teraz na Florydzie. Pojechała w odwiedziny do swojej siostry i zostanie tam jeszcze przez kilka dni.

– Trudno. Rozumiem. Nie powinnam była was o to prosić. Po prostu nie miałam do kogo się zwrócić.

– Ale chyba masz jakąś rodzinę, prawda? Przecież, jeśli dobrze pamiętam, przeprowadziłaś się tutaj z...

– Z Seattle. Ale ja nigdy nie miałam dobrych kontaktów z moją rodziną. Właściwie tylko Jeff był moim prawdziwym przyjacielem.

Jack obserwował, jak kobieta kończy drinka. Nie wiedział, co mógłby jeszcze powiedzieć. Podejrzewał, że Corinne jest dość konfliktową osobą. Potrzebowała czułości, lecz sama była chłodna. Choć była samotna, nie

pozwalala, żeby ktoś się do niej zbliżył. Mogło to być spowodowane żalobą po niedawno zmarłym mężu. Matka Jacka powiedziała kiedyś o jego ojcu: „Nie przestaje się kochać człowieka tylko dlatego, że umarł”.

Zeszła ze stołka barowego, znowu niezgrabnie, jakby w każdej chwili miała stracić równowagę.

– Mimo wszystko dziękuję ci, Jack. W końcu i tak będę musiała zmierzyć się z tym wszystkim sama.

Corinne zaczęła się zbierać do wyjścia. W tym momencie do sali restauracyjnej wszedł Sparky. W ręce trzymał jakąś kartkę i miał bardzo poważną minę.

– Sparky? – zawołał Jack.

– Postanowiłem, że pojedziemy z panią – stwierdził chłopiec.

– Jesteś pewien? – zdziwiła się Corinne. – Twój tata powiedział przed chwilą, że ta podróż mogłaby źle na ciebie wpłynąć.

– Musimy jechać z panią – ciągnął chłopak. – To bardzo ważne.

– Co tam masz? – zapytał Jack.

Sparky uniósł kartkę.

– To karta gwiazd.

– Karta dla Malcolma?

– Nie. Dla nas. Istnieje związek pomiędzy tym, co się stało z Malcolmem, a naszą rodziną. Dlatego właśnie musimy pojechać do Muskegon.

– Jaki związek? – zdziwił się Jack. – Zupełnie nie mogę sobie tego wyobrazić.

– Ja też jeszcze nie wiem wszystkiego, ale związek jest wyraźny – odparł Sparky. – Gwiazdy wykazują to bardzo precyzyjnie.

– Jesteś pewien, że to nie jest pomyłka?

Sparky pokręcił głową.

– Sprawdziłem to trzy razy. Zawsze wychodziło to samo. Za każdym razem globus pokazuje także naszą kartę. Obie dokładnie do siebie pasują.

Jack popatrzył na Corinne, która wzruszyła ramionami. Wyraz jej twarzy świadczył, że kobieta nie wierzy w opowieści Sparky'ego. Powiedziała jednak:

– W każdym razie będę bardzo wdzięczna, jeżeli ty i twój tata będziecie tam ze mną.

– Musimy. – Sparky był stanowczy.

– W takim razie zadzwonię do Sally Faulkner i powiem jej, że jedziemy – postanowił Jack. – Corinne, zjesz coś z nami? A ty, Sparky? Masz ochotę na zupę?

– Oto główne zajęcie mojego taty. Wpycha ludziom jedzenie do ust, czy tego chcą czy nie – stwierdził chłopak.

Leśne strachy

Kiedy wylądowali w porcie lotniczym okręgu Muskegon, było ciepło i słonecznie. Wiał łagodny letni wiatr, a na błękitnym niebie widoczne były jedynie pojedyncze rozproszone chmurki. Z samolotu wysiadło w sumie pięćdziesiąt jeden osób – rodzice i krewni zmarłych skautów oraz ich opiekunów, a także pięcioro funkcjonariuszy policji z 24. Komisariatu Policji w Chicago.

Kiedy lecieli nad jeziorem Michigan, ludzie prawie ze sobą nie rozmawiali. Przez szum silników samolotu przebijały się tylko nieliczne słabe głosy. Niektóre matki cicho popłakiwały. Sparky milczał i tylko z zapamiętaniem kreślił w notesie jakieś symbole astrologiczne, a obok nich zapisywał liczby i rysował diagramy, zrozumiałe tylko dla niego. Ani na chwilę nie wyjrzał przez iluminator, żeby zobaczyć, jak pięknie – niczym od tafli rżniętego szkła – odbijają się od powierzchni jeziora promienie słoneczne.

Gdy wszyscy opuścili budynek portu lotniczego, Sally podeszła do Jacka, Corinne i Sparky'ego.

– Cieszę się, że tu jesteś, Jack – powiedziała. – Twoja obecność także mnie cieszy, Sparky.

Jack pomyślał, że właściwie powinien jej opowiedzieć, jak bardzo – i dlaczego – Sparky nalegał na tę podróż, jednak po krótkim zastanowieniu stwierdził, że będzie lepiej, jeżeli to przemilczy. Uważał, że niezależnie od tego, co pojawiło się na karcie gwiazdnej Sparky'ego, i tak nie ma żadnej realnej możliwości, żeby wyznaczyć związek pomiędzy śmiercią Malcolma a ich rodziną. Zresztą nawet gdyby taki związek istniał, czy astrologia mogłaby

w jakikolwiek sposób podpowiedzieć policji, jak i dlaczego tylu młodych ludzi odebrało sobie życie?

– Autokar już czeka. Zawiezie was prosto na teren obozowiska Owasippe – powiedziała Sally. Popatrzyła na Corinne i dodała: – Bardzo mi przykro z powodu pani syna. Gdybyśmy mogli coś dla pani zrobić, proszę powiedzieć.

– Dziękuję pani – odparła Corinne ochryłym głosem.

Podróż do Owasippe trwała trochę ponad czterdzieści minut. Przez przyciemnione szyby autokaru las po obu stronach drogi przesuwał się niczym krajobraz w sennym marzeniu. Znowu większość trasy minęła w milczeniu i tylko od czasu do czasu rozlegał się głośniejszy szloch jakiejś kobiety. Na miejscu, przy budynkach gospodarczych, stało dziesięć samochodów z oznaczeniami szeryfa okręgu Muskegon. Widać też było trzy furgonetki w kolorze khaki, należące do medyków sądowych, oraz pojazdy lokalnych stacji telewizyjnych z antenami satelitarnymi na dachach. Flaga na maszcie pośrodku placu apelowego opuszczona była do połowy i leniwie powiewała w zmiennym wietrze.

Kiedy krewni ofiar wysiadali z autokaru, policjanci i medycy sądowi uważnie ich obserwowali, gotowi do udzielenia natychmiastowej pomocy. Na szczęście nie było takiej konieczności i już po chwili wszyscy przybysze zostali wprowadzeni do głównej sali. Tam, na specjalnie rozstawionych stołach, starannie przykryte zielonymi prześcieradłami, spoczywały zwłoki. Przez wysokie okna do sali wpadały promienie letniego słońca. W kącie stało dwóch księży, po jednym z Kościoła episkopalnego i katolickiego, przez co pomieszczenie bardziej przypominało świątynię niż kostnicę. To wrażenie zakłócał jednak unoszący się w powietrzu smród rozkładu. Ktoś niedawno próbował ten odór zamaskować, rozpryskując odświeżacz o zapachu lawendy.

Jeszcze przed drzwiami Corinne chwyciła Jacka za rękę i zapytała go:

– Wejdiesz tam ze mną? Chyba nie dam sobie rady, jeżeli będę musiała sama stanąć przed Malcolmem.

Jack popatrzył niepewnie na Sparky'ego, ten jednak powiedział:

– Wszystko w porządku, tato. Poczekam na zewnątrz. Wolę go pamiętać takiego, jaki był za życia. A poza tym chciałbym przejść się po lesie, bo przecież wszystko jest w lesie.

– Dobrze – odparł Jack.

Nie zapytał, co takiego znajduje się w lesie. Był już przyzwyczajony do dziwnych uwag syna, dlatego na tę również nie zwrócił szczególnej uwagi.

Sparky odszedł i Jack zobaczył jeszcze, jak pyta o drogę jakiegoś starszego skauta. Młodzieniec położył dłoń na ramieniu Sparky'ego, a wyciągniętym palcem drugiej wskazał mu szklane drzwi na jednej z werand.

– Jesteś gotowa? – zwrócił się do Corinne.

Pokiwała głową i mocniej uściśniła jego rękę. Razem weszli do sali, gdzie trwała już identyfikacja zwłok.

Na jednej ze ścian Jack zobaczył transparent ze skautowskim pozdrowieniem *Attawaytago!*, wyszytym jaskrawoczerwonymi literami.

Boże, pomyślał, nic bardziej niestosownego nie mogło się tutaj znaleźć. Co za brak taktu.

Kiedy mijali poszczególne stoły, nie mógł się powstrzymać od patrzenia na kolejne ciała. Dostrzegł czarnoskórego chłopca, w wieku najwyżej trzynastu lat, który wyglądał, jakby spał i uśmiechał się przez sen. Kolejny chłopak, biały, o potarganych ciemnych włosach, sprawiał wrażenie bardzo zaskoczonego, jakby nie potrafił zrozumieć, dlaczego sam siebie zabija. Na policzku miał szramę, a jego szyja była zakryta opaską z białego bandaża.

– Cusack? – zapytała potężnej postury kobieta o czerwonych policzkach i czarnych kędzierzawych włosach.

W ręce trzymała tekturową podkładkę z kilkoma przypiętymi do niej

kartkami.

– Zgadza się – odpowiedział Jack.

Kobieta ściągnęła z kolejnych zwłok zielone prześcieradło i zobaczyli go. Malcolm Cusack miał rude włosy i był piegowaty. Po śmierci właściwie się nie zmienił; Jack miał wrażenie, że chłopiec w każdej chwili może otworzyć oczy, wyprostować się i zawołać: „Niespodzianka!”.

Jednak nic takiego się nie stało. Jego szyję także zakrywał bandaż.

– Po co mu ten bandaż? – zapytała Corinne.

Ścisnęła dłoń Jacka tak mocno, że jego obrączka ślubna boleśnie wpijała mu się w palec.

Kobieta sprawdziła zapis na podkładce. Jack zauważył, że ma na górnej wardze dużą brązową brodawkę. Spróbował delikatnie się uwolnić z uścisku Corinne, ta jednak go nie puszczała.

– Cusack, Malcolm, J.? – zapytała kobieta. – Śmierć nastąpiła w wyniku rozerwania tętnic szyjnych.

– Co? Co to znaczy? – zapytała Corinne.

W normalnych okolicznościach by to zrozumiała, ale tutaj, w tej sali, to nie były normalne okoliczności.

Kobieta popatrzyła na Jacka i uniosła gęste czarne brwi; wyglądało to tak, jakby dwie wrony zerwały się do lotu. Jack pochylił się ku Corinne i powiedział:

– Podciął sobie gardło, Corinne. Bardzo mi przykro.

Popatrzyła na niego, a jej zielone oczy wyrażały niedowierzanie.

– Podciął sobie gardło? Malcolm? Niemożliwe! On nie mógł tego zrobić. Dlaczego miałby zrobić coś takiego?

– Dlaczego oni wszyscy to zrobili? Także ci dorośli. Policja będzie musiała to wyjaśnić – odparł Jack.

Czubkami palców Corinne dotknęła czoła syna.

– Jest taki zimny – wyszeptała, po czym jej kolana zadygotały i zachwiała się tak mocno, że omal nie upadła.

Jack złapał ją w pasie i przytrzymał. Była zbyt ciężka, żeby mógł ją wynieść na rękach, na szczęście zdołała jednak sama pokonać drogę do wyjścia; musiał ją jedynie podtrzymywać.

Kiedy zamknęły się za nimi drzwi, popatrzyła na Jacka z rozpaczą. Jej twarz była tak biała, jakby odpłynęła z niej cała krew.

– Mój Boże, Jack. On naprawdę nie żyje.

– Chodźmy już stąd – powiedział Jack. – Znajdziemy Sparky'ego i pooddychamy trochę świeżym powietrzem.

Kiedy już wszystkie zwłoki zostały zidentyfikowane, cała grupa znowu wsiadła do autokaru, który ruszył pomiędzy drzewami w kierunku jeziora Wolverine. Polana, na której znaleziono niemal wszystkie zwłoki, wciąż odgradzona była żółtą taśmą. Pracowało na niej pięciu techników policyjnych w kombinezonach z Tyveku. Chodzili na czworakach, szukając między gałęziami i liśćmi jakichkolwiek śladów, które byłyby pomocne w wyjaśnieniu przyczyny tragedii.

– Jak się czujesz? – Jack zapytał Corinne, pomagając jej wysiąść z autokaru.

– Już lepiej. Dzięki. Chwila, w której musiałam spojrzeć na Malcolma, była straszna, jednak to dobrze, że tutaj przyjechałam. Gdybym się na to nie zdecydowała, do końca życia musiałabym sobie wyobrazać, jak wyglądało miejsce, w którym zmarł mój syn.

Rozglądali się po lesie. Niebo zaczęły zasnuwać chmury, a kolor jeziora zmienił się z niebieskiego na błotnistoszary. Podszedł do nich jeden z zastępców szeryfa, chudziutki jak chart mężczyzna z drobnym wąsikiem.

– Nazywam się Jeppersen – powiedział. – Mógłbym zadać państwu kilka pytań?

– Oczywiście – odparła Corinne. – Zrobię wszystko, żeby pomóc policji.

Jeppersen zapisał w notesie dane Malcolma i numer telefonu Corinne. Dopiero wtedy zaczął pytać:

– Czy pani syn kiedykolwiek wspominał, że mógłby sobie odebrać życie, z jakiegokolwiek powodu?

Corinne pokręciła głową.

– W zeszłym roku nagle zmarł jego ojciec i Malcolm, co naturalne, był bardzo wstrząśnięty. Często powtarzał, że bardzo chce znowu spotkać go w niebie, ale nigdy nie dawał do zrozumienia, że w tym celu odbierze sobie życie.

– Czy kiedykolwiek poruszał temat zbiorowych samobójstw? Na przykład tego w Jonestown?

– Nigdy. Lubił gry wideo, a niektóre były chyba bardzo brutalne. Jedną z nich nawet sobie przypominam. Nazywała się *Wielki złodziej samochodów*. Lubił też składać modele samolotów.

– Na pewno sporo surfował po Internecie. Kontrolowała pani to?

– Nie. Nie widziałam takiej potrzeby. Mój syn zawsze był spokojny i grzeczny.

– Spokojni i grzeczni młodzi ludzie, proszę pani, czasami robią coś, czego nikt się po nich nie spodziewa, na przykład się okaleczają.

– Malcolm nigdy nie sprawiał żadnych kłopotów wychowawczych – wtrącił się Jack ostro. – Mogę za to ręczyć.

– Oczywiście, proszę pana. Nie chciałem nikogo urazić. Mam jednak nadzieję, że nie będzie pani miała nic przeciwko temu, że policja zabierze komputer syna w celu sprawdzenia, czy na jego dysku nie znajdzie się przypadkiem coś, co przybliżyłoby nas do rozwiązania zagadki?

– Nie, proszę bardzo.

– Jeszcze jedno pytanie, jeśli można. Wiem, że może ono być kłopotliwe, za co z góry przepraszam. Czy odniosła może pani wrażenie, że pani syn mógł się zaangażować w niestosowny związek z którymś spośród dorosłych opiekunów albo z innym skautem?

Corinne popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

– Pyta mnie pan, czy mój dwunastoletni syn, który wczoraj rano popełnił samobójstwo, był gejem?

– Przepraszam, że je zadałem, proszę pani, ale jeżeli jakieś związki tego rodzaju istniały w drużynie, której członkiem był pani syn, musimy do nich dotrzeć. A coś takiego może się przecież okazać motywem zbiorowego samobójstwa, prawda?

– Wie pan co? Niech pan się ode mnie odczepi, i to natychmiast! – zażądała Corinne.

– Oczywiście, proszę pani. Już powiedziałem, przepraszam, że muszę zadawać takie pytania, jednak naszym obowiązkiem jest rozważyć wszystkie ewentualności.

W tym momencie podszedł do nich Sparky. Spokojnym, donośnym głosem powiedział:

– Tutaj chodzi o coś o wiele bardziej przerażającego.

Jeppersen popatrzył na niego, a potem na Corinne i Jacka. Potem znowu na Sparky'ego.

– Dlaczego tak sądzisz, chłopcze?

– Bo to prawda.

– Taaak? A twoim zdaniem, co to jest?

– Jeszcze nie wiem.

– Nie wiesz?

– Nie.

To powiedziawszy, Sparky odwrócił się i ruszył w kierunku brzegu jeziora. Gwałtowny podmuch wiatru zatrzęsł drzewami i zmarszczył tafłę wody. W oddali niebo przecięła błyskawica.

Zastępca szeryfa Jeppersen stał z niepewną miną, zdezorientowany, z długopisem uniesionym nad notatnikiem.

– Mój syn ma zespół Aspergera – wyjaśnił Jack.

– Ach tak? – Policjant najwyraźniej nie miał pojęcia, co to oznacza, jednak schował długopis do kieszeni, zamknął notes i powiedział: – W każdym razie dziękuję za pomoc. I przepraszam, jeżeli niektóre z moich pytań państwa uraziły.

Odszedł i po chwili zaczął rozmowę z kolejną osobą. Jack i Corinne poszli za Sparkym nad jezioro. Chłopiec stał nad wodą, z twarzą zwróconą pod wiatr i rękoma opuszczonymi wzdłuż ciała.

– Co to miało znaczyć? – zapytał go Jack.

– Coś tutaj jest – odparł Sparky. – Już ci mówiłem.

– Uważasz, że w lesie coś się znajduje, jednak nie wiesz, co to jest?

Chłopiec rozejrzał się dookoła.

– Właśnie. Ale na pewno jest w lesie – powiedział po długiej chwili.

– Jeszcze stąd nie odeszło?

Sparky pokiwał głową.

– Obserwuje nas. Nie czujesz tego?

– Nie.

Sparky wskazał na drzewa.

– To jest gdzieś tutaj. Obserwuje nas. Wiem to na pewno.

– Czy to jest jakaś osoba? – zapytała Corinne. – A jeśli nie, to co takiego? Masz jakiś pomysł?

– Nie, nie mam – odpowiedział Sparky. – Ale to czuję.

– Przerażasz mnie.

– Może powinniśmy podjąć poszukiwania? – zapytał Jack. – Cokolwiek to jest, czy może wyrządzić nam krzywdę? Nikt z nas nie ma ochoty popełnić samobójstwa, prawda? Nie mamy nawet noży, którymi moglibyśmy się zabić.

– Myślę, że podejrzenia Sparky'ego powinniśmy przekazać policji – stwierdziła Corinne.

– Policja nam nie uwierzy – rzekł stanowczo chłopak.

– Jasne. – Jack westchnął. – Czujesz, że coś nas obserwuje. A dokładnie skąd?

– Z najbliższej okolicy.

– Mógłbyś być bardziej dokładny?

Sparky osłonił oczy dłońmi i skierował wzrok na najgęstszy las. Po długiej chwili wyciągnął w tym kierunku rękę i powiedział:

– Stamtąd. Spomiędzy tych dwóch wielkich drzew. Właśnie stamtąd nas obserwuje.

– Chodźmy więc w tamtym kierunku – zaproponował Jack. – Zobaczymy, czy da się to coś stamtąd wykurzyć.

Oczywiście nie sądził, że coś znajdą. Uważał, że to autystyczna wyobraźnia Sparky'ego poszukuje wyjaśnienia czegoś, czego wyjaśnić się nie da. Chłopak zawsze uważał, że dla każdego zjawiska istnieje logiczne wyjaśnienie, nawet najbardziej trywialne, a kiedy nie potrafił go znaleźć, zaczynał się denerwować, przygryzał wargi i nerwowo owijał sobie kosmyk włosów wokół palca.

Obeszli polanę, na której wciąż pracowali technicy; w białych kombinezonach przypominali rodzinę białych niedźwiedzi. Corinne niechętnie ruszyła w kierunku, który wskazał Sparky, jednak Jack ujął ją za

rękę i powiedział:

– Posłuchaj, nic złego nie może nam się stać. Tutaj nic nie ma, ale jeżeli nie pozwolę Sparky'emu na dokładne poszukiwania, przez wiele godzin będzie nieznośny. Albo i przez wiele dni.

Sparky prowadził ich pomiędzy drzewami, które rosły najbliżej plaży. Nie czuło się tu wiatru, nie śpiewały też ptaki. Nawet sójki przestały się nawoływać. Słysząc było jedynie odgłos kroków ich trojga i od czasu do czasu nerwowy trucht, gdy jakaś wiewiórka przebiegła po suchych liściach pomiędzy drzewami. Poza tym las był nienaturalnie cichy.

W miarę jak posuwali się naprzód, Jacka zaczęło ogarniać jakieś dziwne uczucie, choć w lesie nie dało się zauważyć niczego, co by to uzasadniało. Drzewa dookoła raz wydawały mu się przeogromne, raz bardzo małe. Jack popatrzył w górę i przez gałęzie widział błękitne niebo, jednak wysokości lasu nie był w stanie określić. Spojrzał na Corinne i Sparky'ego: równie dobrze mogli być gigantycznymi postaciami, jak i małymi figurkami.

Sparky szedł kilka kroków z przodu. Co jakiś czas się zatrzymywał, nasłuchiwał i uważnie rozglądał.

– Chyba nic tu nie ma, Sparks – powiedział w pewnej chwili Jack. – Przynajmniej teraz.

Sparky zastygł w miejscu i podniósł rękę, jakby chciał powiedzieć: „Czekajcie”.

Panowała absolutna cisza. Wszyscy troje nasłuchiwali, jakby na coś czekali. Jack miał wrażenie, że coś ruszyło w ich kierunku pomiędzy drzew, coś niewidzialnego i poruszającego się bezszelestnie. Znajdowało się w pewnej odległości od nich, ale niewątpliwie było bardzo niebezpieczne. Jack poczuł, że musi puścić dłoń Corinne i rzucić się biegiem w kierunku jeziora. Las jakby zaczął się wokół nich zamykać, trudno było nawet oddychać.

– Co to jest? – zapytała Corinne. – Co się dzieje?

Tymczasem Sparky zaczął się obracać dookoła własnej osi, jakby nagle przestał się orientować, skąd zbliża się zagrożenie.

Jack dostrzegł pomiędzy drzewami coś białego. Mogło to być zwierzę, człowiek albo... co jeszcze? Nie potrafił zgadnąć. Wiedział tylko, że to coś przepełniło ich przerażeniem i że wszyscy troje powinni wydostać się z tego lasu, i to jak najszybciej.

– Chodźcie! – zawołał. Jego głos był dziwnie zduszony, jakby krzyczał w zamkniętym pustym pokoju. – Sparks! Uciekajmy stąd.

Ani Corinne, ani Sparky'emu nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Jack mocno złapał Corinne za rękę i wszyscy troje ruszyli biegiem w kierunku jeziora. Biegąc, Jack utracił ostrość widzenia, a na dodatek ogłuszał go odgłos własnych stóp uderzających o ziemię pokrytą suchymi liśćmi. Ale słyszał też inny dźwięk, jakby za jego plecami wiał bardzo silny wiatr. Dźwięk ten z każdą chwilą narastał. Był coraz bliżej. Jack poczuł na plecach uderzenia jakby delikatnych palców, a wkrótce liście zaczęły tańczyć nad ziemią.

Wybiegli z lasu na pustą przestrzeń nad wodą i przez chwilę z trudem łapali oddech. Odwrócili się, żeby popatrzeć za siebie, jednak wiatr już ustał i ostatnie liście opadały na ziemię. Dwaj technicy kryminalistyczni unieśli głowy, żeby na nich popatrzeć, jednak po krótkiej chwili wrócili do swoich zajęć.

– Widzieliście to? – zapytał Sparky.

Miał szeroko otwarte oczy i twarz białą jak papier.

– Nie wiem – odparł Jack. – Chyba coś widziałem. Ale nie mam zielonego pojęcia, co to było. Corinne, a ty? Widziałaś coś?

Corinne pokręciła głową.

– Nie, ale za to słyszałam, tego jestem pewna. I coś poczułam. Nie wiem... jakby nadciągało tsunami, tylko że nie była to fala wody, ale

powietrza.

– Porozmawiam z gliniarzami – postanowił Jack. – Coś się tutaj dzieje i to oni muszą się dowiedzieć co. I myślę, że nie mają na to za dużo czasu.

Ponure odkrycie

Jack widział po minie Jeppersena, że jest skłonny traktować go jak histeryka. Kiedy jednak wszyscy troje próbowali mu wyjaśnić, co widzieli i co czuli w lesie, podszedł do nich muskularny mężczyzna w mundurze i zapytał:

- Co się tutaj dzieje?
- Ci państwo twierdzą, że widzieli kogoś krążącego po lesie.
- Niekoniecznie to był ktoś – poprawił go Jack. – Ktoś albo coś.

Muskularny mężczyzna miał stalowoszare oczy, które wyglądały jak główki gwoździ, i podwójne policzki, opierające się na kołnierzyku. Wyciągnął rękę i przedstawił się:

- Wiceszeryf Dan Porter. A państwo kim jesteście?
- Jack Wallace. To jest mój syn, Alexis. Wszyscy mówią na niego Sparky. A to pani Corinne Cusack. Jej syn, Malcolm, jest jedną z ofiar. Przyjechałem tutaj z synem, żeby ją wesprzeć na duchu.

- I mówi pan, że widzieliście kogoś lub coś w tym lesie?
- Dokładnie tak. To coś tylko przez chwilę mignęło między drzewami. Było białe. Mógł to też być człowiek ubrany na białą. Wszyscy słyszeliśmy też potężny wiatr.

Dan Porter popatrzył z ukosa na Jeppersena, jakby chciał powiedzieć: strata czasu. Głośno jednak powiedział:

- Rozumiem. Widział pan coś białego albo kogoś ubranego na białą i wszyscy słyszeliście wiatr. Jeżeli to coś w bieli nie było człowiekiem, może pan to porównać z czymś innym?

- Sam nie wiem – odparł Jack. – Może jeleni albo coś podobnego? Ale

jeśli jelen, to ja jeszcze nigdy nie widziałem takiego jelenia.

– A wiatr? Mamy dzisiaj raczej wietrzny dzień i wiatr jest zmienny.

– Tak, wiem.

– A co państwo robiliście w lesie? Zakładam, że pani już zidentyfikowała zmarłego syna?

Corinne pokiwała głową i wyszeptała:

– Tak. Tak, rozpoznałam go.

– Bardzo pani współczuję z powodu śmierci syna. Potrzebujemy trochę czasu, żeby się przekonać, dlaczego ci wszyscy młodzi ludzie targnęli się na swoje życie, niemniej jednak raczej nie mamy wątpliwości, że w grę wchodzi wyłącznie zbiorowe samobójstwo.

– I właśnie po to byliśmy w lesie – powiedział cicho Sparky. – Szukaliśmy przyczyn.

Jeppersen pochylił się do ucha wiceszeryfa i przez chwilę coś do niego szeptał. Jack wyłowił jednak słowa „dziecko ma szparaga”.

– Zespół Aspergera – poprawił go Jack. – To forma autyzmu. Mój syn ma pewne trudności w komunikowaniu się z innymi ludźmi, ale silnie reaguje na bodźce zewnętrzne, a jego iloraz inteligencji jest bardzo wysoki.

Wiceszeryf popatrzył na jezioro i zmarszczył czoło. Miał minę, jakby wiedział, że zaraz ma się wydarzyć jakiś cud – na przykład powtórne przyjście Mesjasza – który z jakichś powodów jednak się opóźnia. W końcu odwrócił się do Jeppersena i powiedział:

– Dobrze. Skoro mamy tutaj psy tropiące, możemy z nich skorzystać. Poproś Ridouta, żeby wziął Barretta i przeszukał z nim las w tym miejscu, w którym, zdaniem tych państwa, było coś nadzwyczajnego. Możesz wziąć do tego jeszcze ze czterech ludzi. Bo identyfikację ofiar już właściwie zakończyliśmy. – Zwrócił się do Jacka: – Zechce nam pan pokazać to miejsce? Wolałbym jednak, aby pański syn i ta pani pozostali tutaj.

– Sparky? – powiedział Jack. – Zostaniesz na chwilę z mamą Malcolma?

– Jasne – odparł chłopiec. – Tylko bądź ostrożny, tato. To, co tam jest, może się okazać naprawdę przerażające.

– Nie martw się, chłopcze – uspokoił go Porter. – Twój tata będzie miał dobrą opiekę. Kiedy przeszukamy las, będziesz mógł dać Barrettowi psi przysmak. A możesz mi wierzyć, Barrett to dobry tropiciel.

Po kilku minutach podszedł do nich młody policjant z czarno-brązowym owczarkiem niemieckim. Barrett sprawiał wrażenie bystrego i inteligentnego; Sparky uważnie się mu przyglądał, kiedy wiceszeryf wyjaśniał jego opiekunowi i czterem innym policjantom, czego od nich oczekuje. Właściwie to pies sprawiał znacznie lepsze wrażenie niż ludzie, których musiał słuchać.

– Muszę przyznać, że nie wierzę, abyście znaleźli w tym lesie kogokolwiek, kto nie powinien się tu znajdować, ale jeśli nawet znajdziecie kogoś tajemniczego, raczej nie będzie miał nic wspólnego z tym wypadkiem – mówił wiceszeryf. – Niemniej jednak policja okręgu Muskegon ma opinię sumiennej i dokładnej i tak też musimy działać: sumiennie i dokładnie. Do roboty więc. Ten pan pokaże wam, gdzie powinniście rozpocząć poszukiwania.

Corinne objęła ramieniem Sparky'ego i poprowadziła go w kierunku budynków, gdzie zgromadzili się już krewni ofiar i funkcyjni skauci.

– Nazywam się Ridout – przedstawił się opiekun psa. – A ta psina wabi się Barrett. Jeżeli jest pan gotowy, proszę nas prowadzić, pójdziemy za panem. I niech się pan niczego nie obawia. Kiedy Barrett złapie trop, od razu wystrzeli do przodu niczym statek kosmiczny.

Jack poprowadził funkcjonariuszy z powrotem do lasu. Teraz nie było tu już tak cicho. Silny wiatr szeleścił liśćmi, ptaki ćwierkały, przelatując z gałęzi na gałąź. Do tych odgłosów natury dołączyły teraz trzaski gałązek pękających pod stopami policjantów i sapanie Barretta. Słyszeć było nawet

samolot przelatujący wysoko na niebie.

– Myślę, że to było tutaj – powiedział Jack, kiedy dotarli do miejsca, w którym Sparky przez długą chwilę obracał się wokół własnej osi.

Jeppersen uniósł do góry rękę i zawołał:

– Uwaga, wszyscy! W tym miejscu ten pan widział coś białego. Może to było zwierzę, a może jakaś osoba ubrana na biało. Jeśli to jeszcze możliwe, Barrett na pewno znajdzie trop. Rozstawcie się w tyralierę i szukajcie odcisków stóp oraz innych znaków. Jeżeli natkniecie się na coś, co będzie pasowało do opisu, który przedstawił ten pan, postarajcie się to zatrzymać. Albo przynajmniej zorientujcie się, co to takiego. Albo kto to taki.

Kiedy ludzie szeryfa rozeszli się pomiędzy drzewami, Jack i Jeppersen oraz opiekun psa rozpoczęli przetrząsanie najbliższego terenu, stopniowo poszerzając obszar poszukiwań, zataczając coraz większe kręgi, zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Barrett zanurzył pysk w liściach i węszył, na razie jednak nie wyczuwał żadnego wyraźnego zapachu.

– To cholerna tragedia – odezwał się w pewnej chwili Jeppersen. Podniósł z ziemi kij, którym zaczął rozgarniać większe sterty liści. – Trudno sobie coś takiego wyobrazić. Ci wszyscy rodzice, którzy tutaj zjechali... wszyscy mnie pytają, dlaczego to się stało, a ja nie potrafię im odpowiedzieć. – Pochylił się, żeby podnieść z ziemi coś lśniącego, i zaraz to odrzucił, stwierdziwszy, że trzyma w ręce jedynie pogniecione opakowanie po chipsach. – To się nie stało bez powodu – kontynuował. – Nawet jeśli powód był jakiś wariacki. Pamięta pan ten kult UFO w San Diego? Chyba nazwano go Brama Niebios albo jakoś tak. Wszyscy tam uważali, że jeśli popełnią samobójstwo, statek kosmiczny istot pozaziemskich natychmiast zabierze ich do nieba. No i zabiło się ponad trzydziestu ludzi, jeżeli mnie pamięć nie myli. No ale oni przynajmniej poinformowali świat przed śmiercią, dlaczego to robią, wszyscy zostawili listy pożegnalne. A ci skauci... nic. Zero. Żadnego

wyjaśnienia.

Zataczali coraz szersze koło, Jack czuł jednak, że na nic już się nie natkną – dzisiaj nie zobaczą już między drzewami białej zjawy, która wywołała ten upiorny porywisty wiatr.

Zatrzymał się i zaczął nasłuchiwać, jednak z powodu zbliżającej się burzy z wyładowaniami drzewa kołysały się niespokojnie i dlatego słyszał jedynie szum liści, świergot ptaków i odległe pomruki grzmotów.

– Przykro mi – odezwał się do Jeppersena – ale nie sądzę, żebyśmy mogli coś jeszcze znaleźć. To było na pewno tutaj, przysięgam, bo w przeciwnym wypadku nie marnowałbym cennego czasu panów. Może pies przestraszył to coś?

Ale akurat w tym momencie Barrett głośno zawarczał i pociągnął za smycz.

– Co jest, Barrett? Dalej, chłopcze, co znalazłeś? – Ridout mówił łagodnie do psa.

– O ile znam tego psa, to wywęszył szopa – powiedział Jeppersen. Kiedy Barrett pociągnął Ridouta ostro w prawo, ten niechętnie podążył za nim. – Może jednak wyczuł coś interesującego? Od czasu do czasu psina się przydaje, znajduje narkotyki, zagubione dzieci albo rozkładające się ciała bezdomnych.

Barrett poprowadził opiekuna w dół, po lekko pochyłym terenie. Jednak z każdym kolejnym metrem podłoże stawało się coraz bardziej strome, aż w końcu Jeppersen, Ridout i Jack musieli skakać od drzewa do drzewa, żeby nie stoczyć się w dół. Po długiej chwili teren znowu stał się płaski. Las był tu o wiele gęstszy, pełen krzaków z ostrymi kolcami, które rozdzierały ubrania i drapały po rękach. Nagle Jack poczuł się tak, jakby znalazł się w jakiejś surrealistycznej bajce i musiał walczyć o każdy krok w ponurym, zaczarowanym lesie. Wreszcie pies doprowadził ich do niewielkiej mrocznej

polany.

Panował tu chłód, ponieważ gęste korony dębów nie przepuszczały promieni słonecznych. Na środku polany znajdowała się sadzawka. Lustro stojącej wody zabarwione było na brązowo przez butwiejące liście. W powietrzu unosił się wstrętny zapach. Nie potrzeba było psa tropiącego, żeby stwierdzić, iż na polanie znajdują się ludzkie zwłoki.

Barrett dotarł na brzeg stawku i przywarował z uszami postawionymi na sztorc.

– Cholera jasna – powiedział Jeppersen.

Ridout stanął obok Barretta. W prawej ręce trzymał smycz, a lewą przycisnął do nosa i ust. Słodkawy smród napawał zgrozą – Jack odniósł wrażenie, że raz wciągnąwszy go przez nos, już nigdy się go nie pozbędzie. Smród miał zarówno wstrętny zapach, jak i wstrętny smak.

Pośrodku sadzawki stała kobieta pozbawiona głowy. Miała na sobie białą koszulkę bez rękawów. Przód koszulki zabrudzony był zakrzepłą krwią. Ramiona trupa luźno zwisały wzdłuż tułowia, żółtawe, łuszczące się i obrzęknięte. Otwór w szyi wyglądał jak wulkan, jednak wypływała z niego nie lawa, ale tysiące robaków. Nad ciałem unosiły się roje much.

Barrett zaskomlał i Ridout zaczął go uspokajać.

– No, już dobrze, piesku. Wszystko w porządku, wynośmy się stąd.

Oddalili się od polany i po chwili Jack i Jeppersen usłyszeli, jak opiekun psa wymiotuje w krzakach.

– A pan jak się czuje? – Jeppersen zapytał Jacka. – Może pan już iść. Ja też nie zostanę długo. Poczekam na ekipę i zaraz stąd spadam.

– W porządku – odparł Jack, chociaż słowa „w porządku” zupełnie nie pasowały do jego samopoczucia.

Stanął nad brzegiem sadzawki i popatrzył w wodę. Chociaż na jej powierzchni unosiły się brązowe liście, woda była raczej przejrzysta.

Dostrzegł, że gołe nogi kobiety aż do połowy ud są głęboko zanurzone w błocie i zalegających na dnie liściach. Jednak w sadzawce, oprócz trupa, znajdowało się coś jeszcze. Trudno było to dostrzec, ponieważ skrywał to cień, jaki rzucały zwłoki. Wyglądało również jak ludzkie ciało, ale zwinięte w pozycji embrionalnej. Obszedłszy ostrożnie sadzawkę, Jack zobaczył, co to jest: prawdopodobnie zwłoki mężczyzny. Były nagie, wzdęte i należały do białego człowieka. Na ramieniu trup miał wytatuowaną zwierzęcą łapę, prawdopodobnie pumy.

– Niech pan patrzy – powiedział Jack do Jeppersena, który przez radiotelefon próbował ściągnąć nad sadzawkę pozostałych funkcjonariuszy.

– Co takiego? Cholera, nie mam tutaj sygnału. Niech pan tylko posłucha.
– Uniósł urządzenie i Jack usłyszał tylko dobiegające z głośnika trzaski.

Podszedł jednak do Jacka, który wskazał mu punkt pod wodą. Obaj widzieli na dnie tylko męskie plecy, głowę na zgiętej szyi i nogi podciągnięte do brzucha.

– Tego już za wiele. Na rany Chrystusa, co się tutaj stało?

Jeppersen przeszedł na drugą stronę sadzawki. Tutaj jej brzeg był bardzo stromy i śliski i musiał bardzo uważać, żeby nie ześlizgnąć się prosto do wody. Jedną ręką chwycił za gałąź rosnącego nad brzegiem drzewa, drugą – w której trzymał znaleziony wcześniej kij – szturchnął ciało znajdujące się w wodzie.

W pierwszej chwili zwłoki tylko lekko się zakołysały. Jeppersen pchnął je mocniej i wtedy się obróciły. Bez żadnych wątpliwości należały do mężczyzny, jednak twarz była tak obrzmiała, że Jack wątpił, czy rozpoznałaby go własna matka. Ramiona miał rozrzucone na boki, a spod jednej z dłoni niespodziewanie wypłynęła głowa kobiety, równie nabrzmiała jak jego własna, o mlecznobiałych, szeroko otwartych oczach. Unosiła się na powierzchni wody, gapiąc się na Jacka, jakby była na niego zła, że znalazł ją

o wiele za późno.

Jack oddalił się od sadzawki. Niebo bardzo pociemniało i zaczął padać deszcz. Ridout stał między drzewami obok Barretta, blady i wstrząśnięty. Po chwili dołączył do nich Jeppersen.

– W końcu połączyłem się z zastępcą szeryfa – powiedział. – Zaraz przyślą ekipę techników.

Nad jeziorem strzelił piorun. A potem rozpętała się ulewa tak gwałtowna, że po kilku minutach mężczyźni byli mokrzy, a Barrett co chwilę otrząsał się z wody. Stali w dość dużej odległości od przerażającego stawu, a krople deszczu spływały po ich twarzach i moczyły im ubrania. Nie zważali jednak na to – czuli, że potrzebują oczyszczenia.

Ponura opowieść

Kiedy Jack wreszcie dotarł do zabudowań obozowiska, deszcz padał tak mocno, że rynny przy werandzie największego budynku nie mieściły już wody, która na całej szerokości wypływała z nich kaskadami. Strumyki deszczu spływały Jackowi po nosie i co kilka sekund ogłuszał go huk gromu. Można było odnieść wrażenie, że w niedalekiej okolicy toczą się zmagania wojenne.

Wszedł na werandę i po chwili znalazł się w budynku. Krewni ofiar tłoczyli się w holu, nie wiedząc, co dalej robić. Wiadomość o znalezieniu kolejnych zwłok już do nich dotarła, nie znali jednak żadnych szczegółów.

Sparky i Corinne siedzieli na krzesłach we wnęce po prawej stronie, tuż za tablicą z programem obozów skautowych, których gospodarzem był ośrodek Owasippe. Corinne trzymała w ręce styropianowy kubek z zimną kawą.

– Co się dzieje, Jack? – zapytała kobieta. – Gliniarze biegają jak szaleni. Widziałam też dziennikarzy. Wszyscy jakby powariowali.

– Znalazłeś kolejne zwłoki, prawda? – zapytał Sparky ciekawym, lecz spokojnym głosem.

Wcześniej Jack nie chciał o tym mówić, jednak teraz, kiedy jego syn odgadł, co się stało, nie było sensu wykręcać się od odpowiedzi.

Pokiwał głową.

– Tak, znalazłem je, Sparks, razem z ludźmi szeryfa. Mężczyznę i kobietę. Ich ciała były w sadzawce. Jeszcze nie wiadomo, co im się przytrafiło.

– O Boże! – zawołała Corinne. – A tobie nic nie jest?

- Prawdę mówiąc, jestem wstrząśnięty. To nie był przyjemny widok.
- Kobieta i mężczyzna? Oni także popełnili samobójstwo?
- Kobieta na pewno nie. Ale, jak mówiłem, ludzie szeryfa niczego konkretnego nie wiedzą, a ja nie mam ochoty o tym rozmawiać.
- Jesteś przemoczony. Musisz się przebrać, bo złapiesz grypę albo coś jeszcze gorszego – powiedziała Corinne.

Jack zaczął się rozglądać za którymś z funkcyjnych skautów. Tymczasem Sparky pociągnął go za rękaw i powiedział:

- Jednak coś widzieliśmy, prawda, tato? Nie wymyśliliśmy sobie tego.
- Nie, Sparks, nie wymyśliliśmy. Ale nadal nie wiemy, co to było, i nie mamy pewności, czy to miało coś wspólnego z tymi tragicznymi wydarzeniami.
- Czy ta martwa kobieta miała rany głowy? – zapytał Sparky.
- Można tak powiedzieć.
- Tak myślałem. To znowu Castor. Castor jest złą gwiazdą.

Otworzyły się drzwi do biura po drugiej stronie holu i wyszedł z nich funkcyjny skaut w mundurze koloru khaki. Pod pachą niósł gruby plik papierów. Jack przebrnął w jego kierunku przez gąszcz ludzi i w chwili, kiedy ten miał już zniknąć za kolejnymi drzwiami, zawołał za nim:

- Przepraszam pana!
- Mówi pan do mnie? Mogę panu w czymś pomóc?
- Mam nadzieję, że tak. Mógłby pan zdobyć dla mnie coś suchego do przebrania?

Skaut, którego dystynkcje dowodziły wysokiej rangi, był pulchnym mężczyzną w okularach. Był niemal zupełnie łyсы, a skórę na głowie miał ciemną i błyszczącą jak mosiężna gałka u drzwi. Świadczyło to bez wątpienia o tym, że mężczyzna mnóstwo czasu spędza na powietrzu. Popatrzył na

Jacka, jakby ten zadał mu pytanie w języku suahili.

– W czasie największej ulewy byłem w lesie – wyjaśnił Jack. – Pomagałem policjantom przeszukiwać teren.

Mężczyzna pokręcił głową i cmoknął ze zniecierpliwieniem.

– Ostrzegałem ich, że coś takiego się wydarzy. Wiele razy ich ostrzegałem.

Niespodziewanie upuścił papiery na podłogę i pochylił się, żeby je zebrać.

– Może być cokolwiek, byle było suche – mówił Jack. – Może dres albo sweter i jakieś spodnie do biegania.

– Mówiłem, że nie wolno sprzedawać już ani kawałka naszego terenu, bez dyskusji – kontynuował skaut, zbierając dokumenty. – Pożalujecie, jeżeli to zrobicie. Tak im mówiłem. W najlepszym czasie ten ośrodek liczył ponad jedenaście tysięcy akrów, czy pan wie? Jedenaście tysięcy! A teraz ma mniej niż pięć tysięcy i Rada Skautów w Chicago chce to sprzedać deweloperom, żeby nasz ruch mógł się rozwijać. Powiedziałem im, że to jest igranie z ogniem! Igranie z ogniem! Wywołały w ten sposób nie tylko sprzeciw miejscowej społeczności, członków naszej organizacji i wielkiej liczby ludzi, którzy kiedyś bawili się w skauting. Nie, proszę pana! W lesie mieszkają takie siły, które na pewno się na nas zemszczą.

– Chodzi mi... o... suche ubranie – przypomniał Jack.

– Ach, tak. Jasne. Jest pan przemoczony do suchej nitki. Widzi pan te drzwi na końcu korytarza po prawej stronie? Tam jest magazyn naszego sklepu. Znajdzie pan tam jakieś bluzy z emblematem Owasisippe i spodnie od dresów. Niech pan tylko zostawi na stoliku kartkę ze spisem tego, co pan zabrał, oraz ze swoim adresem, żebyśmy wiedzieli, dokąd wysłać rachunek.

– Dziękuję – odparł Jack. Jednak zanim odszedł, zapytał jeszcze mężczyznę: – Mówił pan o jakichś „siłach w lesie”. Co pan miał na myśli?

– Co? – Skaut znowu zamrugął.

Upchawszy papiery pod pachą, zdjął okulary i chustą wytarł ze szkiele ślady palców.

– Powiedział pan, że „siły z lasu” na pewno się zemszą.

– Hmm... Każdy, kto wie cokolwiek o lesie, powie panu to samo.

Jack miał jeszcze zapytać, co znaczą słowa „to samo”, jednak niespodziewanie stanęła przy nim Sally. Fryzurę miała w nieładzie i wyglądała na zmęczoną i udręczoną.

– Na Boga, Jack, pływałeś w jeziorze?

– Aha, bardzo śmieszne. Złapał mnie deszcz. Powiedzieli ci już, co znaleźliśmy?

– Tak – odparła Sally z grymasem na twarzy. – Właśnie odbyłam rozmowę z wiceszeryfem. Chce, żeby rodziny zmarłych zostały w Muskegon jeszcze przez noc. Jutro mieliby odpowiadać na dodatkowe pytania dotyczące ich dzieci. Większość chce jednak jak najszybciej wracać do domu.

– Dlaczego szeryf chce ich jeszcze przesłuchiwać? Przecież ciała przeleżały w sadzawce wiele dni. Były tam na pewno na długo przed naszym przybyciem do Owasippe.

– Obawiam się, że Porter jest formalistą, który na wszelki wypadek chce mieć krytą dupę. W jakim stanie znajdowały się zwłoki, na które natrafiliście? Wiceszeryf powiedział mi tylko, że zwłoki należą do mężczyzny i kobiety i wszystko wskazuje na to, że nad sadzawką doszło do morderstwa i samobójstwa.

– Chyba ma rację. Kobieta miała odciętą głowę, a mężczyzna leżał pod wodą i trzymał tę głowę jak jakąś cholerną piłkę. Cóż, on w zasadzie mógł popełnić samobójstwo, jednak kobieta z całą pewnością tego nie zrobiła. Poczekaj chwilę, Sal. – Jack odwrócił się, żeby przeprosić skauta za to, że przerwał rozmowę, jednak mężczyzna już sobie poszedł. Jack dostrzegł tylko

w tłumie jego lśniąca głowę. Był już dość daleko. – Cholera jasna – mruknął.

– Co się stało?

– Nie wiem. Rozmawiałem z tym starszym skautem. W pewnej chwili powiedział coś o „siłach w lesie”. Mówił, że Rada Skautów chce sprzedać cały ten teren pod zabudowę, jednak są „siły w lesie”, które będą o niego walczyć, jeżeli zostaną do tego zmuszone. Uciekł, zanim zdołałem go dopytać, co ma na myśli.

Sally poklepała Jacka po mokrym rękawie.

– Przypuszczam, że miał na myśli siły natury. Trudno sobie wyobrazić coś bardziej agresywnego niż zdenerwowany szop pracz, mówię to z własnego doświadczenia. Tymczasem otrzymałam zadanie, żeby przekonać pięćdziesiąt jeden zrozpaczonych, zmęczonych i zniecierpliwionych osób, że lepiej będzie dla nich, jeżeli najbliższą noc spędzą w Holiday Inn w Muskegon, a nie we własnych wygodnych łóżkach. Ty z kolei musisz zrzucić z siebie to mokre ubranie.

– Tak, masz rację. Może jeszcze później dopadnę gdzieś tego faceta, zanim stąd odjedziemy.

– O której wracacie ze Sparkym?

Jack popatrzył na zegarek.

– Mamy samolot o dziewiętnastej dwanaście. A to oznacza, że musimy stąd wyjechać najpóźniej za czterdzieści pięć minut.

– Jack – odezwała się Sally, gdy ten już miał odejść. – Chcę ci podziękować za to, że tu przyjechałeś, i za wszystko, co zrobiłeś. Sparky'emu również. Nie musiałeś tego robić i przede wszystkim dlatego jestem ci niezmiernie wdzięczna.

– Dzięki, Sal.

Znowu poczuł, że mogliby się do siebie zbliżyć, jednak rozumiał, że odnosi takie wrażenie tylko dlatego, że Sally bardzo przypomina mu

Agnieszkę, a w dodatku jest roztrzęsiony i zmęczony, i bardzo potrzebuje czyjejś bliskości. Zdawał sobie sprawę, że gdyby zostali kochankami, ich związek nie przetrwałby długo i w efekcie przestaliby nawet być przyjaciółmi.

Poszedł do magazynu, małego dusznego pomieszczenia, w którym zalegały sterty koszulek, spodni i bluz z logo Owassippe oraz mnóstwo innych pamiątek z tego miejsca: kubków, breloczków i toreb na zakupy. Na wszystkich widniał profil wodza przystrojonego w piękny wojenny pióropusz.

Jack szybko przebrał się w obszerny zielono-biały dres, mokrą koszulę i spodnie wrzucił do plastikowej torby i wyszedł na korytarz. Niemal zderzył się z wiceszeryfem.

– Szukałem pana – powiedział Porter. – Chciałem powiedzieć, że bardzo jesteśmy panu wdzięczni za pomoc w odnalezieniu kolejnych zwłok. Zamierzałem też prosić, żeby mi pan zostawił namiary na siebie. Medyk sądowy z Lansing zapewne będzie chciała zadać panu kilka dodatkowych pytań, kiedy przeprowadzi sekcje zwłok.

– Nazywam się Jack Wallace.

Jack uściśnął dłoń wiceszeryfa. Była sucha i szorstka, jakby mężczyzna tyle samo czasu spędzał na rąbaniu drzewa, ile poświęcał na swoją pracę.

– Bardzo chciałbym wiedzieć, co pan wcześniej zobaczył w tym lesie – powiedział.

– Przecież już mówiłem: między drzewami poruszało się coś białego, dość daleko ode mnie. To mogło być cokolwiek. Nie jestem w stanie podać panu dokładniejszego opisu.

– Może widział pan pumę? W okolicznych lasach żyją pumy, choć rzadko się je spotyka. Człowiek może spędzić tu całe życie i nie zobaczy nawet śladu tego zwierzęcia. Tutaj nazywa się je kotami-duchami. Z drugiej

strony, mógł się pan przecież natknąć na wodza Owasippe i jego dwóch synów. Już wielu ludzi przysięgało, że w spokojne noce słyszeli ich głosy.

– Chyba nie mówi pan poważnie?

– To miejscowa legenda. W dziewiętnastym wieku, dokładniejszej daty panu nie podam, wódz Owasippe wsadził swoich synów do kanu i kazał im płynąć w nieznane. Mieli w ten sposób udowodnić, że są już mężczyznami. Dopłynęli aż do Chicago, a w Fort Dearborn zaprzyjaźnili się z osadnikami. Nie było ich jednak tak długo, że w końcu wódz Owasippe usiadł pod sosną i postanowił, że nie będzie ani pił, ani jadł, dopóki synowie nie wrócą.

– I wrócili?

– Nie. Do celu brakowało im już tylko dwóch dni podróży, kiedy wyciągnęli kanu z wody i postanowili przenocować pod urwiskiem na brzegu rzeki. Kiedy spali, urwisko osunęło się na nich i pogrzebało ich żywcem. To jest prawdziwa historia, ponieważ wiele lat później jacyś traperzy znaleźli łódź, miski i dwa szkielety.

– A co się stało z wodzem?

– Cóż, tak długo pościł, aż zmarł. Teraz razem z duchami synów spaceruje po lesie. Niektórzy twierdzą, że jeśli się do nich zawoła, zawsze odpowiadają.

Jack popatrzył na Portera spod przymrużonych powiek. Być może mężczyzna się z niego nabijał, jednak nie zdradził tego żaden muskuł na jego twarzy.

– Ciekawa historia – powiedział po chwili. – Jednak nie wierzę, że spotkaliśmy w lesie ducha, a raczej duchy, w liczbie mnogiej.

– Ani ja – zgodził się Porter, wciąż z poważną miną. – Osobiście w ogóle nie wierzę w duchy. Jednak od czasu do czasu w tych lasach zdarzają się naprawdę niewytłumaczalne rzeczy. Jeden z moich funkcjonariuszy biwakował ze znajomymi w okolicy, ale w środku nocy całe jego

towarzystwo dostało takiego pietra, że jeszcze przed świtem zwinęli namioty i pognali do domów. Mówił mi później, że nie rozumie, co się stało, jednak coś ich tak wystraszyło, że prawie posrali się w gacie. – Wciągnął nosem powietrze i dodał: – Chcę przez to powiedzieć, panie Wallace, że jestem wielkim sceptykiem, jeśli chodzi o sprawy nadprzyrodzone. Nie wierzę w istnienie żadnych sił pozaziemskich, duchów, nie wierzę nawet w życie po śmierci. Wierzę jednak, że na świecie dzieją się rzeczy, o których jeszcze nie wiemy albo których nie rozumiemy. Trzeba im się przyglądać i dokładnie badać, żeby je zrozumieć. Bo w przeciwnym wypadku jeszcze długo będą nas straszyć.

Przeczenie

Do restauracji dotarli kwadrans przed dwudziestą drugą, w samym środku największego wieczornego ruchu. Wszystkie stoliki były zajęte, a kilkoro klientów siedziało przy barze, czekając, aż się zwolni dla nich miejsce. Pięciosobowy zespół z Polski głośno śpiewał ludową piosenkę *Ja tu i ty tu*, przy akompaniamencie perkusji i skrzypiec, a rozmowy przy stolikach były tak głośne, że Jack musiał krzyczeć do swojego menedżera, Tomasza, żeby ten go usłyszał.

– Cieszę się, że wróciłeś! – Tomasz odkrzyknął mu do ucha. – Mamy dzisiaj bardzo pracowity wieczór!

– Nie ma co narzekać! Zajmiesz się wszystkim do zamknięcia? Bo ja jestem wykończony!

– Dam radę, nie przejmuj się.

Tomasz był mężczyzną potężnej postury, miał krótko obcięte siwe włosy i dużą poczciwą twarz. Ubrany był w purpurową marynarkę z logo restauracji – stylizowaną literą N wyhaftowaną na kieszonce na piersi. Poza tym nosił czarną koszulę i czerwony krawat. Pracował dla rodziny Wallace'ów od dnia otwarcia restauracji, przed siedmioma laty. Zawsze był pogodny, sypał dowcipami jak z rękawa i często poklepywał klientów po plecach, jakby ich znał przez całe życie.

Jednak przed dwoma miesiącami, kiedy Jack wyszedł z restauracji, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza, zobaczył, jak Tomasz stoi pod ścianą i cicho płacze. Spostrzegłszy szefa, Tomasz szybko wytarł oczy i bez słowa wrócił do pracy. Jack nigdy nie pytał, o co chodziło, ale od tego czasu wiedział już, że Tomasz jest znacznie bardziej skomplikowaną osobą, niż się wydaje, że

nie jest tylko zabawiającym klientów żartownisiem, za jakiego chce uchodzić.

– Sparks, idź już do łóżka – powiedział Jack. – Za kilka minut przyjdę do ciebie. Nie zapomnij umyć zębów!

Chłopak ruszył ciężko po schodach, a tymczasem Jack wszedł za bar i otworzył sobie butelkę zimnego piwa Żywiec.

– Długi dzień, co? – zapytał go Tomasz.

– Długi i okropny, możesz mi wierzyć. – Jack nie chciał rozmawiać ani nawet myśleć o ostatnich wydarzeniach. Rozejrzał się po sali i powiedział: – Jak się sprawdza nowy przepis na gołąbki?

– Michał bez przerwy na niego narzeka. Natomiast goście prześcigają się w pochwałach. Sprzedaliśmy osiem albo dziewięć porcji gołąbków i wszystkim naprawdę smakowały. Ludzie mówią, że są znacznie lepsze niż te poprzednie.

– Doskonale. Porozmawiam jeszcze z Michałem, a potem pójde się położyć spać.

– Ale... Właściwie to ma pan jeszcze gościa.

Jack popatrzył na salę i zapytał:

– Co, teraz? Gdzie?

– Nie, nie tutaj. To kobieta. Była u nas mniej więcej o ósmej, może o wpół dziewiątej. Kiedy jej powiedziałem, że wróci pan bardzo późno, poszła sobie. Ale zostawiła mi adres i numer telefonu. Proszę.

Tomasz wyciągnął z kieszeni na piersi lekko podniszczoną wizytówkę i podał ją Jackowi. Nazwisko wydrukowano na niej kursywą, a adres ktoś poprawił na kartoniku czerwonym atramentem. Kobieta nazywała się Maria Wiktoria Koczerska i mieszkała w Belmont Gardens, czyli w odległości około ośmiu kilometrów od restauracji, w kierunku południowo-zachodnim. Belmont Gardens było cichym osiedlem, znajdującym się w granicach

polskiej dzielnicy, Avondale.

– Powiedziała, czego chce?

Tomasz pokręcił głową.

– Nie. Ale mówiła, że ma do pana bardzo ważną sprawę. Prosiła, żeby pan zadzwonił jak najszybciej.

– Jak ona wyglądała? Młoda? Ładna?

Tomasz znowu zaprzeczył.

– Być może kiedyś. Ale już nie teraz.

– Dobrze, Tomek, dzięki. Zatelefonuję do niej jutro rano. Na pewno dasz sobie ze wszystkim radę?

– Niech się szef nie martwi. Nad wszystkim panuję.

Jack poszedł do kuchni, żeby zobaczyć, jak sobie radzi kucharz. Jak zwykle krzyczał na Piotra i Duane'a, przeklinał, jednak kolejne porcje jedzenia opuszczały kuchnię w porę i wyglądały bardzo apetycznie.

– Jeden barszcz z krokietem! Dwa razy pierogi! Kluski śląskie raz! Do cholery, gdzie są kluski śląskie? Jeden bigos!

– Tomasz mówi, że te nowe gołąbki bardzo dobrze schodzą – powiedział Jack.

Jedną ręką Michaił przewrócił kotlet cielęcy na drugą stronę, w drugiej ręce trzymał patelnię z kapustą.

– Czyli mamy dzisiaj na sali samych Słowaków – powiedział.

Jack uspokajająco poklepał go po grubym, spoconym ramieniu.

– Dopóki jedzą to, co im podajemy, i płacą, nie dbam, kim są nasi goście.

– Oby tylko nie przyszli Rosjanie – mruknął Michaił. – Bo tych to poczęstuję cyjankiem potasu.

Jack przystanął na chwilę przed drzwiami swojego mieszkania, otworzył je i wszedł do środka. Nawet tutaj dało się słyszeć przytłumiony gwar rozmów z

restauracji i wybuchy śmiechu.

Drzwi do sypialni Sparky'ego były uchylone, w pokoju paliła się nocna lampka, jednak chłopak już spał, ubrany w pidżamę z obrazkiem ze *Star Treka*. Miał potargane włosy i oddychał przez usta. Jack przez chwilę go obserwował. Bardzo współczuł swojemu synkowi, który niedawno stracił ukochaną matkę. Choć przecież Jack też utracił żonę, kochankę i najlepszą przyjaciółkę.

Podszedł do okna i starannie zaciągnął zasłony. Złośliwie uśmiechnięty kozioł o żółtych oczach patrzył na niego z billboardu. *Widziałeś dzisiaj śmierć, Jack? Znow ją widziałeś, w całej jej koszarnej chwale?*

Rozejrzał się po pokoju. Patrzył na mapy gwiazd, które Sparky poprzyklejał do ścian, przypiętą nad łóżkiem fotografię Agnieszki stojącej pod kwitnącym drzewem, w pomarańczowej sukience. Zdjęcie było zrobione przed trzema laty.

Gdyby naprawdę dało się przewidzieć przyszłość, myślał Jack. Zainteresowanie Sparky'ego astrologią zainspirowała właśnie śmierć Agnieszki. Jack w to nie ingerował. Postanowił, że nie dopuści, by coś podobnego wydarzyło się w jego życiu jeszcze raz. Chciał znać zdarzenia, które miały dopiero nadejść. Tylko wtedy będę mógł zrobić wszystko, co w mojej mocy, żeby im zapobiec, myślał.

Wyłączył lampkę w pokoju Sparky'ego i zamknął drzwi. Następnie poszedł do kuchni i wyciągnął z lodówki butelkę piwa. Salon był cichy i zagracony. Jack włączył telewizor o szerokim ekranie, jednak wyłączył dźwięk, ponieważ chciał spokojnie przemyśleć wszystko, co wydarzyło się w Owasippe, i dokładnie przeanalizować to, co widział. Nie potrafił sobie wyobrazić, co tam dokładnie zaszło, jak ktoś zdołał zakopać pozbawioną głowy kobietę w dnie stawu. Oczyma wyobraźni wciąż widział robaki wypełzające z jej szyi. Czy zamordował ją ten mężczyzna, który później

utonął, czy też oboje zabił ktoś zupełnie inny? A jeśli tak, to dlaczego?

Na ekranie przed jego oczyma w ciszy rozgrywała się akcja serialu *Dwóch i pół mężczyzny*. Musiał to być jakiś stary odcinek, ponieważ w filmie występował Charlie Sheen. Na stoliku obok kanapy stała kolejna fotografia Agnieszki, w srebrnej ramce; kobieta spoglądała na niego zalotnie. Pamiętał dzień, w którym wykonał to zdjęcie, i żałował teraz, że nie powiedział wtedy: nie patrz na mnie w taki sposób, Aggie, bo pewnego dnia twoje spojrzenie sprawi, że zatęsknię za tobą bardziej, niż będę potrafił to znieść.

Wziął do ręki wizytówkę, którą otrzymał od Tomasza. Nie kojarzył wydrukowanego na niej nazwiska i nie potrafił sobie wyobrazić, jaką ważną sprawę może mieć do niego nieznajoma. W pewnej chwili odwrócił kartonik i zobaczył kolejne nazwisko, odręcznie zapisane na pustej stronie. *Grzegorz Walach*.

Teraz coś zaczęło do niego docierać. Grzegorz Walach był jego pradziadkiem. Dziadek często opowiadał mu o nim barwne historie. Przed drugą wojną światową pradziadek był słynnym polskim skrzypkiem i grał w warszawskiej Orkiestrze Symfonicznej. Kiedyś usłyszał jego grę wielki dyrygent Leopold Stokowski. Zrobiła na nim tak wielkie wrażenie, że zaprosił go do Chicagowskich Filharmoników i to właśnie dlatego w 1937 roku cała rodzina wyemigrowała do Ameryki.

Jednak kiedy 1 września 1939 roku Niemcy napadły na Polskę, Grzegorz Walach koncertował akurat w Warszawie i wysłał do rodziny telegram z informacją, że postanowił zostać i bronić kraju przed agresorem. Rodzina w Ameryce już nigdy o nim nie słyszała.

Jack zaczął niezdecydowanie obracać wizytówkę w palcach. Z niezrozumiałego powodu zaniepokoił go kartonik, przywołujący przeszłość, która najlepiej, żeby na zawsze pozostała zapomniana. Popatrzył na nocny zegar stojący obok fotografii żony. Dochodziła dwudziesta druga trzydzieści.

Przez chwilę się zastanawiał, czy nie jest za późno na telefonowanie do tajemniczej Marii Wiktorii Koczerskiej.

Z dołu dobiegł go znowu śmiech i dźwięki muzyki. Zespół grał *Hej, sokoły* – pieśń popularną w Polsce nie tylko teraz, ale śpiewaną już w czasie wojny przez żołnierzy Armii Krajowej. To zadecydowało. Sięgnął po słuchawkę.

Jednak w tym momencie Sparky wszedł do salonu. Włosy miał jeszcze bardziej potargane, oczy opuchnięte od snu.

– Hej, Sparks, co się dzieje?

Syn usiadł obok niego na kanapie.

– Ja też zaraz się kładę – powiedział Jack. – A ty od dawna powinieneś spać, mamy za sobą bardzo długi dzień.

– Miałem zły sen.

Jego wzrok błędził po pokoju, jakby się bał, że coś, co zobaczył w koszmarze, nadal może go dopaść.

– Cóż, nie dziwię się. Ale to tylko twój mózg próbuje sobie poradzić z tym, co cię spotkało. Sposób, w jaki umarł Malcolm... cóż, to jest naprawdę ponura tragedia.

– Wcale nie śnił mi się Malcolm, tylko las.

Jack objął chłopca ramieniem i uspokajająco przycisnął go do siebie.

– To też mnie nie dziwi. Ten las był dość przerażający. A to, co w nim zobaczyliśmy, nawet jeśli to była puma, co mnie się wydaje najbardziej prawdopodobne, też było straszne. Pумы również atakują ludzi. Nie zdarza się to często, ale jednak. Ich ofiarami padają szczególnie małe dzieci.

– Ale to nie był ten las, lecz zupełnie inny.

– Masz na myśli sen? Zatem jaki las ci się śnił?

– Nie wiem. Ale zupełnie inny. Zupełnie inne były w nim drzewa i

całkowicie inaczej pachniały.

– Śnią ci się również zapachy?

Sparky pokiwał głową.

– Czulem we śnie nawet zapach ogniska. Siedzieli przy nim jacyś mężczyźni i rozmawiali.

– Tak? I co mówili?

– *Był biały. Wglądał jak duch.* – Sparky powiedział to łamaną polszczyzną.

– Naprawdę?

– Tak. Powtarzali to bez końca.

Jack jeszcze raz uściśnął syna.

– Posłuchaj, Sparks. Jesteś po prostu zmęczony i wzburzony dzisiejszymi wydarzeniami. Może się napijesz ciepłego mleka na dobry sen?

– Nigdy dotąd nie miałem takich koszmarów.

– Jasne, przecież koszmary bywają różne, a zależą głównie od tego, co cię gnębiło przez cały dzień. Dzisiaj twoim głównym zmartwieniem był las i tajemnicza straszna biała postać. Nic więc dziwnego, że cię dopadł właśnie taki koszmar. Ja też trząśłem się przecież ze strachu.

– Ale ja to widziałem naprawdę.

Jack wyprostował się i popatrzył na chłopca. Sparky powiedział to z takim przekonaniem, że niemal mu uwierzył.

– Jak mam to rozumieć, Sparks? Przecież koszmar jest tylko snem.

– Ale to się działo naprawdę.

– Mężczyźni w lesie mówili „był biały i wyglądał jak duch”? Po polsku?

– Tak.

Jack wstał.

– Daj spokój, Sparks. Chyba naprawdę powinieneś już pójść do łóżka. I

spróbuj myśleć o czymś innym. Na przykład licz baranki. Baranki nie będą takie straszne jak to, co się działo dzisiaj. Wiesz co? Zostawię u ciebie światło, dobrze? I możesz spać przy otwartych drzwiach. Co ty na to?

Sparky niechętnie wrócił do łóżka. Jack stał przez chwilę na środku salonu, nie bardzo wiedząc, co teraz robić. Zdawał sobie sprawę, że on także powinien się położyć, jednak wizytówka wciąż leżała na stoliku obok telefonu i nie dawała mu spokoju, a koszmar Sparky'ego w dziwny sposób wzmocnił jego przekonanie, że jednak musi zadzwonić do pani Marii Wiktorii Koczerskiej. Kimkolwiek jest ta kobieta.

Wystukał numer na klawiaturze aparatu i czekał. Po drugiej stronie bardzo długo nikt nie podnosił słuchawki. Już miał przerwać połączenie, gdy niespodziewanie usłyszał lekko płaczliwy damski głos. Kobieta odezwała się po polsku.

– Halo? Słucham. Tak?

– Dobry wieczór. Czy zastałem panią Koczerską?

– Przy telefonie. Z kim mam przyjemność?

– Nazywam się Jack Wallace i jestem właścicielem restauracji Nostalgia przy North Clark Street. Mój menedżer powiedział mi, że była pani u mnie pod moją nieobecność.

– Ach tak, pan Wallace. Rzeczywiście. Dziękuję, że pan zatelefonował. Widzi pan, bardzo chciałabym panu coś pokazać...

– Napisała pani na odwrocie swojej wizytówki nazwisko mojego pradziadka, Grzegorza Walacha.

– Tak, rzeczywiście. Pański pradziadek zaginął na wojnie, prawda?

– Zgadza się. W tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym roku był w Polsce i postanowił zaangażować się w walkę z Niemcami. Później rodzina nie miała już od niego żadnych wieści.

– Oczywiście. Dziesiątki tysięcy Polaków, panie Wallace, zaginęło wtedy

bez śladu. Nie pozostały po nich nawet groby, które bliscy mogliby odwiedzać. Z braćmi mojego dziadka stało się to samo.

– Zapewne chciała pani jednak rozmawiać o moim pradziadku?

– Najlepiej będzie, jeżeli to panu pokażę, panie Wallace. Może odwiedziłby mnie pan w moim domu?

– Jestem bardzo zajęty, pani Koczerska. Jak pani wie, prowadzę restaurację.

– Tak, oczywiście. Ale jeżeli opowiem panu, jaki los spotkał Grzegorza Walacha... Jeżeli udowodnię panu, co się z nim stało...

– Jest pani w stanie to uczynić?

– A dlaczego miałabym pana okłamywać? Jaki miałabym w tym cel?

– To prawda. Może więc przyjadę do pani jutro przed południem, powiedzmy o jedenastej, jeżeli pani to pasuje.

– Doskonale, panie Wallace. Będę na pana czekała. Dobranoc.

– Dobranoc, pani Koczerska.

Jack odłożył słuchawkę. Pomyślał, że powinien poczuć ekscytację, tymczasem był dziwnie zaniepokojony. Może to z powodu zmęczenia. Owszem, przyczyna mogła być właśnie taka, jednak zaniepokoiło go coś jeszcze. Źródłem jego niepokoju niespodziewanie stały się niedawne słowa Sparky'ego: „Istnieje związek pomiędzy tym, co przydarzyło się Malcolmowi, a naszą rodziną. To dlatego musimy pojechać do Owasippe”.

Nie rozumiał, dlaczego te słowa teraz tak mocno go poruszyły. Prawdopodobnie powodem tego poruszenia była ogromna powaga, z jaką Sparky je wypowiedział. A także fakt, że ta cała Koczerska zjawiała się w restauracji tego samego dnia, w którym pojechał ze Sparkym zidentyfikować zwłoki Malcolma. Jack nigdy nie wierzył w przeznaczenie ani w zbiegi okoliczności. Był przekonany, że człowiek układa sobie życie dokładnie tak, jak chce. Poczuł się bardzo niekomfortowo, kiedy pomyślał, że Sparky może

mieć rację, że los człowieka zależy od układu gwiazd i planet, czy mu się to podoba czy nie.

Pudełko ze wspomnieniami

Kiedy zatrzymał samochód w Belmont Gardens, przy West Wellington Avenue numer 4125, padał rzęsy deszcz. Przez krótką chwilę siedział jeszcze w samochodzie, mając nadzieję, że ulewa osłabnie, jednak w tym czasie jeszcze się wzmogła. Jakaś młoda kobieta w czerwonym płaszczu z kapturem przechodziła przez ulicę, pchając wózek z dzieckiem. Na smyczy ciągnęła za sobą kompletnie przemoczonego spaniela, który z trudem dotrzymywał jej kroku.

Jack popatrzył na willę, w której mieszkała pani Koczerska. Był to jeden z kilku budynków z cegły stojących przy Wellington Avenue i zwieńczonych blankami niczym pałac. Okna zasłaniały gęste koronkowe firanki w kolorze kości słoniowej. Jack dostrzegł jednak, że w pokoju na piętrze pali się lampa stołowa, osłonięta czerwono-zielonym abażurem. Odgadł, że jest to salon w mieszkaniu pani Koczerskiej.

Upewniwszy się, że deszcz nie ma zamiaru ustać, wysiadł z samochodu i wybetonowanym chodnikiem podbiegł do frontowych drzwi budynku. Zadzwoił do mieszkania numer 2 i czekał. W końcu, po dość długiej chwili, usłyszał w domofonie kobiecy głos:

– Pan Wallace?

– Tak, to ja.

Koczerska otworzyła mu drzwi i znalazł się mrocznym holu z marmurową posadzką. W powietrzu unosił się zapach środków dezynfekcyjnych i przypalonego sera. Po lewej stronie stał wysoki mahoniowy wieszak na płaszcze i stojak na parasole. Obok niego na ścianie wisiało małe lustro. Mijając je, ujrzał w nim swoją twarz i pomyślał, że

wygląda jak na sepiowej fotografii z lat trzydziestych dwudziestego wieku.

– Poproszę na górę, panie Wallace! – zawołała pani Koczerska. Stała na piętrze, wychylona przez balustradę. – Jeszcze pada? A ja chciałam w końcu rozwiesić pranie!

– Niestety, nawet nie pada, a leje. I raczej nie wygląda na to, żeby w najbliższych godzinach miało przestać.

Jack wszedł na piętro i pani Koczerska wyciągnęła do niego ręce, jakby byli starymi przyjaciółmi, którzy nie widzieli się od wielu lat. Jack ucałował ją w oba policzki, po czym powiedział:

– Miło mi panią poznać.

Tomasz miał rację. Dawno temu pani Koczerska musiała być bardzo piękną kobietą. Oceniał, że ma sporo ponad siedemdziesiąt lat. Miała stalowosiwe włosy, upięte w skomplikowany kok. Miała też wysokie kości policzkowe, krótki, prosty nos oraz kształtny podbródek. Była bardzo drobna – Jack nie dawał jej więcej niż sto pięćdziesiąt siedem centymetrów wzrostu – i lekko przygarbiona. Miała na sobie elegancki strój: długi rozpinany sweter, białą bluzeczkę i plisowaną szarą spódnicę. Jej szyję zdobił potrójny sznur pereł.

Jack natychmiast rozpoznał perfumy o wyraźnym zapachu jaśminu i kwiatu pomarańczy. Chanel numer 5.

– Proszę, niech pan wejdzie.

Jack wszedł do mieszkania.

Pod wieloma względami było tutaj podobnie jak u niego. W salonie stały cztery fotele i kanapa, ciężkie i stare, z nogami w kształcie lwich łap, identyczne jak te, które Jack odziedziczył po dziadkach. Ciężkie zasłony z brązowego aksamitu podtrzymywały jedwabne sznury. Małe stoliki nakryto brązowymi jedwabnymi obrusikami, które z kolei przykrywały ozdobne koronkowe serwetki. Na każdej ze ścian wisiało mnóstwo wypłowiałych

fotografii dawno zmarłych krewnych. Niektórzy sfotografowani zostali w dniu ślubu, inni grupami stali przed domami, które prawdopodobnie zostały zbombardowane w czasie wojny, w ogrodach, które bez wątpienia dawno zarosły chwastami.

– Proszę usiąść. – Gospodyni wskazała Jackowi fotel. – I niech mi pan mówi po imieniu, mam na imię Maria. Nasze rodziny bardzo dobrze znały się w Polsce, jeszcze przed wojną. Z tego, co wiem, możemy być nawet ze sobą spokrewnieni.

– Raczej nie pamiętam, żeby moi dziadkowie kiedykolwiek wspominali o rodzinie Koczerskich – powiedział Jack, siadając na fotelu przy oknie.

– Moje nazwisko rodowe brzmi Kusocińska. Pochodzę z Lublina.

– Nie przypominam sobie także Kusocińskich. Ale tak naprawdę, to nigdy nie lubili wspominać życia w Polsce. To bardzo zasmucało moją babcię. Zaczynała płakać i wtedy trudno było ją uspokoić.

Maria poszła na chwilę do małej kuchenki i wróciła z talerzem pierników pokrytych ciemną gorzką czekoladą.

– Napijesz się kawy? – zapytała. – Bo rozumiem, że na wódkę jest jeszcze za wcześnie.

– Dziękuję i za kawę, i za wódkę – odparł Jack. – Już dzisiaj przez godzinę próbowałem babeczek z rumem.

– Rozumiem. Nigdy nie byłam w twojej restauracji, ale słyszałam o niej wiele dobrego. Moi sąsiedzi kiedyś ją odwiedzili.

– W takim razie zapraszam, ugoszczę cię dowolnego dnia o dowolnej porze. Tylko zadzwoń, a zarezerwuję miejsce.

Maria usiadła przy stoliku i podniosła z podłogi czarną stalową kasetę. Była podrapana, miała kilka wgnieceń, a wieko niezbyt dobrze pasowało. Chociaż na skoblu nadal wisiała mała mosiężna kłódka, już na pierwszy rzut oka dało się zauważyć, że jest popsuta; niedawno ktoś ją przeciął. W miejscu

przecięcia mosiądz był znacznie jaśniejszy.

– Otrzymałam tę skrzyneczkę w ubiegłym tygodniu od przyjaciółki, Krystyny Zawadki. Jest profesorem w Instytucie Historii Uniwersytetu Warszawskiego.

Jack w milczeniu patrzył, jak Maria podnosi wieko i wyjmuje z kasety plik pożółkłego papieru oraz małe pudełko obite bordową skórą.

– Kasetę znaleźli mniej więcej przed rokiem archeolodzy, którzy pracowali w Puszczy Kampinoskiej. Poszukiwali szczątków ludzkich, na które mogły nie natrafić wcześniejsze zespoły dokonujące ekshumacji.

O Puszczy Kampinoskiej, położonej kilkanaście kilometrów na północny zachód od Warszawy, Jack wiedział niemal wszystko. Wiosną i latem 1940 roku specjalna grupa żołnierzy niemieckich, zwana „AB-Aktion”, aresztowała ponad siedem tysięcy polskich arystokratów, polityków, dziennikarzy, nauczycieli, sędziów, księży i społeczników – osób, które potencjalnie mogły kontynuować pod okupacją niemiecką walkę o wolność narodu polskiego i przewodzić zorganizowanemu ruchowi oporu.

Ludzi tych internowano, torturowano, a potem wywieziono, z zawiązanymi oczami, na leśną polanę w Palmirach, właśnie w Puszczy Kampinoskiej. Większość z nich sądziła, że są transportowani do kolejnego miejsca odosobnienia. Ale w Palmirach po prostu ustawiano ich w rzędzie i rozstrzeliwano z karabinów maszynowych. Zginęło tam ponad dwa tysiące członków elity polskiego społeczeństwa. Może więcej.

– O ile wiem, teraz jest tam muzeum i cmentarz? – powiedział głośno Jack. – Moi rodzice odwiedzili kiedyś to miejsce. Ja nigdy nie miałem na to czasu.

– Spróbuj wstąpić do Palmir, kiedy następnym razem pojedziesz do Polski. To bardzo poruszające miejsce. Te wszystkie krzyże... wysokie drzewa... i wiatr rozwiewający ich korony.

– No ale co znaleziono w tej kasecie? – zapytał Jack, skinąwszy na stalową skrzynkę. – Coś na temat mojego pradziadka?

– Tak, Jack. Archeolodzy znaleźli w niej pamiętnik brata mojego dziadka z wieloma uwagami na temat jego przyjaciela, Grzegorza Walacha, twojego pradziadka. Ten pamiętnik wyjaśnia, w jaki sposób obaj zginęli. Z tych zapisków wynika, że wcale nie zabili ich Niemcy. Twój pradziadek nigdy nie wpadł w ich ręce i, o ile nam wiadomo, Niemcy nie mieli go na swojej liście w związku z *Inteligentzaktion*, szczegółowo zaplanowaną akcją, która miała polegać na wyeliminowaniu, czyli zamordowaniu, najbardziej świątłych przedstawicieli polskiego społeczeństwa. Wygląda na to, że nie mieli nawet pojęcia, że twój pradziadek znajduje się w Polsce, bo w przeciwnym wypadku z całą pewnością znalazłby się na tej liście.

– To bardzo ciekawe. Jeżeli nie zabili go Niemcy, to kto to zrobił?

Maria podsunęła mu talerzyk z piernikami, ale grzecznie odmówił.

Zachowywała się bardzo po polsku; dbała, aby jej gość nie był głodny.

– Prawdopodobnie wiesz, że nie tylko Niemcy korzystali z Puszczy Kampinoskiej – kontynuowała. – Ukrywało się w niej wielu uciekinierów z Warszawy, stacjonowały tam także regularne oddziały Armii Krajowej. Mój stryjeczny dziadek, Andrzej, i twój pradziadek byli właśnie partyzantami. Mieszkali w lesie razem z oddziałem, który liczył od trzydziestu do czterdziestu osób. To było w sierpniu tysiąc dziewięćset czterdziestego roku. Opracowali śmiały plan, którego celem było zabicie Hansa Franka, niemieckiego generalnego gubernatora okupowanych ziem polskich.

– Ale co się stało? Jak oni zginęli?

– Niemcy co jakiś czas urządzali na nich zasadzki w lesie, kilkakrotnie się jednak wymknęli z pułapek. Raz nawet nawiązali walkę z niemieckim patrolem i zabili co najmniej tuzin okupantów.

Maria kartkowała mały pamiętnik. Jack widział, że jego stronicie zapisane

są drobnym i niewyraźnym pismem, gdzieniegdzie widniały plamy atramentu.

– Jak sobie radzisz z językiem polskim? – zapytała w pewnej chwili.

– Prawdę mówiąc, dość kiepsko.

– Rozumiem. W takim razie będę ci tłumaczyła. „Przebywamy w lesie już od dwóch miesięcy i powoli zaczynamy sobie zdawać sprawę, że dzielimy ten las z czymś innym, znacznie bardziej przerażającym niż Niemcy. Chyba nawet Niemcy się tego boją, ponieważ kilkakrotnie słyszeliśmy, jak przestrzegają się nawzajem przed *Der Waldgeist*, leśnym duchem. Widzieliśmy też, jak spluwają na palce – zawsze trzykrotnie – bo jest to rzekomo dobry sposób, żeby się chronić przed złymi duchami”. Ten wpis pochodził z 17 października 1940 roku – powiedziała Maria. – Ale posłuchaj tego z 11 listopada. „Teraz jesteśmy już pewni, że obserwuje nas i przemieszcza się za nami coś straszliwie groźnego. Bardzo wcześnie rano, jeszcze przed wschodem słońca, widujemy to czasem za drzewami. A także tuż przed zmrokiem. Właściwie nie wiemy, co to jest. Niektórzy chłopcy uważają, że to może być dzikie zwierzę, może łoś albinos? Wszyscy w każdym razie zgadzamy się co do tego, że jest to białe i że w każdym z nas budzi taką zgrozę, jakiej jeszcze nie doświadczyliśmy. A jednak nie potrafimy określić przyczyny tego stanu rzeczy. Może nasze przerażenie wzmaga samotność, a może wyjaśnienie jest zupełnie inne... Jestem przekonany, że przez ułamek sekundy ja też to widziałem. Wiem, że był biały. Wyglądał jak duch”.

Jack poczuł dziwne mrowienie na dłoniach.

– Przeczytaj mi to po polsku – poprosił. – Dokładnie tak, jak to jest zapisane w pamiętniku.

Maria zmarszczyła czoło, ale posłusznie przeczytała:

– „Był biały. Wyglądał jak duch”.

– Czy wcześniej czytałaś to już głośno komuś innemu?

Maria wyglądała na zaintrygowaną.

– Oczywiście, że nie. Niby dlaczego? Tobie pierwszemu postanowiłam to przeczytać.

– Wczoraj wieczorem te słowa wypowiedział mój syn. Dokładnie tak, jak są tu zapisane. Miał koszmarne sen. Śniło mu się, że przebywa w gęstym lesie, czuje zapach ogniska i słyszy, jak jakiś mężczyzna mówi: „Był biały. Wyglądał jak duch”.

– Czy twój syn mówi po polsku?

– Kiedyś mówił bardzo płynnie. Kiedy był mały, jego matka zawsze rozmawiała z nim po polsku. Jednak teraz, obawiam się, że przestałem przywiązywać do tego wagę. Zresztą sam przestałem się posługiwać tym językiem i bardzo wiele z niego zapomniałem.

– Twoja żona nie mieszka już z tobą?

Jack posmutniał.

– Ona... cóż, odeszła od nas dwa lata temu. Rak.

– Och, bardzo ci współczuję. Zastanawiałam się, dlaczego nie przyjechała razem z tobą. Teraz już wiem. Przykro mi z powodu twojej straty. Wiem, że nic nie może wypełnić pustki, jaka pozostaje po naszych najbliższych. Świat pełen jest pustych sylwetek, w których kiedyś znajdowali się żywi ludzie. Powiedz mi jednak, czy twój syn użył dokładnie takich słów, jakie przeczytałam? Jak myślisz, skąd mógł je znać? Bo to raczej nie przypadek: „Był biały. Wyglądał jak duch”. Kto jeszcze i w jakich okolicznościach mógłby wypowiadać takie słowa?

– Nie wiem, Mario. I raczej nie potrafię zgadnąć. Mój syn interesuje się mapami gwiazd, astrologią i podobnymi rzeczami. Kilkakrotnie przepowiadał ludziom przyszłość i jego przepowiednie sprawdzały się co do joty.

Jack opowiedział Marii o samobójstwach w Owasippe, o wypadzie do

lasu i o tym, jak obaj ze Sparkym zobaczyli coś pomiędzy drzewami. Powiedział jej też, że zdaniem Sparky'ego istnieje jakiś związek pomiędzy rodziną Wallace'ów i Owasippe, chociaż chłopak nie potrafił wyjaśnić, na czym ten związek polega.

– Prawdopodobnie ta biała zjawa, która nawiedza las otaczający obóz skautów, jest tą samą, którą widywano w Puszczy Kampinoskiej – zasugerowała Maria. – Może na tym polega związek?

– Ale Owasippe i Palmiry dzielą tysiące kilometrów! Oba miejsca znajdują się w całkowicie różnych krajach, w jakże odmiennych kulturach. Moim zdaniem w Owasippe widzieliśmy dzikie zwierzę, może pumę, a przecież w Polsce pum się raczej nie spotyka, prawda?

Maria uniosła do góry rękę z pamiętnikiem.

– Z drugiej strony, Jack, istnieje tutaj jeszcze jedno podobieństwo, trudne do wyjaśnienia.

– Tak? Co to za podobieństwo?

– Sposób, w jaki zginęli skauci, przypomina śmierć twojego pradziadka. Posłuchaj tego, zapis pochodzi z 19 listopada 1940 roku. „Odczuwamy teraz taki strach, że niektórzy spośród nas nie są w stanie nawet mówić. Niemcy chyba czują to samo, ponieważ któryś z ich patroli znalazł się w odległości pięćdziesięciu metrów od naszej kryjówki, zatrzymał się na chwilę, a potem nagle odjechał. Słyszeliśmy, jak kilku Niemców wydiera się wniebogłosy. Potem usłyszeliśmy kilka strzałów.

Kiedy zapadła ciemność, Grzegorz i ja wyruszyliśmy do miejsca, w którym rozległy się strzały, mimo że ogarnięci byliśmy tym niewytłumaczalnym strachem, który niemal odbierał nam mowę. Pomiędzy drzewami znaleźliśmy ciała kilku młodych niemieckich żołnierzy. Trzej z nich zginęli od strzału w głowę i wszyscy trzej trzymali w dłoniach pistolety. Dwaj kolejni bez wątplenia stanęli naprzeciwko siebie i zabili się nawzajem

strzałami w usta z karabinów. Jeden z nich wciąż miał w ustach lufę karabinu kolegi, Gewehr98. Doszliśmy do wniosku, że umówili się, że zabiją się nawzajem. W każdym razie cała piątka wolała zginąć, niż stanąć twarzą w twarz wobec tego, co ich ścigało w puszczy".

Jack milczał, czekając, aż Maria skończy czytać. Przewróciła trzy kartki pamiętnika i czytała dalej:

– „24 listopada 1940 roku. To nie ma sensu. Nie ma sensu dłużej zmagać się z paniką. Widujemy tę białą zjawę pomiędzy drzewami w regularnych odstępach czasu. Wczoraj próbowaliśmy od niej uciec i po ponad pięciu godzinach marszu dotarliśmy do wsi Truskaw. Jednak ja ze strachu niemal nie mogłem oddychać, a Grzegorz nie był w stanie wydusić z siebie słowa”. – Na chwilę umilkła, ale zaraz mówiła dalej: – Na tej samej stronie znajduje się ostatni wpis. „To beznadziejne. Nie boimy się już Niemców, prawie pragniemy tego, żeby nas złapali i żeby się wreszcie skończył ten horror nie do opisania. Tymczasem można odnieść wrażenie, że Niemcy boją się tego samego co my, i nie zapuszczają się w głąb lasu. Przed tą białą zjawą nie ma ucieczki, cokolwiek to jest – człowiek, zwierzę czy leśny duch. Rozmawiałem o tym z Grzegorzem i uznaliśmy, że mamy tylko jedno wyjście z tej sytuacji. Postąpimy tak, jak ci dwaj niemieccy żołnierze, którzy w ostatniej chwili życia stanęli naprzeciwko siebie, obaj zginiemy najbardziej honorową śmiercią, jaka w naszej sytuacji jest możliwa. Niech Bóg ma w opiece tych, których opuściliśmy, a Matka Boska niech ma dla nas miłosierdzie i wybaczenie”. – Maria zamknęła pamiętnik i umieściła go z powrotem w metalowej kasecie. – To wszystko – powiedziała. – Na tym dziennik się kończy. Pozostałe papiery to pisma i rozkazy napisane przez różnych członków ruchu oporu. Dotyczą głównie kryjówek i planów uderzeń na Niemców. Krystyna powiedziała mi, że Instytut Historii skopiował je wszystkie, łącznie z tym pamiętnikiem, i historycy dalej będą pracować nad

kopiami. Uznano, że jako ostatnia osoba z rodziny, która pozostała przy życiu, powinnam zachować oryginały dla siebie. – Uniosła kasetę i głęboko wciągnęła nosem powietrze. – Ona pachnie – odezwała się. – Po tych wszystkich latach ta skrzyneczka wciąż pachnie lasem.

Jack milczał przez długą chwilę. Deszcz za oknami wciąż uparcie padał, a przez koronkowe firanki na oknach widać było spływające po szybach strugi wody. Maria ze zgrzytem zamknęła kasetę i odstawiła ją na stolik.

– A więc właśnie tak umarli? – zapytał w końcu Jack. – Brat twojego dziadka, Andrzej, i mój pradziadek, Grzegorz?

Maria pokiwała głową.

– Wszystko na to wskazuje, jednak jedynym źródłem naszej informacji jest dziennik, ponieważ ich ciał nigdy nie znaleziono. Nie chcieli popełnić samobójstwa, ponieważ uważali to za akt tchórzostwa, zaplanowali więc, że pozabijają siebie nawzajem. No, ale w sumie można powiedzieć, że zginęli taką samą śmiercią jak biedni mali skauci.

Straszne wieści z kostnicy

Następnego dnia Sparky poszedł do szkoły, mimo że Jack zaproponował mu, że może zostać w domu, jeśli chce. Rozumiał jednak, że syn pragnie jak najszybciej opowiedzieć kolegom z klasy o podróży do Owasippe, której celem było zidentyfikowanie zwłok Malcolma, i o znalezisku w lesie. W końcu informacje o zbiorowym samobójstwie skautów były już na czołówkach gazet i zajmowały najważniejsze miejsca we wszystkich wydaniach wiadomości telewizyjnych.

Jack siedział akurat w biurze, przeglądając zamówienia z poprzedniego wieczoru, gdy do otwartych drzwi zapukała Sally. Na dworze była ładna pogoda, dziewczyna miała więc na sobie białą koszulkę bez rękawów i spodnie w kolorze khaki, a na usta nałożyła lśniący szkarłatny błyszczący.

– Hej, Jacku Polaczku – przywitała się. – Co słyhać w świecie gołąbków?

– Wszystko w porządku – odparł Jack. – W tym tygodniu niemal co wieczór ludzie czekali w kolejce na miejsca przy stoliku. Kiedy wróciłaś z Muskegon?

– Wczoraj w nocy. Prawdę mówiąc, jestem wykończona.

Jack wskazał jej krzesło stojące przy biurku.

– No to wyrzuć to z siebie – powiedział. – Napijesz się wody? Może Mountain Dew? Albo Fanty?

Sally zdjęła z ramienia beżową skórzaną torebkę, otworzyła ją i wyjęła z niej kilka złożonych kartek.

– Tych dwoje, których znalazłeś w sadzawce – zaczęła. – Kobieta bez głowy i jej wytatuowany przyjaciel. Zidentyfikowaliśmy ich.

– Naprawdę? Kim są? A właściwie kim byli?

– Naukowcami. Oboje pracowali dla Michigan Wildlife Conservancy Center. Wszystko wskazuje na to, że pracownicy leśni zgłosili prawdopodobną obecność pumy w tej części obozu skautowego Owasippe. Ta dwójka wyruszyła w teren, żeby zebrać dowody.

– Jakie dowody?

– W kręgach badaczy dzikiej przyrody takim dowodem bywa kał. Gówno zwierzęce, Jack. Zbiera się je i odsyła do laboratorium, gdzie przeprowadza się badania DNA.

– Wiadomo już, co się stało z tymi ludźmi?

– Próbujemy zebrać w całość układankę, ale to nie jest łatwe. Kobieta nazywała się Sandra Greene, z „e” na końcu. Miała dwadzieścia osiem lat i specjalizowała się we wzajemnych relacjach pomiędzy ludźmi i pumami, szczególnie w pobliżu obszarów zurbanizowanych i osiedli, gdzie rozwój cywilizacyjny zagraża terytoriom, które tradycyjnie zamieszkują te zwierzęta. Mężczyzna to Weldon Farmer. Miał trzydzieści pięć lat, był żonaty i miał dwoje dzieci. Był bezpośrednim przełożonym Sandry Greene. Oboje pracowali w Michigan Wildlife Conservancy Center w Bath, niedaleko Lansing.

– Wiceszeryf Dan Porter nie ma wątpliwości, że to Farmer zakopał Sandrę Greene w bajorze po uda, a potem skrócił ją o głowę. Kiedy to robił, sadzawka stanowiła zaledwie wgłębienie leśnego terenu i być może nawet wcale nie było tam wody, a dopiero rześisty deszcz uczynił z niej wielkie bajoro. Pod zwłokami Farmera znaleziono maczetę, która niemal na pewno posłużyła mu do obcięcia kobiecie głowy. Farmer nie utonął, wiemy to, ponieważ w jego płucach nie znaleziono wody. Uważamy, że zabił się, przecinając sobie tętnice udowe w kroczu, prawdopodobnie tą samą maczetą, którą zabił pannę Greene, i szybko wykrwawił się na śmierć.

– Czy kobieta żyła i była świadoma tego, co się dzieje, kiedy ją zakopywał? To znaczy, czy ona zgadzała się i chciała tego, co z nią...

– Bardzo trafne pytanie – powiedziała Sally. – Wszystko wskazuje na to, że do ostatniej chwili była przytomna. Na jej głowie nie znaleźliśmy śladów uderzenia, które mogłoby spowodować wstrząs mózgu, sekcja zwłok nie wykazała też śladów żadnych środków farmakologicznych w jej krwi i moczu; choć po tak długim czasie trudno byłoby je wykryć, to fakt.

– Chcesz mi więc powiedzieć, że tych dwoje zawarło ze sobą jakiś samobójczy pakt?

Sally skinęła głową.

– Tak, to jedna z teorii, nad którymi pracujemy. Jednak do tej pory policjanci z Lansing nie natrafili na żadne listy pożegnalne, ani w mieszkaniach ofiar, ani w miejscu ich pracy. Nic też nie wskazuje, żeby związki pomiędzy panem Farmerem a panną Greene wykraczały poza sferę zawodową. Dan Porter podkreśla z naciskiem, że jest bardzo ostrożny w formułowaniu wniosków. Fakt, że ci wszyscy skauci i ich starsi opiekunowie zginęli śmiercią samobójczą, wcale nie musi oznaczać, że w tym przypadku także mamy do czynienia z samobójstwem. Może jakiś psychopata nakłonił ich do zadania sobie śmierci?

– Nic z tego nie rozumiem – westchnął Jack. – Jeśli o mnie chodzi, za nic w świecie nie odrąbałbym kobiecie głowy, nawet gdyby ktoś mierzył do mnie z pistoletu. Wolałbym umrzeć.

– Chyba się jednak czegoś napiję – powiedziała Sally. – Poczęstujesz mnie dietetyczną colą?

Jack podszedł do lodówki i wyciągnął butelkę.

– Masz jakieś nowe wiadomości o skautach? – zapytał.

– To kolejny powód mojej wizyty. Rano zadzwoniła do mnie Corinne Cusack. W dzisiejszej poczcie znalazła list od Malcolma.

– Jezu! Chyba się zdenerwowała.

– Jeszcze jak. Przeżyła szok. Oddałam list technikom, jednak najpierw go sfotografowałam.

Wyciągnęła z torby iPada. Otworzyła na nim właściwą fotografię i podała Jackowi urządzenie, żeby mógł przeczytać list.

Malcolm zapisał swój ostatni tekst na papierze w linie, pośpiesznie wyrwanym z notatnika. Pisał małymi, okrągłymi literami, zadziwiająco starannie, niebieskim długopisem.

Droga Mamo dzisiaj byliśmy w lesie i nauczyliśmy się tropić ślady. Początkowo było fajnie, ale po niedługim czasie ogarnął nas strach i nawet nasi opiekunowie byli przerażeni. Nie rozumieliśmy, dlaczego las stał się nagle taki straszny. Jutro mamy zaplanowane zajęcia survivalowe w dzikiej puszczy, ja jednak nie chcę tam iść, bo się boję. No ale mamy zdobywać sprawność bohaterów. Uściski. Malcolm.

Jack oddał Sally iPada.

– Biedny chłopak. Czy inni rodzice też otrzymali takie listy?

– Sprawdzamy to, jednak na razie wiemy tylko o liście Malcolma. Problem w tym, że dzieciak nie napisał, co ich wszystkich tak przeraziło.

– Może leśny duch?

– Leśny duch? Cóż to takiego?

– Właściwie nie wiem. Być może ten leśny duch nie ma nic wspólnego ze skautami. – Jack opowiedział Sally o wizycie u Marii i o tym, co jej stryjeczny dziadek napisał w dzienniku. – Jest tu trochę zbieżności, nie sądzisz? – zapytał. – W ogóle ich nie rozumiem, jednak według mnie są dość wyraźne. Białe coś, jakby zwierzę... Ja i Sparky widzieliśmy to na własne oczy. No i Sparky jest całkiem pewien, że istnieje związek pomiędzy tym, co

widzieliśmy, a śmiercią skautów.

Sally skrzywiła się i przez chwilę masowała sobie kark.

– Raczej nie opowiem tego mojemu kapitanowi, Jack. Roześmiałyby mi się w twarz, a zaraz potem odesłaliby mnie na badania psychiatryczne. Poza tym tak naprawdę to nie prowadzę tej sprawy. Jedynie po starej przyjaźni wspomagam ludzi z biura szeryfa w Muskegon.

– Nie wiem, co więcej moglibyśmy zrobić, Sally. Na pewno w lesie w Owasippe kryje się coś przerażającego, podobnie jak to było w Polsce, w Puszczy Kampinoskiej, jednak nie mam pojęcia, czy kiedykolwiek się dowiemy, czy te dwa miejsca naprawdę mają pod tym względem ze sobą coś wspólnego. Jedyna nasza nadzieja leży chyba w tym, że policja z Muskegon naprawdę natrafi na coś istotnego.

Sally dopiła colę i wstała.

– A jak się ma Sparky? – zapytała.

– Biorąc pod uwagę okoliczności, nie najgorzej. Ale wiesz, jaki on jest. Bezustannie mam wrażenie, że chodzi mu po głowie coś, o czym mi nie mówi.

– A ty? Jak ty się czujesz?

– Doskonale. W restauracji jest ciągły ruch. Prawie nie mam chwili dla siebie.

Sally położyła dłoń na jego ramieniu.

– Chodzi mi o twoją tęsknotę za Aggie. W przyszłym tygodniu miną dwa lata, prawda?

Jack z trudem wypowiedział kolejne słowa.

– Nic nie mogę na to poradzić. Mój umysł nie chce przyjąć do wiadomości, że już nigdy jej nie zobaczę.

Sally pocałowała go w policzek.

– Pamiętaj, we mnie zawsze masz przyjaciela. Zawsze, kiedy jest ci źle, możesz do mnie zadzwonić.

Jack pokiwał głową.

– Jasne, Sal. Jesteś aniołem.

Przekaz z zaświatów

W sobotę Jack zabrał Sparky'ego w odwiedziny do matki Jacka, do Highland Park, jakieś trzydzieści minut jazdy samochodem na północ od Edgewater. Mieszkała z dala od ludzi, w pamiętającym lepsze czasy kamiennym domu z widokiem na drzewa rosnące nad jeziorem Michigan. Poranek był wietrzny, a chmury kłębiły się nad jeziorem, jakby goniło je coś zagrażającego, że je porozrywa na strzępy.

Nina Wallace czekała już na nich na ławeczce przed werandą. Była kobietą niskiego wzrostu, pulchną o okrągłej twarzy i rumianych policzkach. Miała starannie ułożone ciemnobrązowe włosy, bez ani jednego pasemka siwizny, co musiało dziwić u kobiety w wieku sześćdziesięciu jeden lat. Ubrana była w letnią sukienkę w czerwone i żółte kwiatki, a na nogach miała buty bez obcasów. Jack doskonale rozumiał, że kobietę można wywieźć z Ukrainy – skąd pochodziła rodzina Niny – jednak nie można jej odebrać ukraińskiej duszy. W jej domu rodzinnym używano języka ukraińskiego, z ojcem Jacka zawsze rozmawiała po polsku, dlatego mimo że się urodziła i wychowała w Chicago, mówiła po angielsku jak emigrantka. W zanadru zawsze miała powiedzonka na każdą okazję, na przykład: „Kobieta nie jest harmonią, którą mężczyzna może odłożyć, kiedy już znudzi mu się jej ściskanie”.

– Jack! Alexis! – zawołała, wyciągając przed siebie ręce.

Nigdy nie nazywała Sparky'ego Sparkym. Chłopiec otrzymał na chrzcie imię Alexis po jej ojcu, którego posepna fotografia, z wielkimi wąsiskami, wisiała w holu domu, nigdy nie pozwalając na zapomnienie o nim.

– Cześć, mamó – powitał ją Jack. – Jak się masz?

- Całkiem nieźle. Nikt mnie nie odwiedza, ale poza tym nieźle.
- Przecież byłem u ciebie dwa tygodnie temu.
- Twoja siostra nie przyjeżdża...
- Przecież Ania mieszka w Kalifornii, mamó. Poza tym, że ma do ciebie bardzo daleko, jest zapracowaną kobietą.
- Ale czasami mogłaby przynajmniej zadzwonić. Boli ją palec, nie może wybrać mojego numeru?

Weszli do środka. Duży salon urządzony był skromnie i nowocześnie. Ściany i dywany miały biały kolor, a meble lśniły szkłem i chromem. Jedynym ustępstwem na rzecz tradycji była tutaj ikona z wizerunkiem Matki Boskiej wisząca nad kominkiem. Jack przeszedł do części jadalnej salonu i wyjrzał do ogrodu. Za drzewami dostrzegł lśniącą w słońcu taflę jeziora. Błyszczało trochę podobnie jak biały stwór pomiędzy drzewami w Owasisippe.

- No, a co u ciebie, synu? – zapytała Nina.
- Wszystko w porządku. W czwartek poznałem pewną bardzo interesującą Polkę. Nazywa się Maria Wiktoria Koczerska. Chciałem do ciebie zatelefonować w tej sprawie, ale potem pomyślałem, że będzie lepiej, jak do ciebie przyjadę i sam ci o wszystkim opowiem.

Sparky rozsiadł się na wielkiej kanapie, obitej białą skórą, i włączył iPad. Wcześniej powiedział Jackowi, że przygotowuje dla niego nową kartę nieba.

- Napijesz się piwa? A ty, Alexis? Może Doktora Peppera? No i znajdzie się dla ciebie jakieś ciastko.
- Nie jesteśmy głodni, mamó – zaprotestował Jack. – Niedawno jedliśmy śniadanie. Pozwól lepiej, że opowiem ci o tej Marii Koczerskiej.
- Na pewno nie chcesz piwa? Więc chociaż zjedz coś słodkiego...
- Mamó, ona wie, co stało się w czasie wojny z pradziadkiem Grzegorzem. Dowiedziała się, w jaki sposób umarł.

Nina Wallace wysunęła spod stołu chromowane, obite białą skórą krzesło i usiadła.

– A niby skąd się tego dowiedziała? Przecież nasza rodzina nigdy nie otrzymała żadnej informacji o jego losach. Dziadek Grzegorz był bardzo sławnym muzykiem, jednak kiedy Niemcy zajęli Polskę, został w kraju i słuch o nim zaginął. Nikt nie miał i nie ma pojęcia, co się z nim stało. Skąd więc ta Koczerska może wiedzieć coś o jego losie? Nie wierzę jej!

– Mamo, dlaczego jesteś taka podejrzliwa? Przecież nawet jeszcze nie wiesz, co od niej usłyszałem.

– Dlatego, że jesteś przystojnym wdowcem, właścicielem restauracji i masz mnóstwo pieniędzy. A ona zagięła na ciebie parol jakąś głupawą historyjką!

– Ale ta kobieta jest starsza od ciebie, mamo, i to dużo starsza!

– No i co z tego? Stare kobiety także lubią pieniądze i mężczyzn. Taka pani Lucas, mieszka niedaleko, ma siedemdziesiąt pięć lat! Ale co tydzień facet, który strzyże jej trawnik, znika u niej w domu za ekstra zapłatę.

– Daj spokój, przecież tego nie wiesz. Prawdopodobnie wchodzi do środka, żeby się umyć.

– Tak? Tylko dlaczego zawsze wychodzi stamtąd z szerokim uśmiechem?

– Pani Koczerskiej przysłano z Polski pamiętnik, który w czasie wojny pisał jej stryjeczny dziadek. Ten stryjeczny dziadek był dobrym kolegą Grzegorza Walacha. Okazuje się, że razem z nim krył się przed Niemcami w Puszczy Kampinoskiej pod Warszawą. W listopadzie tysiąc dziewięćset czterdziestego roku obaj jednocześnie popełnili samobójstwo.

Matka Jacka popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

– Ha! – zawołała i klasnęła w dłonie. – Mówiłam, że ta kobieta opowiada brednie!

– Osobiście widziałem ten pamiętnik. Ona niczego nie wymyśliła.

– Zabili się? Dlaczego?

– W puszczy pojawiło się coś, co ich przeraziło. Bynajmniej nie byli to Niemcy. To było coś zupełnie innego. Słyszeli, jak Niemcy nazywają to *Der Waldgeist*.

Sparky podniósł na chwilę wzrok znad iPada i popatrzył na ojca, jednak zaraz powrócił do swojej karty nieba.

Tymczasem matka Jacka zmarszczyła czoło i na moment przymknęła oczy.

– *Waldgeist*? Leśny duch? Może mieli na myśli *nish gite*?

– Nie wiem. Pani Koczerska powiedziała, że po niemiecku znaczy to właśnie leśny duch. A co znaczy *nish gite*?

– Chyba to samo. Kiedy moja rodzina mieszkała przy West Walton Street, a byłam wtedy może sześćioletnią dziewczynką, mieliśmy sąsiadkę, polską Żydówkę, panią Rosen. I ona wciąż opowiadała mi przerażające historie o leśnych duchach. Kiedy taki duch znajdzie drzewo, na którym się schowa, mamy do czynienia z *nish gite*. Nawet kiedy byłam już starsza i miałam jakieś szesnaście lat, kiedy wieczorem szłam do domu po pracy w Greenberg's Store i musiałam przechodzić przez Humboldt Park, zawsze biegłam, ponieważ przypomielałam sobie opowieści pani Rosen o *nish gite*, kryjących się na drzewach. – Umilkła, błędząc wzrokiem po pokoju i przypominając sobie opowieści sąsiadki sprzed wielu lat. Przez moment znów przeżywała chwile, kiedy ze strachem biegała wieczorami przez park. Po chwili jednak klasnęła dłońmi i powiedziała: – No, ale to przecież tylko bzdurne opowieści! Pani Rosen chciała mnie przestraszyć, głupia kobieta! Chyba nie sądzisz, że twój pradziadek zabił się ze strachu przed jakimś duchem?

– Nie wiem – odparł Jack. – Jednak wydaje się to mało prawdopodobne. Niemniej jednak, kto z nas wie, jak wyglądało życie partyzantów w leśnych

kryjówkach? Przecież ci ludzie żyli w ciągłym strachu przed Niemcami, którzy w każdej chwili mogli ich złapać i zastrzelić. Może puszczały im nerwy i zaczęli sobie wyobrażać różne rzeczy?

– Ale przecież my niczego sobie nie wyobraziliśmy, my to widzieliśmy, prawda, tato? – zapytał Sparky, nie odrywając wzroku od ekranu iPada.

– Widziałeś coś? – zapytała go babcia. – Gdzie to coś widziałeś? O czym ty mówisz, Alexis?

Sparky wzruszył ramionami.

– Właściwie nie wiemy, co to było, babciu. A jednak bardzo się przestraszyliśmy, prawda, tato?

– To było w Michigan, mamó, w obozie skautów. To mogła być nawet puma. I prawdopodobnie to była puma, ale z jej powodu zaczęliśmy uciekać jak szaleni – wyjaśnił Jack.

Sparky nie skomentował słów ojca, jednak po kilku sekundach powiedział spokojnie:

– Tato, gwiazdy mówią, że twój przyszły tydzień wygląda bardzo, bardzo dziwnie.

– Co ty mówisz? – zdziwił się Jack.

– Tak. Ktoś będzie chciał ci przekazać ważną wiadomość.

– Ważną wiadomość, mówisz? A kto taki? I jaką wiadomość?

– Kobieta. Nigdy dotąd jej nie spotkałeś. Kiedy otrzymasz tę wiadomość, nie uwierzysz w nią, ale potem ktoś z bardzo daleka powie ci, że to jednak prawda.

Jack nie wiedział, jak zareagować na słowa syna. Podobnie jak nie wierzył, że los człowieka jest z góry wyznaczony, nie wierzył też, że możliwe jest przepowiadanie przyszłości, niezależnie od tego, czy wrócono ze szklanej kuli, z fusów po herbacie czy z kart tarota. Jednak przepowiedni Sparky'ego nie można było lekceważyć. Zbyt często okazywały się

zadziwiająco dokładne – nawet jeśli nie zawsze zawierały tak drobne szczegóły, jakie padły teraz z jego ust. Właściwie każda kobieta, z którą się spotka, może mu wkrótce podać dowolną wiadomość. Na przykład Sally zadzwoni z nowymi szczegółami dotyczącymi wydarzeń w Owasippe. Albo pani Dębska z Polskiej Izby Mięsnej poinformuje go o tym, że wysłała do niego nowy ładunek kielbasy swojskiej.

Sparky mówił dalej:

- Osoba, która powie ci, że to prawda... także jest kobietą.
- Tak?
- Odbędziesz daleką podróż i dopiero wtedy ją spotkasz.
- Naprawdę?

Sparky pokiwał głową.

- Spotkasz ją i zakochasz się w niej.

W drodze do domu Jack powiedział do syna:

- Wciąż kochasz mamę, prawda?
- Tak.

Kiedy mijali Skokie Lagoons, znowu lunął deszcz. Był tak intensywny, że wycieraczki na przedniej szybie camaro z trudem nadążały ze zbieraniem wody, i przez długi czas Jack prowadził samochód właściwie po omacku.

Pod głową więdźmy

Wcześnie rano w srodę, jeszcze przed otwarciem restauracji, Jack ustawiał butelki na półkach w barze, kiedy do srodka weszła Bindy. Ubrana była w falbaniastą zieloną sukienkę, a włosy miała związane zieloną wstążką. Mocno pachniała piźmowymi perfumami, którymi – jak Jack przypuszczał – musiała się skropić tuż przed spotkaniem z nim

– Jack! Cześć, Jack! – zawołała, jakby jego widok ją zaskoczył. – Spotkamy się dzisiaj wieczorem?

– Nie wiem. A powinniśmy?

– Tylko mi nie mów, że już zapomniałeś. Tamara Thorne przeprowadzi dziś u mnie seans spirytystyczny!

Jack wyjął ze skrzynki dwie butelki wódki Wyborowej i postawił je na barze.

– Chyba nic z tego, Bindy. Ostatnio mamy tutaj spory ruch. A nie mogę po raz kolejny zostawić Tomasza samego w restauracji.

– Ależ musisz koniecznie przyjść na ten seans! Tamara jest naprawdę nadzwyczajna! Skomunikowała moją przyjaciółkę Caitlin z jej bliźniaczką, a ta bliźniaczka nie żyje już od ponad siedmiu lat! Caitlin nie mogła w to uwierzyć... długo ze sobą rozmawiały i nie ma mowy, że Tamara popełniła jakieś oszustwo, ponieważ w rozmowie wypłynęły takie sekrety, które znały wyłącznie Caitlin i jej siostra. Na przykład, kiedy były małe, miały ślimaka, któremu nadały imię Silver.

– Ślimaka o imieniu Silver? A nie miały przypadkiem także kotka o imieniu Tonto?

Bindy wspięła się na jeden ze stołków barowych i poprawiła suknię,

głośno szeleszcząc falbanami.

– Musisz być na tym seansie, Jack! Koniecznie! Może Tamara połączy cię z Aggie?

– Bindy, prawdę mówiąc, ja nie wierzę w żadne te paranormalne historie. Aggie odeszła, i tyle. Nic nie jest w stanie przywrócić jej do życia.

– Ale przecież nie zaszkodzi spróbować, prawda? Kto wie? Może Tamara cię zaskoczy? A poza tym, jeżeli skorzystasz z mojego zaproszenia, możesz spotkać kogoś, kogo bardzo polubisz.

– Bindy, wiesz, że nikogo nie szukam. Przez siedem dni w tygodniu zarządzam restauracją i opiekuję się Sparkym. To zabiera cały mój czas i jeszcze więcej.

Bindy zdjęła okulary i popatrzyła na niego oczami krótkowidza.

– Ludzie zazwyczaj schodzą się przypadkiem, Jack. Czasami bywa tak, że przyszła partnerka jest tuż obok, a mężczyzna nie zdaje sobie z tego sprawy. A potem, któregoś dnia, bez żadnego szczególnego powodu...

Jack ciężko westchnął.

– Dobrze, Bindy. Jeśli będę miał wolną chwilę, spróbuję wpaść.

– Obiecujesz?

– Zobaczę, co się da zrobić.

Bindy zeskoczyła ze stołka i rozejrzała się po sali.

– Sam musisz tu wszystkiego pilnować. Chyba jest ci ciężko?

– Mam kilkoro oddanych współpracowników.

– Tak, ale co robisz, kiedy kończy się dzień pracy, wszyscy idą do domów, ty zamykasz restaurację, a Sparky już śpi?

– Otwieram piwo, siadam przed telewizorem i zwykle wtedy zasypiam.

Bindy najwyraźniej chciała jeszcze coś dodać, jednak zrezygnowała. Posłała Jackowi wymuszony uśmiech i tylko powiedziała:

– Mam nadzieję, że zobaczymy się wieczorem.

Kiedy wracając ze szkoły, mijali sklep ze smakołykami Jimmy'ego Johna, Jack tradycyjnie wręczył Sparky'emu batonik Oh Henry.

– Po południu dzwoniła do mnie mama Malcolma – powiedział. – W piątek odbędzie się jego pogrzeb.

– Aha.

Nie rozpakował batonika od razu, jak to czynił zazwyczaj, ale w zamyśleniu popatrzył na ulicę.

– Wszystko w porządku? – zapytał Jack. – Miałeś dzisiaj jakieś problemy w szkole?

– Nie, żadnych problemów. Nawet dostałem szóstkę z algebry.

– To fantastycznie! Ja zawsze byłem kiepski z algebry. Właściwie to byłem kiepski ze wszystkich przedmiotów oprócz wychowania technicznego. Prawdopodobnie zostałemby stolarzem, gdyby dziadek i babcia nie potrzebowali mnie do pomocy w restauracji.

– Powinieneś tam iść.

– Co takiego? Iść? Dokąd? Sparky, co ty znowu wymyśliłeś?

– Powinieneś pójść wieczorem do księgarni Bindy. Naprawdę.

– Och, mówisz o tym seansie spirytystycznym? Chyba nie masz racji, Sparks. Co będzie, jeżeli ta kobieta zacznie udawać, że potrafi nawiązać łączność z twoją mamą? Obaj wiemy, że to po prostu niemożliwe. Byłoby to co najmniej nadużyciem naszej pamięci o niej.

Sparky jednak się upierał.

– W czasie przerwy ukończyłem twoją kartę nieba. Naprawdę powinieneś pójść do księgarni i porozmawiać z tą kobietą. To ona ma dla ciebie wiadomość. To o niej mówiłem ci u babci.

– Przykro mi, Sparks, ale ja nie wierzę, że można rozmawiać ze

zmarłymi, to jest niemożliwe, chociażbym nie wiadomo jak tego chciał. Przecież chyba nie masz wątpliwości, że oddałbym wszystko, żeby jeszcze raz, choć jeden raz, usłyszeć głos twojej mamy?

– Ale ta kobieta ma dla ciebie ważną wiadomość – nalegał chłopak. – Dzięki niej dowiemy się, co się stało z Malcolmem. Dlaczego się zabił. I dlaczego zabili się pozostali skauci. Zobaczyłem to w gwiazdach. Merkury wstaje, a Merkury jest posłańcem i władcą środy.

– Sparks, dzisiaj wieczorem będę przecież zapracowany po uszy. Przyjąłem już na dzisiaj siedemdziesiąt trzy rezerwacje, a ludzie będą też przychodzić z ulicy.

– Proszę cię, tato. Muszę się dowiedzieć, dlaczego Malcolm popełnił samobójstwo, a twój udział w seansie spirytystycznym u Bindy jest na to jedynym sposobem.

– Myślę, że nie zrobił tego z powodu Leśnego Ducha, *nish gite* czy co tam jeszcze naopowiadała babcia.

Sparky milczał. Wciąż nie rozwinął batonika.

– Przecież wiesz, że policja bada tę sprawę bardzo starannie. A Sally co jakiś czas informuje mnie o postępach w śledztwie.

– Idź tam, tato. Kiedy cię nie będzie, ja pomogę w restauracji.

– Tylko się nie mieszaj do restauracji. Kiedy dorośniesz, masz się zajmować fizyką jądrową, a nie lepić jakieś cholerne pierogi.

Kiedy zbliżała się dwudziesta, podszedł jednak do Tomasza i powiedział:

– Muszę na chwilę wyjść. To nie potrwa długo.

Restauracja nie była jeszcze zapełniona, chociaż Saskia wskazywała właśnie miejsce grupie złożonej z siedmiu osób.

– Jasne, nie ma problemu – odparł Tomasz. – Nie musisz się śpieszyć.

Jack się odwrócił i zobaczył, że Sparky stoi na schodach. Pomachał do

niego, jednak syn nie zareagował. Jack wyszedł frontowymi drzwiami i znalazł się na North Clark Street, po czym skręcił w lewo, w West Berwyn Avenue. W większości stały tu budynki mieszkalne, jednak znalazło też miejsce kilka sklepów i kawiarenek, głównie w pobliżu skrzyżowania z North Clark. Znajdowała się tutaj również księgarnia Bindy. Drzwi wejściowe miała pomalowane na żółto i na tym tle wymalowana była dżdżownica w okularach czytająca wielki, oprawny w skórę wolumin. Wnętrze wypełnione było regałami, na których stało mnóstwo książek podzielonych tematycznie – od przyrody, przez zdrowie kobiety, na feng shui skończywszy. Dzisiaj jednak najważniejsze miejsce zajmował tu plakat z powiększoną okładką książki Tamary Thorne, zatytułowanej *Jak rozmawiać z ukochanymi, którzy odeszli*.

Jack z trudem wcisnął się do środka, ponieważ w księgarni zgromadziło się już mnóstwo ludzi. Poważnie wyglądający mężczyźni i kobiety w grubych szydełkowanych swetrach trzymali w rękach kieliszki z białym winem lub szklanki z sokiem żurawinowym i wymachując paluszkami serowymi, rozmawiali z ożywieniem. Było bardzo gorąco, mimo że działała klimatyzacja, a w powietrzu unosił się zapach juty i lawendy oraz delikatna woń marihuany. Jack miał ochotę odwrócić się na pięcie i wyjść, ale Bindy zauważyła go i zawołała:

– Jack! Jack! Podejź do nas i poznaj Tamarę.

Musiał użyć łokci, by przepchnąć się przez tłum zgromadzony wśród półek z książkami. Fragmenty zdań, które docierały do jego uszu, dowodziły, że wszyscy pogrążeni są w dyskusjach o spirytyzmie, dietach makrobiotycznych, stawianiu się niewidzialnym oraz basenach do rodzenia dzieci.

W najszerszej części księgarni ustawiono w półkole około pięćdziesięciu składanych krzesel, a na wprost nich znalazło się miejsce dla zabytkowego

dużego fotela przypominającego tron. Po obu stronach tego tronu stały świeczniki, a w każdym z nich paliło się sześć świeczek. Ścianę za tronem zdobiły purpurowe aksamitne draperie.

Tamara Thorne była bardzo wysoką kobietą, prawie tak wysoką jak Jack, i na pewno przynajmniej o piętnaście centymetrów wyższą od Bindy. Była też bardzo chuda, wręcz koścista. Miała długie siwe włosy, przepasane sznurkiem ozdobionym lśniąco koralikami; przywodziła na myśl jakąś średniowieczną królową. Jej oczy miały kolor bladego turkus. Miała wystające policzki i ostro zarysowany podbródek. Ubrana była w bezkształtną szarą suknię, sięgającą niemal do podłogi, a na jej szyi wisiało kilka sznurów z bardzo skomplikowanymi ozdobami ze srebra.

– Tamara, chcę, żebyś poznała Jacka – odezwała się Binda z wielkim entuzjazmem.

Tamara Thorne majestatycznie wyciągnęła w jego kierunku wiotką dłoń o długich palcach, jakby się spodziewała, że pocałuje ją w rękę. Jack jednak tylko nią potrząsnął i odezwał się:

– Miło cię poznać. Mam twoją książkę.

– Masz ją – stwierdziła Tamara Thorne, przeciągając samogłoski. – Ale czy ją przeczytałeś?

– Cóż, muszę przyznać, że tylko trochę. Właściwie tyle co nic. Prowadzę restaurację za rogiem i jestem tak zajęty, że nie mam czasu na czytanie. Ale na pewno zabiorę twoją książkę na wakacje.

– Daj, to ci ją podpiszę.

– Ach... Przepraszam, ale zapomniałem jej ze sobą zabrać.

– To dlaczego przyszedłeś?

Jack wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

– Binda mnie zaprosiła, co więcej mogę powiedzieć? Bardzo chciała, żebym się tutaj dziś pojawił, więc jestem.

– Nie przyszedłeś tu, żeby porozmawiać z żoną?

Jack poczuł, jak po plecach przebiegają mu ciarki. Popatrzył w turkusowe oczy Tamary Thorne, one jednak niczego nie zdradzały. Spojrzał z kolei na Bindy i powiedział:

– A więc opowiedziałaś jej o Aggie, tak?

Nie dodał: „Dzięki za niedźwiedzią przysługę, Bindy”, chociaż miał na to wielką ochotę.

– Jack, przysięgam, nie powiedziałam ani słowa.

– Nie powiedziała – odezwała się Tamara Thorne. – Naprawdę nie zdajesz sobie sprawy, jakie to proste? Przecież zorientowałam się, że od niedawna jesteś wdowcem, kiedy tylko cię zobaczyłam. Nie musisz się tego wstydzić. Ból widoczny na twojej twarzy świadczy o tym, że bardzo kochałeś swoją żonę.

– Cóż, trafny strzał. A teraz panie wybaczą, muszę się zająć moją restauracją. Jest pełna gości.

– A więc nie przyszedłeś tu, żeby porozmawiać z żoną? – powtórzyła Tamara Thorne.

– Prawdę mówiąc, nie.

– I nie zostaniesz, żeby usłyszeć to, po co przyszedłeś?

– Może jednak zostanę. A po co przyszedłem?

– Żeby doznać oświecenia. Większość ludzi spotyka się ze mną w tym celu.

– Dobrze, więc mnie oświeć.

Tamara Thorne popatrzyła na Bindy.

– Moglibyśmy już usiąść? – zapytała. – Kiedy zajmiemy miejsca, będę mogła przekazać Jackowi wiadomość. – Popatrzyła na niego. – Widzisz, to wymaga koncentracji. Nie mogę tego zrobić ot tak, w środku towarzyskiej

rozmowy. Tym bardziej, gdy wokół panuje taki hałas.

Jack wcale nie miał ochoty doznawać oświecenia i w myślach szykował się już do odejścia. Jednak przyszło mu do głowy, że po powrocie do domu będzie przecież musiał powiedzieć coś Sparky'emu. A Sparky bardzo serio traktował jego spotkanie z Tamarą Thorne. Gdyby wrócił z niczym, chłopak zapewne dąsałby się na niego przez tydzień. Dąsanie Sparky'ego polegało na odwracaniu głowy, kiedy Jack się do niego odzywał, i na odpowiadaniu monosylabami na wszelkie jego pytania, a to nie było przyjemne.

– Dobrze – zgodził się Jack i popatrzył na zegarek. – Ale nie mam dużo czasu. O dziewiątej muszę przyjąć w restauracji grupę z Klubu Kiwani.

– Niczego nie mogę obiecać – powiedziała Tamara Thorne. – To, co się będzie dalej działo, zależy od duchów, nie ode mnie. A ich zachowanie jest uwarunkowane tym, jak bardzo będzie im zależało na tym, aby się z tobą skontaktować.

– Rozumiem. Do dzieła więc, nie mam czasu do stracenia.

Bindy i jedna z jej asystentek głośno zaklaskały i poprosiły wszystkich gości, żeby zajęli miejsca. Wykonali prośbę dość hałaśliwie, wciąż rozmawiając i szurając krzesłami, w końcu jednak wszyscy zasiedli w półkolu, a Tamara Thorne zajęła miejsce naprzeciwko nich, na tronie.

– Proszę o absolutną ciszę – odezwała się Tamara. Rozłożyła ręce i zamknęła oczy. – Konieczna jest absolutna cisza. Duchy muszą usłyszeć myśli w waszych głowach. Muszą słyszeć wasze tęsknoty i wasze pragnienia. Muszą poczuć żal, jaki czujecie po ich odejściu.

Gwar rozmów stopniowo zastąpiły pojedyncze pochrząkiwania i pokasywania, aż wreszcie w księgarni nastąpiła cisza.

Tamara Thorne, wciąż z zaciśniętymi powiekami, odezwała się:

– Jak już wiecie z mojej książki, nikt z was nie musi teraz przywoływać żadnego konkretnego ducha. A przypuszczam, że prawie wszyscy tę książkę

przeczytaliście. Inaczej mówiąc, nie musicie teraz przywoływać swoich zmarłych ukochanych i bliskich albo tych, z którymi chcielibyście porozmawiać. Musicie jedynie opróżnić umysł z hałasów, chaosu, zapomnieć o drobnych waśniach i codziennych troskach. Wasi ukochani przemówią do was, jeżeli będziecie skłonni ich słuchać. Nie jest to regułą. Duchy nie zawsze się odzywają i nie zawsze pojawiają się akurat te, za którymi najbardziej tęsknicie. Ale duchy komunikują się podobnie jak ludzie, ich świat jest jak niebiański Twitter i jeżeli nawiążecie łączność z jednym duchem, niemal na pewno wasze słowa zostaną przekazane duchowi, z którym pragnęliście rozmawiać. – Na długą chwilę zamilkła. Przez cały czas miała zamknięte oczy, a jej rozłożone ręce kołysały się, jakby unosiła ją łagodna fala. Wreszcie odezwała się: – Bruce, Thelma mówi, że to nie była twoja wina. Jej głos jest bardzo słaby, ale powinieneś go usłyszeć.

– Thelma?! – zawołał łysy mężczyzna w średnim wieku.

– Słyszysz ją, Bruce? Wiem, że jej głos dociera z bardzo daleka, ale to na pewno ona.

– Słyszę ją! Słyszę ją! To Thelma!

– Bądź spokojny, Bruce – powiedziała Tamara Thorne kojącym głosem.

– Bądź spokojny i słuchaj, co twoja żona ma do powiedzenia.

Jack popatrzył na mężczyznę. Jego twarz ściągnęła się w napięciu i koncentracji, dłonie zacisnął w pięści. Miał zamknięte oczy, po jego policzkach ciekły łzy, a kobieta, która siedziała obok niego, otoczyła go ramieniem, próbując go uspokoić. Ale on co kilka sekund kiwał głową i powtarzał żarliwie: „Tak... tak... och, Thelmo, tęsknię za tobą, kochanie”.

W końcu otworzył oczy i rozejrzał się po zgromadzonych. Jakaś kobieta podała mu chusteczkę, a on wytarł nią twarz. Chciał coś powiedzieć, jednak nie był w stanie i tylko pokręcił głową.

W pierwszej chwili Jack pomyślał, że facet jest podstawiony. W końcu

nikt oprócz niego nie usłyszał głosu Thelmy, nawet jeśli ta rzeczywiście coś do niego mówiła.

Ludzie zaczęli półgłosem wymieniać pomiędzy sobą jakieś uwagi, ale Tamara Thorne zaraz ich uspokoiła:

– Proszę o ciszę! O absolutną ciszę! Głosy duchów naprawdę trudno usłyszeć nawet w sprzyjających okolicznościach, więc jeśli chcecie się skontaktować z najbliższymi, tak jak Bruce, powinniście się nastawić wyłącznie na odbiór.

Zamilkła i siedząc, wymachiwała rękami. Jack zaczął się już zastanawiać, jak długo będzie musiał uczestniczyć w tej pantomimie, gdy niespodziewanie dotarł do niego bardzo wyraźny głos:

– Jack... słyszysz mnie?

Jack poczuł zimne ciarki na plecach, podobnie jak wtedy, gdy Tamara Thorne zapytała go, czy przyszedł do księgarni, żeby porozmawiać z Aggie. Teraz wyraźnie słyszał w głowie najpiękniejszy głos na świecie. Był to głos Agnieszki.

– Jack, słyszysz mnie? – zapytała po polsku.

Tak jak to się stało z Bruce'em, który usłyszał swoją Thelmę, oczy Jacka natychmiast wypełniły się łzami, a gardło ścisnęło mu się tak mocno, że w tej chwili nie zdołałby wymówić ani jednego słowa, nawet gdyby bardzo chciał. Przemówiła do niego Aggie, jego prześliczna, ukochana Agnieszka, nie miał co do tego wątpliwości. Popatrzył z ukosa na Tamarę Thorne. Klatka piersiowa bolała go, jakby ktoś położył na niej ciężki kamień, tak wielka była jego tęsknota i żal po stracie żony. Tamara przez cały czas miała zamknięte oczy i bezustannie machała ramionami.

Aggie, pomyślał. Agnieszko, czy to naprawdę ty?

Przez kilka sekund w jego głowie trwała cisza, jednak zaraz ponownie usłyszał głos żony, wciąż wyraźny, lecz teraz jakby docierający ze znacznie

większej odległości.

– Jack, słyszysz mnie?

Nie miał chusteczki, wytarł więc łzy wierzchem dłoni.

Tak, słyszę cię, Agnieszko. Gdzie jesteś? Odezwij się do mnie, Aggie!

Odpowiedź usłyszał dopiero po długiej chwili.

– Są dwa kilometry na północ... a potem jeszcze trzysta metrów na zachód... od wsi Truskaw.

Co? Prawie jej nie słyszał i z wielkim trudem rozumiał, co mówi, posługiwała się bowiem językiem polskim.

Natychmiast rozpoznał jednak słowo Truskaw. Była to wioska w Puszczy Kampinoskiej, do której w czasie wojny miał uciec Grzegorz Walach i stryjeczny dziadek pani Koczerskiej i w której obaj natrafili na horror, któremu nie zdołali sprostać.

– Są pogrzebani tam, gdzie ścieżka rozdziela się na trzy – kontynuowała Agnieszka. Jej głos brzmiał tak, jakby czytała gotowy tekst, na przykład pamiętnik. – Pod skałami w kształcie głowy wiedźmy.

Jack zrozumiał.

Ale kto? – zapytał ją w myślach. O kim mówisz? Tym razem jednak cisza przedłużyła się i już nie usłyszał odpowiedzi.

– Aggie! – zdołał wykrztusić.

Wszyscy ludzie, zgromadzeni w księgarni, patrzyli na niego, nawet Tamara Thorne, która niespodziewanie otworzyła oczy.

– Przepraszam – powiedział.

Niezgrabnie wstał i przewrócił składane krzesło.

– Słyszałeś kogoś, Jack? – zapytała Tamara.

– Przepraszam – powtórzył. – Nie powinienem był tutaj przychodzić. Przepraszam, że wam przeszkodziłem... Muszę... muszę już wracać do

moich klientów.

Ustawił krzesło i skierował się do drzwi. Bindy pośpieszyła za nim i złapała go w progu księgarni.

– Jack! Dobrze się czujesz, Jack? O, Boże, jesteś taki blady...

– Nic mi nie jest, Bindy. Wiedziałem, że nie powinienem był tutaj przychodzić. Przepraszam. Przez ostatnie dni... cóż, ta historia w Owasippe rozstroiła mnie chyba bardziej, niż zdawałem sobie sprawę.

– Nie, nie, to ja powinnam cię przeprosić. Powinnam była wiedzieć, że to nie są twoje najlepsze dni.

– Nic się nie stało. Przepróż ode mnie Tamarę. Powiedz jej, że może jednak przeczytam tę jej książkę.

Kiedy wyszedł na ulicę, Bindy jeszcze za nim zawołała:

– Jack?!

– Co takiego?

– Nic. Chcę tylko mieć pewność, że dobrze się czujesz. Przecież wiesz, że staram się o ciebie dbać.

Wrócił i pocałował ją w czoło. Była trochę spocona i pachniała perfumami.

– Dziękuję, Bindy. Uważaj na siebie.

Tam, gdzie są kości

Kiedy wrócił do restauracji, znalazł Sparky'ego w kuchni. Chłopiec miał na sobie biały fartuch, sięgający niemal do podłogi, i białą czapkę kucharza. W dużej brązowej misce mieszał rękami mielone mięso wieprzowe i wołowe z posiekaną cebulą.

– Uczę go robić sznycle – powiedział z dumą Michaił. – Jest bardziej użyteczny, niż gdyby miał czekać na ciebie przy stoliku.

– Doskonale, Michaił. – Jack pochwalił szefa kuchni.

Jednak kiedy ten oddalił się, Jack odezwał się do Sparky'ego niemal ze złością:

– Skąd wiedziałeś?

– O czym, tato?

– Skąd wiedziałeś, że ta kobieta-medium będzie miała dla mnie wiadomość?

– Już ci mówiłem, tato. Wszystko było zapisane w twojej karcie nieba. „Ktoś ma dla ciebie wiadomość i tym kimś jest kobieta”.

– No i miałeś rację. Ta kobieta rzeczywiście przekazała mi wiadomość. Mówiła do mnie, słyszałem ją w mojej głowie. Wiesz, kto to był?

Sparky popatrzył na niego, z rękoma zanurzonymi w misce z mięsem.

– Nie – odparł drżącym głosem.

– To była twoja matka. Przynajmniej tak mi się wydaje. Doskonale wiesz, że nie wierzę w żadne brednie o życiu po śmierci. Ale tego głosu nie pomyliłbym z żadnym innym.

Niespodziewanie po policzkach chłopca potoczyły się dwie łzy.

– Mama? Naprawdę ją słyszałeś?

Jack obszedł stół i położył dłonie na ramionach syna.

– Nie wiem, jak to się stało, Sparks. Może ktoś sobie ze mnie zadrwił? Niektóre z tych kobiet, które kreuja się na media, potrafią tak ogłupić człowieka, że naprawdę uwierzy w telepatyczne połączenie ze zmarłym, a wszystko i tak polega tylko na mniej lub bardziej wyrafinowanym oszustwie. Takie media potrafią jeszcze przed seansem zdobyć gdzieś twoje dane personalne, a ty potem uwierzysz, że przemawia do ciebie ktoś bliski.

Sparky wyciągnął ręce z miski i starannie zeszkrobał z nich resztki mięsa. Następnie umył ręce.

– Hej, jeszcze nie skończyłeś! – zawołał Michaił. – Teraz musisz z tego ukształtować sznycle.

– Przepraszam, Michaił – powiedział Jack. – Będziesz musiał dokończyć sam. Mamy ze Sparkym kilka spraw do omówienia.

– Jasne. Ale, Sparky, przyjdź jeszcze kiedyś, to udzielię ci następnych lekcji! Masz zadatki na dobrego szefa kuchni.

Jack i Sparky weszli po schodach do mieszkania. Jack wyciągnął z lodówki piwo i butelkę soku. Przeszli do salonu. Tam Sparky usiadł na skraju kanapy i popatrzył na ojca z wyczekiwaniem, lecz jednocześnie z niepokojem w oczach.

– To jest bardzo trudne, Sparks – powiedział Jack. – W pierwszej chwili nie zamierzałem ci o tym opowiadać, ale zmieniłem zdanie. Musisz to usłyszeć. W końcu to ty mi przepowiedziałeś, że otrzymam wiadomość, no i miałeś rację. Powinieneś więc się dowiedzieć, co to za wiadomość i kto mi ją przekazał.

– Wierzysz, że mama wciąż gdzieś tu jest?

Jack rozejrzał się po pokoju, jakby się spodziewał, że Agnieszka może stać gdzieś w kącie.

– Myślisz o niebie albo podobnym miejscu? Nie wiem. Byłoby miło w to wierzyć, prawda? Ale ja chyba jednak nie wierzę.

– Skoro mamy tu nie ma, to jak mogła do ciebie mówić?

– Nie mam zielonego pojęcia. W każdym razie powiedziała mi, że kogoś zakopano w Puszczy Kampinoskiej, niedaleko wsi, która nazywa się Truskaw. Mówiła w liczbie mnogiej, zakładam więc, że chodzi o więcej niż jedną osobę.

– Powiedziała, kto to taki?

– Nie, nie powiedziała, ale dokładnie opisała to miejsce. Dwa kilometry na północ od wsi, a potem trzysta metrów na zachód. To są jej słowa. Pogrzebani są w miejscu, gdzie droga rozwidła się w trzy strony, pod jakąś skałą, która wygląda jak głowa wiedźmy.

– I mama to wszystko powiedziała? A jak brzmiał jej głos?

– Bardzo spokojnie, właściwie tak jak za życia. Nie zdenerwowana ani przygnębiona, ale też odzywała się zupełnie bezbarwnym tonem, rozumiesz? Odniosłem nawet wrażenie, jakby czytała gotowy tekst. Kiedy się odezwała po raz pierwszy, słyszałem ją wyraźnie, a potem z każdą chwilą jej głos słabł.

– Powiedziała coś o Malcolmie?

– Nie. A może powiedziała, tylko ja nie usłyszałem albo nie zrozumiałem.

Sparky się zamyślił.

– Musiała mieć jakiś powód, żeby mówić o tych pogrzebanych ludziach.

– Zgadza się, Sparks. Już ci o tym wspomniałem, nie powiedziała, kto to jest, jednak jeśli miałbym zgadywać, powiedziałbym, że chodziło jej o twojego prapradziadka Grzegorza i jego przyjaciela Andrzeja, stryjecznego dziadka pani Koczerskiej. O Truskawiu po raz pierwszy usłyszałem w ubiegłym tygodniu. To chyba zbyt duży zbieg okoliczności, że teraz usłyszałem o nim już po raz drugi.

– Co teraz zamierzasz zrobić?

– Cóż, to ty mówiłeś, że jakaś kobieta, która mieszka bardzo daleko stąd, potwierdzi, że ta wiadomość jest prawdziwa? Zadzwonię do Marii Koczerskiej i zapytam, czy jej przyjaciółka z Uniwersytetu Warszawskiego będzie mogła rzucić jakieś światło na tę sprawę.

– Będzie mogła – powiedział Sparky z przekonaniem. – I to zrobi.

– Powiedziałeś też, że się w niej zakocham.

– Tak mówią gwiazdy.

– Mam w tej kwestii jakiś wybór?

Sparky odwrócił głowę. Jack próbował akurat tę sprawę obrócić w żart, ale zrozumiał, że jego syn nie chce już na ten temat rozmawiać.

– Masz jakieś lekcje do odrobienia? – zapytał.

– Dzisiaj akurat nic. No, może trochę. Muszę przeczytać rozdział z *Moby Dicka*; zrobię to, jak się położę do łóżka.

– Dobrze. To może zejdziesz jeszcze do kuchni i pomożesz Michaiłowi w kuchni. Ja przyjdę trochę później, bo teraz spróbuję się połączyć z panią Koczerską. Jak mi się uda, to ci powiem.

Dodzwonił się do niej, ale usłyszał, że właśnie wychodzi na wieczór tańców polskich. Musiał się więc spieszyć. Uznał, że może cokolwiek uzyskać z tej rozmowy, tylko jeżeli będzie z nią zupełnie szczery, opowiedział jej więc o seansie spirytystycznym i o słowach Aggie, które usłyszał w swojej głowie.

Dziwne, ale Maria wcale nie była tym zdziwiona.

– No dobrze, Jack – powiedziała, kiedy skończył. – Jeszcze dzisiaj napiszę e-mail do mojej przyjaciółki z Instytutu Historii i zapytam ją o opinię na ten temat.

– Mam tylko nadzieję, że nie będzie nadmiernie sceptyczna tylko z tego powodu, że uzyskałem wiadomość dzięki pomocy medium – zauważył Jack.

– Wiem, jacy są naukowcy. Na wszystko żądają dowodów empirycznych, trzeba im dokładnie udowadniać nawet to, jaki jest akurat dzień tygodnia.

– Moim zdaniem od razu się zorientujesz, że Krystyna to kobieta o bardzo otwartym umyśle. W każdym razie obiecuję ci, że się z nią skontaktuję i kiedy tylko uzyskam odpowiedź, poinformuję cię, co ona o tym wszystkim sądzi.

– A tak już na gorąco, Mario, chciałbym cię tylko zapytać, czy uważasz, że Agnieszka mogła mówić o Grzegorzu i Andrzeju?

– Tego się nie dowiemy, dopóki ich nie znajdziemy – odparła Maria. – Ale ich ciała, podobnie jak ciała wielu innych Polaków, po prostu muszą się znajdować w tej puszczy. Cały jej teren jest jednym wielkim cmentarzem i niemal pod każdym drzewem znajduje się tam czyjś grób.

Późnym wieczorem, gdy Jack przed położeniem się spać mył zęby, zadzwoniła Maria.

– Skontaktowałam się z Krystyną. Jeszcze w ten weekend pojedzie do puszczy i spróbuje znaleźć miejsce, o którym mówiłeś. Jeżeli jej się to uda, podejmie wstępne przygotowania do przeprowadzenia ekshumacji.

– Jak zareagowała, kiedy się dowiedziała, jakie jest źródło informacji?

– Prawdę mówiąc, Jack, nie powiedziałam jej, że wiadomość pochodzi od medium. Ale dałam jej do zrozumienia, że po tym, jak mi przysłała pamiętnik Andrzeja, dotarłam do grupy starych polskich imigrantów w Chicago, którzy byli świadkami masowych egzekucji w Palmirach. No i wyjaśniłam, że szczegóły odnośnie do grobu pochodzą właśnie od nich.

– Inaczej mówiąc, okłamałaś ją? A pamiętam jeszcze, jak mówiłaś, że Krystyna to osoba o bardzo otwartym umyśle.

– No i tak jest, oczywiście. Nic jednak nie zyskamy, jeżeli poddamy jej otwartość tak poważnemu testowi. Niczemu to nie będzie służyć. A tak

Krystyna znajdzie tę skałę i rozpocznie poszukiwania. A jeśli niczego nie znajdzie, złożymy to na karb starszego wieku i słabej pamięci naszych informatorów.

W następnym wtorek rano do restauracji przyszła Sally i usiadła przy barze. Jack podszedł do niej i zapytał:

– Czego pani sobie życzy, madame?

– Poproszę o drink Ślepy Zaulek z odrobiną Frustracji. Wiceszeryf Dan Porter właśnie przysłał mi e-mail. Musimy uznać, że wszyscy ci skauci popełnili samobójstwo z własnej nieprzymuszonej woli, nikt im nie groził ani ich do tego nie zmuszał.

– Och!

– Tak, och. Przesłuchaliśmy dosłownie wszystkich, którzy mieli jakikolwiek związek z Trzydziestą Dziewiątą Drużyną Skautową, i nie natrafiliśmy na żaden kult o charakterze religijnym ani jakimkolwiek innym, nie wiemy o żadnym namawianiu do samobójstwa przez Internet ani o ewentualnym zastraszaniu chłopców, nie mamy też dowodów na nadużycia o podłożu seksualnym. Ludzie szeryfa z Muskegon przetrząsnęli z psami las w promieniu kilkunastu kilometrów od obozu w Owasippe, użyli wykrywaczy metali oraz sprzętu termowizyjnego, zamontowanego na helikopterach. Nie natrafiono na nic, co mogłoby mieć jakikolwiek związek materialny z samobójstwami skautów ani ze śmiercią Sandry Greene i Weldon Farmera z Michigan Wildlife Conservancy Center. Tych dwoje najprawdopodobniej po prostu uzgodniło pomiędzy sobą, w jaki sposób zginą. Skauci przed śmiercią wysłali do rodzin i znajomych kilkadziesiąt listów i pocztówek, jednak nikt, poza Malcolmem, nie wspomniał o strachu albo przerażeniu. Porter jest zdania, że nigdy nie poznamy przyczyny tych samobójstw. Nigdy.

– I co to znaczy? Że sprawa jest zamknięta?

– Nie... Ale jeśli nie otrzymam żadnych innych dowodów z Muskegon ani nie przyjdzie do mnie wkrótce jakiś skaut i nie powie mi, że oni wszyscy postanowili popełnić samobójstwo, żeby zaraz potem rozpocząć lepsze życie na innej planecie, nie będę już miała żadnego punktu zaczepienia.

Jack przez chwilę się zastanawiał, czy nie powinien powiedzieć Sally o seansie spirytystycznym Tamary Thorne i o wiadomości, jaką otrzymał od Aggie, postanowił jednak, że najlepiej będzie, jeżeli w tej kwestii zamilczy. Nie pomogłoby to Sally w rozwiązaniu zagadki tajemniczych samobójstw w Owasippe, a mogłoby tylko wszystko skomplikować. Minęło już trzy czwarte stulecia od dnia, kiedy Grzegorz Walach i jego przyjaciel targnęli się na życie w Puszczy Kampinoskiej, a skauci z Owasippe popełnili samobójstwo całkiem niedawno i nawet jeżeli Sparky był przekonany, że pomiędzy tymi zdarzeniami istnieje związek, przecież nie sposób było to udowodnić. Zresztą, nawet gdyby się pojawił jakiś dowód na taki związek, w jaki sposób mogłoby to pomóc Sally?

– Chcesz jakiegoś porządnego drinka? – zapytał ją.

– Jeszcze jak – odparła Sally. – Ale nic z tego. Muszę przesłuchać pewne małżeństwo; córka tej pary została znaleziona martwa z plastikową torbą w ustach. Muzułmanie. Wygląda na to, że dziewczyna lubiła krótkie spódniczki i amerykańskich chłopców, a rodzice planowali zabrać ją do Pakistanu, gdzie już na nią czekał wybrany przez nich mąż.

– Tragedia goni tragedię – powiedział Jack i westchnął.

– Dobrze to ująłeś, kolego.

Jack złożył właśnie przez telefon zamówienie na świeże warzywa, gdy aparat niespodziewanie zadzwonił. Odebrawszy, usłyszał głos Marii Koczerskiej.

– Mam wiadomości od Krystyny. W sobotę razem ze współpracownikiem z Instytutu Historii pojechali do Puszczy Kampinoskiej na miejsce, o którym

mi opowiedziałeś. – Na moment ucichła, po czym rzuciła: – Jack, bardzo proszę, poczekaj chwileczkę. Właśnie wychodzi moja sprzątaczką, a muszę jej dzisiaj zapłacić.

Odłożyła słuchawkę na stolik. Jack czekał dobrą minutę, zanim Maria podjęła rozmowę.

– No i? – zapytał. – Co znaleźli? Tylko, proszę, nie mów mi, że zupełnie nic.

– Odmierzili dokładnie dwa kilometry na północy od Truskawia, a potem trzysta metrów na zachód i znaleźli skały. Według Krystyny początkowo nie byli pewni, czy dotarli we właściwe miejsce, ponieważ skały przypominały głowę wiźmy tylko pod pewnym kątem. Przesłała mi zresztą ich fotografię; później wyślę ci ją e-mailem.

– Co z poszukiwaniem ciał? Zaczęli coś robić?

– Tak. Nie kopali głęboko, tylko kilkanaście centymetrów, ale niemal natychmiast natrafili na ludzką kość ramieniową. Wtedy przestali kopać, bo na prowadzenie ekshumacji w tym lesie konieczna jest specjalna zgoda. To jest w tej chwili park narodowy, jak by na to nie patrzeć.

– No i co, czy twoja znajoma uzyska taką zgodę?

– Tak – odparła Maria. – Już dzisiaj przygotowała odpowiedni wniosek i wysłała go do władz parku. Teraz stara się w swoim instytucie o dofinansowanie prac ekshumacyjnych. Taką ekshumację należy prowadzić bardzo starannie, wszystko trzeba na bieżąco fotografować, mierzyć i opisywać.

– Co za historia – powiedział Jack. – Moja zmarła żona mówi mi, że gdzieś w Polsce pochowano kogoś w lesie, wskazuje miejsce, a to wszystko okazuje się prawdą. Po prostu nie mogę w to uwierzyć.

– Powiedziałaś już o tym Krystynie.

– Powiedziałaś jej o seansie?

– Tak, zrobiłam to. Chciała rozmawiać z tymi imigrantami o tym, co widzieli, kiedy zakopywano tych ludzi, kim byli, ich zdaniem, i kto ich grzebał. Oczywiście w tej sytuacji musiałam się przyznać, że historię z imigrantami wymyśliłam. Poza tym, Jack, sprawa jest tak niezwykła, że uznałam, iż Krystyna musi się dowiedzieć, skąd uzyskałaś informację.

– No i jak zareagowała, kiedy powiedziałaś jej prawdę?

– Powiedziała, że będzie chciała porozmawiać z tobą przez telefon.

– No tak, oczywiście. Z przyjemnością z nią porozmawiam, chociaż naprawdę nie wiem, co jeszcze będę mógł dodać. Moja zmarła żona przemawiała wewnątrz mojej głowy, i tak dalej. Nie wiem, jakim cudem ani dlaczego.

– Może powinieneś się z nią skontaktować jeszcze raz?

– Nie, Mario, nie ma mowy – odparł Jack. – Ona już odeszła. Nie żyje. Nie chcę przechodzić tego jeszcze raz.

– Rozumiem. Ale podam ci numery telefonów Krystyny na uniwersytet i do domu. Bardzo cię proszę, zadzwoń do niej, kiedy będziesz na to gotowy.

– Dzięki, Mario.

– Jeszcze jedna sprawa, Jack. Chcę, żebyś wiedział, że ta cała historia trochę mnie wytrąciła z równowagi. Z jednej strony bardzo chciałabym się dowiedzieć, co się wydarzyło, Krystyna zresztą też, ale z drugiej strony zastanawiam się, czy nie byłoby lepiej jednak niczego nie wiedzieć. Mam takie przeczucie, że jeżeli poznamy prawdę, bardzo tego pożałujemy. Andrzej i Grzegorz zabili się z jakiejś przyczyny i może byłoby dla nas bezpieczniej, gdybyśmy jej nigdy nie poznali?

Zjawa

Chociaż jeszcze przed dwudziestą w restauracji było spokojnie, kiedy tylko wybiła pełna godzina, goście zaczęli tłumnie przybywać, i tego wieczoru Jack nie zadzwonił już do Krystyny. W Warszawie dochodziła zresztą trzecia rano następnego dnia i uważał, że raczej niegrzecznie byłoby telefonować do kogoś o takiej porze.

Kiedy zamknął drzwi za ostatnim klientem, była pierwsza trzydzieści nad ranem i Jack był zbyt zmęczony, żeby jeszcze zajmować się telefonowaniem. Poszedł do mieszkania, wziął szybki gorący prysznic i wszedł do łóżka, włączwszy uprzednio Highway Patrol na This-TV. Po piętnastu minutach, nie będąc w stanie nadal utrzymać otwartych oczu, zgasił nocną lampkę i zasnął.

Śniło mu się, że jest ciemno. I bardzo cicho. Niespodziewanie usłyszał rozmawiających ludzi. Nie słyszał treści ich rozmowy, ale odniósł wrażenie, że głosy należą do kobiety i chłopca. Trwało to jakieś dwadzieścia minut, a może i dłużej, chociaż oboje co jakiś czas milkli na dość długo. Sprawiało to wrażenie rozmowy dwojga ludzi, którzy jednocześnie robią coś innego – czytają, szyją albo grają w grę wideo.

W pewnym momencie Jack otworzył oczy. W sypialni panowała absolutna ciemność, tak jak we śnie, a może to był nadal sen, ponieważ wciąż słyszał głosy, kobiety i chłopca, prowadzących smutną, i rozwlekłą rozmowę. Wydawało mu się, że głosy docierają z salonu.

Przez chwilę leżał, wysilając słuch i starając się wyłowić znaczenie poszczególnych słów, jednak drzwi do sypialni były zamknięte i słyszał tylko ton i barwę głosów, nie rozumiał natomiast słów.

Usiadł. Czy mi to się nadal śni, czy się obudziłem? Odpowiedział sobie na to pytanie dopiero wtedy, gdy popatrzył na elektroniczny zegar na nocnym stoliku; wskazywał godzinę 2.47. Teraz Jack był już pewien, że nie śni. Ale skoro to nie był sen, to kto siedział w jego salonie o tak dziwnej porze?

Wstał, podszedł do drzwi sypialni i otworzył je. Drzwi do salonu, drugie z kolei, znajdowały się na prawo, po przeciwnej stronie korytarza, i tam spod framugi przebijało światło. Na ścianie pomiędzy dwójgim drzwi wisiała czarno-biała akwaforta przedstawiająca anioły zgromadzone wokół Matki Boskiej i Dzieciątka Jezus. Archanioł Gabriel wpatrywał się prosto w Jacka, jakby go chciał zapytać, co tutaj robi. W nocy, zdawał się mówić, to jest wyłącznie nasze terytorium.

Jack na palcach przeszedł kilka kroków i stanął pod drzwiami salonu. Przez dłuższą chwilę panowała cisza, jakby kobieta i chłopiec odgadli, że chce ich podsłuchać, i celowo zamilkli, czekając, aż się zdradzi jakimś hałasem albo po prostu straci cierpliwość i otworzy drzwi.

Złapał za klamkę i właśnie miał ją nacisnąć, kiedy usłyszał głos chłopca:

– Mówiłem im, że przegrają. Mówiłem im, że wynik będzie trzy do pięciu. Oczywiście, kiedy przegrali i wynik był właśnie taki, obwinili za to mnie. Powiedzieli, że przynoszę im pecha.

– To bardzo niesprawiedliwe z ich strony – powiedziała kobieta. – A gdybyś im powiedział, że wygrają, i wygraliby? Wtedy by cię o nic nie obwiniali, prawda?

Jack trzymał dłoń na klamce, jednak nie otwierał drzwi. Gdyby słyszał tylko głos chłopca, zrobiłby to, ponieważ głos należał do Sparky'ego, a on miał tendencję do lunatykowania i mówienia przez sen. Ale głos kobiety sprawił, że się zawahał. Po plecach przebiegły mu ciarki. Był to ten sam głos, który usłyszał w swojej głowie w czasie seansu spirytystycznego. Należał do Aggie. Do jego zmarłej żony.

Za drzwiami znowu zapanowała cisza. Po chwili odezwała się kobieta:

– To będzie się powtarzało, jeżeli nic nie zrobisz.

Znowu długa cisza.

– Wiem. Ale właściwie co mogę zrobić? Przecież nikt mi nie wierzy. No i ja sam nie potrafię tego wytłumaczyć.

– Musisz to zrozumieć. W tym tkwi sedno sprawy.

– Tato będzie rozmawiał z jakąś kobietą z Polski.

– Tak? Z tą, w której ma się zakochać?

Cisza.

– Nie powinienem był ci tego mówić.

– Dlaczego nie? Wciąż go kocham, ale przecież nie mogę oczekiwać, że resztę życia spędzi w samotności.

W tym momencie Jack otworzył drzwi. Najpierw zobaczył Sparky'ego. Chłopak siedział na kanapie, ze skrzyżowanymi nogami i zamkniętymi oczami. Miał na sobie jasnozieloną pidżamę i był mocno potargany, jakby przed chwilą wstał z łóżka. Jedyne źródłem światła w pokoju była prosta lampa z pergaminowym kloszem, ustawiona za kanapą.

Jack popatrzył w kąt pokoju i zamarł. Na bujanym fotelu przy oknie, ubrana w długą białą koszulę nocną, siedziała Aggie. Miała bladą twarz. Jej jasne włosy lśniły w blasku lampy, jednak jej oczy były tylko plamami ukrytymi w cieniu. Drobne dłonie położyła na poręczy fotela. Była boso. Wyglądała niemal tak samo jak w dniu, w którym widział ją po raz ostatni, w dniu jej śmierci. Z daleka widoczne były nawet niebieskie żyły na kostkach jej nóg.

Jack otworzył i zamknął usta. Nie był w stanie wypowiedzieć ani jednego słowa. Wiedział, że postać Aggie nie może być prawdziwa, że na pewno jest zjawą. Zresztą nie wyglądała na prawdziwą i nie była człowiekiem z krwi i kości. Mógł patrzeć przez nią na wylot i widzieć obite pluszem oparcie fotela,

na którym siedziała.

Minęło pięć długich sekund i Jack zrobił wreszcie niepewny krok w jej kierunku, a po chwili drugi. Ponieważ jej oczy znajdowały się w głębokim cieniu, trudno mu było się zorientować, czy Aggie go widzi czy nie. Kiedy się zbliżał, nie poruszyła się, nie uniosła ręki, nie próbowała wstać ani zmienić wyrazu twarzy.

– Aggie – powiedział chrapliwym głosem.

Kiedy tylko wypowiedział imię żony, kobieta znikła. Pozostał pusty fotel i lekko wgnieciona poduszka.

Jack zamknął oczy i po chwili je otworzył. Chciał, żeby żona powróciła, jednak ona na dobre już zniknęła.

To ci się śniło, Jack, powiedział do siebie w myślach. To były halucynacje. To było tylko to, co tak naprawdę *chciałeś* zobaczyć. Twoim problemem jest przemęczenie i to, że nadal cierpisz. A dochodzą jeszcze do tego te dziwaczne historie ze skautami i opowieści o pradziadku, który się zabił gdzieś w dalekiej Puszczy Kampinoskiej. Nie tylko ciebie może to wyprowadzić z równowagi.

Niemniej jednak był pewien, że słyszał, jak Sparky mówi różne rzeczy do Aggie, i był równie pewien, że także ona przemawiała do niego.

Odwrócił się. Chłopak wciąż siedział na kanapie. Z zamkniętymi oczami. Jack podszedł i usiadł obok niego.

– Sparks – odezwał się. – Synku?

Sparky nie reagował, Jack złapał go więc za rękę i delikatnie nim potrząsnął.

– Sparky? Obudź się! To ja, tato!

Chłopiec gwałtownie otworzył oczy i rozejrzał się po salonie.

– Mama? – zapytał takim głosem, jakby go wyrwano z głębokiego snu.

– Nie, chłopaku, to ja. Znowu lunatykowałeś.

Sparky popatrzył na Jacka z niedowierzaniem.

– Gdzie jest mama? Była tutaj. Widziałem ją. Była tutaj, siedziała na fotelu.

– Twoja mama odeszła, Sparky, przecież wiesz. Ona już nigdy nie wróci. To wszystko ci się śniło.

– Ale ja... – zaczął chłopak, lecz zaraz zdał sobie sprawę, że Jack ma rację i że przez cały czas spał. – Jasne – powiedział, wstał i energicznie podrapał się po głowie.

– Idź do łóżka – powiedział Jack. – Chyba nie chcesz jutro zasnąć w szkole w połowie lekcji matematyki?

Sparky popatrzył na niego i Jack dostrzegł ból w oczach syna.

– Ona tu była, tato. Jestem tego pewien. Rozmawiałem z nią, przecież ona także mówiła do mnie. Nawet pamiętam jej słowa: „Musisz to powstrzymać, bo w przeciwnym razie to się powtórzy”.

– Co chciała przez to powiedzieć?

– Miała na myśli skautów, którzy popełnili samobójstwa. Myślała też o tej białej istocie, którą widzieliśmy w lesie. Właśnie o tym rozmawialiśmy.

Jack otoczył chłopca ramieniem i poprowadził go do sypialni.

– To wszystko jest dla nas zbyt traumatyczne, nie sądzisz? – powiedział.
– Spróbujmy obaj się wyspać i jutro od rana zaczniemy wszystko od początku. Może w weekend popływamy łodzią? Taka wyprawa pomogłaby nam odpędzić czarne myśli.

Wchodząc do łóżka, Sparky odezwał się jeszcze:

– Tato?

– Słucham.

– Mama powiedziała jeszcze jedno: „Powiedz tacie, że wciąż go

kocham”.

Jack miał mu już odpowiedzieć, że o tym wie, jednak powiedział tylko:

– Śpij dobrze, Sparks.

I zamknął za nim drzwi.

Wołanie o pomoc

Wrócił do łóżka, jednak nie mógł zasnąć. Słyszał śmieciarki pracujące głośno na ulicy, syreny radiowozów policyjnych oraz muzykę taneczną dobiegającą z któregoś z pobliskich domów. Poza tym sprzeczał się w myślach sam ze sobą. Czy naprawdę widziałem Aggie? Naprawdę słyszałem jej głos? Wiedział, że to niemożliwe, ale wiedział także, że pod wpływem stresu ludzki umysł potrafi płać najdziwniejsze figle. Jego stary kumpel z college'u, Joe, kiedy rzucał picie, cierpiał na halucynacje alkoholowe i był przekonany, że słyszy chińskich policjantów, którzy stoją na korytarzu przed jego pokojem szpitalnym.

Wciąż nie spał, kiedy za oknami zaczęło świtać. Doszedł do wniosku, że będzie najlepiej, jeśli wstanie i zaparzy sobie mocnej kawy, a potem przejrzy ostatnie rachunki. Odrzucił kołdrę, dotknął stopami podłogi i wtedy zadzwonił telefon.

Popatrzył na zegarek; była piąta trzydzieści siedem. Kto, do diabła, wygłupia się i telefonuje o takiej godzinie? Wziął do ręki telefon i popatrzył na wyświetlacz. Cyfry odpowiedziały mu, że ktokolwiek chce się z nim teraz połączyć, na pewno przebywa poza Ameryką.

Włączył aparat i powiedział do mikrofonu:

– Nostalgia.

Usłyszał kobiecy głos z polskim akcentem.

– Czy pan Wallace?

– A kto pyta?

– Przepraszam, że przeszkadzam, panie Wallace. Wiem, że u pana jest w tej chwili bardzo wcześnie. Mówi Krystyna Zawadka z Instytutu Historii

Uniwersytetu Warszawskiego. Jestem przyjaciółką Marii Koczerskiej.

– Ach, tak... oczywiście. Zamierzałem do pani dzisiaj zadzwonić, tylko trochę później.

– Panie Wallace, jestem w tej chwili we wsi Truskaw, w Puszczy Kampinoskiej.

Zawahał się. Odniósł wrażenie, że głos kobiety jest bardzo napięty i drży; tego wrażenia na pewno nie powodowała odległość między nimi. Na linii nie było żadnych zakłóceń i połączenie było tak wyraźne, jakby ktoś telefonował z sąsiedniej ulicy.

– Dobrze się pani czuje? – zapytał.

– Nie, nie czuję się dobrze. Razem z moim kolegą Robertem pojechaliśmy dzisiaj rano do puszczy, żeby jeszcze raz odwiedzić miejsce, o którym opowiedział pan Marii. Chodzi o to miejsce przy skałach. Nie mamy jeszcze pozwolenia na ekshumację, chciałam jednak wykonać kilka fotografii i wstępnych szkiców.

Jack znowu się zawahał. Usłyszał, że kobieta oddycha szybko i płytko, jakby przed chwilą biegła.

– Co się właściwie stało? – zapytał.

– Nie wiem. Coś się stało i zarazem nic się nie stało. Jednak przebywaliśmy tam ledwie piętnaście minut, robiliśmy zdjęcia, a potem zaczęliśmy odnosić wrażenie, że ktoś nas obserwuje. Bardzo się zdenerwowaliśmy. Zaczęliśmy się uważnie rozglądać w przekonaniu, że ktoś nas śledzi, ale nikogo nie zobaczyliśmy. Wróciliśmy do pracy, Robert przystąpił do kreślenia mapy, posługując się teodolitem, ale z każdą chwilą zaczynał nas ogarniać coraz większy strach, mimo że nie potrafiliśmy sobie wyjaśnić, co leży u jego podłoża.

– I nikogo nie widzieliście?

– Nie... chociaż słyszeliśmy trzask gałęzi i szum wiatru. Boże,

śmiertelnie się przeraziłam, serce biło mi jak oszalałe i kręciłam się w kółko, żeby nic strasznego nie zaatakowało mnie zza pleców.

– Strasznego? Ale co właściwie ma pani na myśli?

– Nie wiem, panie Wallace. Właśnie dlatego to wszystko tak mnie przeraziło. Nie wiedziałam, czego właściwie się boję, a mimo wszystko byłam tak przerażona, że myślałam, że dostanę zawału. Robert czuł to samo. On także kręcił się w kółko i wydawał dziwne odgłosy. Co najdziwniejsze, ani ja, ani on nawet nie próbowaliśmy uciekać. Niezależnie od tego, co mnie przeraziło, strach mnie po prostu paraliżował. Przyszła mi do głowy myśl, że mogę pokonać lęk tylko w jeden sposób: zabijając się. Miałam wielką ochotę wyciągnąć nóż i podciąć sobie gardło.

Jack milczał. Nie mógł się opędzić od myśli, że tak właśnie zginęli skauci, a także dwoje badaczy przyrody, których znaleziono w sadzawce.

Krystyna oddychała jeszcze szybciej i rzeczywiście wydawała się skrajnie zdenerwowana. Jednak w pewnej chwili wzięła głęboki oddech i zdołała się trochę uspokoić.

– Myślę, że to Robert mnie ocalił – powiedziała. – Głośno krzyknął i rzucił teodolit. Normalnie by tego nie zrobił, bo to bardzo drogi sprzęt. A potem pobiegł do lasu, wciąż głośno krzycząc. Ja wtedy zrozumiałam, sama nie wiem dlaczego, że dam radę uciec, i pobiegłam w przeciwnym kierunku, drogą do Truskawia. I właśnie tutaj jestem, na stacji benzynowej BP. Najpierw chciałam dzwonić do Służby Leśnej, ale co miałabym im powiedzieć? Że tak się przestraszyliśmy nie wiadomo czego, że rzuciliśmy się do ucieczki? Teraz jednak nie wiem, co mam robić dalej. Chyba powinnam szukać Roberta, ale jestem zbyt przerażona, żeby wracać do puszczy.

– Bardzo mi przykro, Krystyno. Nie wiem, jak mógłbym pani pomóc.

– To chyba pan pierwszy usłyszał wiadomość od zmarłej żony o tych

ludziach, którzy tutaj zostali pochowani? Może pan uzna, że jestem głupia, ale musi istnieć jakiś parapsychiczny związek pomiędzy panem a tym miejscem w puszczy.

– Prawdę mówiąc, nie wierzę w żadne związki parapsychiczne.

Jednocześnie pomyślał jednak o głosie, który słyszał wyraźnie podczas seansu w księgarni, i o tym, co się wydarzyło poprzedniej nocy.

– No to skąd pan wiedział, gdzie się znajduje to miejsce? – zapytała Krystyna. – Przecież wskazał pan je bardzo dokładnie, właściwie co do metra.

– Proszę mnie o to nie pytać. Po prostu powtórzyłem Marii Koczerskiej to, co usłyszałem od mojej zmarłej żony w czasie seansu spirytystycznego. I nie mam pojęcia, skąd o tym miejscu wiedziała moja zmarła żona.

– Ale jakiś związek pomiędzy tym wszystkim musi być, panie Wallace, nawet jeżeli nie ma to związku ze zjawiskami parapsychicznymi. Na razie nie wiemy, do kogo należą kości, na które natrafiliśmy. Ale jeżeli to są naprawdę kości stryjecznego dziadka Marii i pańskiego pradziadka, uczucie skrajnego przerażenia, jakie Andrzej opisał w pamiętniku, jest właściwie identyczne z tym, czego doświadczyliśmy ja z Robertem. – Znowu na chwilę umilkła, ale zaraz kontynuowała: – Istnieje pewna możliwość, pewne specyficzne zjawisko, które tu się samo narzuca. Chodzi mi o dziedziczenie pamięci albo, inaczej mówiąc, doświadczenie pozagrobowe.

– Dziedziczenie pamięci? Chodzi pani o to, że ktoś może pamiętać, co przydarzyło się jego pradziadkowi, nawet jeśli wówczas tego kogoś nie było jeszcze na świecie?

– Dokładnie. Ja osobiście badałam na zlecenie Instytutu Historii ludzi, którzy prawdopodobnie odziedziczyli pamięć po swoich przodkach, i mam tu na myśli pamięć sięgającą setek lat wstecz. To jest zjawisko dobrze udokumentowane. W końcu skoro dziedziczymy po przodkach podobieństwo

fizyczne: oczy, nos, kolor włosów, to chyba możemy dziedziczyć również wnętrza ich umysłów, prawda?

– Nawet jeżeli to jest możliwe, wciąż nie wiem, w jaki sposób mógłbym pani pomóc.

– Proszę... Błagam pana, niech pan tutaj przyjedzie i sam odwiedzi to miejsce. Może dzięki temu dowiemy się, co jest przyczyną tego panicznego strachu. Jeżeli to zrozumiemy, to jestem całkowicie pewna, że znajdziemy sposób na jego pokonanie. Ten sam lęk czuli ludzie wtedy, w czasie wojny... i ogarnia on nas również teraz. Co to może być?

– Wie pani, ja prowadzę w Chicago bardzo popularną polską restaurację. Nie mogę tak po prostu zostawić jej swojemu losowi.

– Nie ma pan nikogo, kto zastąpiłby pana na kilka dni? Jeśli zdecyduje się pan na podróż, postaram się, aby uniwersytet zwrócił panu koszty podróży i zakwaterowania.

– Nie wiem. Zaczynam odnosić wrażenie, że wplątuje się w coś, z czym nie mam absolutnie nic wspólnego.

– Nie mam najmniejszego zamiaru wywierać na pana presji emocjonalnej, panie Wallace. Ale jeżeli wydaje się panu, że słyszał pan głos swojej zmarłej żony, opowiadający panu o tym miejscu, nie sądzi pan, że musiał być ku temu jakiś powód?

Jack milczał przez dłuższą chwilę, jednak jego mózg pracował intensywnie.

– Będę musiał się zastanowić – powiedział wreszcie. – Musiałbym zabrać ze sobą również syna. Ma zespół Aspergera i wymaga stałej opieki.

– Rozumiem. Postaram się, aby uniwersytet zapłacił także za pańskiego syna.

– Niech mi pani pozwoli jeszcze się zastanowić, dobrze? Obiecuję, że dzisiaj do pani oddzwonię. Tymczasem, jakie kroki podejmie pani, żeby

odszukać Roberta?

– Sama nie wiem, panie Wallace. Teraz mogę jedynie wrócić do miejsca, w którym zostawiliśmy naszego land rovera, i sprawdzić, czy Robert tam jest. Jeżeli do samochodu nie dotarł, będę musiała zgłosić jego zaginięcie Służbie Leśnej. Ale Robert nie jest głupcem. Potrafi dać sobie radę w każdej sytuacji. Jestem pewna, że się odnajdzie. W tej chwili pewnie bardziej on martwi się o mnie niż ja o niego.

– Rozumiem. Później do pani zadzwonię, pani Krystyno. Mam nadzieję, że nie będę nieuprzejmy, jeśli zaproponuję, byśmy zwracali się do siebie po imieniu. Mam na imię Jack. Jedynie inspektorzy podatkowi mówią do mnie, „panie Wallace”.

– Dobrze, Jack – powiedziała Krystyna bardzo cicho, jakby jego imię przypomniało jej kogoś, kogo znała dawno temu.

Po chwili przerwała połączenie.

Oblicze strachu

Kiedy Sparky wszedł do kuchni, Jack rozbijał właśnie jajka na omlet. Chłopiec miał podpuchnięte oczy, jakby on także źle spał. Usiadł przy stole i przetarł dłońmi twarz.

– A więc o której wyjeżdżamy? – zapytał.

Jack miał właśnie wrzucić rozbite jajko na patelnię, ale się zawahał.

– Słucham? „O której wyjeżdżamy?” Co masz na myśli?

– W twojej karcie jest zapisane, że czeka cię podróż. Wyjeżdżamy więc, prawda?

– Jezu, to także się znalazło w tej twojej karcie nieba? A nie przewidziałeś przypadkiem, o której godzinie pójde do toalety?

– Dałoby się zrobić. No to wyjeżdżamy czy nie?

– Aha, chyba rozumiem już, skąd to wiesz. Podśłuchałeś moją rozmowę telefoniczną dziś rano.

Sparky energicznie pokręcił głową.

– Z twojej karty nieba wynika, że mamy teraz wyjechać, przynajmniej na trzy dni. Gdzieś poza wschodni horyzont, tak brzmi przepowiednia. Nie wiem dokładnie dokąd. Chodzi o miejsce, którego nie widzą planety w obecnym układzie, a więc na pewno miniemy krzywiznę Ziemi.

– Rozumiem. – Jack zaczął smażyć jajka. Kiedy omlet był niemal gotowy, dorzucił do jajek startą mozzarellę i plasterki wędzonej szynki. – Dobrze – powiedział wreszcie. – Miałem telefon z Warszawy od pani Krystyny, która jest przyjaciółką Marii. Krystyna i jej kolega pojechali do puszczy, żeby zrobić kilka fotografii tego miejsca przy głowie wiedźmy. W

pewnym momencie coś ich tak przeraziło, że zaczęli uciekać.

– Przeraziło? Co?

– Właśnie o to chodzi, że niczego strasznego nie zobaczyli. Po prostu poczuli strach. Moim zdaniem, to było to samo, co my widzieliśmy w Owasippe. Krystyna powiedziała mi, że jeszcze nigdy w życiu się tak nie bała. W pewnej chwili myślała, że od tego lęku uwolni się tylko wtedy, jeżeli popełni samobójstwo, tak jak Malcolm.

– O nie. To okropne. A co z jej kolegą?

– Kiedy rozmawialiśmy, jeszcze nie wiedziała, co się z nim stało. Uciekł stamtąd z wrzaskiem i później już go nie widziała. Obiecała, że zadzwoni do mnie, kiedy go znajdzie, ale na razie się nie odzywa. Chce, żebym przyleciał do Polski, sprawdził to miejsce i spróbował zrozumieć, co jest źródłem tego strachu. Tylko jak miałbym się tego dowiedzieć? Przecież jestem restauratorem, a nie pogromcą duchów.

Przekroił omlet na połowę i ułożył kawałki na dwóch talerzach. Następnie nalał sobie duży kubek czarnej kawy i usiadł przy stole.

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie – zauważył Sparky, na razie zupełnie niezainteresowany śniadaniem.

– Kiedy wyjeżdżamy? Jeżeli w ogóle zdecyduję się na tę podróż, to jeszcze dzisiaj, tylko trochę później. Wiem, że samolot polskich linii lotniczych odlataje stąd około siedemnastej, następny około dwudziestej pierwszej. Leci się dziewięć godzin, więc na miejsce i tak dotarlibyśmy jutro.

– Zadzwonisz do szkoły i zwolnisz mnie na kilka dni z lekcji?

– Hej, chwileczkę, spokojnie! Przecież jeszcze nie podjąłem decyzji.

– Ale podejmiesz, tato. Musisz! Merkury jest w fazie dominującej, a jest to planeta podróży i komunikacji. Merkury jest także planetą układu nerwowego, łatwiej więc nam będzie zrozumieć, skąd bierze się ten strach.

– A więc tak? To jakaś planeta każe nam lecieć do Polski?

Sparky pokręcił głową.

– I tak byśmy poleciali. Takie jest nasze przeznaczenie. Planety do niczego nas nie zmuszają. Jedynie uprzedzają nas, co zrobimy, zanim to naprawdę zrobimy.

Jack włożył do ust kawałek omleta i przez chwilę w zamyśleniu go przeżuwał.

– Nie jestem pewien, czy ten pomysł z przeznaczeniem w ogóle mi się podoba. Wolę wierzyć, że każdy z nas może kierować swoim życiem, jeżeli tylko tego chce.

– Przecież możemy nim kierować – powiedział Sparky. – Sedno sprawy tkwi jednak w tym, że nawet jeżeli kierujemy swoimi losami i tak kończymy tam, dokąd doprowadzi nas przeznaczenie.

– Nie ma więc od niego ucieczki?

– Nie, tato. Nie ma ucieczki.

Krystyna zatelefonowała kilkanaście minut po dwunastej i powiedziała, że Robert jeszcze się nie odnalazł. Wróciła do land rovera, który stał na polanie, w odległości mniej więcej dziewięciuset metrów od głowy wiedźmy, jednak samochód był zamknięty, a Robert miał kluczyki w kieszeni.

– Miałam szczęście, że akurat przejeżdżali dwaj strażnicy leśni. Powiedziałam im, że Robert zniknął i nie wrócił, i podwieźli mnie.

– Nie powiedziałaś im, dlaczego uciekł?

– A co miałabym im powiedzieć? Miałam oświadczyć, że ze strachu oboje chcieliśmy popełnić samobójstwo? Pomyśleliby, że oszalałam.

– Co zrobią strażnicy, jeżeli Robert się nie znajdzie? Wyślą jakąś ekipę poszukiwawczą?

– Jeżeli do jutra nie będzie po nim śladu, wtedy rozpoczną poszukiwania. Teraz jest już późno i zapada zmierzch. Puszcza Kampinoska to ogromny

kompleks, o powierzchni ponad sześćset kilometrów kwadratowych, na który składają się nie tylko lasy, lecz także bagna, wydmy i rzeki. To jest naprawdę prastara puszcza.

– Będę w Polsce jutro rano. Nadal nie jestem pewien, czy mogę ci w czymś pomóc, mój syn jednak twierdzi, że nie mamy wyboru i musimy lecieć do Polski. Twierdzi, że takie jest nasze przeznaczenie.

– Wygląda na to, że masz bardzo mądrego syna. Ile ma lat?

– Dwanaście. Prawie trzynaście. Nie wiem jednak, czy jego przekonania nazwałbym mądrymi. Raczej nadprzyrodzonymi.

– Może właśnie o to tutaj chodzi, panie Wallace... Przepraszam, Jack. Może mamy do czynienia właśnie ze zjawiskiem nadprzyrodzonym, a nie realnym?

– Zadzwoń do pani, gdy zarezerwuję bilety, dobrze? A kiedy już przylecę do Warszawy, porozmawiamy o kwestiach finansowych.

Jack odłożył telefon, po czym usiadł w fotelu za biurkiem. Miał nadzieję, że mimo wszystko podejmuje właściwą decyzję. W końcu Merkury był w fazie dominującej, a Sparky nalegał; Jack wiedział, że właściwie nie ma wyboru. Dziwne, ale poza tym wszystkim, po prostu chciał polecieć do Polski.

Kiedy weszli do hali przylotów lśniącego, nowoczesnego terminalu na lotnisku im. Fryderyka Chopina w Warszawie, czekały na nich dwie kobiety. Jedna była chuda i dość wysoka, o krótkich rudych włosach i bladej, lecz ładnej twarzy. Miała duże zielone oczy i ubrana była w lekki szary kostium oraz kremową bluzeczkę. W kołnierzyk wpięła rudą broszkę z kameą. Jej twarz świadczyła o zdecydowaniu, na czole miała drobne zmarszczki, jakby nieustannie pamiętała o tym, że musi się skupiać tylko na jednej sprawie. W ręce trzymała damską brązową skórzaną dyplomatkę.

Druga kobieta sięgała jej zaledwie do ramienia. Miała krótkie jasne włosy i ciężkie okulary w czarnej oprawce, które ledwie opierały się na czubku jej krótkiego, lekko zadartego nosa. Ubrana była w czarno-purpurową suknię w cygańskim stylu, a na nogach miała czerwone sandały na koturnie. Trzymała tekturową tabliczkę, na której ktoś napisał dużymi literami MR JACK WALLACE.

– No? – Jack rzucił cicho do Sparky'ego, kiedy ruszyli w tym kierunku, ciągnąc za sobą walizki na kółkach. – Która z nich to Krystyna?

– A skąd mam wiedzieć?

– Hej, to przecież ty jesteś astrologiem. Podobno mam się w którejś z tych kobiet zakochać. W której?

– Nie wiem, tato – syknął Sparky, kiedy zbliżyli się do kobiet. – Nie mam przy sobie twojej karty nieba.

Podeszli do kobiet i uśmiechnęli się na powitanie.

– Cześć – powiedział Jack. – Nazywam się Jack Wallace, a to jest Alexis, ale wszyscy nazywają go Sparky.

Wysoka kobieta o rudych włosach wyciągnęła rękę i odezwała się:

– Cieszę się, że mogliście przyjechać. Witamy w Warszawie. Nazywam się Lidia Nowak i jestem asystentką w Instytucie Historii, a to jest profesor Krystyna Zawadka.

Ale bym się pomylił, pomyślał Jack, kiedy niższa z kobiet, ta w okularach, szeroko się do niego uśmiechnęła i także podała mu rękę. Wydawało mi się, że Krystyna to ta duża. Tym razem Sparky nie sprawdził się jako astrolog. Raczej nie widzę możliwości, żeby się zakochać w którejś z tych młodych dam.

– Miło mi cię poznać – powiedział Jack głośno, potrząsając dłonią Krystyny. – Mam nadzieję, że obaj z synem będziemy mogli służyć jakąś pomocą, chociaż, szczerze mówiąc, naprawdę wątpię, czy się do czegoś

przydamy.

Wyszli z terminalu. Kiedy szli na parking, witał ich w Warszawie olśniewająco jasny poranek. Wiał dość silny ciepły wiatr z zachodu i flagi na budynku lotniska głośno łopotały, jakby na powitanie.

– Czy twój kolega już się znalazł? – Jack zapytał Krystynę.

– Robert? Nie. Chciałabym, żebyśmy najpierw pojechali do Puszczy Kampinoskiej i poszukali go. Zakwaterujemy was w hotelu, zjemy wczesny lunch i ruszymy w drogę, jeżeli nie masz nic przeciwko temu. To jest mniej więcej trzydzieści kilometrów od Warszawy. W pół godziny będziemy na miejscu.

– Jeszcze nie zgłosiłaś jego zaginięcia?

– Robert to dorosły facet – odparła Krystyna. – Zaginął stosunkowo niedawno i jest jeszcze za wcześnie, żeby dzwonić na policję, a Służba Leśna już o nim wie.

Poprowadziła go do srebrnej toyoty z napędem hybrydowym. Na jej drzwiczkach niebieskie litery układały się w napis *Uniwersytet Warszawski*. Krystyna otworzyła samochód pilotem, po czym dodała:

– Oczywiście, prosiłam strażników leśnych, żeby mieli oczy otwarte, bo być może Robert zabłądził i krąży po lesie, ale... tak jak ci powiedziałam, Jack, Puszcza Kampinoska jest ogromna. Całe bataliony Armii Krajowej kryły się tutaj w czasie wojny i Niemcy nie byli w stanie ich wytropić.

Kiedy wszyscy wsiedli do samochodu, włączyła silnik.

– Chyba się nie obawiasz kobiet za kierownicą, Jack?

– Wszystko zależy od tego, jak prowadzą samochód.

– Specjalnie dla ciebie będę jechać bardzo ostrożnie. Mam zresztą lekką stopę.

Wyjechali z lotniska i czteropasmową aleją ruszyli w kierunku centrum miasta. Po chwili Krystyna się odezwała:

– W tej chwili już bardzo martwię się o Roberta. Nie wiem, dlaczego do tej pory się ze mną nie skontaktował. Dlaczego tak naprawdę uciekał? Nikt go nie ścigał, ani człowiek, ani zwierzę. W puszczy żyje, co prawda, kilkanaście rysi, ale ryś atakuje człowieka tylko wtedy, gdy poczuje się zagrożony albo gdy człowiek zaatakuje młode będące przy samicy. No i w ogóle uciekanie przed rysiem nie jest dobrym pomysłem. Takie zachowanie przeważnie tylko wzmacnia niepokój tego drapieżnika i wtedy rzuca się w pościg. Robert doskonale o tym wiedział.

Krystyna zatrzymała auto przed czerwonymi światłami na skrzyżowaniu i popatrzyła na Jacka. Musiał przyznać, że chociaż jej jasne włosy były ścięte na krótko, chłopięca fryzura dodawała jej uroku. Poza tym pachniała jakimiś łagodnymi brzoskwiniowymi perfumami.

– Roberta z całą pewnością nie gonił ryś – dodała.

Wypowiadała poszczególne słowa z takim samym poważnym naciskiem jak Sparky.

– Co więc, twoim zdaniem, było powodem jego ucieczki? – zapytał ją Jack. – Leśny duch? *Nish gite*?

– Nie wiem. Ale właśnie dlatego poprosiłam cię, żebyś przyjechał. Razem powinniśmy się dowiedzieć.

– A jeżeli w grę wchodzi *nish gite*? Co wtedy zrobimy?

Krystyna przeżegnała się, ale nic nie odpowiedziała. Zapaliło się zielone światło, zwolniła więc hamulec ręczny i pojechała dalej.

Zatrzymali się przed lśniącym zielonym wysokościowcem czterdziestoczworopiętrowego hotelu InterContinental przy ulicy Emilii Plater, w samym centrum Warszawy. Krystyna poprowadziła gości przez hol w kierunku recepcji i powiedziała:

– Jack, zarezerwowaliśmy tu dla was apartament. Możecie tu mieszkać tak długo, jak zechcecie. Wasze wydatki będzie pokrywał Uniwersytet, o to

więc się nie martwicie. Na najwyższym piętrze jest centrum fitnessu, a także basen kąpielowy, jeżeli jesteście zainteresowani.

Sparky zaczął się rozglądać szeroko otwartymi oczyma po przestronnym, eleganckim holu. Milczał, Jack jednak doskonale rozumiał, że chłopak jest zachwycony i że miejsce, w którym się znaleźli, wywarło na nim wielkie wrażenie. Najlepszym hotelem, w jakim do tej pory mieszkali, był Holiday Inn w Pewaukee, w stanie Wisconsin. Zatrzymali się w nim, kiedy pojechali tam odwiedzić rodzinę.

Krystyna odebrała od recepcjonistki karty meldunkowe i, chcąc lepiej dojrzeć drobny druk na formularzu, ściągnęła z nosa okulary w grubych oprawkach. Wtedy Jack niemal się roześmiał. Odniósł wrażenie, że wszystko odbywa się tak jak w jednym z kieszonkowych romansów, kiedy to szef niespodziewanie mówi do swojej sekretarki: „No i proszę, pani Jones, bez okularów jest pani przepiękna”.

Krystyna bez okularów była naprawdę bardzo ładna. Miała, często spotykane u Polek, wysokie kości policzkowe i duże szare oczy. Jej mały nosek był ślicznie zadarty, jednak nie można było tego zauważyć, kiedy spoczywały na nim te ciężkie okulary. Miała pełne różowe usta, które sprawiały wrażenie, jakby w każdej chwili gotowe były do namiętnego pocałunku.

Jackowi szczególnie spodobały się jej drobne cynamonowe piegi rozsiane po policzkach i na nosie.

Podąła Jackowi karty meldunkowe i poprosiła, żeby je podpisał. Kiedy to zrobił, zmrużyła oczy i powiedziała:

– A zatem, Jack, wszystko w porządku? Nie jesteś przemęczony po długim locie?

– Nie, Krystyno, czuję się doskonale. Zaniosę tylko bagaże do pokoju, a potem coś zjemy, dobrze? Nie wiem jak ty, Sparks, ale ja jestem głodny jak

wilk.

Chłopak tylko pokiwał głową, nadal zauroczony otoczeniem.

Wjechali windą na dwudzieste siódme piętro hotelu. Ich apartament składał się z sypialni z dwoma łózkami oraz salonu z biurkiem, kanapą i dwoma fotelami. Wszystko utrzymane było w neutralnych kolorach, a dzięki klimatyzacji w apartamencie panował miły chłód. Sparky podbiegł prosto do okna i wyjrzał na zewnątrz. Niedaleko hotelu, po drugiej stronie ulicy, stał ciężki szary budynek w kształcie tortu weselnego z iglicą, wysoki na dwieście metrów.

– To Pałac Kultury i Nauki – wyjaśniła Krystyna. – Oficjalnie dar Józefa Stalina dla narodu polskiego, a w rzeczywistości sowiecki sposób na podkreślenie dominacji nad tym państwem i nad jego stolicą. Mój ojciec twierdzi, że gdyby tylko mógł, zniszczyłby go przy pierwszej sposobności. Nawet własnoręcznie, kilofem. A ja mu na to odpowiadam, że historia jest historią, że budynek powinien być dla nas lekcją na wieczne czasy, dowodem na to, że nasza historia wyglądała tak, a nie inaczej.

– Co za dziwo – westchnął Jack. – Wygląda jak pałac Minga Bezlitosnego.

– Słucham? – Krystyna się zdziwiła.

– Nie słyszałaś o Mingu Bezlitosnym z Flasha Gordona? Trudno, szkoda.

Wciąż spoglądając za okno, Sparky mruknął:

– Chyba się tutaj nie zgubimy.

– W centrum Warszawy raczej trudno się zgubić – powiedziała Krystyna z uśmiechem. – A w razie czego zawsze można zapytać kogoś o drogę.

– Nie, ja miałem na myśli puszcę. Mam nadzieję, że nie zgubimy się w puszczy.

– Nic się nie martw, Sparky. Będziemy się trzymać razem, a poza tym zawsze będzie z nami Borys, który zna Kampinoski Park Narodowy lepiej

niż ktokolwiek inny.

Sparky odwrócił się. Wciąż miał zmartwioną minę.

– Muszę stworzyć jeszcze jedną kartę. Próbowałem to zrobić w samolocie, ale to nie miało sensu. Według niej nic się z nami nie stanie.

– To chyba jest dobra przepowiednia – zauważyła Krystyna. – Skoro nic się z nami nie stanie, to znaczy, że wszyscy będziemy bezpieczni.

– Nie. Nie rozumie pani. Nic się z nami nie stanie. Tak powiedziały gwiazdy. Nic dobrego. Nic złego. Zupełnie nic.

– Masz na myśli Nicość z *Niekończącej się historii*? – zapytał Jack. Sparky oglądał tę bajkę na wideo wiele razy i także Jack znał już na pamięć każde słowo z filmu. – Nicość, która chce połknąć cały świat?

– Nie... ponieważ to jest tylko bajka. A my mówimy o świecie realnym.

Krystyna popatrzyła na Jacka i zapytała:

– Jesteś całkiem pewien, że nie chcecie odpocząć, Jack? Lot z Chicago był przecież bardzo długi. Zapewne obaj jesteście bardzo zmęczeni.

– Ja wcale nie jestem zmęczony – powiedział Sparky z naciskiem. – Po prostu muszę się dowiedzieć, co się z nami stanie w puszczy.

– Och, Sparks – powiedział Jack i westchnął. – Proponuję, żebyś został na górze i zamówił sobie jakieś jedzenie do pokoju. A my w tym czasie pójdziemy do restauracji. Zgoda?

Sparky pokiwał głową, po czym sięgnął do swojej podręcznej torby po papier i ołówki. Jack wziął do ręki kartę dań i zapytał go:

– Co byś zjadł, stary? Widzę, że mają tutaj pierogi z serem. Polecam.

Sparky rozkładał już na biurku materiały do pisania.

– Poproszę o gofry – odparł. – Gofry, syrop klonowy i bekon.

– Pewnie jest ci ciężko, Jack. Prowadzisz restaurację i jednocześnie samotnie wychowujesz syna – powiedziała Krystyna, kiedy zasiedli przy

wczesnym lunchu w Down Town Café na pierwszym piętrze.

– Powiedzmy, że nie jest mi łatwo – odparł Jack. – Przede wszystkim Sparky bardzo tęskni za mamą, chociaż rzadko o tym mówi. Fakt, że ma zespół Aspergera i trudno mu komunikować się z innymi ludźmi, nie pomaga mi, to prawda. Chłopiec nie potrafi zinterpretować wyrazu twarzy drugiego człowieka, przez co nigdy nie wie, czy ktoś z niego żartuje, czy traktuje go poważnie.

– Ale zdaje się, że Sparky bardzo poważnie traktuje astrologię.

– To jego obsesja. Dziwne jest jednak to, że jego przepowiednie bardzo często się sprawdzają. Gdyby nie nalegania Sparky'ego, nigdy nie wziąłbym udziału w tym seansie spirytystycznym, nie usłyszałbym głosu Aggie i nie dowiedziałbym się, gdzie są zakopane kości naszych przodków.

Krystyna wsypała do kawy brązowy cukier i zamieszała ją.

– Nie potrafię sobie wyobrazić, co znajdziemy w puszczy; jeśli w ogóle cokolwiek znajdziemy. Wciąż pamiętam to przerażenie. Odnosiłam wrażenie, że pogrążam się w głębokim i zimnym ruchomym piasku. A właściwie to było jeszcze gorsze uczucie. Kiedy człowieka wciągają ruchome piaski, macha rękami i kopie, desperacko walcząc o życie. Ale ja czułam po prostu, że najlepiej będzie, jeżeli od razu się poddam i się zabiję. Takie rozwiązanie natychmiast uwolniłoby mnie od tego paralizującego strachu.

– Doskonale cię rozumiem – odparł Jack. – Podobne chwile przeżyliśmy ze Sparkym w Owasippe. Jednak jestem pewien, że także coś słyszeliśmy i czuliśmy. To było podobne do silnego wiatru. – Urwał na chwilę, po czym wzruszył ramionami i dodał: – Niewiele z tego rozumiem. Jakim sposobem n i c mogło nas wszystkich aż tak przestraszyć? Może naprawdę chodzi tu o pumy albo rysie, które w sytuacji zagrożenia emitują jakieś fale, które działają na zmysły człowieka? Tak jak skunksy i piźmoszczury wydzielają wtedy obrzydliwy zapach.

W tym momencie podszedł do nich krępy mężczyzna w brązowej płóciennej marynarce. Chociaż na pewno nie skończył jeszcze czterdziestu lat, był zupełnie łysy. Miał szeroką, życzliwą twarz, która jednak zdradzała, że wiele już w życiu przeszedł. Na brodzie miał szramę w kształcie litery „V”, a w górnej szczęce brakowało mu przedniego zęba.

– Cześć, Borys – powitała go Krystyna. – Jack, to jest Borys. Będzie naszym przewodnikiem. Borys jest leśniczym. Bardzo nam pomagał, kiedy przygotowaliśmy opracowanie na temat walk w Puszczy Kampinoskiej na początku wojny, tuż po ataku Niemców. Moim zdaniem Borys zna po imieniu każde drzewo na tym terenie.

– Znam ten las lepiej niż tyłek mojej żony – powiedział Borys z uśmiechem.

Mówił po polsku i Krystyna przetłumaczyła jego słowa na angielski.

– Powiedziałaś Borysowi, co się stało, kiedy razem z Robertem znaleźliście się w lesie? – zapytał Jack. – Czy on wie, z jakiego powodu przyjechaliście do puszczy i co tam robiliście?

Krystyna pokiwała głową.

– Wszystko mu powiedziałam. Borys wie już wszystko o twoim pradziadku, o stryjecznym dziadku Marii i o pamiętniku. Wie też o seansie spirytystycznym i o przekazie Agnieszki.

– Czy kiedykolwiek spotkał się z czymś podobnym? Czy ktokolwiek przeżył w puszczy coś takiego jak wy?

– Borys słyszał o leśnym duchu i o *nish gite*.

Jack zobaczył, że Borys ściąga twarz w udawanym strachu.

– Ty też go widziałaś, Borys? – zapytał.

Mężczyzna pokręcił głową i odpowiedział po polsku:

– Bywa, że coś szeleści w krzakach. Czasami jakby coś się poruszało między brzozaami. Coś białego. No, ale to może być cokolwiek, nawet

uciekająca kłępa, od której futra odbija się słońce. Albo po prostu promienie słoneczne igrające wśród liści. Kto wie?

– Czułeś kiedyś takie przerażenie jak Krystyna i Robert?

– Nie wierzę w duchy. To ludzie, którzy w nie wierzą, ożywiają je.

– Ale czy kiedykolwiek czułeś się w tej puszczy jakoś niepewnie? Jakby ktoś cię obserwował?

Borys wzruszył ramionami i uniósł w górę dłonie o szorstkiej, spękanej skórze.

– Oczywiście! Wszyscy czasami odnosimy takie wrażenie. Przypuszczam, że ma to coś wspólnego z instynktem samozachowawczym. To tak jak z ptakami, które odlatują natychmiast, kiedy ktoś się do nich zbliży, chociaż wcale im nie zagraża i praktycznie nie ma najmniejszej możliwości ich schwytać.

– Co będziemy robić, kiedy już znajdziemy się w puszczy?

– Dokładnie, systematycznie ją przeszukamy. Wezmę mojego psa. Robert, uciekając, musiał zostawić jakieś ślady. Nie da się przecież biec przez gęsty las, nie łamiąc przy tym gałęzi, nie zostawiając śladów na ściółce. Spróbujemy znaleźć to, co tak przestraszyło Krystynę i Roberta. Kiedy już wszyscy znajdziemy się na miejscu, łatwiej mi będzie wam wytłumaczyć, o co mi chodzi.

– Jasne, Borys, dziękuję.

– Powinniśmy już jechać – powiedziała Krystyna, patrząc na swój duży zegarek marki Tissot. – Zanim zapadnie zmrok, powinniśmy przeczesać jak największy kawałek terenu.

– Pójdę po Sparky'ego – postanowił Jack.

Wyszedł z restauracji i ruszył w kierunku wind. Po drodze zauważył jaskrawobiały błysk w lustrze na końcu korytarza. Odwrócił się szybko, żeby zobaczyć, co to takiego, lecz dziwne zjawisko zniknęło. Prawdopodobnie nie

było to nic groźnego – ktoś z obsługi hotelowej w białym fartuchu albo po prostu pokojówka ze stertą białej pościeli. Jack powiedział sobie, że niepotrzebnie robi się przewrażliwiony. Uznał, że jest po prostu zmęczony – ostatnimi wydarzeniami i długim lotem.

Wszedł do pokoju. Taca z jedzeniem tkwiła na stoliku przy kanapie, a karty nieba były porozkładane po całym biurku. Natomiast nigdzie nie było nawet śladu po Sparkym.

– Sparks! – zawołał Jack, podchodząc do otwartych drzwi sypialni. – Zaraz wyjeżdżamy! Jesteś gotowy?

– Tata? – odezwał się Sparky. W jego głosie brzmiał niepokój. – Tato, chodź tutaj i posłuchaj!

Chłopak stał w sypialni w nogach swojego łóżka i wpatrywał się w słuchawkę telefonu leżącą na poduszce.

– Co się stało, Sparks?

– Posłuchaj! Chciałem zatelefonować do mojego kolegi ze szkoły, Kenny'ego, żeby mu powiedzieć, że jestem w Polsce, ale kiedy podniosłem słuchawkę, usłyszałem w niej jakiś głos!

Jack wziął do ręki słuchawkę i przyłożył do ucha.

– Niczego nie słyszę. To na pewno była telefonistka z centrali hotelu, która chciała się dowiedzieć, czego potrzebujesz.

– Nie, wcale nie. Posłuchaj!

Jack zaczął uważnie nasłuchiwać. W pierwszej chwili w słuchawce – jego zdaniem – panowała cisza, nie było słychać nawet trzasków. Lecz po kilku sekundach usłyszał słabutki głos, który brzmiał jak: „...ocalcie nas!”.

Głos był tak słaby i odległy, że niemal niesłyszalny. Można było odnieść wrażenie, że to woła jakaś wymyślona postać z bajki, uwięziona pod szklanym kloszem. Jack nie miał jednak wątpliwości, że słyszy głos kobiety.

Nasłuchiwał, a tymczasem Sparky wpatrywał się w niego z

zaniepokojeniem. Po chwili słaby głos ze słuchawki rozległ się znowu:

– ...ocalcie nas, musicie... musicie nas ocalić...

– To kobieta – powiedział Jack głośno. – W pierwszej chwili myślałem, że woła po polsku, ale nie, to angielski.

– To mama – stwierdził Sparky. – Ja to wiem. To jest na pewno mama.

– Och, daj spokój, Sparks. To niemożliwe. Wiem, że ten głos jest trochę podobny do głosu mamy, ale to niemożliwe.

– Przecież słyszałeś ją w księgarni u Bindy, prawda?

– Tak, słyszałem, ale to się działo tylko w mojej głowie. Tylko sobie wyobrażałem, że ją słyszę. A z tej słuchawki dociera do nas głos jakiejś prawdziwej kobiety. Przecież obaj ją słyszemy.

– ...musicie nas ocalić, błagam...

Jack zaczął mówić do telefonu:

– Halo, kto tam? Przepraszam, ale prawdopodobnie pomyliła pani numer. Połączyła się pani z hotelem InterContinental, z pokojem numer dwadzieścia siedem dwanaście.

– ...pogrzebani... jesteśmy pogrzebani...

– Jesteście pogrzebani? Gdzie?

– ...obaj... pogrzebani...

– Tak, słyszę panią. Jesteście pogrzebani. Ale gdzie?

– ...tam, gdzie droga rozchodzi się w trzy strony... pod skałami...

Jeżu, pomyślał Jack. To przecież ona. To Aggie. I powtarza mi to, co powiedziała w czasie tego seansu spirytystycznego.

Usiadł na skraju łóżka.

– Co się stało? – zapytał Sparky.

Jack przytrzymał słuchawkę telefonu w taki sposób, żeby Sparky również mógł słyszeć głos, który pojawiał się i zanikał. Chwilami był dość wyraźny, a

w innych momentach prawie niesłyszalny.

– ...musicie nas ocalić... proszę... nie możemy... na zawsze...

Nagle telefon głośno zaterkotał. Jack aż podskoczył, a Sparky głośno krzyknął ze strachu.

– Tak? – odezwał się Jack do słuchawki.

– Jack? Tu Krystyna. Wszystko w porządku?

– Jasne, Krystyno. Jak najbardziej.

– Posłuchaj, Jack, nie chciałabym cię poganiać, ale naprawdę powinniśmy już jechać.

– Oczywiście. Zaraz będziemy na dole. – Odłożył słuchawkę i popatrzył na chłopca. – Są gotowi do drogi – powiedział. – Jesteś pewien, że chcesz tam jechać? Bo szczerze mówiąc, ja nawet nie potrafię wyjaśnić, jak się w to wszystko wplątaliśmy. Może powinniśmy zapomnieć o całej tej dziwacznej historii i pierwszym samolotem odlecieć do domu?

– Ale to była mama. Słyszałeś ją. Mama chce, żebyśmy ocalili tych ludzi.

Jack nie chciał już przypominać Sparky'emu, że mama nie żyje, a ludzie, których pochowano pod skałami, są martwi od bardzo dawna. Ale nie mógł też zaprzeczyć, że głos w słuchawce niewątpliwie brzmiał jak głos Aggie. Ktoś musiałby się bardzo mocno postarać, żeby ich obu zwieść w tej materii.

– Chciałem się tylko upewnić, że jesteś gotowy, Sparks, nic więcej. Nie wiem, czy ta wyprawa do puszczy może okazać się niebezpieczna, ale zapewne najemy się trochę strachu.

– Opracowałem moją i twoją kartę – powiedział Sparky. Wciąż się wpatrywał w telefon, jakby się spodziewał, że jeszcze raz usłyszy głos matki.

– I wynika z nich, że możliwość, żeby któryś z nas zginął albo został ciężko ranny, nie jest większa od przeciętnej.

– Nie brzmi to zbyt uspokajająco.

– Wiem. Ale jeśli mamy tam jechać, powinniśmy już iść.

Jack podniósł słuchawkę i przyłożył ją do ucha. Nie docierał z niej żaden dźwięk. Jeżeli wcześniej mieli połączenie ze światem zmarłych – w co i tak trudno było uwierzyć – zostało przerwane, przynajmniej na jakiś czas.

Pomiędzy drzewa

Wyjechali z Warszawy dwoma samochodami. Krystyna wiozła toyotą Jacka i Sparky'ego, a Borys i Lidia jechali za nimi uwalanym błotem suzuki SUV z potężnymi rurami przed maską. Borys, jak zapowiedział, zabrał ze sobą rottweilera, który siedział na tylnej kanapie suzuki, z językiem wywieszonym z pyska niczym jasnoczerwony krawat.

Po gorącym przedpołudniu teraz słońce skryło się za wysokimi, ale cieniutkimi chmurami, popołudnie zapowiadało się więc zamglone, a widoki były jakby nieostre.

Krystyna przebrała się w jasnożółtą bawełnianą bluzę w stylu safari oraz białe dzinsy i wygodne buty. Prowadząc samochód, niemal bezustannie mówiła, opowiadając Jackowi i Sparky'emu o tym, jak Niemcy aresztowali wiele tysięcy przedstawicieli polskiej inteligencji, zabrali ich do puszczy i tam rozstrzelali, po czym pogrzebali w masowych grobach i zasadzili na nich drzewa, mając nadzieję, że nikt nigdy nie odkryje tego, co zrobili.

Chociaż po wojnie ekshumowano ponad dwa tysiące ciał, tylko czterysta osób zdołano zidentyfikować.

– Myślę, że Bóg wie, kim byli oni wszyscy – odezwał się Sparky poważnym głosem z tylnego siedzenia.

Krystyna zerknęła we wsteczne lusterko i lekko się uśmiechnęła.

– Tak, Sparky – powiedziała. – Bóg na pewno to wie.

Za rogatkami Warszawy trasa na północny zachód była prosta i płaska. Po obu stronach szosy leżały szerokie pola i nieużytki. Od czasu do czasu można było zauważyć jakiś dom kryty pomarańczowymi dachówkami lub stację benzynową. Każda ze stacji reklamowała jakiś warsztat naprawy

samochodów. Nawet kiedy samochody skręcały do Palmir, w drogę wiodącą dalej do Truskawia i samej puszczy, las na horyzoncie wciąż wydawał się bardzo niski. Z daleka bardziej przypominał spokojny ciemnozielony ocean niż tajemniczą puszcę.

Wąska droga do Palmir była nierówna i pełna dziur. Samochody podskakiwały na niej i kołysały się z boku na bok. Suzuki z Borysem i Lidią niemal zniknęło w kurzu, który wzniecała toyota.

– Któregoś dnia powinniście przyjechać tutaj specjalnie na cmentarz w Palmirach – powiedziała Krystyna. – Teraz zatrzymamy się tam tylko na chwilę, żebyście się zorientowali, jakie znaczenie ma to miejsce dla Polaków. Wiozę was właśnie tą drogą, ponieważ uważam, że ważne jest, żebyście spróbowali zrozumieć, co czuli ludzie, którzy tu umierali; tacy ludzie jak twój pradziadek albo stryjeczny dziadek Marii.

Zatrzymała samochód na poboczu, a Borys zaparkował tuż za nią. Cała piątka wysiadła i ruszyła spacerem w stronę cmentarza. Było tu niezwykle cicho, chociaż pomiędzy drzewami Jack dostrzegł mnóstwo samochodów stojących na parkingu.

Znaleźli się na dużej polanie w lesie. Otaczające ją sosny wydawały się niewiarygodnie wysokie. Ich wierzchołki kołysały się na wietrze, który na ziemi w ogóle nie był odczuwalny. Stały tutaj, rząd po rzędzie, białe kamienne krzyże, poprzedzielane długimi betonowymi alejkami. Trzy krzyże na samym końcu cmentarza, pomiędzy drzewami, przypominały krzyże z Kalwarii.

Na każdym grobie stał czerwono-złoty znicz. Część z nich się poprzewracała, jednak jakiś starszy mężczyzna wędrował pomiędzy grobami i ustawiał je z powrotem.

Odwiedzający krążyli po alejkach. Niektórzy klęczeli przy grobach. Wokół panowała cisza. Chwilami Jack odnosił wrażenie, że ogląda film przy

wyłączonym dźwięku.

Krystyna przeżegnała się i na chwilę zamknęła oczy.

– Czasami wydaje mi się, że ich słyszę – powiedziała. – Są niczym tłum ludzi, którzy za dnia wypełniają rynek w mieście, powodując gwar i zamieszanie. Teraz wszystko ucichło, bo wszyscy gdzieś poszli. Pozostawili po sobie wyłącznie pustkę.

Pojechali tak daleko, jak się dało, leśną drogą pomiędzy drzewami. Blżej Warszawy Kampinos był pełen bagien – przywodził na myśl Park Narodowy Everglades na Florydzie – ale tutaj, po zachodniej stronie, sosny wyrastały z białego piachu. Można było odnieść wrażenie, że las rośnie po prostu na pustyni.

Droga robiła się coraz węższa i węższa i w końcu gałęzie zaczęły ocierać się o karoserię. W pewnym momencie zauważyli bladoniebieski land rover Krystyny. Stał na małej ocienionej polanie. Objechali polanę dookoła i zaparkowali.

– Twój kolega jednak nie wrócił – zauważył Jack, zwracając się do Krystyny.

Wysiadł z samochodu i rozejrzał się. W lesie było ciepło i pachniało igliwem.

– Nie. O Boże... Mam nadzieję, że nic złego mu się nie stało.

– Jeżeli Robert tu jest, to go znajdziemy – zapewnił Borys stanowczo.

Wyjął mapę Puszczy Kampinoskiej i rozłożył ją na masce. Gruby palec wskazujący położył na czerwonym znaku „X”, który już wcześniej narysował na mapie.

– To jest miejsce pod skałami, gdzie zakopane są kości – powiedział. – Kilkanaście metrów od miejsca, w którym się teraz znajdujemy. Kiedy Krystyna się przestraszyła, pobiegła dalej na południe, do wioski, którą

widzicie tutaj. Nazywa się Truskaw. Z kolei Robert pobiegł w przeciwnym kierunku, na północny zachód. Tam jest tylko las, kilometr za kilometrem jedynie sosny i wydmy. Nie można biec przez taki teren, nie pozostawiając śladów. Rozpocznemy poszukiwania w miejscu, gdzie spoczywają szczątki, a potem ruszymy tyralierą na północny zachód. Nie będziemy jednak tracić się nawzajem z oczu. Będziemy szukać, oczywiście, odcisków butów, ale także wszelkich innych śladów, zakładając, że możemy natrafić na coś dziwnego, co nie powinno się tu znajdować. Takie ślady zwykle okazują się mało istotne, ale kto wie...

– Co mamy robić, jeśli wpadniemy w panikę jak Krystyna? – zapytała Lidia.

– Jeżeli ktoś z nas poczuje coś takiego, powinien głośno krzyknąć. Pozostali niech biegną w stronę tej osoby – odparła Krystyna. – Wiem, że ja i Robert spanikowaliśmy, jednak wczoraj wieczorem rozmawiałam ze znajomą lekarką. Powiedziała mi, że tak naprawdę nikt nie wie, co wywołuje panikę u człowieka, ale niemal zawsze można nad nią zapanować, kontrolując oddech. Niektórzy ludzie uspokajają się, oddychając na przykład do papierowych torebek.

– Których, założę się, akurat nie mamy – powiedział Jack.

– Nie będziemy ich potrzebować. Moja znajoma powiedziała, że jeśli przytrafi nam się coś takiego, musimy jedynie zebrać się w grupie, równomiernie oddychać i zapewniać się nawzajem, że nic nam nie grozi.

– Módlmy się, żeby to była prawda.

Borys położył dłoń na ramieniu Sparky'ego i zapytał, najpierw po polsku, następnie po angielsku:

– Boisz się, chłopcze?

Sparky pokręcił głową. Płytkim, bezbarwnym głosem odpowiedział:

– Boją się tylko ludzie, którzy nie wiedzą, co się stanie.

– A ty wiesz, co się stanie?

– Tak.

Jack popatrzył na Sparky'ego i na ułamek sekundy przyszła mu do głowy myśl, że chłopiec jest bardzo podobny do zmarłej matki.

Promienie słońca przebijały się przez liście i spadały prostymi liniami pomiędzy pniami drzew. Puszcza, tchnąca spokojem i dostojeństwem, przypominała wnętrze ogromnego kościoła.

Borys wrócił do wozu, otworzył tylne drzwi i wypuścił rottweilera. Pies natychmiast zaczął go obskakiwać.

– To jest Diablik – powiedział Borys. – Jest durny, ale to wspaniały tropiciel. Kota wywącha nawet przez beton.

Sparky cofnął się do Jacka. Zawsze bał się psów, nawet bardzo małych.

– Nie bój się, Sparks. Ten piesek jest zupełnie niegroźny – uspokoił go ojciec.

Musiał jednak przyznać, że on także trochę się obawia tego Diabluka. Pies oblizywał czarne, mokre wargi i szczyrzył kły w taki sposób, jakby nie mógł się doczekać chwili, kiedy będzie mógł się na kogoś rzucić.

Zanim Borys zamknął samochód, wyciągnął jeszcze z niego torbę myśliwską.

– Dodatkowe zabezpieczenie – powiedział po polsku. – Na wypadek, gdybyśmy natrafili tutaj na coś naprawdę bardzo niebezpiecznego.

– Tylko obchodź się z tym bardzo ostrożnie, Borys – upomniała go Krystyna. – Nie życzymy sobie żadnych wypadków.

Zostawili samochody na polanie i weszli pomiędzy drzewa. Wkrótce dotarli do jednej z wielu ścieżek, przecinających rezerwat przyrody.

Po mniej więcej stu metrach ścieżka rozwidlała się w trzech kierunkach. Jedna z nich kierowała się niemal dokładnie na południe, druga na zachód, a

trzecia na północny zachód. W miejscu rozwidlenia wznosiły się potężne skały, które przypominały zgarbioną kobietę, pochyloną nad kotłem. Podeszedłszy do nich, Jack zrozumiał, dlaczego uważano, że skały przypominają czarownicę. Patrząc pod odpowiednim kątem, można było zauważyć jej spiczasty kapelusz, długi i ostry nos, wysuniętą brodę, a także brwi z poplątanych suchych korzeni.

Tuż za skałami ścieżka prowadząca na północny zachód była przegrodzona biało-niebieską taśmą i tabliczką: *Kampinoski Park Narodowy. Nie wchodzić.*

– To tutaj znaleźliśmy kości – powiedziała Krystyna.

Uniosła taśmę i przeszła pod nią. Borys przytrzymał taśmę w górze, żeby Lidia, Jack i Sparky mogli pójść w jej ślady.

Wykopaliska zakryte były plastikowymi płachtami, przymocowanymi do ziemi zwykłymi śledziami do namiotów. Krystyna wyciągnęła jeden z nich i uniosła płachtę, żeby wszyscy mogli zobaczyć miejsce, w którym kopała razem z Robertem. Do tej pory nie dotarli głęboko; wgłębienie miało może piętnaście centymetrów. Jack dostrzegł jednak kość wystającą z piachu. Najprawdopodobniej była to ludzka kość.

– Z boku kopaliśmy trochę głębiej i wykopaliśmy więcej ludzkich kości – mówiła Krystyna. – Zakryliśmy je jednak warstwą piasku, ponieważ nie chcieliśmy popaść w konflikt z władzami parku narodowego. – Ułożyła płachtę na właściwym miejscu i podeszła pod skały. – Dokładnie w tym miejscu Robert rzucił teodolit, a potem zaczął krzyczeć. Nie rozumiałam słów. Bardzo szybko wbiegł na tę górkę, a potem pobiegł pomiędzy te dwie najwyższe sosny. Przez cały czas krzyczał. Później już nie widziałam, którędy pobiegł, ponieważ sama zaczęłam uciekać, w zupełnie inną stronę. Patrzcie, na ścieżce wciąż są ślady moich butów.

Jack nasłuchiwał, rozglądając się dookoła. Chociaż wiatr był bardzo

słaby, drzewa cicho szumiały, jakby rozmawiały ze sobą, jakby się zastanawiały, kim są intruzi, którzy zakłócają ich spokój, i czego chcą. Przecież to nie są ani turyści, ani rowerzyści, ani biegacze. To są ludzie, którzy chcą poznać ich sekrety.

Borys zbliżył się do wzniesienia, na które uciekł Robert.

– Popatrzcie – powiedział. – Jego ślady są wciąż dobrze widoczne. Są bardzo głębokie. Pędził pod górę jak kozica. – Przerzucił strzelbę przez plecy i dodał: – Spróbujemy podążyć tym śladem. Krystyno, wzięłaś ze sobą czapkę Roberta, prawda?

Kobieta wyciągnęła z torby ciemnobrązową czapkę z daszkiem i podała ją Borysowi. On z kolei podsunął czapkę pod nos Diablika. Pies kilkakrotnie wciągnął powietrze i natychmiast zaczął węszyć po ziemi. Już po kilku sekundach złapał trop. Wtedy głośno warknął i pociągnął Borysa w górę po pochyłości terenu.

– Spokojnie, Diablik! Spokojnie! – zawołał Borys. – Przecież masz cztery nogi, a ja tylko dwie!

Kiedy wszyscy wbiegli na górę, cała piątka rozstawiła się w tyralierę; Borys szedł w środku. Zgodnie z wcześniejszym postanowieniem starali się utrzymywać kontakt wzrokowy. Diablik napinał smycz tak mocno, że trudno mu było oddychać i dyszał chrapliwie, zapierając się łapami o ziemię. Pociągnął Borysa pomiędzy dwie wysokie sosny i dalej w głąb lasu. Wokół panowała cisza, słychać było tylko odgłosy kroków, zduszone sapanie Diablika i – od czasu do czasu – chrapliwe skrzeczenie ptaków.

– Trop jest wciąż bardzo wyraźny! – zawołał po chwili Borys. – Poza tym doskonale widać, w którym kierunku uciekał Robert! Widzę połamane gałęzie i ślady na ziemi. Wygląda na to, że biegł bardzo szybko.

Im głębiej wchodzili w puszcę, tym gęstsza była roślinność. Chwilami Jack musiał się przedzierać przez kolczaste krzewy, które sięgały mu do

połowy ud. Przez cały czas spoglądał w kierunku Sparky'ego, ponieważ chciał mieć pewność, że chłopiec posuwa się naprzód. Ale Sparky doskonale dawał sobie radę – jakby koniecznie chciał udowodnić, że jego przepowiednie naprawdę się spełnią. Jack zauważył, że chłopak jest rozkojarzony, jakby myślami był bardzo, bardzo daleko. Sparky parł do przodu, pomagając sobie długim kijem, który znalazł między suchymi gałęziami. Nie rozglądał się na boki, nie interesowało go nawet to, gdzie jest ojciec. Może wspominał Malcolma i zastanawiał się, czy tutaj, w Puszczy Kampinoskiej, znajdzie coś, co wyjaśni zagadkę jego samobójstwa? A może myślał o matce i dziwił się, że jej głos zaprowadził go aż tutaj, do tej dziewiczej puszczy w dalekim kraju?

Po jakichś czterdziestu minutach Jackowi zaczęło doskwierać zmęczenie i pragnienie. Ręce miał poranione kolcami jeżyn. Miał właśnie krzyknąć do Borysa, że już najwyższy czas na wypoczynek, gdy niespodziewanie usłyszał głośny trzask pękającej gałęzi. Źródło tego dźwięku znajdowało się w odległości kilku metrów po prawej stronie. W pierwszej chwili wydawało mu się, że zbliża się do niego jakieś duże zwierzę.

Przystanął i zaczął nasłuchiwać. Przez blisko trzydzieści sekund niczego nie słyszał, poza chrapliwym krakaniem wron. Jednak po chwili, zupełnie niespodziewanie, krzaki znowu zatrzeszczały, głośno i wyraźnie, i tym razem Jack zobaczył, że coś się w nich rusza.

– Borys! – krzyknął. – Borys!

Borys zatrzymał Diabluka w miejscu.

– Co jest?! Co się stało?!

– Coś chyba jest w krzakach, blisko mnie. Jakby jakieś zwierzę!

– Poczekaj! Zaraz do ciebie podejść i zobaczę.

– Sparks! – zawołał Jack. – Zaczekaj! Krystyna! Lidia! Zatrzymajcie się!

Borys wszedł głębiej w krzaki w kierunku, który wskazał mu Jack.

Poluźnił smycz, żeby Diablik mógł podjąć trop.

– Jeśli jest tam zwierzyna, pies ją wytropi.

– Miałem wrażenie, że przechodzi bardzo duże zwierzę – powiedział Jack. – Przez chwilę te krzaki aż się trzęsły.

Podeszły do nich Krystyna i Lidia.

– Znalazłeś coś? – zapytała Krystyna.

– Chyba usłyszałem jakieś zwierzę – powiedział Jack. – Ale wygląda na to, że już sobie poszło, bo nic się nie dzieje.

– Rzeczywiście – mruknął Borys. Dla pewności jeszcze kilkakrotnie dźgnął krzaki lufą strzelby. – Tutaj na pewno nic nie ma.

Skrócił smycz i zaproponował:

– Może to dobra chwila na odpoczynek, co? Jak już mówiłem, trop twojego kolegi, Krystyno, jest bardzo wyraźny. Jestem pewien, że wkrótce go znajdziemy.

Usiedli na ziemi w małym prześwicie. Krystyna rozdała wszystkim po butelce wody i po waflu czekoladowym. Sparky wciąż sprawiał wrażenie pogrążonego we własnych myślach i w końcu Jack go zapytał:

– Nad czym się tak zastanawiasz, Sparks?

– Co? Och, w sumie nad niczym.

– Czy to ma związek z twoimi kartami nieba?

Po kolanie Sparky'ego pełzał mały czerwony pajęczek. Chłopiec wyciągnął rękę i pajak wszedł mu na palec wskazujący. Następnie Sparky przyłożył palec do ust i mocno dmuchnął. Pajak poleciał na ściółkę leśną.

– Moje przepowiednie nie zawsze są dokładne w stu procentach – powiedział poważnie.

– Jasne, rozumiem. Zdaje się, że astrologia nie jest nauką ścisłą, prawda?

– Widzisz, tato, ja muszę się opierać na gwiazdach i planetach. Na tym

polega kłopot. Bo najbliższą gwiazdę Alfa Centauri dzieli od nas 4,36 lat świetlnych, a najbliższą planetą jest Wenus, której odległość na Ziemi waha się od 138 do 261 milionów kilometrów. Nie należy się więc dziwić, jeżeli przy układaniu kart popełni się błąd.

– Czy stworzyłeś jakąś przepowiednię i *chcesz*, żeby się nie sprawdziła?

Sparky popatrzył na Jacka z takim wyrazem twarzy, jakby chciał powiedzieć: doskonale mnie znasz, prawda? Mimo że bardzo mu było trudno orientować się w nastrojach innych ludzi, sam nie potrafił ukrywać własnych. Przynajmniej przed ojcem.

– On nie żyje – powiedział. – Albo wkrótce umrze. Tak mi powiedziała karta nieba.

– Masz na myśli Roberta? Tego mężczyznę, którego teraz szukamy?

Sparky pokiwał głową.

– Nie wiem, jak zginął ani gdzie to się stało, ale myślę, że nie żyje. Wskazują na to wszystkie znaki.

– Rozumiem – powiedział Jack. – Ale na razie zatrzymajmy to dla siebie, dobrze? Nie chciałbym najpierw zdenerwować Krystyny, a potem się przekonać, że Robert jednak żyje.

Zapadła długa cisza. Przerwał ją Sparky.

– Lubisz Krystynę, prawda, tato?

– Tak, Sparks, lubię ją. Ale nie wyciągaj pochopnych wniosków. Nie zakochałem się w niej. Jeszcze nie... i może wcale się nie zakocham. Kiedy spotkałem twoją mamę, czułem się tak, jakby przejechała po mnie ciężarówka. Jeśli chodzi o Krystynę na razie nic takiego nie nastąpiło.

– W każdym razie, jeśli się w niej zakochasz, nie będę miał nic przeciwko temu.

Jack z czułością zmierzwił czuprynę chłopca.

– Daj spokój. Musimy już ruszać. Jest za piętnaście czwarta. Tylko ani słowa na temat Roberta, dobrze? Nic nie mów o swoich przeczuciach, dopóki go nie znajdziemy. Jeżeli go znajdziemy.

Jack wstał. W tej samej chwili znowu coś się poruszyło w krzakach – w odległości mniej więcej trzydziestu metrów od niego. Tym razem usłyszeli to wszyscy – Krystyna, Lidia i Borys. Diablik nastawił uszu, a z głębi jego gardła wydobyło się krótkie warknięcie.

Na niebie krzyknął jakiś samotny ptak. Potem nastąpił moment nieznośnej ciszy, zdawało się, że nawet wiatr ucichł. Jednak ta cisza skończyła się bardzo gwałtownie. W jednej chwili rozległ się trzask pękających gałęzi, liście na drzewach zadrżały, a krzaki zakołysały się z boku na bok tak gwałtownie, jakby ktoś lub coś rozgarniało je w szaleńczym biegu. Jeśli było to zwierzę, musiało mieć co najmniej wielkość dzika.

– Bierz go! – zawołał Borys, zamierzając uwolnić Diablaka ze smyczy.

W tej samej chwili Sparky krzyknął:

– Nie!

– O co chodzi, chłopcze? – zapytał go Borys. – Diablik da sobie radę z każdym zwierzęciem, nawet z rysiem.

– To nie jest ryś!

– Dobrze, dobrze. To nie jest ryś. W takim razie, co to jest?

– Nie wiem! Ale niech pan nie spuszcza psa!

Borys popatrzył na Krystynę i wzruszył ramionami.

– Trzymaj go na smyczy, Borys – powiedziała. – Cokolwiek to jest, lepiej, żeby Diablik za tym nie biegał. Przecież zależy nam przede wszystkim na tym, żeby znaleźć Roberta.

W krzakach znowu coś zatrzeszczało, tym razem trochę dalej i bardziej na lewo. Popatrzyli po sobie z zaniepokojeniem.

– Założę się o każde pieniądze, że to jest ryś. Ryś albo łoś. Oba te gatunki są bardzo płochliwe – stwierdził Borys.

Pięć osób znowu rozstawiło się w tyralierę, chociaż znacznie ciaśniej niż na początku. Niebo ponad koronami drzew wciąż było błękitne, jednak słońce nieuchronnie zbliżało się ku linii horyzontu, a jego promienie świeciły prawie poziomo. Powietrze robiło się coraz chłodniejsze i zaczęły śpiewać zupełnie inne ptaki niż wcześniej – gajówki i drozdy.

Jack poczuł się nieswojo. Teraz, gdy zbliżał się wieczór, miał wrażenie, że w ziemi poruszają się zwłoki tych wszystkich pomordowanych, których dotychczas nie odkopano. Chociaż wiele ciał ekshumowano po wojnie, było powszechnie wiadomo, że wielu masowych grobów jeszcze nie odnaleziono. Jack niemal fizycznie czuł, jak z piaszczystej ziemi wyciągają się ku niemu ręce bezimiennych zmarłych i łapią go za kostki w desperackich prośbach, żeby wreszcie godnie ich pochowano.

Diablik węszył z nosem przy ziemi, co chwilę głośno prychając. Wciąż podążał tropem Roberta. Las stopniowo zaczął rzednąć i w końcu cała grupa wyszła na wielką polanę w kształcie kwadratu. Porastały ją kępy trawy, jednak większą jej część zajmowały piaski. Krystyna podeszła do Jacka i popatrzyła na swój wielki zegarek.

– Jest szesnasta dwadzieścia – powiedziała. – Do tej pory przeszliśmy prawie sześć kilometrów. Borys mówi, że ślady na piasku są głębokie, co świadczy o tym, że nawet dotarłszy tutaj, Robert nadal biegł. A on wcale nie był wysportowanym facetem. Nie uprawiał żadnej dyscypliny sportu, no i pił mnóstwo piwa. Nie wiem, jakim cudem zdołał przebiec aż taki kawał.

– Wszystko zależy od tego, przed czym uciekał. Albo od tego, co według jego wyobrażeń, go goniło.

– Twój syn przez cały czas milczy. Nic mu nie jest?

– Sparky? Wszystko z nim w porządku. To nie jest hałaśliwy chłopiec.

– Dlaczego mówisz do niego Sparky? Jest jakiś powód?

– Och, to się zaczęło, kiedy miał około dwóch lat. Zabraliśmy go na wieś, do kuzynów, w pobliże miasteczka o nazwie Dekalb. Kiedy wieczorami patrzyliśmy w niebo, widzieliśmy na nim mnóstwo gwiazd, nie tak jak w mieście, gdzie obserwowanie ich jest praktycznie niemożliwe z powodu sztucznego oświetlenia. Sparky myślał, że to są iskierki, takie jak te, które strzelają z ogniska. „Iskierki! Iskierki!”^u, wołał. Chyba to właśnie dało początek jego zainteresowaniu astrologią.

Wciąż rozmawiali, kiedy usłyszeli przed sobą trzask gałęzi, w miejscu, w którym puszcza znowu zaczynała gęstnieć. Tym razem były to gwałtowne, chaotyczne odgłosy; tak jakby ktoś ujął krzak w obie ręce i energicznie nim potrząsał.

– Nie, to nie może być zwierzę – stwierdziła Krystyna. – Jakie leśne zwierzę mogłoby coś takiego zrobić?

– Prawdopodobnie masz rację – zgodził się Jack. – Borys! Weź Diabluka! Spróbujemy się przekonać, co to jest, do cholery!

– Ale nie spuszcza psa ze smyczy! – Krystyna upomniała Borysa. – Nie możemy go stracić.

Jack i Borys zaczęli ostrożnie schodzić po stromym piaszczystym zboczu ku drzewom, obrawszy kierunek na krzaki, które przed chwilą zatrzeszczały. Kiedy Sparky to zobaczył, krzyknął głośno:

– Tato! Nie, tato! Tato, tam niczego nie ma!

Jack odwrócił się i pomachał do niego.

– Spokojnie, Sparks! Nie denerwuj się. Nic mi się nie stanie!

Skoro niczego tam nie ma, pomyślał, nie ma się czego obawiać. Ale jeżeli jednak tam coś jest i chce nas zaatakować, Borys ma przecież strzelbę.

[1] *Spark* (ang.) – iskra (przyp. tłum.).

Gorączka puszczy

Kiedy dotarli do krzaków, te w jednej chwili znieruchomiały i znowu zaległa cisza. Nawet ptaki przestały śpiewać. Z każdą chwilą w puszczy było coraz ciemniej. Słońce w drodze za horyzont skryło się już za grubymi cumulusami, które pojawiły się na południowo-zachodnim niebie niemal nienaturalnie szybko, jak na przyśpieszonym filmie.

Jack i Borys popatrzyli po sobie, zastanawiając się, czy kontynuować poszukiwania. Diablik popiskiwał i szarpał za smycz, jakby uważał za oczywiste, że należy bezwzględnie wytropić coś, co spowodowało tyle zamieszania.

– Co o tym sądzisz? – zapytał Jack.

Borys wzruszył ramionami.

– Tak jak powiedział twój syn, prawdopodobnie już nic tam nie ma. Ale... na wszelki wypadek sprawdzmy teren, żeby się upewnić.

Podążyli za Diablikiem w krzaki. Było tu cicho i mroczno. Z chwili na chwilę robiło się chłodniej. Jack przystanął na moment, żeby się rozejrzeć. To samo zrobił Borys, ze strzelbą przygotowaną do strzału.

– Niczego nie widzę – powiedział Jack. – Nawet jeżeli było tu coś nadzwyczajnego, to już zniknęło albo się ukryło. Moim zdaniem powinniśmy wrócić do grupy i dalej podążać śladem Roberta, zanim się ściemni.

Jednak odwracając się, Jack odniósł wrażenie, że widzi jakąś białą sylwetkę przemierzającą się szybko między drzewami. Znowu się odwrócił i wysilając wzrok, wpatrzył się w las. Ze zmarszczonym czołem wpatrywał się w listowie, jednak niczego nie zobaczył.

– Co się stało? – zapytał Borys. – Widziałeś coś?

– Nie wiem. To mógł być łoś, ale był biały. Przypominał coś, na co się natknąłem w lesie w Michigan.

Borys przez kilka sekund stał bez ruchu z pochyloną głową, intensywnie nasłuchując. Po chwili stwierdził:

– Nie. Gdyby to był łoś albo inne zwierzę, usłyszałbym je.

– A człowieka usłyszałbyś?

– Cóż, ludzie są bardziej przebiegli od zwierząt – odparł Borys. – Potrafią się przycisnąć i zachowywać absolutną ciszę. Ale zapytaj sam siebie: co może robić człowiek w tej puszczy? Bawić się z nami w chowanego? Potrząsać krzakami, a potem się przed nami kryć? To raczej nieprawdopodobne. – Szarpnął smyczą, zagwizdał przez zęby i zawołał: – Tutaj, piesku. Chodź, nieposłuszny kundlu! Idziemy stąd.

Jack jeszcze raz obejrzał się przez ramię i znów odniósł wrażenie, że kątem oka widzi białą sylwetkę. Trwało to jednak tak krótko, że nie mógł być tego pewien. Uznał, że Borys miał rację. W krzakach na pewno kryło się jakieś zwierzę. Bo przecież nikt o zdrowych zmysłach nie bawiłby się w chowanego w środku puszczy, i to jeszcze o zmierzchu.

Borys ponownie podsunął Diablikowi pod pysk czapkę Roberta. Diablik zaczął krążyć na smyczy, zataczając coraz większe kręgi i jeszcze raz złapał trop Roberta. Natychmiast pociągnął Borysa przez wydmy i cała grupa ruszyła za nimi. Drzewa mieli teraz z lewej strony, ale z przodu rysowała się zwarta ściana mrocznego lasu, z bardzo wysokimi drzewami. Szli teraz całą gromadą, od czasu do czasu spoglądając między drzewa, chociaż nikt tak naprawdę nie wiedział, co chce tam zobaczyć. Czuli niepokój, ale nie znali jego przyczyny.

– Zobaczyłeś coś, tato? – zapytał Sparky, kiedy podeszli bliżej granicy drzew.

– Nie jestem pewien. Ale pewnie pamiętasz to coś białego, co

widzieliśmy w lesie w Owasippe.

– Tak myślałem – stwierdził Sparky. – Wyczytałem to z gwiazd.

– Co takiego?

– Od tego nie da się uciec; to właśnie mówią. Nie uciekniesz od tego. Jest wszędzie.

– Ale co?

Sparky nie odpowiedział. Diablik dotarł do pierwszych drzew. Borys zatrzymał go i kazał mu usiąść. Pies przysiadł na piasku, ciężko dysząc z wywieszonym językiem.

– Mamy teraz wybór – powiedział Borys po polsku. – W lesie jest już niemal zupełnie ciemno i wkrótce będziemy musieli używać latarek. Możemy kontynuować poszukiwania jeszcze przez pół godziny albo oznaczyć to miejsce i wrócić tutaj jutro. Siedemset metrów stąd jest ścieżka. Jeżeli nią pójdziemy, to w ciągu pół godziny dotrzemy do miejsca, w którym zostawiliśmy samochody.

Jack zrozumiał większość słów Borysa, jednak Krystyna na wszelki wypadek szybko mu je przetłumaczyła.

– W tej sytuacji głosuję za przerwą w poszukiwaniach – powiedział Jack. – Sparks i ja jesteśmy już bardzo zmęczeni. Poza tym, jeżeli do jutra rana Robert się nie zgłosi, będziemy mogli powiadomić policję. A policja z pewnością pomoże nam w poszukiwaniach.

– Zgadza się – dodała Krystyna. – Ja też jestem już zmęczona. Nie rozumiem, dlaczego Robert pobiegł aż tak daleko, ale jeśli coś go ścigało, na razie nic nie wskazuje na to, że z sukcesem. Poza tym mój telefon komórkowy nie ma tutaj zasięgu, a istnieje przecież możliwość, że właśnie w tej chwili Robert telefonuje do mnie z Warszawy i z kolei on się zastanawia, gdzie ja jestem.

Cała piątka ruszyła skrajem lasu na wschód. Niebo prawie całkowicie

pociemniało. Borys włączył latarkę i od czasu do czasu oświetlał nią teren pomiędzy drzewami.

– Naprawdę sądzisz, że Robert jest teraz w Warszawie? – Jack zapytał Krystynę.

Pokręciła głową.

– Nie. Ale nie mam zielonego pojęcia, co mogło mu się przytrafić. I staram się nie wyobrażać sobie najgorszego.

Przeszli jeszcze mniej więcej dwieście metrów, gdy nagle Diablik szczerknął i ruszył do lasu. Zatrzymał się dopiero wtedy, gdy dalsze ruchy uniemożliwiła mu niezbyt długa smycz.

Borys szarpnął smyczą i krzyknął na psa, który zaczął ujadać głośniej niż zwykle i kręcić się dookoła własnej osi, aż zaplątał się w smycz.

– Wiesz, kim ty jesteś? – zganił go Borys. – Jesteś najgłupszym psem, o jakim kiedykolwiek słyszałem. – Poszedł za psem i po chwili wyplątał go ze smyczy. – Za mną! – krzyknął, jednak Diablik znowu skoczył pomiędzy drzewa, pociągając Borysa za sobą.

Po jakichś pięćdziesięciu metrach pies zatrzymał się i podniósł coś z ziemi. Podbiegł z tym do Borysa, machając ogonem.

– Co ty masz, Diablik? – Jack usłyszał pytanie Borysa. – Oddaj mi to natychmiast. Dawaj, ty debilu! Co to jest?

Diablik nie chciał oddać zdobyczy i warczał, kiedy Borys spróbował mu ją wyrwać z pyska. Po chwili jednak górą był Borys. Wziął psie znalezisko do ręki i niemal natychmiast rzucił je na ziemię.

– O Boże! – wrzasnął.

– Borys! Co się stało? – zawołała Krystyna.

Ruszyła w jego kierunku, jednak Jack złapał ją za rękaw i powiedział:

– Nie, Krystyno. Poczekaj. Najpierw ja to sprawdzę.

Krystyna popatrzyła na Jacka z niemym pytaniem na twarzy, on jednak pokręcił głową, ostrzegając ją w ten sposób, że Diablik mógł znaleźć coś, co niekoniecznie chciałaby zobaczyć.

– Dobrze, w porządku.

Borys miał na twarzy wyraz najwyższej odrazy i energicznie wycierał rękę w spodnie. Przez cały czas wpatrywał się w coś, co przed chwilą odrzucił na ściółkę leśną.

– Jezu Chryste – powtórzył. – Widziałeś to?

W pierwszej chwili Jack nie wiedział, z czym ma do czynienia. Pochylił się jednak i szturchnął przedmiot gałązką. Diablik przez cały czas uważnie go obserwował, ciężko dysząc, jakby miał zamiar odzyskać znalezisko, kiedy tylko Jack się przestanie nim interesować.

Była to część ludzkiej nogi od kolana w dół, w długiej jasnoniebieskiej bawełnianej skarpecie, zrolowanej do połowy łydki. Ktoś odciął nogę pod kolanem; wyraźnie było widać białe włókna ścięgien i czerwone mięśnie. Trudno było się dziwić, że Diablik chciał w nim zanurzyć kły.

Podeszła do nich Krystyna.

– Co to jest? – zapytała głośno.

– Noga – odparł Borys. – Męska noga.

Krystyna podeszła jeszcze bliżej, chcąc się przekonać, że Borys nie żartuje. Przez długą chwilę wpatrywała się w kończynę, z przerażeniem przyciskając dłoń do ust.

– Boże – powiedziała w końcu. – Jestem pewna, że to noga Roberta. Często nosił długie niebieskie skarpety.

– Moim zdaniem nadszedł najwyższy czas, żeby wezwać policję – stwierdził Jack. Wyjął z kieszeni komórkę, otworzył ją, jednak nie miał sygnału. – Najlepiej wróćmy do samochodów i podjedźmy do najbliższego posterunku służby leśnej. Chyba wiesz, gdzie to jest, Borys?

– Oczywiście. Niedaleko Palmir.

– Jak myślisz, powinniśmy zabrać tę nogę, czy zostawić ją tutaj?

– Zdecydowanie zabrać. Oznaczmy to miejsce, żeby było wiadomo, gdzie ją znaleźliśmy. Przecież Diablik na pewno by ją obgryzł, gdyby tylko mógł. A więc inny drapieżnik także może to zrobić. Poza tym podejrzewam, że w pobliżu znajdują się inne szczątki ludzkie.

Pies wciągnął powietrze, energicznie warknął i spróbował pociągnąć Borysa głębiej do puszczy.

– Co znowu? – zapytał Borys. Uparty pies ciągnął go i warczał, aż wreszcie Borys zauważył: – Może wyczuł jeszcze jakiś zapach?

Zaczął rozwijać smycz Diablika i pies natychmiast wbiegł pomiędzy drzewa. Nie zdążył wykorzystać ośmiu metrów długości smyczy, kiedy znowu coś znalazł. Warcząc, zaczął szarpać łbem i potrząsać czymś, co chwycił w zęby.

Borys podszedł do niego i znowu siłą musiał mu odbierać znalezisko. Gdy je złapał, natychmiast upuścił z powrotem na ziemię i zawołał:

– Kolejna noga! Cholera! Także w niebieskiej skarpecie!

Jack popatrzył na Sparky'ego, który razem z Lidią czekał w pewnej odległości od nich.

– Nadszedł chyba najwyższy czas, żebym zabrał stąd chłopca – powiedział do Krystyny. – Pamiętam, jakie miał koszmary, kiedy zobaczył na ulicy rozjechanego psa...

– Przytrzymaj to, bardzo proszę – powiedział Borys do Jacka i podał mu strzelbę.

Jacka zdziwił ciężar tej broni. Przewiesił ją sobie przez ramię, a tymczasem wyjął z torby płócienny worek i dwie plastikowe torby z jakiegoś supermarketu. Krzywiąc się z odrazą, zapakował nogę do torby, a następnie wrzucił pakunek do worka. Potem wrócił do pierwszej nogi i ją także

umieścił w worku, wcześniej zabezpieczywszy ją w kolejnej plastikowej reklamówce.

– W porządku. Możemy iść – powiedział.

Jednak gdy tylko ruszyli, żeby dołączyć do Lidii i Sparky'ego, Diablik znowu zaczął warczeć i spróbował wciągnąć Borysa dalej pomiędzy drzewa.

– Powoli! – krzyknął Borys. – Głupi psie, jeżeli tutaj jest jeszcze coś, policja się tym zajmie!

Pociągnął Diabliska na ścieżkę, pies jednak nie ustępował. Głośno warczał i dziko szarpał smycz.

– Chodź, Sparks. – Jack otoczył chłopca ramieniem. – Myślę, że jak na jeden dzień mamy już dosyć.

Sparky odwrócił się jednak w kierunku lasu i odparł:

– Diablik wskazuje inną drogę.

– Wiem. Ale Diablik znalazł już dosyć okropności.

– Co znalazł?

Jack popatrzył na Krystynę, ale ta jedynie wzruszyła ramionami. Cóż, Sparky musiał się tego dowiedzieć wcześniej czy później, dlaczego więc miałby nie poznać prawdy od razu? W końcu Jack nigdy go ani nie okłamywał, ani niczego przed nim nie ukrywał, szczególnie po śmierci Aggie. Czy mógł mu przekazać coś gorszego niż: „Twoja mama umarła”?

– Stopy – odparł. – Dwie odcięte ludzkie nogi.

Sparky pokiwał głową.

– Tak myślałem. Gwiazdy mówiły o człowieku, który nie będzie już mógł biegać. Merkury cofnął się do znaku Lwa.

– Rozumiem. A co to dokładnie znaczy?

Sparky nakreślił palcem w powietrzu koła; pierwsze kręcąc w lewo, a drugie w prawo.

– Merkury porusza się zwykle do przodu. To jest zwykły postęp. Ale kiedy zaczyna się cofać, a to się zdarza, następuje wielki bałagan. Mamy wtedy chaos na drogach, opóźnienia w ruchu lotniczym, nic się nie dzieje zgodnie z planem. Ale Merkury ma jeszcze jedną właściwość. Merkury jest psychopompem.

– Czym?

– Psychopompem, przewodnikiem dusz. Psychopomp to istota, która odprowadza dusze ze świata rzeczywistego do świata zmarłych lub przenosi je tam. Niektórzy za jego zgodą mogą tę granicę przekraczać.

– Nie podoba mi się to. Bo chodzi przecież o śmierć, prawda?

Sparky popatrzył na ojca bez mrugnięcia. Jack zaczynał coraz bardziej żałować, że zabrał chłopaka do Polski i do tej okropnej, zapomnianej przez Boga puszczy. Z drugiej strony rozumiał jednak, że ani on sam, ani Sparky tak naprawdę nie mieli w tej kwestii wyboru.

W przeciwieństwie do innych młodych ludzi Sparky nie potrafił niczego przyjmować na wiarę. Nigdy nie odpuszczał i starał się dogłębnie pojmować zasady funkcjonowania świata, zarówno te fizyczne, jak i duchowe, i dopóki czegoś do końca nie pojął, nie ustawał w dociekaniach. Teraz też – Jack musiał pogodzić się z myślą, że chłopak nie spocznie, dopóki się nie dowie, dlaczego Malcolm popełnił samobójstwo. Przyjazd do Kampinoskiego Parku Narodowego dawał mu taką szansę.

– Dobrze, Sparks. Co proponujesz? – zapytał.

– Powinniśmy pozwolić Diablikowi, żeby pokazał nam, co jeszcze leży między drzewami.

Jack znowu popatrzył pytająco na Krystynę.

– A jeśli to są ludzkie zwłoki? – zapytał. – Albo ich kolejne fragmenty?

– To jest bardzo prawdopodobne – powiedział Sparky spokojnie.

– A nie będziesz miał potem koszmarów?

- Koszmary już mam. Malcolm nawiedza mnie co noc.
- Malcolm? Nic mi nie mówiłeś.
- Chce mi coś powiedzieć, ale nie może, bo ma poderżnięte gardło i tylko niezrozumiale bulgocze.

Do rozmowy wtrącił się Borys.

– Jack, musimy się szybko na coś zdecydować, bo za chwilę będzie całkiem ciemno.

– Koniecznie musimy go poszukać – stwierdził Sparky z naciskiem. – Przecież on może jeszcze żyć.

– Czy to byłoby mądre z naszej strony? – zapytała Lidia z powątpiewaniem. – Przecież ten, kto mu to zrobił, może tu gdzieś być. Może nam grozić niebezpieczeństwo.

– Nikogo tu nie ma – oświadczył Sparky. – Ani niczego.

– Skąd ta pewność, Sparky? – zdziwiła się Lidia. – Przecież jesteś zaledwie małym chłopcem. I pewnie po raz pierwszy w życiu znalazłeś się w takiej puszczy.

– Posłuchajcie mnie – poprosił Jack. – Dajmy sobie jeszcze dwadzieścia minut. Jeżeli w tym czasie niczego nie znajdziemy, przerwiemy poszukiwania, dobrze?

Diablik wciąż był niespokojny. Warczał, poszczekiwał i szarpał za smycz. Nie uspokoił się nawet wtedy, gdy Borys na niego krzyknął.

– Dobrze – postanowiła Krystyna. – Jeszcze dwadzieścia minut poszukiwań. I ani chwili dłużej.

Cała piątka znowu weszła do lasu. Diablik prowadził, a Borys z trudem starał się nad nim panować. Było już ciemno. Borys włączył latarkę i podał ją Jackowi, a Krystyna wyciągnęła z kieszeni własny mały halogen. Powietrze pachniało suchym drewnem, stęchlizną i wieloma innymi zapachami. Sowy pohukiwały, a ich młode popiskiwały, jakby ktoś otwierał drzwi starego

kredensu o dawno nieoliwionych zawiasach.

– Nie wiem, co ja tutaj robię – narzekała Lidia.

Nagle wpadła na jakiś krzak i mocno się podrapała.

W pewnej chwili Diablik znieruchomiał i wydał przeciągły skowyt z najgłębszych czeluści psiego gardła.

– Poczekajcie – powiedział Borys. – Poczekajcie chwilę. Chyba widzę kogoś przed nami. Tam, trochę na prawo. Jack, poświeć w tym kierunku, dobrze?

Jack skierował światło latarki we wskazane miejsce. Borys miał rację. Pomiędzy drzewami, twarzą zwrócony w ich kierunku, w odległości mniej więcej trzydziestu metrów stał mężczyzna. Był łysawy, miał jasne wąsy, ubrany był w granatową dżinsową kurtkę, brązową koszulę w kratę i dżinsy. W blasku latarki wydawało się, że jego oczy się poruszyły, jednak mężczyzna nie zawołał ani nie pomachał rękami. W ogóle nie dał żadnego znaku, żeby pokazać, że ich zobaczył.

– Robert! – zawołała Krystyna. – To jest Robert!

Pobiegła w jego kierunku, przyświecając sobie latarką pomiędzy drzewami.

– Robert! Co ty tutaj robisz? Co się stało?

Borys i Jack pobiegli za nią. Jack zauważył, że zachowanie Diablaka nagle się zmieniło: zaczął skomleć i przywarował do ziemi, tak że Borys musiał go ciągnąć, żeby w ogóle się ruszył.

Kiedy podeszli do Roberta, Jack natychmiast się zorientował, że jest z nim bardzo źle. Stał, nachylony pod dziwnym kątem, z kolanami wbitymi w ziemię, a ręce miał zwieszane wzdłuż tułowia jak zombie. Co chwilę otwierał i zamykał usta.

– Sparks. – Złapał chłopca za rękaw. – Nie podchodź bliżej, dobrze? Ani kroku.

– Ale on żyje, prawda, tato?
– Tak, żyje. Ale mimo wszystko nie podchodź tam.
– Tato, przecież nie jestem już dzieckiem. Mam dwanaście lat!
– Wiem, Sparks. Ale pozwól, że tym razem ja sam sprawdzę, co się stało.
– Ja z nim zostanę – powiedziała Lidia. – Jeśli Diablik boi się podejść do Roberta, chłopiec tym bardziej nie powinien do niego podchodzić.

Sparky niechętnie został przy Lidii, a Jack dołączył do Borysa i Krystyny. Diablik szarpał tak mocno, że Borys w końcu maksymalnie wydłużył smycz, żeby pies mógł odejść jak najdalej.

Kiedy podeszli bliżej, Jack zauważył, że mężczyzna, chociaż znajduje się niemal w pionowej pozycji, nie ma dolnej części nóg i stoi na zakrwawionych kikutach. Nogawki jego dżinsów były podwinięte i ciężkie od wilgotnej krwi. Ręce również miał zakrwawione.

– Robert – powiedziała cicho Krystyna, dotykając jego nieogolonego policzka. – Robert, to ja, Krysia. Słyszysz mnie? Kto ci to zrobił?

Mężczyzna przewrócił oczyma i spróbował zatrzymać na niej spojrzenie. Z ust pociekła mu strużka śliny zmieszanej z krwią.

– Robert, posłuchaj mnie! To ja, Krysia. Co tu się stało? Kto ci to zrobił?
– To ja – wycharczał Robert. – Ja sam...
– Ty? Ale jak? Dlaczego?!

Borys stanął za plecami Roberta. Przyjrzał mu się, przeżegnał się, a potem skinął na Jacka, żeby do niego dołączył. Po chwili Jack stanął przy nim i oświetlił latarką plecy Roberta. Pomiędzy jego nogami zobaczył wysoki pieńek młodej sosny o łuszczącej się pomarańczowej korze. Sosna została ułamana i jej ostry koniec był wbity w krocze Roberta.

– Jezu – jęknął Jack. – Co teraz zrobimy?

Borys pokręcił głową.

– Nie wiem – powiedział. – Po prostu nie wiem. Jak sądzisz, jak głęboko tkwi ta sosna? Na pewno wystarczająco głęboko, żeby go utrzymywać w pozycji pionowej. Wątpię, czy damy radę go zdjąć. Zresztą, nawet gdyby nam się to udało, facet szybko wykrwawiłby się na śmierć.

Krystyna popatrzyła na nich ponad ramieniem Roberta i zapytała:

– O co chodzi?

– On jest nadziany na pień drzewa – odparł Jack. – Nie wiemy, co z nim zrobić.

– Nadziany? Nie rozumiem.

– Drzewo przebiło go pomiędzy nogami. Tylko dlatego utrzymuje się w pionie.

– Boże – jęknęła Krystyna. Następnie pochyliła się w stronę kolegi. – Robert – powiedziała łagodnie. – Słyszysz mnie? Robert. Sprowadzimy pomoc, spróbujemy cię uratować.

Robert odchrząknął i pokiwał głową.

– Sami raczej go nie ruszymy, to mogłoby się źle skończyć – ciągnęła Krystyna. – Borys, pobiegiesz po pomoc. Znasz okolicę lepiej niż ktokolwiek z nas. A my zostaniemy tutaj z Robertem. Jeżeli zostawisz nam Diabluka i strzelbę, będziemy się czuć trochę bezpieczniej. Zresztą, jeśli Robert naprawdę okaleczył się sam, nie powinno nam nic grozić.

Mężczyzna znowu chrząknął i wymamrotał coś niewyraźnie.

– Pan...

– Pan? Jaki pan? – zdziwiła się Krystyna.

Głowa Roberta gwałtownie opadła i już nic nie powiedział.

Borys podał Krystynie końcówkę smyczy. Sparky i Lidia przez cały czas stali z dala od Roberta. Od chwili, gdy usłyszeli słowa Jacka, że Robert jest nadziany na drzewo, wpatrywali się w niego w bezsilnym przerażeniu.

Akurat kiedy Jack sięgał po strzelbę, usłyszał w krzakach po lewej stronie jakiś szelest. Zaświecił latarką pomiędzy drzewa i przez ułamek sekundy widział niewyraźną białą sylwetkę, która zaraz zniknęła.

Borys także odwrócił się w tym kierunku i zmarszczył czoło. Uniósł broń, odbezpieczył ją i skierował lufę ku miejscu, z którego usłyszał szelest.

– Coś usłyszałem – powiedział.

– A ja również widziałem. Coś białego. Ale nie wiem, co to było.

Czekali w milczeniu, nasłuchując. Wkrótce szelest się powtórzył, tym razem znacznie bliżej nich, znów po lewej stronie.

– Tato – rzucił Sparky. – Tato, boję się. Tato!

Szelest stał się znacznie wyraźniejszy, a wierzchołki starych drzew ugięły się w nagłym porywie wiatru. Piasek i suche igliwie uniosły się w górę i zawirowały w powietrzu. Jackowi zdawało się, że tuż za plecami słyszy jakieś trzaski, ale kiedy się odwrócił, niczego nie zobaczył. Serce zaczęło mu bić jak oszalałe, sprawiając ból. W uszach słyszał szum własnej krwi, która zaczęła krążyć w jego żyłach ze zdwojoną prędkością. Nagle zdał sobie sprawę, że panicznie się czegoś boi i że nie jest to zwyczajny strach czy lekki niepokój, ale wielka obawa o własne życie.

Krystyna i Lidia musiały poczuć coś podobnego, ponieważ Krystyna rzuciła na ziemię latarkę i przycisnęła dłonie do uszu, jakby się obawiała, że z jakiegoś powodu może ogłuchnąć, a Lidia pobiegła kilkanaście kroków przed siebie i zaraz wróciła, z trudem łapiąc oddech. Nawet Borys kręcił się w miejscu i podskakiwał zdezorientowany, jakby wykonywał jakiś skomplikowany indiański taniec. Oczy miał rozszerzone i patrzył prosto przed siebie, jednak robił takie wrażenie, jakby zupełnie niczego nie widział.

Jack znowu dostrzegł białą sylwetkę przebiegającą za drzewami. Tym razem poczuł się, jakby ktoś wylał na niego wiadro lodowatej wody. Złapał syna za rękę i zawołał do Polaków:

– Uciekajcie! Musimy jak najszybciej wiać! Biegiem!

Krystyna popatrzyła na Jacka, jakby w ogóle nie rozumiała, co on mówi.

– Hej, złap mnie za rękę – poprosił ją Jack.

Spróbował wsunąć latarkę do kieszeni kurtki, jednak potknął się, a latarka spadła na ziemię i natychmiast zgasła. Panika, która go ogarnęła, była zbyt wielka, żeby mógł teraz myśleć o szukaniu latarki. Złapał Krystynę za rękę i razem z nią oraz Sparkym pobiegł w kierunku, z którego przybyli. Biegli, potykając się i przewracając, byle dalej od tego straszliwego miejsca.

W pewnej chwili Krystyna odwróciła głowę.

– Lidia! Borys! – wykrztusiła z siebie, ciężko dysząc. – Czy oni biegną za nami?

Jack był tak przerażony, że los Borysa i Lidii nie interesował go wcale; miał jedynie nadzieję, że jeśli ta tajemnicza istota złapie ich wcześniej, on sam, Sparky i Krystyna będą mieli większe szanse na ucieczkę.

Biegli co sił w nogach, chociaż brakowało im już tchu. Jack poczuł, że jeśli ten bieg potrwa zbyt długo, wkrótce nogi odmówią mu posłuszeństwa. W ciemności co chwilę wpadali na drzewa i kępy gęstych krzaków, dlatego byli już mocno poobijani i podrapani, jednak przez cały czas trzymali się za ręce.

Wreszcie zobaczyli za drzewami bladoszara łąć wydm. Zdali sobie sprawę, że dotarli na skraj puszczy, jednak panika nie mijała. Krystyna krzyczała ze strachu, a Sparky wydawał z siebie dziwny zawodzący dźwięk; czasem gdy śniły mu się koszmary, zdarzało mu się tak jęczeć przez sen.

Cokolwiek to jest, przez cały czas nas goni, pomyślał Jack. Biegnie za nami i dopadnie nas, kiedy się znajdziemy na wydmach. Rozerwie nas na strzępy, a szczątki rozrzuci po całym lesie. Wszyscy troje umrzemy.

Wciąż biegł, jedną ręką ciągnąc za sobą Krystynę, a drugą Sparky'ego. Wciąż gnębiły go mroczne myśli. To jest beznadziejne, mówił do siebie, na

pewno nie damy rady uciec. Najlepiej będzie, jeżeli sami się zabijemy. Przynajmniej wtedy to straszne białe coś nas już nie dopadnie.

W kieszeni kurtki czuł ciężar scyzoryka, który przy każdym kroku uderzał go w biodro. Mógłby poderżnąć gardło Sparky'emu, potem Krystynie, a na końcu sobie. Przynajmniej zaoszczędziłby wszystkim straszliwej agonii.

– Krystyna! – wystękał. – Krystyna, poczekaj! Stój.

– Nie, Jack – wydyszała. – To nas zabije! Wszyscy zginiemy!

Jack stanął i spróbował zatrzymać także Krystynę oraz Sparky'ego. Udało mu się z Krystyną, jednak Sparky wykręcił rękę z dłoni ojca i biegł dalej. Natychmiast zniknął w ciemności.

– Sparks! Wracaj! Sparks, wracaj tutaj!

Usłyszał jednak tylko oddalające się kroki i jednostajne zawodzenie chłopaka. Po kilku sekundach i to ucichło – słychać było tylko szum wiatru, skrzypienie kołyszących się drzew i trzask pękających gałęzi.

– Sparks! Sparky! Alexis! Sparks, wracaj do mnie! Natychmiast! – wrzeszczał Jack.

– My też musimy uciekać, Jack – powiedziała Krystyna błagalnie, ciągnąc go za rękaw. – Jeżeli teraz pobiegniemy za nim, dogonimy go. Jack, proszę cię!

– Krystyna, to nie ma sensu, doskonale wiesz. Nigdy nie damy rady uciec. – Na moment urwał i krzyknął jeszcze raz: – Sparks! Wróć do mnie!

Wiatr się wzmógł, a sosny dookoła zaczęły trzeszczeć jak źle zbite trumny.

– Co mamy teraz zrobić? – zapytała Krystyna.

Chociaż brakowało jej tchu, w jej głosie było już mniej hysterii, a więcej rezygnacji.

– Pomyślałem, że sami moglibyśmy z tym skończyć, teraz i tutaj. To by przynajmniej mniej bolało. Ale Sparky uciekł... – powiedział Jack.

Krystyna mocniej zacisnęła rękę na jego dłoni i popatrzyła na niego pytającym wzrokiem. Silny wiatr rozwiewał jej jasne włosy.

– To już koniec, Jack, prawda? To takie dziwne. Kiedy zobaczyłam cię na lotnisku, od razu ogarnęło mnie przeczucie, że ty i ja razem umrzemy.

Wiatr wył tak głośno, że Jack z trudem słyszał jej słowa, jednak z blasku jej oczu i ruchu warg odczytał bezbłędnie, co chce mu przekazać. Oboje byli już ogarnięci tak ogromną paniką, że niespodziewanie poczuli błogi spokój. Jackowi przypomniały się opowieści o członkach Armii Krajowej, walczących w Warszawie w czasie drugiej wojny światowej, którzy woleli popełnić samobójstwo, niż dostać się w ręce nazistów. Woleli śmierć od tortur. On teraz też wolał zginąć szybko, bez większego bólu, niż pozwolić, żeby tajemnicza istota porozrywała na strzępy jego jeszcze żyjące ciało.

Kiedy ta myśl przyszła mu do głowy, w głębi lasu, zupełnie niedaleko, rozbrzmiał głośny strzał i po krótkiej przerwie następny. Po nim nastąpiła długa przerwa i padł jeszcze jeden strzał.

– To na pewno Borys – powiedziała Krystyna. – Może udało mu się zastrzelić to, co nas ściga. Borys! – zawołała. – Borys, czy to ty?! – Wiatr wył jednak zbyt głośno, żeby ktoś znajdujący się w odległości większej niż kilka metrów mógł ją usłyszeć. – Borys! Lidia! Jesteśmy tutaj!

– Uciekajmy stąd – zarządził Jack. Odgłosy strzałów niespodziewanie wyrwały go z wywołanego paniką odrętwienia i zaczął myśleć bardziej racjonalnie. – Musimy znaleźć Sparky'ego.

– Ale Borys i Lidia...

– Daj spokój, Borys doskonale zna tę puszcę. Lepiej niż tyłek swojej żony, sam to powiedział. Nic im się nie stanie.

Znowu ruszyli biegiem, od czasu do czasu oglądając się za siebie.

Tymczasem wiatr powoli zamierał, a Jacka przestało gnębić uczucie, wywołujące ciarki na plecach, że jest ścigany. Kiedy znaleźli się na wydmie, oddychał prawie normalnie. Chmury na niebie stopniowo się rozpraszały i pojawił się nad nimi nawet rąbek księżyca, nadając puszczy wygląd, który przywodził na myśl jasno oświetloną scenę teatralną.

– Co to było, Jack? – zapytała Krystyna, próbując zaczesać palcami potargane włosy. – Co nas tak bardzo przestraszyło? Przecież to był właściwie tylko wiatr. Wiatr, nic więcej! Ja przecież niczego nie widziałam, a ty?

– Być może coś widziałem. Chociaż nie jestem pewien.

Co mógł jej właściwie powiedzieć? Że przez ułamek sekundy dostrzegął pomiędzy drzewami jakiś biały kształt i że nie miał najmniejszego pojęcia, co to było?

– Wiem tylko tyle – kontynuował – że już nigdy w życiu nie chciałbym przeżyć takiej paniki. Przenigdy. Ale teraz muszę szukać Sparky'ego. Mam nadzieję, że nie oddalił się za bardzo.

Podszedł do granicy drzew, ułożył dłonie w trąbkę, przyłożył je do ust i krzyknął:

– Sparky! Sparks! Słyszysz mnie?!

Krzyczał wielokrotnie, chodząc wzdłuż skraju lasu. Odpowiadały mu jednak tylko pohukiwania sów, niczym duchów, drwiących z niego w najlepsze. Wreszcie powiedział zrezygnowanym głosem:

– Będę musiał wejść do lasu i go szukać.

– A co z Robertem? Przecież nie możemy go tak zostawić – powiedziała Krystyna.

– Wiem. I nie mam takiego zamiaru. Ale biedny Robert przecież umiera, jeżeli już nie umarł, a ja nie mogę mu pomóc. Musimy się jakoś skontaktować ze służbami ratunkowymi.

– Ja to załatwię – postanowiła Krystyna. – A ty szukaj syna. Może przy okazji się dowiesz, dokąd poszedł Borys z Lidią. Pewnie pobiegli w złym kierunku i się zgubili.

Jack popatrzył na Krystynę.

– Posłuchaj, chyba rozumiesz, że nie zostawiłbym cię z tym, gdyby nie Sparky.

– Oczywiście. – Krystyna popatrzyła ponad jego ramieniem w głąb puszczy i dodała: – Jak myślisz, czy to, co nas ścigało, już sobie poszło? Nie chcę, żeby ci się coś stało.

– Nie mam pojęcia. Być może Sparky miał rację i w puszczy niczego nie ma. Może to tylko my postradaliśmy na krótko zmysły z jakiegoś niejasnego powodu. Tyle że kilka minut temu, przysięgam, byłem gotów zabić nas wszystkich, także siebie, byleby nie dopadło nas to, co nas ścigało, przynajmniej w moich wyobrażeniach.

Krystyna dotknęła jego rękawa, jakby chciała się upewnić, że i ona, i Jack wciąż żyją.

– Była chwila, Jack, kiedy przyjąłabym tę śmierć z ulgą. – Na moment odwróciła wzrok, po czym popatrzyła mu w oczy. – Błagałabym, żebyś mnie zabił.

Nieszczęśliwe zakończenie

Kiedy Krystyna poszła, żeby wezwać pomoc, Jack ostrożnie wrócił pomiędzy drzewa. Księżyc wciąż jasno świecił, jednak już po chwili się zsunął za wysokie wierzchołki drzew i zniknął. W głębi lasu było zbyt ciemno, żeby cokolwiek widzieć na odległość większą niż dwadzieścia metrów. Jack bał się, że zabłądzi, dlatego szedł bardzo powoli i starał się trzymać przyjętego kierunku.

Zanim zaczął nawoływać Sparky'ego, przez chwilę stał w bezruchu i nasłuchiwał, chcąc się upewnić, że nic nie szeleści w krzakach, nie czai się w ciemności i że drzewami nie kołysze nienaturalny wiatr. Teraz jednak w lesie panowała cisza, nie słychać było nawet pohukiwania sów, tylko skrzypienie ocierających się o siebie pni i odgłosy wydawane przez normiki drążące swoje korytarze.

– Sparky! – zawołał Jack. – Sparky! Gdzie jesteś, Sparks? To ja, tato! – Gwizdnął na palcach i znowu krzyknął: – Sparks, to ja! Gdzie jesteś, synu?

Gwizdnął jeszcze dwa razy i zaczął nasłuchiwać. Nic się nie wydarzyło. Usłyszał tylko, jak z drzew spadło kilka szyszek.

Z kolei zawołał Borysa i Lidę, a potem gwizdnął na Diabluka. Ponownie odpowiedziała mu jedynie cisza. Odniósł wrażenie, że jest w tej puszczy zupełnie sam.

Wciąż na zmianę krzyczał i gwizdał, kiedy z prawej strony usłyszał trzask suchych gałęzi. W pierwszej chwili z powodu ciemności nie dostrzegł, co jest źródłem hałasu, jednak wkrótce z mroku wynurzyła się biała postać. Szła prosto w jego kierunku. Właśnie miał zażądać, żeby się zatrzymała, i ostrzec, że jest uzbrojony, gdy zdał sobie sprawę, że to jest Sparky.

– Sparks! – zawołał i ruszył ku niemu.

Objął syna ramionami i mocno uściskał. Sparky nie zareagował na uścisk, co było u niego niezwykle. Jego ramiona zwisały luźno wzdłuż tułowia. Nawet nie spróbował pocałować Jacka w policzek.

– Hej, stary, nic ci się nie stało? – zapytał Jack. – Przez chwilę się bałem, że zabłądziłeś i że cię straciłem na zawsze.

– Nie zabłądziłem. Gdzie jest Krystyna?

– Pobiegła po pomoc. Nie wiemy, co się stało z Borysem i Lidią. Żałuję, że zgubiłem moją cholerną latarkę.

– Oni nie żyją. Wiedziałem, że umrą.

– Nie żyją? Skąd wiesz?

– Nie słyszałeś strzałów? Oboje nie żyją i Diablik też. Borys zastrzelił Lidię i psa, a potem siebie.

– Ale chyba tego nie widziałeś?

– Nie.

Sparky wydawał się dziwnie obojętny. Nie okazywał już strachu.

– Daj spokój, Sparks... Borys mógł strzelać, żeby przepędzić to, co nas goniło.

– Niestety nie. Wszystko widziałem w gwiazdach. Tym razem były bardzo dokładne. Powiedziały, że następne wydarzenie będzie konsekwencją poprzedniego.

– Co to znaczy?

– Gwiazdy powiedziały, że jeśli my znajdziemy Roberta, nas znajdzie duch.

– Duch?

– Tak... Powiedziały też, że jeśli to nastąpi, dwoje z nas umrze. To dlatego chciałem, żebyśmy uciekali. Nie chciałem, żebyśmy to byli my, ty, ja

albo Krystyna.

– Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś, zanim zaczęliśmy szukać Roberta? Przecież nawet nas do tego zachęcałaś, pamiętasz? Kiedy znaleźliśmy nogi Roberta, mogliśmy je zabrać i wezwać pomoc. Wcale nie musieliśmy wchodzić w las i szukać dalej.

– Musiałem się przekonać, czy gwiazdy mówią prawdę. I czy on istnieje naprawdę.

– Duch?

– Tak. Pamiętaj, że muszę się dowiedzieć, dlaczego zginął Malcolm. Dlaczego on się zabił.

– Ale jeżeli masz rację co do Borysa i Lidii, Sparks... to by znaczyło, że zginęło dwoje ludzi, a ty jesteś za to odpowiedzialny. Przynajmniej pośrednio. To straszne.

– Nie jestem za nic odpowiedzialny, tato. Ich śmierć przepowiedziały gwiazdy. Przepowiedziały, że zginie dwoje ludzi, chociaż nie wskazały dokładnie kto. To by się i tak stało, niezależnie od tego, jak bym postąpił.

– Naprawdę? – Zachowanie Sparky'ego wywołało u Jacka zaniepokojenie i złość. Zawsze z trudem nad sobą panował, kiedy chłopak zaczynał w ten sposób przemawiać. Jego głos brzmiał bardzo racjonalnie, a przecież Jack nie widział w astrologii nic racjonalnego. – Co jeszcze powiedziały gwiazdy o tym duchu?

Sparky patrzył w bok, jakby słowa, które wypowiadał, czytał z telepromptera.

– Już ci mówiłem, tato. To jest coś, czego nigdzie nie ma, ale jednocześnie jest wszędzie. Powinniśmy już iść.

– Niczego nie pojmuję, Sparks. Wydawało mi się, że tam, w lesie, widziałem dzisiaj tę białą sylwetkę. Tylko mi mignęła przed oczyma. Była podobna do tej z Owasippe. Czy to jest ten twój duch?

– Powinniśmy już iść.

– Sparks, zadałem ci pytanie. Ta biała sylwetka... czy to jest duch?

– Powiedziałem ci. Niczego nie ma. Chodźmy.

Jack nie chciał jeszcze mocniej naciskać na Sparky'ego. Chłopiec był wstrząśnięty i coraz bardziej rozkojarzony; potrzebował tygodni, żeby wyjść z takiego stanu.

– Sparks, posłuchaj mnie – powiedział jednak. – Nigdzie nie pójdziemy. Zostaniemy tutaj, dopóki Krystyna nie sprowadzi pomocy. Nie możemy przecież zostawić Roberta samemu sobie. A co z Borysem i Lidią? Przecież któreś z nich może być tylko ranne, prawda?

– Ale przecież nie wiemy, gdzie oni są – zauważył Sparky. Jack bardzo chciał, żeby syn przestał wreszcie przemawiać do niego tym śmiertelnie monotonnym głosem. – Jak możemy im pomóc, skoro nie wiemy, gdzie się znajdują?

– Nie o to chodzi. Po prostu nie możemy stąd tak po prostu odejść, skoro w pobliżu prawdopodobnie znajduje się ktoś, kto potrzebuje naszej pomocy.

Sparky nie skomentował jego słów, tylko odwrócił się i podszedł do dużego kamienia wystającego z piasku. Usiadł na nim, zwrócony plecami do Jacka, z rękami złożonymi na piersiach, dając ojcu do zrozumienia, że zostając z nim, robi mu wielką łaskę. Jacka aż korciło, żeby na niego nakrzyczeć, z dotychczasowego doświadczenia wiedział jednak, że w ten sposób tylko pogorszyłyby sytuację. W domu potraktowałby go surowo za te kaprysy, jednak tutaj, w tej sytuacji, w której się znaleźli, niewiele mógł zrobić.

Dopiero po jakichś dwóch godzinach zobaczyli pomiędzy drzewami białe i niebieskie światła ambulansu, a potem usłyszeli mozolne wycie pojazdów z napędem na cztery koła.

Przez te dwie godziny Jack bezustannie nawoływał Borysa i Lidię, od czasu do czasu gwizdał też na Diablika. Sparky, milcząc, siedział na kamieniu z założonymi rękami. Wstał tylko raz, żeby zrobić siku pod drzewem.

Brnąc przez piasek, powoli podjechały do nich dwa wozy policyjne, jeep z Kampinoskiego Parku Narodowego i karetka pogotowia ratunkowego – mercedes klasy G. Jakież dwieście metrów za tą kolumną toczyła się toyota Krystyny. Samochody zatrzymały się, jednak nadal świeciły światłami drogowymi, a na ich dachach pobłyskiwały niebieskie koguty. Z samochodów wyskoczyło sześciu policjantów i dwóch sanitariuszy, a po chwili pojawiła się także Krystyna. Podbiegła do Jacka, a wraz z nią podeszli dwaj policjanci w mundurach i jeden w cywilu. Ręce trzymał w kieszeniach czarnej skórzanej kurtki.

– Znalazłeś Sparky'ego! – zawołała Krystyna. Podeszła do chłopca i położyła dłoń na jego ramieniu. – Sparky? – Uśmiechnęła się. – Nic ci nie jest?

Chłopak milczał i z niechęcią odsunął jej rękę. Krystyna popatrzyła ze zdziwieniem na Jacka, ale on tylko pokręcił głową, dając jej do zrozumienia, że na razie powinna zostawić Sparky'ego w spokoju.

– Widziałeś Borysa albo Lidię? – zapytała Krystyna.

Jack ponownie pokręcił głową.

– Ani śladu po nich. A wołałem ich prawie bez przerwy.

Policjant w skórzanej kurtce wyciągnął rękę na powitanie. Miał co najmniej kilkanaście kilogramów nadwagi, wydatny brzuch, krótkie siwe włosy i bulwiasty nos. Przypominał Jackowi piosenkarza rockowego, Meat Loafa. Od policjanta czuć było alkohol.

– Komisarz Piotr Pocztarek z Mazowieckiej Komendy Policji – przedstawił się. – Pani Zawadka wyjaśniła mi już, co pan robi w tej puszczy.

– Profesor Zawadka – poprawiła go Krystyna.

– Przepraszam bardzo – powiedział komisarz z ledwie skrywanym sarkazmem. – Profesor Zawadka, oczywiście. Powiedziała mi, że poszukiwaliście zaginionego kolegi. Nie rozumiem jednak, dlaczego przebiegliście taki szmat drogi? Co was zaalarmowało?

– Już panu wyjaśniałam. Sami tego nie wiemy. Usłyszeliśmy, że coś nas goni, ale tego niczego nie widzieliśmy. Mógł to być zarówno człowiek, jak i dzikie zwierzę. Znaleźliśmy mojego kolegę nadzianego na drzewo, z odciętymi nogami. Nie powinien więc się pan dziwić, że ogarnął nas strach.

Policjanci i strażnicy leśni włączyli silne latarki. Strażnicy zaczęli wyjaśniać policjantom, w jaki sposób najłatwiej przeszukiwać puszcę. Proponowali, żeby chodzić równoległe do siebie, ale zygzakami.

– W ten sposób ryzyko, że coś przeoczymy, będzie najmniejsze – stwierdził jeden ze strażników.

– A co się dzieje z pani koleżanką z uniwersytetu i tym leśnikiem, który był z wami? – zapytał komisarz Pocztarek.

Jack popatrzył na Sparky'ego, który nadal siedział na kamieniu odwrócony do niego plecami.

– Nie wiemy. Słyszeliśmy strzały, ale to o niczym nie świadczy. Zapewne zabłądzili w lesie – odpowiedział zamiast Krystyny.

– No dobra. – Komisarz Pocztarek westchnął. – Proponuję, żebyśmy jak najszybciej poszli do rannego kolegi pani profesor. Za dwadzieścia minut powinien tu przylecieć helikopter z Komendy Głównej.

Odwrócił się i skinął na dwóch sanitariuszy. Jeden z nich niósł lekkie aluminiowe nosze i butlę z tlenem, a drugi metalową skrzynię z lekami i sprzętem do ratowania życia.

– Mam nadzieję, komisarzu, że wyrazi pan zgodę, aby profesor Zawadka zabrała teraz mojego syna do Warszawy? – zapytał Jack. – Przylecieliśmy ze

Stanów zaledwie dzisiaj rano i chłopak pada z nóg.

– Nie widzę przeszkód – odparł komisarz. – Będę chciał jeszcze porozmawiać z panią profesor i pewnie z pańskim synem również, ale to może poczekać do jutra.

Usłyszawszy słowa policjanta, Sparky natychmiast wstał, gotowy do drogi.

– Zobaczymy się później, Sparks – powiedział Jack. – Tylko zjedz kolację. Możesz sobie zamówić do pokoju wszystko, na co będziesz miał ochotę. Przy odrobinie szczęścia niedługo do ciebie dołączę.

Sparky w milczeniu skierował się do samochodu Krystyny.

– Nie miej mu tego za złe, Jack – powiedziała Krystyna. – Jest pewnie bardzo zmęczony, no i wstrząśnięty ostatnimi wydarzeniami. Przecież my, dorośli, także przeżyliśmy szok, prawda?

Kiedy Krystyna odjechała ze Sparkym, Jack ruszył za policjantami i sanitariuszami do lasu. Gęsto rosnące drzewa zagłuszały głosy ludzi, a w świetle mocnych latarek drzewa wydawały się płaskie i dwuwymiarowe, jakby je ktoś wyciął z tektury.

– Rozumie pan język polski? – zapytał Pocztaerek.

– Tak, dosyć dobrze – odparł Jack.

– Mam nadzieję, że pani profesor nie jest zwykłą histeryczką. Panu także się zdawało, że coś was ściga?

– Oczywiście, czułem to. I to wyraźnie. I uciekałem najszybciej, jak potrafiłem.

– Ale nie jest pan do końca przekonany, że ścigało pana coś realnego? Może po prostu wszyscy bardzo się zdenerwowaliście?

– Proszę poczekać, aż pan zobaczy tego nieszczęśnika wbitego na kikut drzewa. Potem możemy porozmawiać o nerwach.

Najpierw natrafili jednak na Borysa, Lidię i Diablika. W pewnej chwili jeden z policjantów krzyknął:

– Tutaj, panowie. Mam dwa ciała. Nie żyją. Jest też pies!

Jack i komisarz Pocztarek natychmiast pobiegli w to miejsce. Policjanci i strażnicy leśni stali w grupie, oświetlając trójkąt ziemi pomiędzy trzema sosnami. W ściółkę leśną wsiąkło mnóstwo krwi, jakby ktoś rozlał wielki kubek jasnoczerwonej farby.

Lidia leżała twarzą w dół, z rękami ułożonymi wzdłuż tułowia i wyprostowanymi nogami. Jack powiedziałby, że śpi, gdyby nie to, że tylną część czaszki miała odstrzeloną. Resztki włosów były pozlepiane krwią. Pośrodku widać było beżową papkę mózgu.

Obok niej na lewym boku leżał Diablik, z czerwonym językiem wystającym z pyska. Od postrzału w brzuch niemal odpadły mu tylne łapy. Jack wyobrażał sobie, że pies skakał na nich, kiedy Borys do niego strzelił.

Borys leżał na plecach. W obu rękach trzymał strzelbę. Była skierowana w stronę, gdzie jeszcze niedawno była jego broda. Strzał całkowicie zmasakrował mu twarz – pozostało z niej jedynie dwoje oczu, które wypłynęły z oczodołów i wciąż trzymały się na nerwach wzrokowych.

Komisarz się przeżegnał.

– To był Borys Grabowski, prawda?

– Tak, Borys – odparł Jack. – Nie znałem jego nazwiska.

Skurczony żołądek podjechał mu do gardła, a w ustach poczuł wielką twardą kulę. Jednocześnie nie był w stanie oderwać oczu od makabrycznego widoku, jaki się przed nim rozpościerał.

– Czy cokolwiek zapowiadało, że Borys zamierza popełnić taką zbrodnię? – zapytał komisarz Pocztarek. – Był agresywny?

Jack pokręcił głową.

– Nie. Był spokojny, przyjazny i bardzo uczynny. I miał wspaniałe

poczucie humoru.

– Humor to raczej tutaj nie ma. – Komisarz Pocztarek wskazał głową na zwłoki. Głośno wciągnął powietrze, a potem otarł nos wierzchem dłoni. – Przepraszam, mam alergię.

Jack kilkakrotnie głęboko odetchnął, po czym przycisnął dłoń do brzucha.

– Poszukajmy Roberta – powiedział. – Wątpię, czy jeszcze żyje. Widzi pan ten płócienny worek? W środku znajdują się dolne części jego nóg.

Komisarz Pocztarek zbliżył się do torby. Wyciągnął z kieszeni długopis, rozchylił brzegi i zajrzał do środka.

– Cholera jasna. Profesor Zawadka mówiła nam o tych nogach. Nie wiedziałem, czy mam jej wierzyć. – Wyprostował się, podszedł do Jacka i poprowadził go na wprost tak długo, dopóki zwłoki nie zniknęły im z pola widzenia. – Dobrze się pan czuje? – zapytał. – Chyba nie będzie pan wymiotował?

– Nie wiem. Żołądek mi się wywraca do góry nogami.

– Rozumiem. Niech się pan spróbuje uspokoić.

Znowu wciągnął nosem powietrze i krzyknął do jednego z funkcjonariuszy, żeby skontaktował się z ekipą techników z Komendy Mazowieckiej. Chciał się dowiedzieć, kiedy przyjadą na miejsce.

– Niech nie zapomną o psie tropiącym! A tymczasem sprawdźcie teren dookoła. Chodźcie spiralą, aż osiągniecie promień pięciuset metrów. Szukacie wszystkiego: odcisków stóp, broni, podartych ubrań i śladów krwi. Wszystkiego. – Popatrzył na Jacka. – A my chodźmy razem.

Razem z trzema policjantami, dwoma strażnikami leśnymi i sanitariuszami szybko ruszyli przez las. Po kilku minutach dotarli do niewielkiej polany, na której wciąż stał Robert. Jego głowa zwisała w dół, tak że broda dotykała piersi.

Ostrożnie podeszli do Roberta, oświetlając latarkami ściółkę leśną, żeby

nie zdeptać śladów, które później mogłyby służyć jako dowody.

Podczas gdy policjanci i strażnicy przeszukiwali polanę, dwaj sanitariusze rozłożyli nosze, otworzyli metalową skrzynię, po czym delikatnie unieśli głowę Roberta. Jego twarz wyglądała jak maska wykonana z szarej gumy. Usta miał szeroko otwarte, a oczy mlecznobiałe.

– Martwy – powiedział komisarz. – Trudno mieć wątpliwości. Co za śmierć... bez nóg i z drzewem w dupie. Rany. Widziałem już wiele wstrząsających i chorych rzeczy, ale z czymś takim nie miałem jeszcze do czynienia.

Zabrał latarkę jednemu z umundurowanych policjantów i powoli okrążył ciało Roberta. Oglądał je uważnie, zwłaszcza w miejscu, w którym ułamane drzewo wbiło się pomiędzy jego nogi.

– Kiedy go znaleźliśmy, jeszcze żył – powiedział Jack. – Powiedział tylko jedno zdanie: „Sam to sobie zrobiłem”.

– Tak, profesor Zawadka zdążyła mi to powiedzieć. A jednak aż nie chce się wierzyć. Co pan o tym sądzi? Jeżeli naprawdę sam to zrobił, musiał być pijany albo w delirium. Miałem już do czynienia z przypadkami, kiedy ludzie z pełną świadomością odcinali sobie ręce, nogi, a nawet penisy, ale to były przypadki dla psychiatrów, różne zaburzenia osobowości i tak dalej. A i tak zaraz po samookaleczeniu przeważnie wołali o pomoc. – Komisarz zaświecił latarką w twarz Roberta. – No i trzeba dodać, że nie słyszałem, żeby ktoś usiadł dobrowolnie na kikucie drzewa.

Wciąż wpatrywał się w Roberta, gdy podszedł do niego któryś z policjantów.

– Chyba powinien pan to zobaczyć, komisarzu – powiedział.

Pocztarek i Jack poszli za nim na skraj polanki, gdzie policjant przykucnął i wskazał coś leżącego na ziemi. Spod gęstych gałęzi i suchego igliwia wystawała brązowa skórzana rękojeść dużego noża campingowego.

Były na niej krwawe odciski palców. Ostrza noża nigdzie nie było widać, gdyż odłamało się od rękojeści.

– Cóż, zapewne tym narzędziem odcięto mu nogi – stwierdził komisarz Pocztarek. – Ślady linii papilarnych podpowiedzą nam, czy naprawdę zrobił to on sam. Moim zdaniem bardziej prawdopodobne jest, że ktoś inny go tak urządził. Pewnie to ten sam osobnik, który was ścigał.

– Robert powiedział jeszcze jedno – odezwał się Jack. – Wypowiedział słowo „pan”. A przynajmniej tak ono brzmiało, bardzo wyraźnie.

– Pan? *Mister*? Co chciał przez to dać do zrozumienia? I to wszystko? Nie powiedział jakiegoś imienia albo nazwiska?

– Przykro mi, ale później już zamilkł. Razem z Borysem chcieliśmy zdjąć go z tego drzewa, uznaliśmy jednak, że wyrządzimy mu więcej złego niż dobrego. Kiedyś napadnięto jednego z klientów mojej restauracji. Gdy nie chciał oddać portfela, napastnik wsadził mu nóż w piersi. Ten klient popełnił błąd, bo po chwili wyciągnął nóż i po pięciu minutach wykrwawił się na śmierć.

Komisarz rozejrzał się po polanie.

– Niech mnie pan posłucha – powiedział do Jacka. – Nie będę pana tu trzymał. Może pan pojechać do hotelu, do syna. Myślę, że on w tej chwili bardzo potrzebuje ojca. Jeden z policjantów pana odwiezie. A ja skontaktuję się z wami jutro około południa, jeśli to panu pasuje.

– Tak, dziękuję – odparł Jack. – Jestem panu bardzo wdzięczny, bo naprawdę padam już z nóg.

Komisarz skinął na umundurowanego funkcjonariusza i niezbyt głośno wydał mu szybkie polecenie. Policjant przytaknął i odezwał się do Jacka po angielsku:

– Proszę ze mną, sir.

Poprowadził go w kierunku samochodów. Jack zdołał jednak przejść

zaledwie pięćdziesiąt metrów, gdy jego żołądek gwałtownie zaprotestował. Jack oparł się o drzewo i zaczął wymiotować. Policjant cierpliwie czekał na niego w pewnej odległości i cicho gwizdał przez zęby *Hej, sokoły*.

Hotel InterContinental, Warszawa, ul. Emilii Plater 49

Kiedy Jack ostrożnie uchylił drzwi do apartamentu hotelowego, zobaczył, że na biurku pali się lampa i telewizor jest włączony, chociaż bez fonii. Przeszedł przez salon, kierując się do sypialni, ale w ostatniej chwili spostrzegł, że na kanapie w salonie leży niebieski pled, a spod niego wystaje czupryna jasnych włosów.

Delikatnie uniósł rąbek pledu i zobaczył, że śpi pod nim Krystyna.

– Krystyna? – wyszeptał. – Krystyna?

Otworzyła oczy i kilkakrotnie zamruwała. Najwidoczniej nie bardzo wiedziała, gdzie się znajduje. Po chwili odwróciła głowę i popatrzyła na Jacka.

– Jack – wyszeptała ochryłym, zaspanym głosem.

– Co ty tutaj robisz? Dlaczego nie pojechałaś do domu?

Odsunęła pled, usiadła i zaczesła palcami włosy.

– Cieszę się, że mnie obudziłeś. Miałam przerażający sen.

Jack podszedł do drzwi sypialni, lekko je rozsunął i popatrzył do środka. Sparky spał. Oczy miał co prawda otwarte, ale oddychał głęboko i regularnie.

– Wszystko z nim w porządku? – zapytał Krystynę. – Kiedy wyjeżdżał z lasu, był w dziwnym nastroju.

– Dlatego właśnie zostałam. Przez całą drogę powrotną był zdenerwowany, ani przez chwilę nie usiedział spokojnie i bez przerwy mówił coś do siebie. Pytałam go, o co chodzi, ale sprawiał wrażenie, jakby nie rozumiał, co do niego mówię. W tej sytuacji nie chciałam go zostawiać samego, bo mógłby dostać jakiegoś ataku albo zrobić sobie krzywdę. – Na chwilę umilkła i zapytała: – Spodziewam się, że kiedy dotarliście do Roberta,

już nie żył?

– Tak. Od początku miał niewielkie szanse na przeżycie.

– Co powiedział komisarz?

– Bardzo wątpi, że Robert sam się okaleczył. No bo kto jest w stanie obciąć sobie obie nogi?

– Słyszałam o himalaiście, który zakleszczył się w rozpadlinie skalnej i odciął sobie rękę.

– Jasne. Ale Robert nigdzie się nie zakleszczył.

– Już sama nie wiem, co o tym myśleć. Nic z tego dnia nie rozumiem, a jestem zbyt zmęczona i zdenerwowana, żeby się teraz nad tym zastanawiać.

Jack popatrzył na zegarek. Było pięć minut po dwudziestej trzeciej.

– Powinnaś już jechać do domu. Daleko mieszkasz?

– Na starej Sadybie. Piętnaście minut jazdy samochodem.

– Zadzwońię do recepcji i powiem, żeby zamówili dla ciebie taksówkę.

Krystyna włożyła buty.

– Jutro się spotkamy – powiedziała. – Zresztą spodziewam się, że ten komisarz będzie chciał z nami rozmawiać. Przyjadę do hotelu o wpół do pierwszej. Do tego czasu porządnie się wyśpię. – Ruchem głowy wskazała sypialnię. – Mam nadzieję, że rano ze Sparkym będzie znacznie lepiej.

– Pewnie masz rację. Dziękuję ci, że z nim zostałam. To było bardzo rozsądne i możesz mi wierzyć, jestem ci za to bardzo wdzięczny.

Podszedł do niej i pocałował ją w prawy policzek, potem w lewy i jeszcze raz w prawy. Przez chwilę trzymał ją w ramionach, czując wielką ochotę, żeby pocałować Krystynę także w usta, wiedział jednak, że trzy pocałunki w policzki to tradycyjne polskie pożegnanie; nie powinien pozwalać sobie na nic więcej. W dawnych czasach prawdziwy polski dżentelmen na pożegnanie pocałowałby kobietę w dłoń.

– Sama zjadę do recepcji – powiedziała Krystyna przy drzwiach. – Ty zostań i pilnuj chłopca.

– Dobranoc, pani profesor. Śpij dobrze i... dziękuję.

Krystyna ruszyła w kierunku wind, ale zanim skręciła za róg korytarza, jakby się zawahała, odwróciła głowę i popatrzyła przez ramię na Jacka, który stał w drzwiach. Jack nie był pewien, co wyrażała jej twarz, jednak jej wahanie podpowiedziało mu, że wcale nie ma wielkiej ochoty odjeżdżać.

Było jeszcze ciemno, gdy obudził go tajemniczy szept. Otworzył oczy i przez chwilę leżał bez ruchu, nasłuchując. Nie rozumiał z szeptu ani słowa, odniósł jednak wrażenie, że ktoś zachowuje się tak, jakby planował jakiś złośliwy żart.

Uniósł głowę z poduszki. W sypialni panował mrok, świeciły się tylko cyferki na elektronicznym zegarze przy łóżku. Spod drzwi łazienki błyskało jednak co chwilę szare światło. Jack popatrzył na sąsiednie łóżko i powiedział głośno:

– Sparks? Nie śpisz?

Chłopaka jednak tam nie było. Na łóżku leżała jedynie zmięta, przepocona pościel.

– Sparks! – zawołał Jack. – Wszystko w porządku?

Odpowiedział mu szept i łagodne szare światło migoczące pod drzwiami łazienki, natomiast Sparky się nie odezwał.

Jack wyskoczył z łóżka, podszedł do drzwi łazienki, jednak zanim nacisnął na klamkę, zawahał się. Był rozdarty pomiędzy zwyczajną ojcowską troską a obawą, że Sparky robi w łazience coś, co za wszelką cenę chciałby przed nim ukryć – na przykład się masturbuje. Jack przypomniał sobie, jak sam pośpiesznie chował pod łóżko egzemplarze „Penthouse'a”, kiedy słyszał kroki swojego ojca zbliżające się do sypialni.

Stał, niezdecydowany, przez niemal minutę. Tymczasem szept nie ustawał, a światło w łazience błyskało coraz intensywniej – zbyt intensywnie, aby mogło pochodzić z ekranu iPhone'a.

– Sparks? – powiedział Jack, oparłszy głowę o drzwi. – Sparks, co tam robisz? Nic ci nie jest? – Nie usłyszał odpowiedzi, zapukał więc. – Sparks, do diabła, co się tam dzieje?

– Nie wchodź tutaj! – krzyknął wreszcie Sparky.

Jego głos zabrzmiał bardzo dziwnie, jakby dwa albo trzy głosy krzyknęły naraz.

Szept nagle ustał, chociaż światło nadal migotało. Jack znowu odczekał chwilę i odezwał się:

– Sparks, słyszysz mnie?

– Nie wchodź tutaj! – powtórzył chłopak wysokim, piskliwym głosem.

– Sparks, chcę wiedzieć, co ty tam robisz, do ciężkiej cholery. Co to za szepty? I widzę, że jakieś światło błyska w łazience. Co to jest?

– Nie wchodź tutaj! Nie wchodź tutaj! Nie wchodź tutaj!

Jack nacisnął na klamkę i spróbował otworzyć drzwi, ale Sparky zamknął je od wewnątrz na zasuwę. Jack jeszcze raz zapukał, tym razem pięścią, głośno i mocno.

– Sparks, otwórz te przeklęte drzwi. Natychmiast! Jest środek nocy i chcę wiedzieć, co robisz w łazience! I co to za szepty, na miłość boską? Co to za światło?

– Tato, proszę...

– Żadne proszę! Albo otworzysz te cholerne drzwi, albo je po prostu rozwalę! Ja nie żartuję!

– Nie, tato! Nie!

Jednak Jack już cofnął się o dwa kroki, po czym z całej siły kopnął w

drzwi. Śruby, które trzymały zasuwę, poluzowały się i wystarczyło jeszcze jedno silne pchnięcie, aby stanęły otworem. Jack wszedł do łazienki i zobaczył syna, który stał nago przed umywalką. Jego twarz odbijała się w lustrze. Oczy miał zamknięte.

– Zechcesz mi powiedzieć, co tutaj robisz, do cholery? – zapytał syna. – Jest godzina trzecia trzydzieści nad ranem, a my mamy za sobą najcięższy dzień, jaki można sobie wyobrazić. Tymczasem ty sobie urządzasz w łazience jakieś szeptki i bawisz się przy tym światłem. Co się stało, Sparks? Jesteś chory czy co?

– Tato, proszę, zostaw mnie.

Chłopak był bardzo spięty. Miał zaciśnięte pośladki, a łopatki wystawały mu z pleców jak dwa ostrza siekier. Nie otwierał oczu. Jego głos znowu brzmiał, jakby jednocześnie przemawiało kilka osób albo jakby został nagrany i odtwarzany z wielu ścieżek z minimalnym opóźnieniem.

– Wracaj do łóżka, Sparks – nakazał Jack.

Sparky nie ruszał się. Jack podszedł do niego i położył dłoń na jego ramieniu. Sparky drgnął tak gwałtownie, jakby Jack poraził go prądem elektrycznym. Jego skóra była zimna i lepka, a przecież jeszcze przed chwilą spał w ciepłej pościeli.

– Sparks, wracaj do łóżka, synu. Jeżeli rano nadal będziesz się źle czuł, zadzwonimy po lekarza. – Urwał i po chwili dodał: – A gdzie jest pidżama od mamy? Zwykle się z nią nie rozstajesz.

Sparky otworzył oczy. Przez ułamek sekundy Jack myślał, że chłopiec obrócił nimi w oczodołach, ponieważ były ślepe i białe, pozbawione źrenic. Jednak Sparky kilkakrotnie zamrugał powiekami i jego oczy znów przybrały normalny wygląd. Chłopiec wciąż jednak jakby nie był sobą. Owszem, Sparky często zamykał się w sobie i trudno było z nim rozmawiać, ale od czasu, gdy wrócił z puszczy, sprawiał wrażenie, jakby odkrył jakiś wielki

sekret i był zdecydowany zachować go dla siebie. Wyglądał teraz nie tyle na zamkniętego w sobie, ile na przebiegłego i złośliwego.

– Moja pidżama? – zdziwił się. – Chyba ją zgubiłem.

– Żartujesz? Gdzie?

– Nie wiem.

– Odnoszę wrażenie, że wcale cię to nie zasmuciło.

– Oczywiście, że mnie zasmuciło. Ale zguba jest zgubą. Już jej raczej nie znajdę, dlaczego więc miałbym rozpaczać?

Jack nie wiedział, co na to odpowiedzieć. Dotąd wydawało mu się, że pidżama, którą otrzymał w prezencie od matki, jest dla Sparky'ego czymś najcenniejszym.

– Powiedz mi, co to były za szepty – poprosił Jack jeszcze raz, kiedy wrócili do sypialni.

Sparky podniósł z dywanu obok łóżka niebiesko-pomarańczowe spodnie od pidżamy z emblematem Chicago Bears i włożył je. Jack nie mógł nie zauważyć jego sterczącego penisa. Może jego pierwsze przypuszczenie było trafne i Sparky rzeczywiście się onanizował? A jednak w to wątpił. Coś go na pewno podnieciło, jednak nie pornografia. Lecz co w takim razie? W tej chwili Jack nie był w stanie odgadnąć.

Położyli się i Jack zgasił światło.

– Sparky, przecież wiesz, że możesz mi powiedzieć o wszystkim, co cię nurtuje – powiedział. – Przecież jestem twoim ojcem, na miłość boską. Chyba nie będziesz miał przede mną tajemnic?

Sparky otulił się kołdrą, po czym położył się tyłem do Jacka.

– Nie muszę ci nic mówić.

– Nie powiesz mi nawet, co to były za szepty?

– To nie były szepty.

- A ja odniosłem inne wrażenie.
- To mowa drzew.
- Mowa drzew? A na czym, do cholery, ona polega?
- Nie zrozumiesz.
- Spróbuj mi wyjaśnić, może jednak zrozumiem. W końcu nie jestem skończonym tępakiem.
- Jestem zbyt zmęczony, tato. Chce mi się spać.
- Sparks, nie możesz mi opowiadać o rozmawiających drzewach, a potem tak po prostu mnie zbywać.
- Żałuję, że o tym wspomniałem.
- Jezu... W tej chwili ja też tego żałuję.

Sparky nic już nie powiedział. Jack odczekał długą chwilę, ale nie usłyszał już od syna ani słowa. Po kilku minutach chłopiec oddychał głęboko i miarowo, co chwilę lekko pochrapując, i Jack wiedział już, że jego syn mocno śpi.

Następnego dnia jedli późne śniadanie, gdy dołączyła do nich Krystyna. Zajmowali ten sam stolik w restauracji Downtown, przy którym dzień wcześniej siedzieli z Borysem.

Wiał łagodny, ciepły wiatr i Krystyna włożyła tego dnia blad różowy rozpinany sweter, ozdobiony wyhaftowanymi kwiatami, oraz niebieskie dzinsy. Wiatr potargał jej włosy, ale Jack doszedł do wniosku, że z taką lekko niedbałą fryzurą wygląda bardzo świeżo i atrakcyjnie.

– O pierwszej będzie tu komisarz Pocztarek – powiedział Jack. – Powiedziałem mu, że przyjdiesz, będzie mógł więc przesłuchać nas wszystkich na miejscu.

– O tragedii w puszczy mówią dziś rano wszystkie stacje telewizyjne – poinformowała Krystyna. – Piszą o niej także gazety. „Masakra w Puszczy

Kampinoskiej”. Jeszcze w nocy próbowałam się dodzwonić do żony Borysa, Kasi, dzwoniłam też przed godziną, jednak nie odbierała telefonu. – Popatrzyła ponad stolikiem na Sparky'ego, który apatycznie przesunął widelcem po talerzu plasterek wędzonej kiełbasy. – Jak się masz dzisiaj, Sparky? – zapytała. – Czujesz się lepiej?

Zaprzeczył ruchem głowy, ale nawet na nią nie spojrzął.

– Cóż, to musiało być dla ciebie straszne przeżycie – kontynuowała Krystyna. Położyła dłoń na jego ramieniu i uśmiechnęła się. – Ale jestem pewna, że dasz sobie z tym radę. Czas leczy wszystkie rany.

Sparky w milczeniu odepchnął jej rękę.

– Jeśli nie chcesz już jeść, idź do pokoju i pooglądaj telewizję – powiedział do niego Jack.

Sparky wstał, odsunął krzesło i dopiero wtedy się odezwał:

– Pójdę na spacer, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

– Oczywiście, możesz iść. Chciałbym tylko, żebyś wrócił około pierwszej. Komisarz Pocztarek będzie chciał porozmawiać także z tobą.

– Możesz pójść do Pałacu Kultury – zaproponowała Krystyna. – Zdaje się, że jest tam teraz jakaś wystawa na temat Jamesa Bonda. Jest na niej wiele pamiątek z filmów, a nawet jego samochód.

Sparky popatrzył na nią, jakby powiedziała coś bardzo głupiego.

– Może tam pójde – mruknął i odszedł od stołu.

– Wychowywanie młodych ludzi to ciężka praca – stwierdziła Krystyna, kiedy Sparky zniknął im z pola widzenia.

– Żebyś wiedziała. A jego choroba sprawia, że jest jeszcze trudniej. No i Sparky jest już na tyle duży, że zdaje sobie sprawę, jak się różni od innych dzieci w szkole. Próbowałam już wszystkiego, chodziliśmy do lekarzy, regularnie odwiedzamy terapeutę, Sparky pije napar ze specjalnej mieszanki ziół i tak dalej. Ale tego, co mu dolega, tak naprawdę nie można wyleczyć.

– Tak, to smutne. A przecież Sparky jest takim przystojnym chłopcem. Jak jego ojciec.

– Myślę, że jest bardziej podobny do matki. Ale ona była bardzo otwartą osobą, bardzo towarzyską. A Sparky często zamyka się w sobie. Obawiam się, że to, czego doświadczył w lesie, może na niego bardzo źle wpłynąć.

– Rzeczywiście. Wczoraj wieczorem w drodze do miasta zachowywał się bardzo dziwnie.

– W środku nocy wstał z łóżka i zamknął się w łazience. Szeptał coś i bez przerwy włączał i wyłączał światło. Kiedy go zapytałem o te szepty, powiedział mi, że to jest „mowa drzew”. Nie wiem, co to miało znaczyć.

Krystyna odstawiła kubek z kawą.

– „Mowa drzew”? Tak powiedział?

– Dokładnie tak. Ale nie wyjaśnił mi, o co mu chodzi. Powiedział, że tego nie rozumiem, a potem dodał, że w ogóle nie powinien był mi tego mówić i że tego żałuje.

– Ale według mitologii greckiej mowa drzew to sposób, w jaki drzewa porozumiewają się między sobą, kiedy jakiś intruz wtargnie do lasu. Kto się nauczy mowy drzew, potrafi zrozumieć te rozmowy. Zwykle są to ostrzeżenia. Byłeś kiedyś w lesie w bezwietrzny dzień, gdy nagle zaczęły szeleścić liście? To właśnie drzewa przekazywały sobie nawzajem informację, że idziesz przez las.

– Chyba nie sądzisz, że drzewa naprawdę potrafią rozmawiać?

– Nie wiem. Ale to jest możliwe. Przecież wiadomo, że rośliny domowe reagują na dźwięki, na muzykę lub rozmowy, które prowadzą ludzie, i doskonale wiedzą, kiedy ktoś wchodzi do pomieszczenia. Ich korzenie nawet wydają wtedy ostrzegawcze odgłosy.

– Och, bo zaraz dostanę gęsiej skórki.

– Kiedyś opowiadał mi o tym profesor Guzik. Wykłada na uniwersytecie

kulturę starożytną. Według niego Grecy wierzyli, że kiedy człowiek wchodzi do lasu, drzewa ostrzegają się przed nim nawzajem, a ich wiadomość na końcu otrzymuje Pan, który jest bogiem lasów.

– Pan? – Jack zmarszczył czoło. – Tego słowa chyba użył Robert, prawda?

Krystyna wpatrywała się w niego przez chwilę, po czym powiedziała:

– Nie. Z pewnością nie mógł mieć na myśli Pana. To śmieszne.

– Bardziej niż śmieszne. To niedorzeczne. Ale właśnie tak powiedział. Zaraz potem wydał ostatnie tchnienie. Pan. I to słowo wcale nie miało znaczyć tyle co *mister*.

– Nie, to nie jest możliwe. Przecież to tylko mitologia. Bożek Pan wcale nie jest bardziej realny od Meduzy albo od Gorgon. Albo od Pegaza. Albo też, sama nie wiem, Cerbera, trójgłowego psa strzegącego bramy do Hadesu.

– A moim zdaniem z tą całą mową drzew może być coś na rzeczy – powiedział Jack. – Kiedy Sparky i ja weszliśmy do lasu w obozie skautów w Michigan, obaj słyszeliśmy dziwny szelest. Tak samo było tutaj, w Kampinosie. Za każdym razem po chwili zaczynał wiać silny wiatr i za każdym razem wpadaliśmy w panikę.

– Może powinieneś się spotkać z profesorem Guzikiem? – zasugerowała Krystyna. – To ekspert w dziedzinie mitologii. Potrafi godzinami opowiadać o tym, co w przekazach z przeszłości odnosi się do prawdziwych wydarzeń i postaci, a co jest tylko wytworem wyobraźni. Pamiętam, jak kiedyś mówił mi, że Polifem, cyklop z jedynym okiem na środku czoła, naprawdę istniał. Był pasterzem na greckiej wyspie. Więził zabłąkanych rybaków, a potem ich zabijał i zjadał ich mózgi.

Jack popatrzył na bladożółtą jajecznicę na talerzu.

– Dzięki, Krystyno. Bez wątplenia wiesz, jak odebrać człowiekowi apetyt.

Komisarz Pocztarek spóźnił się ponad pół godziny. Zjawił się w apartamencie Jacka na dwudziestym siódmym piętrze w towarzystwie młodej policjantki z wielkim pieprzykiem nad górną wargą, ubranej w ciemnoszarą marynarkę, za ciasną dla niej przynajmniej o dwa rozmiary.

Sparky zdążył wrócić ze spaceru, chociaż nie powiedział Krystynie i Jackowi, gdzie był. Usiadł przy biurku w kącie salonu i wpatrzony w okno, stuknął ołówkiem o blat w denerwującym rytmie.

Komisarz sprawiał wrażenie, jakby przez całą noc nie spał. Miał na sobie tę samą skórzaną kurtkę i tę samą koszulę co dzień wcześniej oraz luźno zwisający na szyi czerwony krawat. Cuchnął papierosami. Jack zauważył, że palce prawej ręki ma ciemnobrązowe od nikotyny.

Pocztarek usiadł na kanapie i otworzył notes.

– Po pierwsze, muszę państwu powiedzieć, że Robert Wiśniewski najprawdopodobniej rzeczywiście sam się okaleczył. Znaleźliśmy ostrze jego noża turystycznego. Całe było pokryte jego krwią. Na rękojeści, znalezionej osobno, znajdowały się ślady wyłącznie jego linii papilarnych. Wszystko też wskazuje na to, że to on sam nadział się na kikut drzewa. Złamane było już wcześniej, jednak zanim odciął sobie nogi, wyostrzył ten kikut, żeby łatwiej wszedł w ciało. Nie znaleźliśmy żadnych śladów, które mogłyby świadczyć, że w tym wszystkim uczestniczył ktoś oprócz niego.

– A co z Borysem i Lidią? – zapytała Krystyna.

– Wszystkie zebrane przez nas dowody wskazują, że Borys Grabowski zastrzelił Lidię, a potem swojego psa. Następnie ponownie naładował strzelbę i strzelił do siebie. Mamy do czynienia z morderstwem i samobójstwem albo ze swoistym paktem samobójczym. Nie mamy najmniejszego pojęcia, co mogło być jego motywem. Jediną wskazówką są dla nas w tej chwili opowieści o panice, która was ogarnęła. Niemniej jednak dopóki nie natrafimy na jakieś nowe dowody, nie będziemy szukać innych

osób, które ewentualnie mogłyby uczestniczyć w tych makabrycznych wydarzeniach.

– Czy to oznacza, że mogę z synem wracać do Stanów? – zapytał Jack.

– Oczywiście. Poproszę jednak o informację, w jaki sposób będę mógł się z panem skontaktować w razie potrzeby. Ale jeśli chodzi o dzień dzisiejszy, będę wdzięczny, jeśli zechcą mi państwo opowiedzieć, co się wydarzyło, kiedy zaczęliście szukać w lesie pana Wiśniewskiego.

– Oczywiście. Im szybciej będziemy to mieli za sobą, tym lepiej.

Komisarz Pocztarek przesłuchiwał ich osobno w hotelowym apartamencie. Kiedy jedna osoba była przesłuchiwana, pozostała dwójka czekała na swoją kolej w barze. Jego pytania były bardzo szczegółowe, a gdy odpowiedzi go nie zadowalały albo uważał je za niedokładne, kazał powtarzać wszystko aż do znudzenia. Gdzie pan się znajdował w chwili, kiedy odczuł pan pierwszy atak paniki? Gdzie w tym momencie znajdowali się pozostali członkowie grupy? Kiedy usłyszał pan huk strzałów? Ile czasu, pańskim zdaniem, minęło pomiędzy poszczególnymi strzałami? Po jakim czasie pański syn wyłonił się z lasu? Co wtedy powiedział?

Jack niechętnie opowiedział mu o białej sylwetce, którą dostrzegł za drzewami.

– Jak pan sądzi, co to było? – pytał komisarz Pocztarek. – Człowiek czy zwierzę? Czy może pan tę postać opisać bardziej szczegółowo? Ile razy pan ją widział i przez jak długi czas? Może to było tylko zwykłe załamanie światła, jakieś złudzenie optyczne?

– Ma pan wątpliwości, że coś widziałem? – zapytał Jack.

– Ale skąd. Ale nasz pies tropiący nie wskazał żadnego śladu, który mógłby zostawić ktoś inny, poza waszą piątką. Zatem jestem skłonny stwierdzić, że jeżeli w grę nie wchodzi złudzenie optyczne, musiał pan po

prostu zauważyć jakieś zwierzę. I to zwierzę doskonale wytresowane, bo nie słyszałem jeszcze o takim, które potrafiłoby odgryźć człowiekowi nogi, a potem nadziać go na drzewo i jeszcze zastrzelić dwoje ludzi, a przy okazji psa.

Jack miał ochotę mu powiedzieć, żeby nie silił się na dowcipy, ale zrezygnował z tego. Niech to się już skończy, pomyślał. Przecież teraz chodzi tylko o to, żeby jak najszybciej wrócić do Chicago, do restauracji. No i jak najszybciej wywieźć stąd Sparky'ego.

Po Jacku komisarz przesłuchał Krystynę. Rozmawiał z nią najwyżej dwadzieścia minut, jednak kiedy skończył, Krystyna sprawiała wrażenie mocno zmęczonej i zdenerwowanej. Oczy miała opuchnięte, jakby płakała.

– Sparky, teraz twoja kolej – powiedziała.

Chłopak wstał i bez słowa wyszedł z baru. Krystyna usiadła na krześle, które zwolnił, i zamówiła wódkę z tonikiem.

– Dobrze się czujesz? – zapytał Jack.

– Nie bardzo. Robert był moim bliskim kolegą, Lidia i Borys też. A kiedy komisarz zaczął mnie o nich wypytywać, dotarło do mnie, że oni wszyscy odeszli i już nigdy w życiu ich nie zobaczę.

Jack uściskał jej dłoń.

– Przykro mi, Krystyno. To prawdziwy koszmar.

– Właśnie! Ale zdaje się, że jeszcze się z niego nie obudziliśmy. Przecież nie wiemy, dlaczego wpadliśmy w panikę i dlaczego ci wszyscy ludzie tak po prostu się pozabijali. Właściwie my też powinniśmy być teraz martwi! Byliśmy naprawdę bliscy zrobienia tego samego co oni!

– Cóż, być może nigdy nie dowiemy się prawdy. Ja w każdym razie mam zamiar trzymać się z dala od wszystkich lasów tego świata, możesz mi wierzyć.

Kelner przyniósł Krystynie drinka. Energicznie zamieszała rozcieńczony

alkohol, zanim podniosła kieliszek do ust.

– Boże, tego właśnie potrzebowałam – powiedziała Krystyna i wygodniej rozsiadła się na krześle. Po chwili popatrzyła na Jacka i dodała: – Komisarz Pocztarek powiedział mi, że kiedy znaleźliśmy Roberta, zobaczyłeś w puszczy coś białego. Pytał, czy ja też to widziałam, ale rzecz jasna zaprzeczyłam. Dlaczego nic mi o tym nie mówiłeś?

– Byłaś tak przestraszona, że nie chciałem pogarszać sytuacji. Widziałem to zaledwie przez ułamek sekundy. Borys podpowiedział mi, że to mogła być kłępa.

– Jak to wyglądało?

– Właściwie nie wiem. Było za drzewami. Białe i bardzo szybkie. Właściwie to mogło być zwierzę. Albo ktoś, kto owinął się prześcieradłem i udawał ducha.

– Boże, to straszne. Ale to znaczy, że nie wiesz, co tak naprawdę widziałeś?

Jack pokręcił głową. Wciąż miał przed oczami tę białą sylwetkę, jednak jej kształt i błyskawiczne ruchy absolutnie z niczym mu się nie kojarzyły.

Po piętnastu minutach wrócił Sparky, a razem z nim komisarz Pocztarek i jego partnerka.

– Jak było? – Jack zapytał Sparky'ego.

Chłopak jedynie wzruszył ramionami i mruknął:

– Chyba w porządku. Mogę sobie zamówić colę?

– Jasne. Idź do baru i powiedz, żeby ją dopisali do rachunku dla pokoju dwadzieścia siedem dwanaście.

Kiedy Sparky odszedł, komisarz Pocztarek usiadł koło Jacka.

– Rozmawiałem z pańskim synem – powiedział. Jego oddech śmierdział papierosami. – Uprzedził mnie pan w kwestii jego stanu psychicznego i

oczywiście brałem to pod uwagę.

– Czuję, że zaraz będzie jakieś „ale”.

– Cóż, owszem. Oczywiście nie ma żadnego powodu, aby sugerować, że pański syn ma jakiś związek ze śmiercią tych trzech osób, jednak odnoszę nieodparte wrażenie, że on wie coś, o czym nie ma najmniejszego zamiaru mi powiedzieć.

– Może pan mówić bardziej konkretnie?

Komisarz obrzucił Jacka twardym spojrzeniem.

– Szanowny panie, siedzę w tej robocie już od wielu lat i doskonale wiem, kiedy ktoś chce coś ukryć. Myślę, że zgodzi się pan ze mną, że pański syn po prostu nie chce nam powiedzieć, co się z nim działo, gdy został sam w puszczy. – Odwrócił się, żeby mieć pewność, że Sparky nadal stoi przy barze. – Oczywiście nie chcę sugerować, że on kłamie. Nic z tych rzeczy. Ale jestem prawie pewien, że nie mówi nam wszystkiego.

– Nie bardzo wiem, co takiego mógłby wiedzieć Sparky, o czym nie wiem ja – odparł Jack. – Przecież przez cały czas był ze mną... Z wyjątkiem tych kilku minut, kiedy się rozdzieliliśmy.

– Tak?

Komisarz wyczuł wahanie w głosie Jacka, który intensywnie zastanawiał się, czy powinien mu powiedzieć, jak bardzo zmienił się nastrój Sparky'ego, kiedy się odnalazł. Co sprawiło, że nagle stał się taki ponury, apatyczny? Czy to tylko efekt szoku i zmęczenia, czy też rzeczywiście coś zobaczył i nie chce, żeby ktoś się o tym dowiedział?

– Proszę zrozumieć, że wczorajszy dzień był dla niego jednym wielkim traumatycznym przeżyciem – rzekł Jack po chwili. – Teraz rzeczywiście chłopak sprawia wrażenie, jakby chciał coś ukryć, ale to na pewno dlatego, że próbuje odsunąć od siebie wspomnienie tych wydarzeń. Zresztą ja mam ochotę zrobić to samo.

– No cóż, dobrze. – Pocztaerek głośno westchnął. – Ale jeśli powie panu coś więcej na temat tych wydarzeń, chciałbym być pierwszą osobą, która się o tym dowie.

Obaj mężczyźni wstali i podali sobie ręce. Policjant opuścił bar w chwili, gdy Sparky wrócił do stolika ze szklanką coli.

– Co ci powiedział? – zapytał.

– Uważa, że coś przed nami ukrywasz.

– Ukrywam? Niby co?

– Skąd mam wiedzieć, skoro nie masz zamiaru o tym mówić? Ale moim zdaniem komisarz ma rację. Ja też uważam, że nie chcesz mi powiedzieć wszystkiego.

Sparky ciężko opadł na krzesło i zaczął sączyć colę przez słomkę. Jack czekał, aż coś powie, jednak chłopiec milczał. Zerknął na Krystynę, ale ta odpowiedziała mu miną, która mogła znaczyć: co zrobisz, takie są dzieci.

– Chyba nie chcecie wracać do Stanów już dzisiaj? – zapytała.

– Nie... Poza tym dzisiaj nie ma bezpośrednich lotów. No i chciałbym się wreszcie porządnie wyspać. Tyle że rano będziemy musieli wstąpić. Jeśli dobrze pamiętam, samolot odlatuje o siódmej piętnaście.

– A może zostalibyście dzień dłużej? – zasugerowała. – Chciałabym jeszcze porozmawiać z tobą o wczorajszych wydarzeniach. Poza tym mogłabym ci zorganizować spotkanie z profesorem Guzikiem.

– Sam nie wiem. W restauracji został tylko mój menedżer, a to przecież najbardziej gorący okres w tej branży.

– Jack, proszę.

Jack popatrzył Krystynie w oczy. Zobaczył w nich ten sam odcień szarości, jaki przybiera jezioro Michigan w deszczowy dzień.

– Okay, postaram się zostać – zdecydował. – Muszę tylko zadzwonić do

Chicago. Sparks, chcesz zostać w Polsce jeszcze jeden dzień?

Sparky wyciągnął słomkę z ust i zapytał podejrzliwym tonem:

– A kto to taki ten profesor Guzik?

Jack zatelefonował do Tomasza o osiemnastej dwadzieścia pięć. W Chicago była jedenasta dwadzieścia pięć przed południem – brakowało pół godziny do otwarcia Nostalgii.

– Tomasz, jak wygląda sytuacja?

– Doskonale, szefie! Żadnych problemów! Kiedy pan wróci?

– Chciałbym zostać w Polsce jeszcze jeden dzień, nie masz nic przeciwko temu?

– Oczywiście, że nie. Może pan tam zostać tak długo, jak pan zechce. Tutaj naprawdę wszystko jest w najlepszym porządku. Jak zwykle posprzeczałem się z Bobakiem na temat dostawy wędlin, ale poza tym nie ma absolutnie żadnych kłopotów.

– Doskonale. W takim razie zobaczymy się w sobotę.

– Musi pan wiedzieć, że rano ktoś tu do pana przyszedł. Właśnie miałem wysłać esemesa.

– Tak? Kto taki?

– Wysoka, chuda kobieta z siwymi kręconymi włosami. Zostawiła numer telefonu. Chwileczkę, zaraz go znajdę.

– Nie szukaj, Tomasz. Chyba wiem, kto to był. Tamara Thorne.

– Właśnie. Dokładnie tak. Tamara jakaś-tam. Twierdzi, że koniecznie musi z panem porozmawiać.

– A powiedziała o czym?

– Tylko tyle, że ma dla pana ważną wiadomość.

– Od kogo?

– Nie mam pojęcia.

– Rozumiem. Dzięki, Tomasz. Do zobaczenia

Jack odłożył słuchawkę. Sparky siedział na kanapie przed telewizorem i grał w *Aliens: Colonial Marines*. Kiedy ostatnio Jack widział się z Tamarą Thorne, ta przekazała mu informację od Aggie – a przynajmniej tak sądził – która zaprowadziła ich aż do Polski. Dlatego wcale mu się nie spodobało, że Tamara znowu chciała się z nim zobaczyć. Mógł poprosić Tomasza o jej numer i zadzwonić jeszcze z Polski, ale wolał spotkać się z nią osobiście. Jack czuł się bardzo źle z wrażeniem, że zupełnie stracił kontrolę nad wydarzeniami.

– Hej, stary, dzisiaj idziemy wcześniej spać – powiedział do Sparky'ego.

Chłopak nie zareagował, tylko zaciekle strzelał do obcych na ekranie telewizora.

– I nie chcę słyszeć żadnych podejrzanych hałasów, jeśli łaska – dodał. – Naprawdę muszę się wyspać.

Sparky popatrzył na ojca z irytacją, jakby chciał dać mu do zrozumienia, że nie wie, co mówi, i wrócił do gry.

Biała wizja

Jackowi śniła się Aggie. Była wczesna jesień, wietrzne popołudnie, oboje spacerowali w lesie, a wokół nich wirowały w powietrzu kolorowe liście. Nad lasem unosiło się jeszcze słońce, jednak trochę dalej niebo było niemal czarne i przecinały je zygzaki błyskawic. Agnieszka była ubrana w długą białą suknię z szyfonu, z kokardą na plecach, i szła tak szybko, że Jack z trudem za nią nadążał.

Aggie! – wołał, ona jednak nie odwracała się i szła coraz szybciej przed siebie. Aggie! Agnieszko! Wiatr się wzmaczał i liście z każdą chwilą szeleściły coraz głośniej. Jack kilkakrotnie zawołał żonę, ale ona już go nie słyszała. Biegła tak szybko, że po chwili zniknęła mu z oczu i teraz widział przed sobą tylko wirujące liście.

Zwolnił, a potem się zatrzymał. Nie miał pojęcia, dlaczego odeszła tak szybko, bez słowa. Przecież nigdy się nie kłócili. Dlaczego go zostawiła?

Liście wciąż tajemniczo szeleściły, jakby wymieniały pomiędzy sobą ponure sekrety. Jednak po chwili Jack zdał sobie sprawę, że dźwięk, który słyszy, wcale nie jest szelestem liści, lecz ludzkim szeptem. Nie wiedział, kto tak szepcze, jednak ktokolwiek to był, mówił zbyt szybko i zbyt cicho, żeby można go było zrozumieć. Ktoś się bardzo śpieszył i chciał, żeby Jack się nie zorientował, o czym jest mowa.

Otworzył oczy. W sypialni było ciemno, jednak spod drzwi łazienki płynęła smuga światła. Łóżko Sparky'ego było puste. Jack westchnął. Znowu to samo.

Ciężko wstał z łóżka i podszedł do drzwi łazienki. Przez chwilę nasłuchiwał, jednak nie był w stanie zrozumieć słów. Tak jak ostatniej nocy,

głos chłopca brzmiał bardzo dziwnie, jakby szeptało przynajmniej dwóch chłopców naraz.

Przez chwilę się zastanawiał, czy powinien zapukać do drzwi i porozmawiać ze Sparkym, czy może poczekać, aż chłopiec się zmęczy i po prostu wróci do łóżka. Od dawna martwił się tym, że problemy, jakie jego syn ma z nawiązywaniem relacji z innymi ludźmi, mogą doprowadzić go kiedyś do wybuchu frustracji, w wyniku czego zrobi krzywdę komuś albo samemu sobie. Z tego powodu, kiedy Sparky zrobił coś złego, Jack zawsze zachowywał ostrożność i cierpliwie mu tłumaczył, że jest jego postępowaniem rozczarowany; nie krzyczał na niego, chociaż często miał na to ochotę.

Tym razem nie zapukał do drzwi. Nie musiał. Zasuwę, którą zniszczył ostatniej nocy, osadził na miejscu, jednak dwie śruby, utrzymujące ją we właściwej pozycji, wsunął tylko luźno w otwory, tak żeby pokojówka niczego nie zauważyła.

Już zdecydował, że wróci do łóżka, gdy szept stał się głośniejszy i jakby bardziej natarczywy. Słysząc w nim było złość i dziwny charkot, wydobywający się z głębi chłopięcego gardła.

Nie, dalej tak być nie może, pomyślał Jack. Jeżeli nadal mu na to pozwolę, kto wie, jak długo to potrwa. Może całe godziny? A ja tymczasem znowu nie zmruję oka.

Pchnął drzwi i śruby przytrzymujące zasuwę z brzękiem upadły na podłogę.

– Sparky... – zaczął, jednak w tym momencie oślepił go rozbłysk białego światła, jakby ktoś zdetonował bombę atomową.

Jack osłonił oczy dłońmi, bo bał się, że oślepie.

Przez ułamek sekundy widział jednak białą sylwetkę, która stała przed umywalką jak groteskowy anioł; blask jednak zbyt raził go w oczy, aby mógł

dostrzec szczegóły. Odniósł wrażenie, że twarz postaci była zwrócona w jego kierunku – ziały w niej dwa mroczne oczodoły. Zakręciło mu się w głowie, a przed oczyma zaczęły mu latać zielone płatki.

Ogarnął go taki strach, że zmoczył pidżamę. Ciepły mocz popłynął mu po nogach. Jack się cofnął i oparł ramieniem o framugę. Chwiejnym krokiem wrócił do sypialni, padł na łóżko, przetoczył się po nim i podszedł do rozsuwanych drzwi prowadzących do salonu. Szarpnął je kilkakrotnie, żeby się otworzyły, i w panice nie zamknął ich za sobą. Myślał tylko o tym, żeby uciekać jak najdalej od tego miejsca.

Podbiegł do okna. Na zewnątrz wciąż było ciemno, jednak dwadzieścia siedem pięter niżej miasto wciąż było pięknie rozświetlone. Naprzeciwko stał Pałac Kultury i Nauki, skąpany w blasku reflektorów; przypominał wielki statek kosmiczny. Wydawało się, że za chwilę wystartuje ku bezkresnemu niebu. Był to widok tak surrealistyczny, że Jack poczuł się zupełnie odcięty od rzeczywistości, jakby przed chwilą obudził się w zupełnie innym świecie, świecie rodem z powieści science fiction, w którym króluje bezlitosny terror i z którego nie można uciec.

Spróbował otworzyć któreś z okien, ale okazało się to niemożliwe. Gdyby udało mu się to zrobić, na pewno by wyskoczył. Zaczął walić pięściami w szybę, jednak miał do czynienia z hartowanym szkłem i jego próby z góry skazane były na niepowodzenie. Ciężko dysząc, odwrócił się i zajrzał do sypialni. Białe światło było jeszcze bardziej jaskrawe niż wcześniej – zapalało się i gasło chaotycznymi, jakby spazmatycznymi zrywami. Biała postać ruszyła w jego kierunku. Tylko Bóg wiedział, że w tej niesamowitej sylwetce krył się Sparky.

Jack zacisnął dłonie na krześle obitym czarną skórą i podniósł je. Krzesło było bardzo ciężkie, zdołał jednak unieść je nad głowę i rzucił nim z całej siły w szybę, charcząc przy tym z wysiłku. Krzesło jedynie odbiło się od tafli

szkła z głuchym trzaskiem i spadło na podłogę.

Jack z desperacją rozejrzył się po salonie. Postać była zbyt blisko, aby udało mu się podbiec do drzwi prowadzących na korytarz, a następnie zbiec po schodach albo zjechać windą do holu. Nagle zdał sobie sprawę, że znalazł się na granicy szaleństwa i właściwie wcale nie chce już uciekać. Całkowicie zatracił instynkt samozachowawczy. Poczul, że na niczym mu już nie zależy, ogarnęło go takie samo poczucie całkowitej beznadziejności, jakiego doświadczył w Owasippe i w Puszczy Kampinoskiej, tylko że tym razem było ono jeszcze bardziej dojmujące. Z przerażeniem patrzył na białą postać, bo wiedział, że ona go zaraz zaatakuje. Był pewien, że za kilka chwil zostanie rozerwany na strzępy i że jego agonia będzie długa i bolesna. I wiedział, że nawet gdyby podjął próbę ucieczki, i tak skończy się ona niepowodzeniem. Zresztą, nawet gdyby udało mu się ocaleć tej nocy, biały prześladowca i tak go dopadnie – nie tutaj, to gdzie indziej.

W strasznym przebłysku zrozumienia pojął, dlaczego Robert odciął sobie nogi. Zrobił to, żeby już dłużej nie uciekać. Robert wiedział, że jedynym wyjściem z tej sytuacji jest samobójstwo, które położy kres atakom strasznej paniki. Śmierć oznaczała upragniony wieczny spokój, nawet jeśli Bóg nigdy by mu nie wybaczył ostatniego grzechu.

Jack szybko podbiegł do stolika, na którym leżała taca z owocami – jabłkami, pomarańczami, śliwkami i gruszkami. Wziął do ręki nóż do owoców. Narzędzie nie było zbyt ostre, ale jego ostrze miało drobne ząbki. Pomyślał, że jeśli zamknie się w toalecie, zdąży poprzecinać sobie żyły na nadgarstkach, a może nawet podciąć sobie gardło. Wykrwawi się, zanim dopadnie go biały prześladowca.

Otworzył drzwi toalety i włączył światło, gdy w drzwiach sypialni stanął Sparky. Znów był nagi.

– Tato – powiedział cichym, chrapliwym głosem.

Jack zawahał się, a potem zrobił krok do tyłu.

– Co się stało? Gdzie to jest?

– Nikogo tutaj nie ma, tato. Jestem tylko ja.

– Na miłość boską, Sparks! Ja to widziałem. Na własne oczy.

W chwili, gdy wypowiadał te słowa, zdawał sobie sprawę, że panika minęła. Przez długą chwilę ojciec i syn milczeli, przyglądając się sobie nawzajem. Jack stopniowo zaczął odzyskiwać normalny oddech, uspokajało się też jego serce. Popatrzył na nóż do owoców, który chwycił za ledwie przed chwilą z zamiarem poprzecinania sobie żył. Nagle pomysł ten wydał mu się absurdalny.

Wyłączył światło w toalecie i zamknął drzwi. Sparky drżał, bezskutecznie próbując rozmasować zmarznięte ciało. Klimatyzacja tłoczyła do apartamentu chłodne powietrze. Jack zmienił jej parametry i dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że spodnie od pidżamy są mokre i przylegają mu do ciała.

– Mówiłem ci, tato. Nic tu nie ma.

– Ale ja to widziałem, Sparks. Na własne oczy. To było jak... do cholery, sam nie wiem, jak to wyglądało. Było tak cholernie jaskrawe, że nie mogłem na to patrzeć.

– Przecież ja tylko byłem w łazience, tato.

– Światło zapalało się i gasło. A ty coś szeptałeś, tak jak ostatniej nocy.

– Nie, tato.

– Nie mów mi, że nie, Sparks. Słyszałem cię i widziałem to na własne oczy. Jak myślisz, dlaczego wybiegłem z pokoju?

– Może miałeś halucynacje? – zasugerował chłopak. – Czytałem w podręczniku psychologii, że stres czasami bywa przyczyną silnych halucynacji.

Jack miał mu odpowiedzieć coś nieprzyjemnego, jednak z doświadczenia

wiedział, że nie miałyby to sensu. Sparky i tak powtarzałyby mu bez końca tę samą sugestię. „Może miałeś halucynacje? Czytałem w podręczniku psychologii...” i tak dalej. A właściwie dlaczego dwunastoletni chłopak czyta podręczniki psychologii?

– Dlaczego nie masz na sobie pidżamy? – zapytał.

– Bo mi było gorąco.

– Gorąco? Przecież ta cholerna klimatyzacja była nastawiona na arktyczną temperaturę.

– W łóżku było mi gorąco. Zdjąłem pidżamę, a potem poszedłem się wysikać.

Jack wszedł do łazienki i dokładnie ją obejrzał. Nie znalazł żadnego dowodu, że mogło się tu zdarzyć coś niezwykłego, chociaż lustro nad umywalką było lekko zaparowane, a w powietrzu wyczuwał słaby zapach ziół, jakby ktoś niedawno palił gałązki tymianku. Wciągnął powietrze nosem i na chwilę zamknął oczy, chcąc się lepiej skoncentrować. W łazience pachniało też lasem, ale źródłem tego zapachu było prawdopodobnie hotelowe mydło.

– Dobra, stary – powiedział do Sparky'ego. – Wkładaj pidżamę i wracaj do łóżka. A ja wezmę szybki prysznic. Rano jeszcze porozmawiamy.

– Niczego tu nie było – powtórzył chłopak.

– Dobra, dobra, oczywiście. Niczego nie było.

Jack wziął szybki gorący prysznic, a potem włożył czystą koszulkę i spodenki. Właśnie podnosił kódrę, żeby się położyć do łóżka, gdy usłyszał pukanie do drzwi.

W progu stali dwaj postawni ochroniarze w oliwkowozielonych mundurach. Jeden z nich był bardzo podobny do Lecha Wałęsy. Miał wielkie siwe wąsy.

- Przepraszamy za najście, ale ktoś złożył na pana skargę.
- Ktoś się na mnie skarżył? A z jakiego powodu?
- Goście z pokoju piętro niżej poinformowali nas, że rzuca pan meblami. Słyszeli trzaski, jakieś dudnienie... mnóstwo hałasów.

Jack pokręcił głową.

- Rzucam meblami? Pan żartuje? Niczym nie rzucam. Chyba że przez sen.

Jeden z ochroniarzy przechylił głowę i zajrzał ponad ramieniem Jacka w głąb apartamentu.

- Rozumiem więc, że nic się tutaj nie działo.
- Oczywiście. Absolutnie nic.

Przez resztę nocy Jack nie zmrużył oka. Gdyby Sparky nie spał tak głębokim snem, pewnie poszedłby do recepcji i poprosił o zmianę pokoju. Jednak kiedy o tym myślał racjonalnie, nie był już w stanie wierzyć, że biała postać z puszczy przywędrowała aż tutaj, na dwudzieste siódme piętro luksusowego hotelu w centrum Warszawy. A skoro ta postać była jedynie wytworem jego wyobraźni, nie miało najmniejszego znaczenia, w jakim pokoju spędzał noc.

Był jednak przekonany, że naprawdę słyszał chóralne szepty, i absolutnie pewien, że zanim został oślepiiony tym niezwykłym światłem, przez ułamek sekundy widział w łazience białą postać. Lecz Sparky prawdopodobnie miał rację – albo mu się to wszystko przyśniło, albo te wszystkie wrażenia były wynikiem halucynacji. Bo jakie mogło być inne racjonalne wyjaśnienie tych nocnych zwidów? Jack słyszał o ludziach, którzy po traumatycznych przeżyciach miewali powtarzające się koszmary. A przecież po tym, czego sam ostatnio doświadczył, miał prawo stracić równowagę psychiczną. W takich okolicznościach psychika siadłaby nawet najbardziej racjonalnie myślącemu człowiekowi.

Tworząc w wyobraźni przerażającą białą sylwetkę, jego umysł mógł po prostu w odruchu samoobrony nadawać nieznanym przyczynom paniki zrozumiały kształt – tak jak dzieci kształtują w sobie przekonanie, że pod łóżkiem czai się potwór, a w szafie na ubrania kryje się czarownica.

Poranek był szary i ponury. Padał rześisty deszcz. Kiedy Jack rozsunął zasłony w pokoju, zobaczył, że Warszawa otulona jest szarym welonem mgły. Przez chwilę patrzył w dół, z trudem rozpoznając pieszych przemykających ulicą Emilii Plater pod kolorowymi parasolami. Sparky wciąż spał, z głową schowaną głęboko pod kołdrą.

Gdy Jack się ubierał, zaterkotał telefon. Podniósł słuchawkę i rozpoznał głos Krystyny.

– Jack? Jak się masz?

– Bywało lepiej. O której się spotkamy?

– Około dwunastej. Telefonowałam już do profesora Guzika. Spotkamy się z nim w kawiarni Batida, niedaleko uniwersytetu.

– Co mu powiedziałaś?

– Niewiele. Ale poinformowałam go, że interesujesz się mową drzew i chcesz z nim o tym porozmawiać.

– Wspaniale. Pewnie już uważa mnie za świra.

O jedenastej trzydzieści, kiedy Jack zbierał się już do wyjścia, Sparky jeszcze spał. Jack delikatnie potrząsnął jego ramieniem i zapytał, czy chce iść z nim.

– Nie. Źle się czuję. Zostanę w hotelu i pogram sobie.

– Tylko zamów sobie coś do jedzenia, dobrze?

– Nie jestem głodny. Źle się czuję.

– Więc nigdzie nie wychodź. Ja powinienem niedługo wrócić. Zadzwoń do mnie, jeżeli będziesz czegoś potrzebował.

Sparky jeszcze mocniej naciągnął na siebie kołdrę i powiedział:

– Niczego nie będę potrzebował. Po prostu nie czuję się najlepiej, a poza tym wszystko w porządku.

Jack zostawił go, wywiesiwszy na klamce tabliczkę „Nie przeszkadzać”. Nie był pewien, czy dobrze postępuje. Może rozsądniej byłoby wsiąść w najbliższy samolot do Chicago i zapomnieć o białej zjawie z puszczy? Wiedział jednak, że Sparky by się na to nie zgodził. Poza tym sam miał przeczucie, że jeśli nie odkryje prawdy i nie dowie się, z jakiego powodu dwukrotnie wpadł w taką panikę, że nieomal się zabił, wspomnienie to będzie go prześladowało aż do śmierci.

Kiedy wszedł do kawiarni, od razu zobaczył Krystynę. Siedziała przy stoliku po lewej stronie sali. Rozmawiała z jakimś młodym mężczyzną. Miał rude włosy i ubrany był w płócienną zieloną marynarkę. W kawiarni unosił się zapach mocnej kawy i ciasta, a za oszkloną ladą widać było mnóstwo pączków i rozmaitych apetycznie wyglądających ciastek.

Jack podszedł do stolika.

– Dzień dobry – przywitał się.

Rudy mężczyzna właśnie jadł pączka posypanego cukrem pudrem. Momentalnie poderwał się na nogi i wytarł palce w serwetkę.

– Aleksander Guzik – przedstawił się, wyciągając do Jacka rękę. – Krystyna wiele mi o tobie opowiadała. Słyszałem, że jesteś prawnikiem Grzegorza Walacha, tego skrzypka. Nadzwyczajne! Spotkanie z tobą to dla mnie wielki zaszczyt.

Profesor Guzik miał okrągłą twarz człowieka, który lubi dobrze zjeść, i wielkie okrągłe okulary w plastikowych oprawkach w kolorze bursztynu. Miał też postrzępione wąsy, których nie golił zapewne dlatego, żeby wyglądać trochę poważniej, chociaż mimo to można go było raczej wziąć za studenta

trzeciego roku niż za profesora uniwersytetu.

– Jack, napij się kawy? – zapytała Krystyna. – A może masz ochotę na ciastko albo kanapkę? Jadłeś śniadanie?

Włosy miała starannie uczesane i wyglądała dostojniej niż zwykle. Ubrana była w elegancki szary żakiecik, do którego klapy przypięła kryształową broszkę w kształcie motyla.

– Tak, chętnie wypiję kawę – odparł Jack. – Poproszę o podwójne espresso, bez śmietanki. – Usiadł obok profesora Guzika i dodał: – Rozumiem, że Krystyna już ci powiedziała, co nas spotkało w puszczy?

– Mówili o tym w telewizji, zatem po prostu nie mogłem się nie dowiedzieć – odparł profesor Guzik. Bardzo starannie wypowiadał słowa po angielsku i modulował głos, jakby recytował poezję. – Byłem zszokowany, kiedy się dowiedziałem, że Krystyna brała udział w tej tragedii. Co za straszne nieszczęście! Dobrze znałem Roberta. Kiedyś byliśmy razem na wakacjach w Grecji. Obaj interesowaliśmy się mitologią grecką. – Na chwilę urwał. – Twój syn nie chciał przyjść z tobą? – zapytał.

– Nie. Postanowił porządnie się wyspać.

– Ale to właśnie on pierwszy wspomniał o mowie drzew, zgadza się?

– Tak, rzeczywiście. Prawdę mówiąc, na początku nie zrozumiałem, co miał, do diabła, na myśli.

– Och, zarówno nauka, jak i nasze codzienne doświadczenia dowodzą, że drzewa i inne rośliny potrafią się ze sobą komunikować, i to na wiele sposobów.

– Cóż, słyszeliśmy głośny szelest liści, to prawda – powiedział Jack. – Chwilami gałęzie poruszały się gwałtownie, mimo że pogoda była niemal bezwietrzna. Ale czy można to nazwać mową? Na przykład jeśli leśnik wchodzi do lasu z piłą łańcuchową, czy drzewa ostrzegają się nawzajem, że któreś z nich zostanie ścięte albo w najlepszym razie straci trochę gałęzi?

Profesor Guzik uśmiechnął się.

– Och, tak. Ale niektóre inne sposoby, które stosują rośliny, żeby się ostrzegać przed niebezpieczeństwami, są znacznie bardziej skuteczne niż zwykła mowa.

– Krystyna wspomniała mi coś o roślinach emitujących związki chemiczne.

– Zgadza się. Niedawno na Uniwersytecie Stanu Waszyngton przeprowadzono badania nad czymś, co naukowo nazywamy biokomunikacją. Profesorowie Edward Farmer i Clarence Ryan wykazali, że kiedy pewne rośliny, na przykład bylica czy kapusta, atakowane są przez szkodniki, wydzielają związek chemiczny, który nazywa się jasmonian metylu. Ten związek błyskawicznie przekazuje rosnącym dookoła roślinom polecenie, żeby zaczęły produkować substancje obronne. Owady, które zaczną pożerać te rośliny, chorują i w efekcie unikają jedzenia tych roślin. Ten sam związek chemiczny sprawia, że sosny wydzielają duże ilości żywicy. Jest to jakby produkcja szczepionki przeciwko owadom. Dzięki żywicy sosny odnoszą mniej szkód w wyniku ich ataków.

– Rozumiem – powiedział Jack. – Zatem rośliny i drzewa komunikują się, emitując jakieś związki chemiczne. Lecz przecież to nadal nie jest rozmowa, prawda? Ludzie nie mogą tego usłyszeć. A ja słyszałem drzewa, które szeleściły liśćmi jakby celowo.

– Cóż, w tym momencie musimy się odwołać do mitologii – odparł profesor. Wziął łyżeczkę i zaczął mieszać kawę z mlekiem. Długo nie przerywał tej czynności. Wydawał się pochłonięty nią bez reszty. Można było odnieść wrażenie, że powolnymi ruchami chce zahipnotyzować Jacka i sprawić, żeby łatwiej uwierzył w to, co za chwilę usłyszy. – Jednak mitologia często oparta jest na faktach, jak zresztą już wielokrotnie w przeszłości udowadniałem. Opublikowałem nawet książkę na ten temat, *Bogowie żyli*

naprawdę. Nie sądzę, żebyś ją czytał, chociaż wydano ją zarówno po polsku, jak i po angielsku.

– Niestety, jestem właścicielem modnej restauracji i praca pochłania mnie bez reszty. Nie mam zbyt wiele czasu na czytanie. Jeśli już czytam, to głównie książki kucharskie i strony sportowe w gazetach.

– Rozumiem. Ale jeśli podasz mi swój adres, wyślę ci tę książkę i może znajdziesz chwilę, żeby do niej zerknąć. Jest w niej sporo informacji na temat mowy drzew. Niemal zawsze wiąże się ona z bogiem lasów, Panem.

Jack przez moment zobaczył w wyobraźni umierającego Roberta, z trudem szepczącego słowo „Pan”. Zerknął na Krystynę. Zauważył, że i ona spogląda na niego, jakby obserwowała jego reakcję na słowa profesora. A może po prostu patrzyła na niego?

– To starożytni Grecy jako pierwsi nazwali przychodzące nie wiadomo skąd uczucie strachu, którego czasami doświadczamy, kiedy samotnie znajdziemy się w lesie – kontynuował profesor Guzik. – Grecy wierzyli, że drzewa szeleszczą liśćmi, żeby ostrzegać Pana, że w lesie pojawił się obcy. Wtedy pojawiał się Pan i na różne sposoby próbował wystraszyć intruzów, szczególnie tych, którzy zamierzali wycinać drzewa albo palić ogniska. Uczucie strachu, które u nich wywoływał, Grecy nazwali „paniką” – od słowa Pan. Wywołując u ludzi panikę, bóg lasu robi wszystko, co w jego mocy, żeby chronić las i stworzenia, które w nim mieszkają.

– Ale my doświadczyliśmy tej paniki nie tylko tutaj, w Puszczy Kampinoskiej, lecz w Owasippe, w Michigan. Coś tu nie pasuje. Przecież te miejsca są od siebie odległe o kilka tysięcy kilometrów – powiedział Jack.

– I na to znajdzie się uzasadnienie! – wykrzyknął profesor Guzik. – Grecy wierzyli, że każdy las ma swojego Pana. Nonnos z Panopolis napisał, że dwunastu bogów pomagało Dionizosowi w podboju Indii. Każdy z nich miał inne imię, takie jak Phobos, Xantos, Argos czy Omester. Ale istniało

znacznie więcej wcieleń Pana, jak chociażby Aegipan, który był kozłem, a nie jak zwykle się przedstawiać Pana, pół człowiekiem, pół kozłem, albo Sybaris, który był rzymskim Panem. Został poczęty w wyniku kopulacji pasterza z kozą.

– I tam, w Owasippe, i tutaj widziałem coś w lesie – powiedział Jack. – Myślę, że Krystyna już ci o tym opowiedziała. Trudno mi było zobaczyć, co to jest, bo kryło się za drzewami, ale na pewno nie przypominało kozła. Mówiąc zupełnie szczerze, odniosłem wrażenie, że to człowiek owinięty białym prześcieradłem.

– Tak, Krystyna już mi o tym mówiła. To naprawdę bardzo, bardzo interesujące. Oczywiście Grecy opisywali Pana jako postać posiadającą wygląd fizyczny, podobnie jak opisywali innych bogów, a ponieważ był on bogiem pól i lasów, a przede wszystkim bogiem pasterzy kóz i owiec, wyobrażali sobie, że jest w połowie człowiekiem, a w połowie kozłem. Z tego powodu – kontynuował profesor – łatwo nam odrzucić tezę, że Pan jest wyłącznie mitem. Jak napisałem w mojej książce, wielu bogów istniało naprawdę, nawet jeśli wyglądem nie odpowiadali wizerunkom, jakie pozostawili Grecy i Rzymianie. Pan pojawia się w historii bardzo często, w wielu różnych miejscach i kulturach. Kiedy w dziewiątym roku naszej ery legiony rzymskie walczyły z plemionami germańskimi w Lesie Teutoburskim, wielu Rzymian popełniło samobójstwo, rzucając się na własne miecze. Podobna panika wybuchła podczas kilku bitew w czasie amerykańskiej wojny secesyjnej, chociażby nad Chickamaugą czy w bitwie w Wilderness; obie bitwy zostały stoczone w gęstych lasach. Z paniką mieliśmy do czynienia w Puszczy Kampinoskiej, kiedy w tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym roku Niemcy napadli na Polskę, a także w bitwie o las Hürtgen, niedaleko Akwizgranu, w ostatniej fazie drugiej wojny światowej. I tak dalej, i tak dalej. Znamy wiele przykładów paniki

wybuchającej w lasach, paniki samobójczej, która nie była bynajmniej spowodowana toczącymi się akurat walkami. Armie niszczyły lasy, a bogowie lasu robili wszystko, by je chronić. Ten sam rodzaj paniki odnotowano w latach sześćdziesiątych dwudziestego wieku w lasach deszczowych stanu Mato Grosso w Brazylii, kiedy różne firmy próbowały rabunkowo karczować las, żeby uzyskać miejsce pod uprawę soi. Robotnicy leśni wpadali w taką panikę, że rzucali się pod koła buldożerów. W końcu rząd musiał ogłosić utworzenie Parku Narodowego Xingu, oficjalnie w celu ochrony lasu, dzikiej flory i fauny oraz plemion, które zamieszkiwały te tereny od niepamiętnych czasów. Ale w rzeczywistości chodziło o powstrzymanie fali samobójstw.

– I myślisz, że to wszystko było dziełem Pana? Albo Panów, jeśli możemy mówić o nich w liczbie mnogiej?

Profesor popatrzył poważnie na Jacka.

– Wszystkie stworzenia dysponują mechanizmami, które pozwalają im się bronić. To są kolce, jad, żądło albo po prostu zdolność do kamuflowania się. Lasy są takie same. Posiadają swojego ducha, esencję, nieważne, jak to nazwiemy. Nie jest to człowiek z rogami i kopytami kozła, przygrywający na fujarce. Ale ten duch istnieje, a ty go niedawno widziałeś. Po bitwie w Lesie Teutoburskim Rzymianie nazwali go *spiritus saltus*, leśnym duchem. Żydzi europejscy nazwali go *nish gite*. Możesz o nim przeczytać nie tylko w mojej książce, ale też w wielu innych.

Jack nie wiedział, czy powinien opowiedzieć Guzikowi o swoich przeżyciach z ostatniej nocy czy też nie. Teraz, gdy siedział w zatłoczonej kawiarni, wsłuchując się w szmer rozmów, wesoły śmiech i bębnienie deszczu o kawiarnianą szybę, wydawało mu się, że biała postać w łazience to tylko senny koszmar, przywidzenie.

– Jack? – odezwała się Krystyna. – Chciałeś coś powiedzieć?

– Tak. Nie. Nieważne.

– A zatem to wszystko, czego chciałeś się dowiedzieć? – zapytał profesor Guzik.

– Chyba tak. Nie wiem jeszcze tylko, jak się pozbyć Pana.

– Nie rozumiem. Co to znaczy „pozbyć się Pana”?

– Mój pradziadek i jego przyjaciel zabili się, w przypiływie paniki kolega mojego syna podciął sobie gardło w lesie, a miał zaledwie trzynaście lat. To z tego powodu przylecieliśmy do Polski. Chcemy się dowiedzieć, kto jest odpowiedzialny za te samobójstwa.

– Leśny duch należy do sił natury. Nie można karać przyrody za to, że broni się przed gwałtem, jakiego dopuszczają się ludzie. Jesteśmy gośćmi na tej planecie i naszym obowiązkiem jest chronić naturalne środowisko. Jeżeli zaatakuje cię rekin, nie możesz za to winić rekina. Po prostu nie powinieneś przebywać na jego terenie, który i tak się kurczy, szczególnie jeśli wziąć pod uwagę, jak bardzo zanieczyszczamy oceany. Jeżeli poturbuje cię lew albo ukąsi kobra, albo użądli osa... przecież one robią to w samoobronie.

– A więc ten leśny duch, *nish gite*, czy cokolwiek to jest, ma prawo nas atakować, a my nie możemy się bronić?

– Nie wyobrażam sobie skutecznej obrony przed duchem, który nie ma żadnych właściwości fizycznych. Nie można go ani dotknąć, zamknąć w więzieniu ani zabić.

– Ale od duchów można się uwalniać przez egzorcyzmy, prawda?

– Na ten temat musiałbyś porozmawiać z księdzem. Ale nawet gdyby jakiś egzorzysta zadeklarował pomoc, czy miałbyś moralne prawo z niej skorzystać? W ciągu ostatnich dziesięciu lat w dorzeczu Amazonki wykarczowano lasy na obszarze o dwie trzecie większym od terytorium Polski. Lasy się bronią przed tym, chociaż mało skutecznie, i mają na to tylko jeden sposób.

Jack nie wiedział, co na to odpowiedzieć. Nigdy się specjalnie nie interesował zmianami klimatu, recyklingiem ani oszczędzaniem energii; co prawda pilnował, żeby w jego restauracji wyłączano zbędne światła i piece, ale robił to z oszczędności. Teraz myślał o Malcolmie i innych skautach, którzy popełnili samobójstwo, o pradziadku Grzegorzu i jego przyjacielu Andrzeju. No i o Robercie, Borysie i Lidii. Oni wszyscy mieli przecież prawo do życia, a tymczasem zginęli tak tragicznie. I to z jakiego powodu? Żeby drzewa mogły sobie spokojnie rosnąć?

Profesor Guzik mógł mieć własne poglądy na wiele spraw, a jednak wspomniane przez niego rekiny, które atakowały ludzi, ścigano i zabijano. Agresywne psy usypiano. Jack uważał, że ludzie i przyroda mają takie samo prawo do życia, bo są przecież równoprawnymi elementami natury. To natura zabrała Jackowi Agnieszkę i gdyby tylko istniał jakiś sposób, który zagwarantowałby mu skuteczną zemstę na złośliwym raku, Jack na pewno by z niego skorzystał.

Podobnie jak raka nienawidził Pana, leśnego ducha czy jak go tam zwać.

– Odnoszę wrażenie, że się ze mną nie zgadzasz – powiedział profesor Guzik.

Za soczewkami okularów jego oczy wyglądały jak oczy złotej rybki patrzącej przez ściankę szklanej kuli.

– Cóż, jesteś bardzo spostrzegawczy – odparł Jack. – Pozwól jednak, że coś ci powiem. W tej puszczy ogarnęła mnie tak ogromna panika, że naprawdę chciałem zabić najpierw Krystynę, a potem siebie. Później zobaczyłem Borysa i Lidię. Zmasakrowane ciała. Ktokolwiek lub cokolwiek jest sprawcą czegoś tak strasznego, powinien raz na zawsze zostać wyeliminowany, unicestwiony, żeby powiedzieć dosadniej. Przecież zabijamy szczury, prawda?

Profesor Guzik wzruszył ramionami i wyduł policzki.

– Rozumiem twój punkt widzenia, szczególnie po tym, co przeszedłeś. Gdyby coś takiego przydarzyło się mnie, pewnie czułbym to samo. Ale, już niezależnie od twojego stanowiska, jakoś nie widzę możliwości unicestwienia takiego zjawiska jak Pan. Przecież to jest duch, coś niematerialnego.

Kiedy wychodzili z kawiarni, na dworze już nie padało. Jack podał profesorowi rękę na pożegnanie i podziękował mu. Profesor poprosił go, żeby dał mu znać, jeżeli kiedyś uda mu się schwytać i unicestwić leśnego ducha.

Jack i Krystyna ruszyli na spacer Krakowskim Przedmieściem. Promienie słońca, które właśnie wyszło zza chmur, odbijały się od mokrych chodników.

– Chyba powinienem sprawdzić, co się dzieje u Sparky'ego – powiedział Jack.

– Zobaczymy się jeszcze przed odlotem? – zapytała Krystyna.

– Oczywiście. Może zjemy dzisiaj razem kolację w hotelu? Nie chciałbym znowu zostawiać syna bez opieki.

– Tak. Kolacja w hotelu. To mi się podoba.

Jack ujął dłoń Krystyny i ucałował jej policzki. Potem przez długą chwilę patrzyli sobie w oczy. Oboje wiedzieli już, czego w tych spojrzeniach szukają.

Wschód złego księżyca

Kiedy Jack wrócił do hotelu, Sparky siedział przy biurku koło okna i kreślił kolejną kartę nieba. Obok niego stał talerz z reszką frytek i keczupu oraz pusty pucharek po deserze lodowym.

Chłopiec usztywnił sobie włosy żelem. Ubrany był w koszulkę z wizerunkiem Alberta Einsteina z językiem wysuniętym z ust.

– Jak się masz, stary? – zapytał Jack. – Widzę, że udało ci się zjeść lunch?

– Tak. I czuję się już znacznie lepiej – odpowiedział mu Sparky, nie odrywając oczu od karty nieba. – Pluton i Uran są w koniunkcji. Prawdopodobnie dlatego dzisiaj w nocy wydawało ci się, że widzisz tę białą postać.

– Aha, rozumiem. Pluton i Uran. Od razu powinienem się domyślić.

– Poza tym Słońce spotkało się w kwadracie z Uranem. To się zdarza naprawdę bardzo rzadko. Jest to pierwszy z serii siedmiu kwadratów mocy, które będą się pojawiać w ciągu kolejnych trzech lat. Za każdym razem, kiedy tak się dzieje, wszystko przybiera dziwny obrót i wygląda inaczej niż to, do czego jesteśmy na co dzień przyzwyczajeni.

– I wszystko jasne. Co jadłeś do tych frytek? Cheeseburgera?

Dopiero teraz Sparky spojrzał na Jacka. Jack nie mógłby przysiąc, ale odniósł wrażenie, że jego syn wygląda jakoś dziwnie, jakby to nie był on, tylko jego sobowtór. Twarz Sparky'ego była znacznie bledsza niż zazwyczaj, a oczy wydawały się mętne. Prawdopodobnie z braku snu, zresztą Jack też był niewyspany.

– Zjadłem cheeseburgera z chili i lody czekoladowe – powiedział. W jego

głosie brzmiał jakiś dziwny ton; Jack pomyślał, że w ten sposób ludzie głośno się modlą, a nie opowiadają o codziennych posiłkach. – Jak ci poszło z profesorem Guzikiem?

– To bardzo interesujący człowiek, pod warunkiem że osoba, która go słucha, gotowa jest uwierzyć w duchy i mitologicznych bogów. Profesor wierzy, że drzewa potrafią się ze sobą komunikować, a w lesie zaatakował nas Pan, grecki bóg lasu. – Podeszedł do minibaru, wyjął z niego butelkę piwa Tyskiego i paczuszkę precli. Usiadł na kanapie i kontynuował: – Profesor jest przekonany, że na świecie żyją setki Panów. A może tysiące. Właściwie to każdy las ma swojego Pana; tak przynajmniej go zrozumiałem.

Powtórzył Sparky'emu rozmowę z profesorem.

– Tak – powiedział chłopak, kiedy Jack skończył; można było odnieść wrażenie, że o tym wszystkim doskonale wiedział już wcześniej.

– Wierzysz mi? – zapytał Jack. – Bo jeśli chodzi o mnie, jestem kompletnie zdezorientowany. Może chcemy niszczyć coś, co tak naprawdę nie istnieje?

– Przecież sam widziałeś leśnego ducha, a przynajmniej jakąś tajemniczą białą postać. Ja również ją widziałem. Dlaczego nie miałbyś wierzyć profesorowi?

– Przede wszystkim dlatego, że duchy po prostu nie istnieją.

– Ale twierdzisz, że dziś w nocy widziałeś ducha w łazience.

– Tak, ale sądzę raczej, że był wytworem mojej historii. A właściwie to po prostu mi się przyśnił. To była taka sama halucynacja jak głos twojej mamy w telefonie.

– Rzuciłeś krzesłem w okno. To ci się przecież nie śniło.

– Nie, na pewno nie. Ale ty sam powiedziałeś, że w łazience niczego nie było.

– Było.

– A więc uważasz, że jednak coś było w naszej łazience?

– Nie. To znaczy tam było nic.

Jack przez chwilę obserwował, jak Sparky pracuje nad kartą nieba. Wreszcie odezwał się:

– Jutro wracamy do Chicago. Odlot w południe, o dwunastej dziesięć, ale na lotnisko musimy przyjechać o dziewiątej.

– Pojedziemy jeszcze raz do Owasippe, prawda? – zapytał Sparky, nie podnosząc głowy znad papieru.

– A po co?

– Przyjechaliśmy tutaj, żeby się dowiedzieć, dlaczego Malcolm i pozostali skauci popełnili samobójstwo, prawda? I dlaczego zabił się twój pradziadek. Teraz już wiemy, że to sprawka leśnego ducha.

– Nawet jeżeli w to uwierzymy, wątpię, żeby ponowna wyprawa do Owasippe przyniosła nam coś dobrego – odparł Jack. – Jeżeli ten leśny duch istnieje i jest jakiś sposób, żeby go złapać, byłbym pierwszą osobą, która chciałaby ten sposób wypróbować. Bo przecież nie chcemy, żeby chłopcy w wieku Malcolma popełniali samobójstwo i w ogóle nie chcemy, żeby ktokolwiek to robił. No, ale to jest duch, Sparks. Profesor Guzik wierzy w jego istnienie, jednak nawet on przyznaje, że leśny duch jest istotą niematerialną. No i chociażby z tego prostego powodu nie zdołamy go schwycić.

– A moim zdaniem damy radę – powiedział Sparky. – Właśnie kończę kreślić dla nas nową kartę. Planety mówią, że może nam się to udać, a to oznacza, że to zrobimy. Karta mówi, że obaj odbędziemy podróż na Zachód, żeby wykorzenić wielkie zło, aby już nigdy więcej nikt przez nie nie cierpiał.

– Naprawdę? A czy karta mówi, w jaki sposób to zrobimy? Taka wiedza bardzo by się nam przydała.

– Mówi tylko tyle, że odpowiedź na to pytanie przywieziemy ze sobą ze

Wschodu, chociaż sami jeszcze jej dobrze nie znamy.

– Daj spokój, Sparks. Co to może być za odpowiedź? Nawet jeśli uwierzemy, że ludzie wpadają w panikę z powodu ducha, który mieszka w lesie, i tak nie uzyskamy przez to odpowiedzi, jak go dopaść, jak go powstrzymać, jakimi egzorcyzmami go przegonić, czy co tam jeszcze się robi z duchami.

Sparky wziął do ręki kartę nieba i podszedł do kanapy, żeby pokazać ją Jackowi.

– Patrz. – Wskazał na jeden z symboli, które narysował. – To jesteśmy my. Wracamy na Zachód... to jest twoja gwiazda, Baran, a to moja: Koziorożec. I tu znowu my, tym razem w Owasippe; naprawiamy wielkie zło.

– Skoro tak twierdzisz... Choć dla mnie są to zwykłe kreski i zawijasy.

– Skądże, tato! Popatrz tu. To jest Księżyc wschodzący dokładnie w momencie naszego przybycia do Owasippe. Ale Księżyc ukazuje się w kwadracie stworzonym przez Słońce i Uran. Z tego powodu wszystko odwróci się do góry nogami i tyłem do przodu. I to będzie właśnie moment, w którym się dowiemy, jaka jest odpowiedź na nasze podstawowe pytanie. Wszystko ułożyło się tak, jakby odpowiedź znajdowała się w bezpiecznym sejfie w niebie, a Księżyc chciał ten sejf dla nas otworzyć.

Jack upił łyk piwa z butelki i pokręcił głową.

– Sparky, ja i tak nic z tego nie rozumiem.

– Przecież to jest bardzo proste. Już wiemy, jak dotrzeć do odpowiedzi, jednak możemy ją uzyskać, tylko jeśli znajdziemy się w Owasippe, kiedy wszędzie Księżyc.

– Zatem ta twoja karta gwiazd i astrologiczne wywody są dla nas dobrą prognozą, złą prognozą czy czymś pośrodku?

Sparky popatrzył na kartę i zmarszczył czoło.

– Zazwyczaj, kiedy Księżyc wschodzi w kwadracie, nie wróży to niczego dobrego. A właściwie to bardzo zła przepowiednia. Wszystko postępuje w złym kierunku. Ale tym razem wszystko wygląda inaczej i sam dobrze nie wiem, co to ma znaczyć. Może będzie dobrze, a może źle. Problem w tym, że nie potrafię tych znaków poprawnie odczytać.

Obietnica

– Cóż, to prawdziwa tragedia – powiedziała Krystyna. Siedzieli przy kolacji w hotelowej restauracji na pierwszym piętrze. – Czuję się winna śmierci Roberta, Borysa i Lidii. A co osiągnęliśmy? Zupełnie nic.

– A co ze szczątkami, które znalazłaś? – zapytał Jack. – Szczątkami Grzegorza Walacha i jego przyjaciela, Andrzeja, jeżeli to naprawdę oni? Wrócisz do puszczy, żeby je wydobyć?

Wzruszyła ramionami.

– Nie mam pojęcia. Na pewno będę musiała poczekać, aż policja zakończy śledztwo. Ale nawet jeżeli otrzymam zgodę na kontynuowanie prac, nie jestem pewna, czy kiedykolwiek zbiorę się na odwagę, żeby tam wrócić. No bo co będzie, jeżeli to wszystko się powtórzy? Jeżeli zapragnę się zabić? Albo naprawdę popełnię samobójstwo?

Wyciągnęła rękę nad stolikiem i położyła ją na dłoni Jacka. Na palcu nosiła mały srebrny pierścionek z granatem, kamieniem szczęścia Koziorożców.

– Wybacz mi, Jack. Wiem, że wiadomość przekazała ci zmarła żona i bardzo chciałbyś się dowiedzieć dlaczego.

– Ależ ja ciebie o nic nie obwiniam. Ja też fatalnie się z tym wszystkim czuję. A w dodatku Sparky chce, żebyśmy pojechali jeszcze raz do Owasisippe. Mówi, że jeżeli tam pojedziemy, dowiemy się, czym jest ten cały Pan. Ale wcale mi się to nie uśmiecha.

– Nie pojedziesz?

– Niestety, chyba będę musiał. Problem w tym, że jak Sparky się przy czymś uprze, to nie odpuści, dopóki się nie przekona, czy miał rację czy nie.

Czasami męczy mnie jakimś problemem, którego w ogóle nie rozumie, aż jego upór przeradza się w obsesję, bo inaczej tego nie można nazwać.

– Cóż, a może warto spróbować unieszkodliwić tego leśnego ducha? Miejmy nadzieję, że wam się uda.

– Ale ja nawet nie wiem, czy on naprawdę istnieje. Co prawda słyszeliśmy szelest liści, czuliśmy, jak wieje huraganowy wiatr, i widzieliśmy jakiś biały kształt. Nie mówiłem o tym profesorowi Guzikowi, ale ostatniej nocy jakaś zjawa nawiedziła nawet naszą hotelową łazienkę.

– Widziałeś ducha w łazience?

– To była jakaś oślepiająca biała postać. Bił od niej taki blask, że nie można było na nią patrzeć. O mało nie umarłem ze strachu. Znowu miałem ochotę podciąć sobie żyły. Chwyciłem nóż do obierania owoców, uwierzysz, przekłety, tępy, mały nóż do owoców i już prawie to zrobiłem. Ale nagle stanął przede mną Sparky i powiedział, że przecież w łazience niczego nie ma. I miał rację. Na wszelki wypadek przeszukałem jeszcze sypialnię, zajrzałem pod łóżka i we wszystkie kąty. Niczego nie znalazłem.

– Dziwne. A może wszystko ci się przyśniło?

– Chyba tak... W każdym razie niech sobie profesor Guzik mówi, co chce, zaczynam nabierać przekonania, że ten cały Pan funkcjonuje jedynie w ludzkich umysłach.

– Pewnie masz rację – zgodziła się Krystyna. – Ale czymkolwiek jest, czy to prawdziwym duchem, czy urojeniem, za bardzo się go boję, żeby wracać do puszczy. Bardzo żałuję, ale to, co się przydarzyło twojemu pradziadkowi, zapewne na zawsze pozostanie nierozwiązaną zagadką. I to, co nas spotkało, także. Nas oraz Roberta, Borysa i Lidę.

Kelner przyniósł główne dania – medaliony z sarniny z jeżynami dla Jacka i szczupaka w marynacie dla Krystyny. Więcej nie rozmawiali już o duchu. Jack opowiedział Krystynie, jak jego rodzice założyli restaurację

Nostalgia, a z kolei Krystyna opowiedziała Jackowi o swoim dzieciństwie, które spędziła w Gdyni.

Pożegnali się w holu hotelowym.

– Pozostaniemy w kontakcie, Jack? Jeżeli pojedziesz ze Sparkym do Owasippe, obiecuj, że opowiesz mi o wszystkim, co się tam wydarzy.

– Obiecuję. Chciałbym cię lepiej poznać, więc proszę cię, dzwoń do mnie jak najczęściej.

Pocałował Krystynę, a ona oddała mu pocałunek. Przez chwilę stali przytuleni, wreszcie Krystyna uśmiechnęła się słabo i powiedziała:

– Dobranoc, Jack. Życzę ci bezpiecznej podróży do domu.

Wyszedł z nią przed hotel i czekał, dopóki nie podjechała taksówka. A potem długo stał na chodniku i patrzył, jak światła samochodu powoli zlewają się ze światłami innych pojazdów na ulicy. Nagle znowu się poczuł bardzo samotny.

Szepty w powietrzu

Lecieli już od dobrych siedmiu godzin, kiedy usłyszał pierwszy szept. W samolocie najpierw zjedli lunch, a potem oglądali najnowszy film z Johnnym Deppem. Teraz światła w kabinie ledwie rozpraszały mrok. Większość pasażerów spała, jednak niektórzy czytali książki albo pracowali na laptopach.

Sparky oparł głowę o ramię Jacka i spał, oddychając przez usta. Jack zamknął oczy, jednak w jego głowie kotłowało się zbyt wiele myśli i sprzecznych uczuć, by mógł zasnąć. Bezustannie rozmyślał o puszczy, o szeleszczących liściach i oślepiająco białej postaci, którą zobaczył w łazience. Myślał też o Krystynie.

Założył słuchawki i przez jakiś czas słuchał muzyki – Bruce'a Springsteena, Doktora Hooka i Leona Russella. Jednak po kilku minutach w słuchawkach niespodziewanie zapadła cisza i zaraz potem muzykę zastąpiły ciche, łagodne trzaski, jakby zakłóceń elektrycznych.

Jack już miał zawołać stewardesę i poprosić o nowe słuchawki, gdy usłyszał szept:

– Jack, słyszysz mnie?

Natychmiast zerwał słuchawki z uszu, jakby poraziły go prądem. Jakiś siwiejący mężczyzna, który zajmował fotel po drugiej stronie przejścia, popatrzył na Jacka ze zdziwieniem i później przez długą chwilę nie odrywał od niego wzroku.

To była znowu ta kobieta, której głos brzmiał jak głos Aggie. Ta sama kobieta, której głos słyszał w głowie podczas seansu Tamary Thorne i w słuchawce telefonu w hotelu. A może to jednak Aggie próbowała się z nim

skontaktować z nie wiadomo jakim miejscem? Czy zmarli naprawdę potrafią kontaktować się z żywymi z zaświatów? Czy potrafią przemawiać z niebios? Jak to możliwe, żeby Agnieszka znowu coś do niego mówiła?

Ostrożnie nałożył słuchawki na głowę; jeden z głośniczków nieznacznie odsunął od ucha. Znowu usłyszał trzaski i po chwili ten sam szept:

– Jack, słyszysz mnie? Jack, musisz ich znaleźć. Są zakopani...

Nie wiedział, co robić. Nie chciał dalej słuchać tajemniczego głosu, a jednocześnie nie chciał, żeby szept się urwał. Niezależnie od tego, jak surrealistyczne by się to wydawało – słuchanie głosu Aggie w słuchawkach w samolocie nad Atlantykiem, na wysokości wielu tysięcy metrów nad ziemią – to jednak była Aggie, a on nadal ją kochał, mimo że nie żyła. Jej głos sprawił, że ścisnęło mu się gardło. Gdyby w tej chwili ktoś go spytał, co się z nim dzieje, nie byłby w stanie odpowiedzieć.

– Jack, słyszysz mnie? Oni są zakopani... są zakopani tam, gdzie droga rozchodzi się w trzy strony.

Byłem tam, kochanie, pomyślał. Widziałem ich. Ale nie jestem w stanie nic zrobić. Przede wszystkim muszę pojechać ze Sparkym do Owasippe, mimo że wcale tego nie chcę. Może właśnie tam się dowiem, z czym tak naprawdę się zmagamy i czy istnieje jakaś możliwość, żebym wrócił do Puszczy Kampinoskiej i nie wpadł tam w panikę.

– Jack, słyszysz mnie? Słyszysz mnie, Jack?

Wciąż do niego szeptała, ale jej głos zaczął raptownie słabnąć. Zanim głos całkowicie zginął wśród trzasków, usłyszał jeszcze tylko jedno słowo:

– ...zależy...

Mocniej przycisnął słuchawki do uszu, głos jednak zamilkł na dobre. Niemal natychmiast powróciła muzyka zespołu Queen wykonującego utwór *Somebody to Love*. Mężczyzna siedzący w fotelu po drugiej stronie przejścia nadal się na niego gapił. Jack posłał mu krótki, uspokajający uśmiech.

Pomyślał, że facet ma gębę jak jaszczurka.

Sparky poruszył się, otworzył oczy i popatrzył na ojca.

– Co się stało? – zapytał i usiadł prosto.

– Nic. Dlaczego?

– Wyglądasz, jakbyś płakał.

Jack otarł oczy wierzchem dłoni.

– To wina sprężonego powietrza tłoczonego do kabiny. Zawsze mi łzawią od niego oczy.

Sparky nadal patrzył na niego uważnie, z niedowierzaniem. Wreszcie Jack spojrział na zegarek i odezwał się:

– No, ale to jeszcze tylko trzy godziny i lądujemy. Co zjesz na kolację?

– Pizzę. Albo kebab. Nic polskiego. Mam już dosyć polskiego jedzenia.

Chociaż wystartowali z Warszawy krótko po południu i lecieli samolotem ponad dziesięć godzin, kiedy znaleźli się w Nostalgii, było zaledwie kilka minut po szesnastej. W progu powitał ich Tomasz, a Duane pomógł im zanieść bagaże do mieszkania.

– Jak minęła podróż? – Tomasz zapytał Jacka. – Dowiedzieliście się wszystkiego, czego chcieliście?

– Nie do końca. – Jack nie był jeszcze gotów, żeby opowiadać o makabrycznej ekspedycji do Puszczy Kampinoskiej. – Szczerze mówiąc, żałuję, że w ogóle tam poleciałem.

– Tutaj wszystko funkcjonuje jak w zegarku. Żadnych problemów. Tyle że na przyszły tydzień zapowiedziała się inspekcja sanitarna.

– Chyba nie będzie żadnych problemów, co? Czy zmywarka jest już naprawiona?

– Naprawiona i działa doskonale. Wysprzątailiśmy całą kuchnię. Kazałem nawet Piotrowi usunąć tłuszcz z wentylatora.

– Świetnie się spisałeś, Tomasz. Należy ci się premia za dobrą robotę w czasie mojej nieobecności. Być może w najbliższy weekend znowu będę musiał wyjechać, ale tylko na jeden dzień... no, najwyżej na dwa.

– Nie ma problemu, szefie. Niech się pan nie martwi i jedzie, dokąd chce. Ale... zanim zapomnę...

Podszedł do swojego stanowiska przy drzwiach i zaraz wrócił z kartką, wyrwaną z bloku rachunków. Na jej odwrocie zapisała swój adres Tamara Thorne: West Schiller Street nr 1961, Wicker Park. Na kartce był też numer jej telefonu domowego i komórkowego. Poniżej dopisała jeszcze: „Zadzwoń do mnie. Mam dla ciebie wiadomość!!!”.

– Dzięki, Tomasz.

Jack poklepał Tomasza po plecach i poszedł do kuchni. Chciał zobaczyć, jak Michaił, Piotr i Duane przygotowują kolację. Gdy wszedł do środka, dwaj ostatni w wielkim pośpiechu obierali marchew, grzyby i seler korzeniowy, a Michaił mieszał chochlą w dużym rondlu stojącym na kuchence.

– Cześć, szefie, wrócił pan we właściwym momencie – powiedział Michaił. – Niech pan spróbuje tej zupy i powie mi, co o niej myśli.

Podał Jackowi chochlę, po brzegi wypełnioną brązową zupą pachnącą ostrymi przyprawami. Zupa była rzeczywiście mocno przyprawiona – wyczuł w niej pieprz, czosnek i wędzonkę. Aggie stosowała podobne przyprawy.

– No i co, smakuje panu? – zapytał Michaił. – To zupa fasolowa na ostro. Taka, jaką gotowała moja ciotka.

– Jest wspaniała. Niech to dziś będzie specjalna zupa dnia. Później może umieścimy ją w menu na stałe. Jezu, po jednym talerzu czegoś takiego ludzie nie będą głodni przez cały tydzień!

Michaił uśmiechnął się z satysfakcją.

Jack poszedł na górę, do mieszkania. Sparky był w swoim pokoju. Rozpakował się i właśnie układał dzinsy w szafie. Jack stanął na progu i

obserwując go, pomyślał, że chłopak jest bardzo samotny. Nie tylko dlatego, że stracił matkę, ale też dlatego, że odbierał wszystkie zjawiska tego świata w bardzo prosty sposób, nie dostrzegając ich złożoności i drobnych niuansów, a co za tym idzie, nie potrafił ich właściwie ocenić. Naiwnie patrzył nawet na gwiazdy i planety, wierząc w to, co uważał za ich przepowiednie.

Jack wrócił do salonu, wziął do ręki słuchawkę i wystukał domowy numer Tamary Thorne. Telefon dzwonił i dzwonił. Wreszcie, po długiej chwili, usłyszał w słuchawce kiepsko nagrany głos: „Tutaj Tamara Thorne. W tej chwili nie mogę odebrać telefonu, ale jeżeli chcesz, żebym w twoim imieniu skontaktowała się z twoimi bliskimi, albo potrzebujesz innego rodzaju usługi spirytystycznej, zostaw mi nazwisko i numer telefonu”.

Jack wybrał numer telefonu komórkowego i tym razem Tamara odebrała natychmiast. Można było odnieść wrażenie, że czekała przy telefonie, aż Jack do niej zadzwoni.

– Mówi Jack Wallace. Wróciłem do domu. Zostawiłaś mi wiadomość.

– Tak, rzeczywiście. Posłuchaj, to nadzwyczajne! Ktoś z drugiej strony starał się z tobą skontaktować. Ta osoba była bardzo zdesperowana.

– Naprawdę? Kto to był?

– Kobieta. Wymieniła imię, ale bardzo niewyraźnie.

– Kobieta? Powiedziała, czego ode mnie chce?

– Nie. Ale dała mi do zrozumienia, że to sprawa niecierpiąca zwłoki.

Jack był śmiertelnie zmęczony i czuł, że za chwilę zacznie go boleć głowa. Zaczynał dochodzić do wniosku, że jego umysł nie wytrzyma tak wielkiego obciążenia i wkrótce na pewno odmówi posłuszeństwa. W ciągu ostatnich trzech dni poznał trzy osoby, które potem popełniły samobójstwo. Widział postać, która nie istniała, i słyszał szepty oraz głosy ludzi, którzy albo byli już martwi, albo się nigdy nie urodzili. A teraz jeszcze wiadomość z zaświatów.

– Jack? – odezwała się Tamara Thorne. – Jesteś tam, Jack?

– Tak, jestem.

– Chciałbyś usłyszeć tę wiadomość? Może być naprawdę bardzo ważna. Duchy bardzo rzadko z własnej inicjatywy próbują się kontaktować z żywymi. Niemal zawsze jest odwrotnie: to żywi próbują nawiązywać kontakt ze zmarłymi.

– Rozumiem. Kiedy możemy się spotkać?

– Natychmiast, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Jestem w księgarni u Bindy.

Jack na chwilę zamknął oczy. W tym momencie chciał jedynie połknąć środek przeciwbólowy, zjeść kolację z synem, położyć się do łóżka i przespać co najmniej osiem godzin. Ale skoro Tamara Thorne była tak blisko, tuż za rogiem ulicy, uznał, że znajdzie jeszcze dość siły, żeby do niej pójść i się dowiedzieć, co chce mu powiedzieć duch nieznannej kobiety. Gdyby tego nie zrobił, najprawdopodobniej nie zdołałby zasnąć przez całą noc.

– Na chwilę wychodzę, Sparks. Ale nie na długo. Nadal chcesz zamówić tę pizzę? Możesz wziąć do niej takie dodatki, jakie zechcesz.

– A kiedy pojedziemy do Owasippe? – zapytał Sparky. – Jutro?

– Nie wiem, Sparks. Najpierw trochę odpocznijmy po podróży. Co mówią gwiazdy?

– Jeszcze nie sprawdzałem.

– To nie sprawdzaj. Chyba nadszedł już czas, żebyśmy zaczęli sami podejmować decyzje.

– Nigdy o niczym sami nie decydujemy, tato. Wszystko, co robimy, zależy od planet.

Jack zaczynał już w to wierzyć, jednak nie powiedział o tym Sparky'emu. W tej chwili nie obchodziło go, co robi Merkury albo Uran, czy się wznoszą,

czy opadają i w jakiej pozycji względem Słońca się znajdują. Po prostu chciał jak najszybciej spotkać się z Tamarą Thorne, a potem pójść prosto do łóżka.

Wyszedł z restauracji i po chwili stanął przed księgarnią. Bindy była w magazynie, ale przybiegła, kiedy tylko usłyszała dzwonek. Ubrana była w workowatą brązową suknię z beżowym kołnierzykiem.

– Ależ jesteś szybki, Jack! Tamarę znajdziesz na zapleczu, właśnie podpisuje dla mnie książki. Jak się czujesz po podróży?

– Niestety nie najlepiej. Wręcz fatalnie.

– Och! Tak mi przykro. Coś się stało?

– Opowiem ci innym razem, Bindy. Teraz dosłownie padam z nóg. Przyszedłem tylko na chwilę, spotkać się z Tamarą, bo powiedziała mi, że ma bardzo pilną sprawę.

– I chyba tak jest! – zawołała Tamara z zaplecza. – W gruncie rzeczy sprawa jest śmiertelnie pilna!

Jack wszedł do magazynu, w którym pachniało nowymi książkami. Stały ciasno na półkach, pełno ich było też w pudłach i kartonach na podłodze. Tamara Thorne siedziała na krzeselku przy małym biurczku. Przed nią piętrzyły się trzy sterty egzemplarzy jej najnowszej książki; połowę zdążyła już podpisać. Tak jak poprzednio, siwe włosy upięła w kok. Miała na sobie luźną szarą koszulę, szerokie czarne spodnie, a na nogach srebrne sandały. Paznokcie nóg i rąk również pomalowała srebrnym lakierem.

– Jak się masz, Jack? – powiedziała i energicznie wyciągnęła do niego rękę, aż zabrzęczały jej srebrne bransolety. – Słyszę, że nie jesteś zadowolony z podróży do Polski.

Bindy przyniosła skądś plastikowe krzesło i poprosiła Jacka, by usiadł.

– Napijesz się kawy albo herbaty? – zapytała. – Mam też trochę wina, jeśli masz ochotę na coś mocniejszego. Zostało mi parę butelek po ostatnim spotkaniu autorskim.

– Nie, dzięki, Bindy. Muszę zaraz wracać do domu. Przyszedłem tylko po tę pilną wiadomość z za grobu.

Tamara uniosła idealnie wypielęgnowane brwi.

– Mam nadzieję, że sobie ze mnie nie drwiesz, Jack.

– Nie, naprawdę nie, mówię szczerze. Po prostu mam za sobą kilka trudnych dni. Prawdę mówiąc, chyba teraz będzie mi łatwiej uwierzyć w twoje słowa niż za pierwszym razem.

– Widziałeś coś? Słyszałeś?

Pokiwał głową.

– Ale mnie nie proś o żadne wyjaśnienia, ponieważ nie potrafię niczego wyjaśnić.

– Nie musiałeś tego mówić, Jack. Czuję, że otacza cię niepewność. Twoja aura jest pełna chaosu. Zakłóciłeś spokój sił natury, naprawdę potężnych sił. To dlatego ten duch chce się z tobą skontaktować. Prawdopodobnie chce cię ostrzec przed lawiną, jaką uruchomiłeś.

– Ale to chyba nie jest niebezpieczne, co? – zapytała Bindy i zagryzła wargi.

– Wręcz przeciwnie, jest bardziej niż niebezpieczne. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie czułam. I nie mam pojęcia, co to jest. Wydaje się bardzo stare i zarazem bardzo dziwne. Być może ta wiadomość dla ciebie powie nam coś więcej.

– Rozumiem – mruknął Jack. – Co mam robić, żeby ją usłyszeć?

Tamara odsunęła książki na bok.

– Złap mnie za rękę, Jack, zamknij oczy i staraj się o niczym konkretnym nie myśleć. Myśl o pustce, o próżni. Myśl o unoszeniu się w przestrzeni, ale przestrzeni bez gwiazd.

Jack pochylił się nad biurkiem i dotknął dłoni Tamary. Były zadziwiająco

ciepłe. Nie wiadomo dlaczego jej dotyk nagle go uspokoił i jakby ukoił. Poczuł, że dotyka dłoni kogoś, kogo bardzo lubi – matki, siostry, przyjaciółki, a może kochanki. Zaczynał rozumieć, dlaczego Tamara Thorne potrafiła wydobywać z ludzi informacje o ich potrzebach emocjonalnych.

Zamknął oczy i spróbował o niczym nie myśleć. Początkowo w jego myślach pojawiła się zupa fasolowa, ponieważ wciąż czuł w ustach jej smak.

– Czy twój umysł jest pusty?

– Niezupełnie. Myślę o zupie.

– Zapomnij o niej. Myśl o ciszy. Myśl o ciemności. Myśl o unoszeniu się w powietrzu.

Pomyślał o ciszy. O ciemności. I o lataniu. Jego umysł był niemal pusty, kiedy Bindy zakaszłała, przesunęła się na kartonie, na którym siedziała, i rozproszyła go.

– Próbuj dalej – powiedziała Tamara.

Zacząła delikatnie, kolistymi ruchami, głaskać kciukami wierzchy dłoni Jacka. Po chwili wydawało mu się, jakby opuścił swoje ciało. Miał przy tym pewność, że Tamara Thorne zaopiekuje się jego cielesną powłoką, a on może sobie swobodnie wędrować bez niej. Poczuł, że jest niemal tak mały jak główka od szpilki w bezkresnym wszechświecie.

– Widzieliśmy, co się stało. – Usłyszał głos młodej kobiety, tak głośny i wyraźny, jakby znajdowała się tuż obok.

Natychmiast otworzył oczy. Zobaczył jednak tylko Tamarę, która tkwiła nieruchomo przy biurku z zamkniętymi oczami, wciąż trzymając jego dłonie w swoich, i Bindy. Ona nadal siedziała na kartonie i ze zmarszczonym czołem wpatrywała się w swoje paznokcie.

– Byliśmy przy żlebie, szukaliśmy spokojnego miejsca – kontynuowała kobieta.

Głos dobiegał z niewielkiej odległości. Jackowi się wydawało, że czuje

na policzku jej oddech. Obrócił głowę, jednak w pomieszczeniu naprawdę nie było żadnej kobiety poza Tamarą i Bindy.

– Weldon powiedział, że czuje paniczny strach. Powiedział, że naszymi śladami na pewno podąża jakaś puma. A potem liście zaczęły głośniejszeleścić i wydawało nam się, że z każdą chwilą są coraz bliżej nas. Zaczęliśmy uciekać.

Każdy mięsień w ciele Jacka był napięty do granic możliwości. Poczłł nieodpartą chęć, żeby stamtąd wybiec. Na miejscu zatrzymywały go tylko dłonie Tamary i chęć wysłuchania wszystkiego, co ma mu do powiedzenia młoda kobieta.

– Schowaliśmy się. Ukryliśmy się w jakiejś dziurze, pomiędzy krzakami. Oboje zdaliśmy sobie sprawę, że nie ma już dla nas ucieczki. Wiedzieliśmy to, nie musieliśmy nawet o tym rozmawiać. Przeczuwaliśmy, co potwór z nami zrobi. Krążył dookoła, pomiędzy krzakami, coraz bardziej zaciskając wokół nas pętlę. Nigdy w życiu nie byłam taka przerażona. To Weldon mnie zabił. Poderznął mi gardło, ale prawie tego nie poczułam. Kiedy byłam już nieprzytomna, odciął mi głowę. Potem zabił siebie. To było okropne, ale przynajmniej uwolniliśmy się od strachu. Nasze życie się skończyło, ale oboje zyskaliśmy spokój.

Kobieta zamilkła. Jack czekał, po chwili się rozejrzał, ale w magazynie zapanowały spokój i cisza. Tamara Thorne nadal miała zamknięte oczy i głąskała kciukami jego dłonie, jednostajnymi, powolnymi ruchami, jakby się spodziewała, że dziewczyna powie coś jeszcze.

Jack pomyślał, że łączność się zerwała, dlatego że się zdekoncentrował. Znowu zamknął oczy i spróbował skupić się na niczym. Na ciemności. Pustce. Unoszeniu się w przestrzeni.

Minęła niemal minuta, gdy głos młodej kobiety rozległ się ponownie. Tym razem zaczął jednak docierać z zupełnie innej strony. Mówiła też

znacznie ciszej, tak że Jack z trudem rozróżniał poszczególne słowa.

– Duch opuścił moje ciało. Uniosłam się i popłynęłam w powietrzu. To było zaskoczenie. Nie wiedziałam, że dusza potrafi takie rzeczy. Ludzie czasami o tym mówią, snują różne przypuszczenia... Teraz wiem, że to prawda. Weldon także opuścił swoje ciało i wtedy pojawił się potwór. Wynurzył się spomiędzy krzaków, przystanął i popatrzył na nasze zwłoki. Był biały i wydawało się, że płonie, tyle że nie emitował ognia, a jedynie dziwne światło. Nie wiem. Nie potrafię znaleźć słów, żeby je opisać. Jego wygląd przerażał jak widok samego diabła, usta miał wykrzywione, jakby za chwilę miał zawyć. Właśnie tak pomyślałam, kiedy go zobaczyłam. Był oślepiająco biały, niczym anioł, a jednak sprawiał wrażenie, że z jego ust zaraz zacznie się wydobywać przeraźliwe wycie. Wyjący anioł.

Znowu nastąpiła długa cisza. Kiedy Jack zaczął nabierać przekonania, że młoda kobieta skończyła, znowu usłyszał głos:

– Unosiliśmy się wysoko – mówiła jeszcze ciszej, z bezkresnym smutkiem w głosie. – Unosiliśmy się nad ziemią, jakbyśmy byli po prostu dymem. Wkrótce znaleźliśmy się tak wysoko, że widziałam z góry cały las. Widziałam nawet, jak zachodzi słońce, i wtedy pomyślałam, że to był mój ostatni dzień na ziemi. – Ponownie zapadła cisza. Gdy kobieta odezwała się kolejny raz, jej głos był wyraźniejszy, głośniejszy, niemal ostry. – Popatrzyłam w dół i zobaczyłam, że wyjący anioł wciąż tkwi w miejscu. Po chwili dostrzegłam leśnika, który siedł między drzewami razem z psem. Usłyszałam, jak pies warknął. Anioł musiał również usłyszeć to warczenie. Nagle zniknęło światło, którym dotąd emanował, i zaszył się wśród krzaków tak dokładnie, że zaczęłam mieć wątpliwości, czy go kiedykolwiek widziałam. I wiesz, o czym pomyślałam, Jack? Wiesz, w co wierzę?

Kiedy wypowiedziała jego imię, Jack bezwiednie otworzył oczy. Już wiedział, kto do niego przemawia – dziewczyna, którą znalazł w sadzawce w

Owasippe z odciętą głową. Ta sama, która prowadziła prace badawcze dla Michigan Wildlife Conservancy, zbierając informacje o pumach. Nawet nie pamiętał jej imienia, więc skąd ona go znała? Przecież w chwili, gdy natknął się na jej zwłoki, od dawna nie żyła.

– Co? – zapytał głośno. – W co wierzysz?

– To jest wiadomość dla ciebie, Jack. Wiem, co ostatnio robiłeś, ponieważ zmarli zawsze to wiedzą. Ale bardzo rzadko miewamy możliwość rozmawiania z żywymi. Przysługuje nam to prawo tylko wtedy, gdy zginiemy tragicznie i trzeba naprawić zło związane z naszą śmiercią.

– Co to za wiadomość?

Usłyszawszy głos Jacka, Tamara Thorne także otworzyła oczy. Przestała głaskać jego dłonie, ale mocniej zacisnęła na nich palce, tak jakby próbowała dodać mu sił.

– Ten anioł był przerażony, Jack. Był przerażony. Przerażony bardziej od nas.

– Co?

– Wyjący anioł. Ta zjawą, którą nazywasz leśnym duchem, *nish gite*. Była przerażona.

– Nic nie rozumiem. I co to właściwie ma być za wiadomość?

Czekał bardzo długo, ale kobieta już mu nie odpowiedziała. Po chwili Tamara puściła jego ręce i odezwała się:

– Jej już nie ma, Jack.

– Mogłabyś ją przywołać z powrotem? Chcę się dowiedzieć dokładniej, o czym, do diabła, mówiła.

Tamara znowu zamknęła oczy, jednak po niedługiej chwili je otworzyła.

– Myślę, że powiedziała ci już wszystko, co zamierzała. Naprawdę już jej tutaj nie ma. Ludziom się wydaje, że medium, takie jak ja, może w dowolnej

chwili wezwać ducha na rozmowę, ale to nie jest prawda. Mało które medium to przyznaje, ale tak niestety jest. Możemy rozmawiać ze zmarłymi tylko wtedy, kiedy oni sami mają ochotę na rozmowę.

– Kiedyś chciałam porozmawiać z babcią – odezwała się Bindy – żeby zapytać ją, gdzie schowała klucz do zegara z kukułką, ale nic z tego nie wyszło.

Jack podrapał się po karku. Był odrętwiały i okropnie zmęczony, a na dodatek czuł się tak, jakby z niego zadrwiono. Nie wątpił, że Tamara Thorne jest prawdziwym medium i że naprawdę słyszał przed chwilą głos dziewczyny z Owasippe. Ale czy powinien przywiązywać wagę do wiadomości od ducha, skoro ta wiadomość nie miała sensu?

A więc leśny duch, Pan, albo cokolwiek to było, też się bał. Jack się domyślał, że strach może ogarniać zwierzęta, na przykład pumy, kiedy na ich terytorium wkraczają ludzie. Mimo strachu pumy jednak atakują ludzi i zabijają ich.

Wstał i podał rękę Tamarze.

– Dziękuję bardzo – powiedział. – To było doświadczenie, którego długo nie zapomnę. Jak już wspomniałem, nie mam zielonego pojęcia, o co chodziło, lecz mimo wszystko bardzo dziękuję.

Tamara uścisnęła jego dłoń i posłała mu dziwny, tajemniczy uśmiech.

– Wkrótce się zorientujesz, Jack. W przeciwieństwie do babci Bindy, ta dziewczyna podała ci klucz do rozwiązania zagadki.

Co mówią gwiazdy

Mimo ogromnego zmęczenia Jack spał w nocy bardzo niespokojnie. O trzeciej dwadzieścia nad ranem poszedł do kuchni i wypił szklankę zimnej wody, a potem udał się do salonu, stanął przy oknie i patrzył na ulicę.

Ulice były zbyt jasno oświetlone, żeby mógł zobaczyć gwiazdy, doskonale jednak wiedział, że wysoko na niebie gdzieś one na pewno błyszczą. Wiedział, że są tam również planety, które przemieszczają się w dziwnej i skomplikowanej podróży dookoła Słońca. Podobnie jak Sparky, zaczynał z całą powagą akceptować możliwość, że ciała niebieskie w tajemniczy sposób zawiadują jego życiem i tak naprawdę on sam nie ma żadnego wpływu na to, co się z nim dzieje. Zawsze podchodził do astrologii z wielkim sceptycyzmem, jednak przeżycia kilku ostatnich dni sprawiły, iż zaczynał odnosić wrażenie, jakby jego przyszłość była już gdzieś zapisana i żadne decyzje, jakie podejmie, nie mogą jej zmienić.

Samolubnie i arogancko wierzymy, że wszystkie wybory należą do nas, rozmyślał, ale jakie właściwie mamy wybory, skoro w wielkim wszechświecie wszystko jest już dokładnie zaplanowane? Do Ziemi przyciąga nas siła grawitacji, wobec której jesteśmy równie bezbronni jak muchy, które dotkną lepu. Słońce wschodzi i zachodzi, kontrolując każdy dzień każdego człowieka, od jego pobudki do zaśnięcia. Skoro Słońce i Ziemia tak bardzo nad nami panują, kto może powiedzieć, że na nasze poczynania nie mają także wpływu inne planety?

Popatrzył na swoje upiorne odbicie w szybie. Sam przed sobą musiał przyznać, że teraz on także wierzy w duchy. Przecież słyszał głos Aggie i głos tej dziewczyny bez głowy. Jeszcze tydzień temu popukałby się w czoło,

gdyby ktoś mu powiedział, że istnieje życie po śmierci albo że wkrótce będzie rozmawiał z Aggie. Teraz już nie wątpił. Przecież nie mógł wątpić.

„Jack! – Przypomniawszy sobie natarczywy szept Agnieszki. – Jack, czy mnie słyszysz?”

Aż do tej pory kierował się w życiu wyłącznie czystym pragmatyzmem. Niemal każdą godzinę życia poświęcał pracy: zakupom żywności, ustalaniu menu dla restauracji, wypłacaniu pensji pracownikom, praniu, reklamom i rachunkom. Nigdy nie był aż takim bezwzględnym realistą jak jego ojciec – nałogowy palacz – albo jak twardo stąpająca po ziemi matka, ale też nigdy nie przypuszczał, że kiedyś zacznie wierzyć w duchy.

W tym tygodniu zdał sobie jednak sprawę, że jego postawa wobec świata uległa wielkiej przemianie. Żaden człowiek nie mógł przecież patrzeć na ciała ludzi, którzy w tak tragicznych okolicznościach odebrali sobie życie, słuchać głosów z zaświatów i nie ulec nieodwracalnej przemianie.

Za oknami zaczęło świtać i North Clark Street stopniowo wyłaniała się z ciemności, jak czarno-biała fotografia w kuwecie z wywoływaczem zdjęć. Jack wrócił do łóżka, przykrył się kołdrą po sam czubek głowy i zapadł w niespokojny sen. Kiedy się obudził, była siódma trzydzieści. Słyszał, jak wiatr trzaska okiennicami restauracji, ale przynajmniej świeciło słońce.

W kuchni zastał Sparky'ego. Chłopiec siedział przy stole i jadł płatki z mlekiem. Obok stał karton z sokiem pomarańczowym.

– Mógłbyś wziąć szklankę – zwrócił mu uwagę. – Przecież na pewno jeszcze ktoś inny będzie chciał pić sok z tego kartonu.

– Śniło mi się, że jesteśmy w Polsce – rzekł Sparky.

– No i co? Czy to był straszny sen?

– Nie – odpowiedział chłopak, z ustami pełnymi płatków. – Śniło mi się, że szliśmy przez las i spotkaliśmy mamę z jakimś mężczyzną. Trzymali się za ręce i oboje się śmiali, jakby byli bardzo szczęśliwi.

Jack włączył ekspres do kawy.

– Miły sen. A kim był ten mężczyzna? To ktoś, kogo znasz?

– Nie. Nigdy go nie widziałem.

– Jasne. Ale jeśli ten sen się powtórzy, dopilnuj, żebym to ja był mężczyzną obok mamy.

– Przecież to był tylko sen. Nie powinieneś być zazdrosny.

– Nie powinienem? Cóż, pewnego dnia zrozumiesz, co to jest zazdrość. Mam przynajmniej taką nadzieję.

Jack usiadł przy stole, czekając na kawę. Przez chwilę obserwował Sparky'ego, po czym odezwał się:

– Przygotowałeś już dzisiejszą kartę nieba?

Sparky pokręcił głową.

– Nie muszę. Przecież jedziemy do Owasippe, prawda? To nasz obowiązek.

– Nie jestem pewien, Sparks. Nie sądzisz, że będzie lepiej, jeśli zapomnimy o leśnym duchu i w ogóle o całej sprawie?

– Ja nie mogę zapomnieć, tato.

– Ale po tym, co się stało w Polsce...

– Musimy tam wrócić. Przecież wiesz. Musimy się dowiedzieć, co spotkało Malcolma i pozostałych skautów. Poznać przyczynę śmierci twojego pradziadka. Jak myślisz, dlaczego słyszeliśmy głos mamy? Przecież to ona chce, żebyśmy dotarli do prawdy. To jest bardzo, bardzo ważne.

– A jeżeli naprawdę znajdziemy ducha, czy cokolwiek to jest? Jeśli wcześniej się nie zabijemy?

– Coś się wydarzy. Ja to wiem.

– Ale co takiego?

– Tego nie wiem. Po prostu czuję. Czuję to w sobie.

– I nie boisz się? Bo ja czuję strach. Może nie tak wielki jak w lesie, ale jednak. Wczoraj wieczorem byłem w księgarni u Bindy i spotkałem się tam z kobietą, która uważa, że także widziała na własne oczy leśnego ducha.

– Naprawdę? Co to za kobieta?

– Och... po prostu kobieta, która prowadzi badania w lesie. – Jack nie chciał opowiadać Sparky'emu, że chodzi mu o tę samą kobietę, którą znalazł w Owasippe. – Jeśli to cię pocieszy, wiedz, że jej zdaniem leśny duch bardziej boi się nas niż my jego. Przynajmniej tak twierdzi ta kobieta. Powiedziała, że widziała, jak ta istota zareagowała na zbliżającego się leśnika: po prostu uciekła i zasyła się głęboko w chaszczach.

Sparky milczał przez długą chwilę.

– A ja chyba jeszcze bardziej boję się siebie samego – powiedział w końcu.

– Co to ma znaczyć? Jak możesz się bać samego siebie? – zdziwił się Jack.

– Boję się tego, co jest we mnie. Tego, kim jestem.

Jack położył dłoń na ramieniu syna.

– Jesteś tylko chłopcem, Sparks. Zwykłym, normalnym chłopcem. Oczywiście, twój umysł pracuje trochę inaczej niż umysł większości ludzi, ale przecież wszyscy ludzie różnią się między sobą, prawda? Poza tym jesteś moim synem i synem swojej matki, i to powinno być dla ciebie najważniejsze, to w sobie nosisz. Nas. I tyle.

– Nie. Jest coś jeszcze.

– Co jeszcze?

– Nie wiem. To się kryje we mnie. Za każdym razem, kiedy próbuję się przekonać, co to takiego, to coś znika.

– Daj spokój, Sparks. Chyba ponosi cię wyobraźnia. Poza tym jesteś zmęczony. Dzisiaj musisz naprawdę dobrze wypocząć. A jutro

porozmawiamy o podróży do Owasippe.

– A więc pojedziemy? Musimy, tato.

Jack nie odpowiedział Sparky'emu. Ale kiedy na niego popatrzył, powróciło do niego dziwne odczucie, że jego syn nie jest całkowicie sobą. Chłopiec był nienaturalnie blady i miał podkrążone oczy.

Jack przeglądał właśnie w biurze rachunki z ostatnich kilku dni, kiedy do pomieszczenia weszła Sally. Wiatr strasznie potargał jej włosy.

– No i proszę, Polak powrócił! – zawołała. Pochyliła się nad biurkiem i pocałowała Jacka w policzek. – Co słychać w Starym Kraju?

– Jesteś na służbie? Bo jeśli nie, chodźmy najpierw do baru i nalejmy sobie po drinku. Wszystko opowiem, ale najpierw muszę się napić.

– W gruncie rzeczy mam dzisiaj wolne. Dopiero jutro mam służbę. Muszę pojechać do Muskegon. Porter twierdzi, że ma jakieś nowe dowody, które powinniśmy razem obejrzeć.

– Co za zbieg okoliczności! Sparky i ja również chcemy tam pojechać.

Przeznaczenie, pomyślał Jack. Kiedy zacząłem w nie wierzyć, widzę, że naprawdę istnieje.

Sally usiadła na stołku barowym i powiedziała:

– Jest dość wcześnie, ale wypiję to, co zwykle piję wieczorem. Dlaczego jedziecie ze Sparkym do lasu?

Jack odkręcił butelkę Jima Beama.

– To on na mnie naciska. Wiesz, jaki potrafi być uparty. Uważa, że jeśli tam wrócimy, dowie się, dlaczego Malcolm popełnił samobójstwo.

– Ciekawe. W każdym razie Porter twierdzi, że nie ma żadnych dowodów, by w tych tragicznych wydarzeniach brały udział jeszcze jakieś osoby poza samymi skautami. A ponieważ nikt nie przeżył...

Jack zdjął kapsel z butelki piwa.

– Posłuchaj jednak, co się wydarzyło w Polsce. Nie uwierzysz, ale niemal dokładnie powtórzyło się to samo co w Owasipte. Poszliśmy w kilka osób do lasu i wszyscy wpadliśmy w totalną panikę. Troje spośród nas popełniło samobójstwo.

– O mój Boże. Chyba żartujesz!

Spokojnie i tak racjonalnie, jak tylko potrafił, opowiedział Sally o nieszczęsnej wyprawie do Puszczy Kampinoskiej. Słuchała go uważnie i dopóki nie skończył, nawet nie dotknęła drinka. Wreszcie wychyliła go jednym łykiem.

– Jezu – powiedziała. – Co się dzieje w tych lasach?

Jack wyjaśnił jej teorię profesora Guzika – że wszystkie lasy na świecie są zamieszkane przez duchy, które starożytni Grecy nazywali Panami, i że te duchy bronią drzew przed tymi, którzy je niszczą.

– A co ty o tym sądzisz? – zapytała Sally. – Bo dla mnie to jest trochę naciągane. Czy Pan to ten facet z nogami kozła i puszczalkami?

– Dokładnie ten. Ale to, co widziałem, ta biała postać, w ogóle go nie przypomina. Już ci powiedziałem, bardziej przywodzi na myśl ducha niż greckiego boga.

– O której jutro wylatujecie? Bo ja jeszcze nie zarezerwowałam biletu. Może polecilibyśmy razem? – zapytała Sally.

Jack popatrzył na odbicie swoje i Sally w lustrze za barem. Przeznaczenie, pomyślał znowu. Znowu miał wrażenie, że właśnie ogląda film, na którym ktoś zarejestrował jego życie.

W nocy obudziły go jakieś głosy. Podniósł głowę i sprawdził, która jest godzina. Była druga trzydzieści trzy nad ranem, a to oznaczało, że przespał dopiero niecałe trzy godziny. Leżał bez ruchu i próbował wyłowić z głosów poszczególne słowa. A może to tylko hałasy z mieszkania, gdzie ktoś, mimo

późnej nocy, jeszcze oglądał telewizję? Wiedział, że sąsiad pracuje na porannej zmianie na lotnisku O'Hare i być może teraz brał prysznic, kłócił się z żoną albo słuchał muzyki w czasie, kiedy normalni ludzie głęboko śpią.

Ale głosy były przytłumione i docierały z niewielkiej odległości. Jakby dwie osoby z zapamiętaniem rozmawiały w salonie, starając się jednak, żeby nie obudzić Jacka. Jeden z nich podobny był do głosu Aggie, drugiego jednak nie potrafił rozpoznać. Był piskliwy, świszczący, a zarazem lekko chrapliwy, jakby jego właściciel miał chore gardło.

Głosy docierały z salonu. A spod drzwi sączyła się smuga srebrzystobiałego światła.

Na palcach wyszedł na korytarz; po chwili stanął pod drzwiami salonu i przyłożył do nich ucho. Z akwaforty na ścianie popatrzył na niego z dezaprobatą archanioł Gabriel. Znowu kręcisz się w środku nocy po mieszkaniu i podsłuchujesz rozmowy, które nie są przeznaczone dla twoich uszu.

– A więc jutro lecicie? – To mówiła Aggie albo kobieta, której głos brzmiał podobnie jak głos zmarłej żony Jacka.

– Tak, jutro wcześniej rano – odpowiedział jej piskliwy głos.

– Przypuszczałeś, że do tego dojdzie?

– Chyba tak. Chociaż nie zdawałem sobie sprawy, że to nastąpi tak prędko. Gwiazdy mówiły mi jednak o tym od dawna.

Nastąpiła chwila ciszy, a potem Aggie powiedziała coś, czego Jack nie dosłyszał.

– Zawsze byłem pełen nadziei, że zrozumieją – odparł piskliwy głos. – Teraz już wiem, że nic z tego. Po prostu nie są do tego zdolni. Albo nie chcą zrozumieć.

Znowu cisza, którą przerwała Aggie:

– Zawsze wiedziałam, że jesteś nadzwyczajnym chłopcem, wiedziałam to

już od dnia, w którym się urodziłeś. Od początku byłam pewna, że Bóg ma wobec ciebie wielkie plany.

– Bóg?

– A może przeznaczenie? Nieważne, jak to nazwiemy.

Jack położył rękę na klamce. Policzył w myślach do trzech, po czym otworzył drzwi. Srebrzystobiałe światło natychmiast zniknęło. Kiedy wszedł do salonu, zobaczył tylko Sparky'ego. Siedział w pidżamie na kanapie z podkurczonymi nogami, jakby uprawiał jogę. Miał zamknięte oczy, jakby medytował, jednak kiedy Jack stanął w pokoju, natychmiast je otworzył.

– Sparks! Co ty tu wyrabiasz, do cholery? Wiesz, która jest godzina?

– Nie mogłem spać – odparł Sparky zachrypniętym głosem.

– Przeziębłeś się? Poznaję to po twoim głosie. Wracaj natychmiast do łóżka i się wygrzej.

– Nic mi nie jest, tato. Nie jestem chory.

– Co to było za światło?

– Jakie światło?

– Widziałem tutaj światło, jakby ktoś świecił bardzo mocną latarką.

Sparky nie zareagował na te słowa, jednak Jack nie zobaczył na kanapie żadnej latarki.

– Z kimś rozmawiałeś, Sparks? Wydawało mi się, że słyszę głos mamy.

Chłopak potrząsnął głową.

– Z nikim nie rozmawiałem. Przecież poza mną nikogo tutaj nie ma.

– Nie kłam. Słyszałem cię. Mówiłeś, że gwiazdy coś przepowiadają od wielu lat. Niby co takiego przepowiadają?

– Nie wiem, tato. Nic takiego nie mówiłem.

– Sparks, przecież nie jestem głupi. Słyszałem, że rozmawiasz z mamą tak jak kilka nocy wcześniej. Mówiłeś, że ktoś czegoś nie zrozumiał albo nie

chciał zrozumieć.

– Teraz wszystko się zmieniło – powiedział Sparky spokojnym, monotonnym głosem. – Od tego czasu wszystko się zmieniło. Byliśmy w Polsce. Jak myślisz, dlaczego tam poleciliśmy?

– Poleciliśmy do Polski, ponieważ na to nalegałeś. Wciąż nie mam pojęcia, dlaczego i czego chcieliśmy się dowiedzieć, jeśli nie liczyć bezsensownych bredni o mowie drzew i opowieści o wielkim dobrym Panie. No i tych wszystkich koszmarów, halucynacji i strachów.

– To wszystko ma sens, tato. Musisz tylko na to spojrzeć pod innym kątem.

– Sparks, w tej chwili widzę jedynie, że jest druga trzydzieści nad ranem, że o dziewiątej czterdzieści pięć odlatuje nasz samolot do Muskegon, a to oznacza, że najpóźniej o szóstej musimy być na nogach. W tej sytuacji czuję wielką pokusę, żeby odwołać podróż i w ogóle o wszystkim zapomnieć.

– To niemożliwe, tato. Już ci mówiłem. Musimy tam polecieć.

Te ostatnie słowa Sparky wypowiedział z naciskiem, rozgniewanym i ochrypłym głosem. Nastoletni chłopcy raczej w taki sposób nie rozmawiają z rodzicami.

Coś się wydarzy, pomyślał nagle Jack. Coś, co całkowicie zmieni życie Sparky'ego i moje pewnie również.

Chociaż naprawdę z niechęcią myślał o podróży do Muskegon, wiedział, że Sparky ma rację i obaj muszą tam polecieć.

Może wtedy nastąpi kres tych tajemniczych rozmów w salonie.

Powrót do Owasippe

Wsiedli do samolotu United Express, który odlatywał z O'Hare do Muskegon o dziewiętej czterdzieści trzy. Lot trwał zaledwie pięćdziesiąt trzy minuty i na pokładzie nie serwowano posiłku, Jack poprosił więc jeszcze wieczorem Duane'a o przygotowanie kanapek z kurczakiem i sałata.

– Są doskonale – stwierdziła Sally. – Znowu nici z mojej diety.

Sparky nie tknął swojej porcji. Obserwował przez iluminator pofałdowaną jak rżnięte szkło powierzchnię jeziora Michigan i nieregularne pierzaste chmury przesuwające się pod samolotem jak fragmenty podartego muślinu.

– Tak wielu ludzi tego nie pojmuje – powiedział w pewnej chwili, nie odwracając głowy.

– Czego tak wielu ludzi nie pojmuje? – zapytała go Sally.

– Tego, jakie mamy szczęście, żyjąc na tej planecie.

– Chyba masz rację – przyznała Sally. – Ale ja też chyba zbyt często się nad tym nie zastanawiam. Zjesz tę kanapkę czy mogę ci ją porwać?

– Częstuj się. – Sally popatrzyła jeszcze na Jacka, czy nie będzie miał nic przeciwko temu, ale on tylko wzruszył ramionami.

– Jasne, zjedz ją. Po co ma się zmarnować – powiedział.

Wkrótce samolotem zaczęło mocno rzucać. Latanie nad jeziorem zawsze przypominało jazdę po dziurawej drodze i ten poranek nie był wyjątkiem. Sparky zacisnął dłonie na poręczach fotela i przycisnął twarz do szyby.

– Ale jazda – szepnął.

Powietrze, które wydychał, osiadało mgiełką na pleksiglasie.

– Zdaje się, że jest bardzo podekscytowany tą podróżą – zauważyła Sally.
– Co on chce znaleźć w tym lesie?

– Odpowiedź – odezwał się Sparky. – Odpowiedź na wszystkie pytania.

Sally popatrzyła na Jacka ze zdziwioną miną. Ten znowu wzruszył ramionami. Wiedział przecież niewiele więcej od Sally.

– Gdzie masz się spotkać z Porterem? – zapytał ją.

– Najpierw w jego biurze, w Muskegon. Potem pojedziemy do Owasippe. Najwyraźniej chce mi na miejscu przedstawić jakieś istotne dowody.

– Rozumiem. Może więc zobaczymy się później? Z powrotem polecimy pewnie wieczorem, ale wszystko zależy od tego, ile czasu spędzimy w Owasippe. Na wszelki wypadek zarezerwowałem pokój w Comfort Inn. Jeżeli trzeba będzie nocować, może zjemy razem kolację?

– Niestety, wiceszeryf Porter już mnie zaprosił do restauracji, która się nazywa Hearthstone Grill. Twierdzi, że mi się tam spodoba. Doskonałe jedzenie, miła atmosfera i w ogóle. – Sally uśmiechnęła się i dodała: – Chyba mu wpadłam w oko.

– Miła perspektywa – stwierdził Jack. – Tylko żeby te piękne okoliczności cię nie zwiodyły.

Sally roześmiała się i po chwili powiedziała:

– Wiesz co? Już nie pamiętam, kiedy ostatni raz serdecznie się śmiałam. Ale zaraz... Chyba sobie przypominam. Byłam wtedy z tobą w jakiejś restauracji, kiedy kelnerka zrzuciła całą porcję spaghetti po bolońsku jakiemuś facetowi na kolana. Wszyscy za mało się śmiejemy, prawda, Jack? Chyba w ogóle zapomnieliśmy, czym jest śmiech, bo znacznie ważniejsze są dzisiaj pieniądze, strach przed przemocą i w ogóle wszystkie te nasze główniane problemy. Sparky ma rację. Żyjemy na wspaniałej planecie i powinniśmy się z tego cieszyć, jednak przyjmujemy to jako coś zupełnie oczywistego.

Samolot wysunął podwozie i kołysząc się mocno, zaczął podchodzić do lądowania w porcie lotniczym w Muskegon. W miarę jak ziemia była coraz bliżej, Sparky z coraz większą energią coś szeptał do samego siebie. Silniki pracowały teraz zbyt głośno, żeby Jack mógł zrozumieć jego słowa, ale nawet gdyby je słyszał, pewnie by ich nie zrozumiał.

Po wylądowaniu, kiedy kołowali w stronę terminalu, Sparky uniósł palce wskazujące i zetknąwszy kciuki, uformował dłonie w kształt litery „W”. Szeptał przy tym słowa, których Jack nie rozumiał. Brzmiały jak: „Manito sucsee wabe”.

W budynku terminalu czekał wiceszeryf. Kiedy zobaczył Sally, uśmiechnął się szeroko, ale jego uśmiech zgasł na widok Jacka i Sparky'ego.

– Przepraszam cię, Sal, ale co ci faceci tutaj robią?

– Chcą koniecznie jeszcze raz obejrzeć teren obozu, nic więcej. Można to nazwać pielgrzymką, hołdem dla skautów, którzy tutaj stracili życie.

– Rozumiem – powiedział Porter z oczywistą niechęcią. – Chociaż, prawdę mówiąc, nie rozumiem. Przecież większość terenu Owasippe, który należy do skautów, nadal jest niedostępna. Dotyczy to obozowiska, budynków nad jeziorem, a także miejsca, gdzie znaleźliśmy tych badaczy pumich gówien.

Sally, udając zgorszenie, teatralnym ruchem zasłoniła Sparky'emu uszy.

– Och, Sally, daj spokój – powiedział wiceszeryf. – Jeśli ten chłopak naprawdę jeszcze nie zna słowa „gówno”, aresztuję go. – Odwrócił się do Jacka i dodał: – Aresztuję również pana, jeżeli spróbuje pan wejść na te tereny Owasippe, które są wyraźnie oznaczone jako teren zamknięty. Aresztuję, rozumie pan? Proszę potraktować moje słowa jako przyjacielskie ostrzeżenie.

Razem z Sally wsiadł do samochodu służbowego, a Jack przywołał taksówkę. Jej kierowcą był gruby mężczyzna w średnim wieku. Miał tłuste

włosy sięgające ramion, a na nosie lustrzane okulary. Ubrany był w bordową koszulę, zapiętą pod szyję, i brązową kamizelkę z jeleniej skóry, starą i mocno wypłowiałą.

Jack poprosił go, żeby najpierw pojechał do Comfort Inn przy East Sherman Drive. Chciał się zameldować w hotelu i zostawić bagaże. Gdyby nie zdążył na ostatni samolot do Chicago, o dziewiętnastej dwadzieścia pięć wieczorem, mógł razem ze Sparkym przenocować w hotelu i wrócić do Chicago pierwszym porannym samolotem.

Dokonawszy formalności w hotelu, Jack wrócił do taksówki i zamówił kurs do obozu skautów.

– Ale chyba pan wie, że do końca sezonu obóz jest zamknięty? – zareagował taksówkarz, żując gumę miętową. – To z powodu tych chłopaków, którzy się pozabijali. Słyszał pan o tym?

– Tak, słyszałem.

– Ach, to całe Owasippe! Zawsze uważałem, że to jest jakieś nawiedzone miejsce. Mój dziadek opowiadał mi o nim straszne historie, jeszcze z czasów Indian Potawatomi. Niektórzy uważają ten las za przeklęty.

– Naprawdę? – zdziwił się Jack. – A z jakiego powodu?

– Och, to przekleństwo nie dotyczy ludzi, ale jakiegoś jelenia albinosa, który dysponuje niezwykłymi mocami. Biega tak szybko, że żadne inne zwierzę nie jest w stanie się z nim ścigać. Nikt, kto go zobaczył, nie mógł opowiedzieć o tym innym ludziom, ponieważ jeleni do tego nie dopuszcza; wyrywa takim ludziom język.

– Makabryczna historia.

– Dziadek mówił, że po śmierci będzie żył w drzewie, a ja powinienem pukać w każdy pień i pytać, czy go tam nie ma. Wyobraża pan to sobie?

– Pański dziadek był niezwykłą osobą.

Jechali jeszcze dwadzieścia minut Russell Road, mijając skarłowaciałe

drzewa i krzaki. Sparky znowu zaczął coś do siebie pomrukiwać i rysować palcem wzorki na szybie samochodu – tak jakby tworzył niewidzialną kartę gwiazd. Jack wolał milczeć. Sparky był najwyraźniej zestresowany i dalsze denerwowanie go było ostatnią rzeczą, jakiej by chciał.

W końcu taksówkarz skręcił w bramę obozu skautów i zatrzymał samochód przed głównym budynkiem administracyjnym. Jack podał mu pięćdziesiąt dolarów w drobnych banknotach, które ten szybko przeliczył, zwilżywszy śliną kciuk.

– Nie chciałem zrażać do tego miejsca ani pana, ani chłopaka – powiedział. – Owasippe to naprawdę wspaniałe miejsce i nie sądzę, żeby Manito Sucsee Wabe kiedykolwiek istniał.

– Słucham?

– Ten jeleni albinos. W języku Potawatomi tak się go określa: Manito Sucsee Wabe, co znaczy „biały jeleni duch”.

– Naprawdę? – zdziwił się Jack i znacząco popatrzył na Sparky'ego. – Manito Sucsee Wabe? – powtórzył.

– Dokładnie tak – przytaknął taksówkarz. – Mój dziadek mawiał, że jeśli ktoś do niego strzeli i nie trafi, od razu zachoruje. Ale jeżeli strzeli celnie, natychmiast umrze... oczywiście strzelec, a nie jeleni. No, ale na temat tego jelenia krążą jeszcze inne historie. Jedna mówi, że każdy, kto zacznie go szukać, wpada w obłąd i popełnia samobójstwo. Jeden z moich kuzynów mówi, że właśnie to się przydarzyło tej grupie skautów, którzy się pozabijali w lesie. Tyle że ten kuzyn za bardzo lubi wodę ognistą i często gada od rzeczy.

Weszli do budynku administracyjnego. Zupełnie inaczej niż podczas ich ostatniego pobytu w tym miejscu, hol był teraz cichy i opustoszały, chociaż zza jakichś drzwi dobiegał wyraźny odgłos stukania w klawiaturę komputera.

Pachniało drewnem cedrowym i kurzem, a na podłodze widać było mnóstwo piachu; bez wątplenia należało tutaj posprzątać.

– Czy to te słowa powtarzałeś w samolocie? – Jack zapytał Sparky'ego. – Manito Sucsee Wabe?

Sparky spoglądał na tablicę, na której wywieszono mnóstwo kolorowych fotografii z biwaków i obozów wędrownych.

– Manito Sucsee Wabe – powtórzył Jack. Stanął za chłopcem i położył dłonie na jego ramionach. – Duch białego jelenia. Skąd o nim wiedziałeś?

– Nie wiedziałem. Nie wiem. Popatrz, na tej fotografii jest Malcolm. Pewnie wykonano ją w tym samym dniu, w którym ci wszyscy skauci zginęli.

– Dokładnie te słowa wypowiedziałeś. W samolocie, zaraz po lądowaniu. Manito Sucsee Wabe.

– Nic takiego nie powiedziałem.

W tym momencie otworzyły się jedne z drzwi i do holu wyszedł funkcyjny skaut – łysy i w okularach – ten sam, którego Jack spotkał w dniu, kiedy odbywała się identyfikacja zwłok.

– Mogę w czymś pomóc? – Skaut zamrugał powiekami. Było jasne, że nie rozpoznaje Jacka. – Muszę jednak uprzedzić, że do końca lata cały ośrodek pozostanie zamknięty. Działalność wznowimy dopiero w sezonie zimowym, od listopada.

– Byłem tutaj z synem w zeszłym tygodniu – powiedział Jack. – Jeden z chłopców, którzy tutaj zginęli, to przyjaciel mojego syna. Chcieliśmy jeszcze raz zobaczyć miejsce ich śmierci i pomodlić się za ich dusze.

– Niestety, proszę pana, to niemożliwe. Owasippe jest zamknięte dla zwiedzających, ponieważ nie możemy nikomu zapewnić bezpieczeństwa. Nie mamy też gwarancji ubezpieczeniowych. Jeżeli panu albo chłopcu coś się w lesie stanie, na przykład złamie nogę lub ulegnie innemu wypadkowi,

będziecie mogli nas podać do sądu i z punktu sprawę wygracie.

– Ale my musimy tam iść – powiedział Sparky.

Starszy skaut pokręcił głową.

– Przykro mi, synu. Nie ma takiej możliwości. Właścicielem Owasippe jest nasza Rada Skautów w Chicago i wytyczne stamtąd są jednoznaczne. Nie zezwala się na żadne wycieczki piesze, rowerowe, biwaki, grille ani campingi. Właśnie ze względu na wydarzenia ostatniego tygodnia.

– Ale my musimy – nalegał Sparky.

– Daj spokój, Sparks. – Jack położył dłoń na głowie syna. – Skoro nie chcą nas wpuścić, nic tu po nas. Nie ma na to rady.

– Musimy! – krzyknął Sparky. Zacisnął dłonie w wielkiej frustracji, a jego twarz zbladła. – Czy pan nie rozumie, jakie to ważne? Sam pan to przecież powiedział, prawda?

– Uspokój się, chłopcze – odparł skaut. – I właściwie, co ja takiego powiedziałem?

– Mówił pan, że w lesie coś jest – powiedział Sparky. Jego głos wciąż drżał ze zdenerwowania. – Mówił pan, że są w tym lesie takie siły, które nas wszystkich w końcu dopadną.

– To prawda, tak mówiłem – przyznał skaut. – Ludzie nie rozumieją, że lasy mają własną osobowość. Mają własnego ducha, jeżeli wolicie posługiwać się takim słownictwem. Każdy, kto źle potraktuje las, kiedyś poniesie konsekwencje takiego postępowania. Zresztą dotyczy to całej przyrody. Lasów, gór, oceanów...

– Musimy wejść do lasu. Musimy tam pójść i znaleźć te duchy – naciskał Sparky.

Starszy skaut jeszcze raz pokręcił głową.

– Swoją wiarą w takie rzeczy naprawdę robisz na mnie duże wrażenie, chłopcze. Większość ludzi, którzy nie znają lasu, wyobraża sobie, że

opowiadam zasrane brednie, kiedy o tym mówię, przepraszam za słownictwo. Ale poczułem te duchy na własnej skórze, wiele razy przebywając samotnie w lesie. W tym roku wydają mi się silniejsze, niż kiedykolwiek dotąd. Cóż, widywałem skutki ich działania. Były naprawdę tragiczne.

– Pozwoli nam pan więc wejść do Owasippe?

– Nie, chłopcze. Już ci mówiłem. Nie mogę.

– A jeśli podpiszemy jakieś zobowiązanie, że nie pociągniemy pana do odpowiedzialności, gdyby nam się coś stało? – zasugerował Jack.

– Przykro mi, proszę pana. Taki papierek potrafi obalić każdy inteligentny prawnik. Zrani się pan albo umrze, a i tak Rada Skautów będzie musiała za to odpowiadać. Poza tym proszę pamiętać o tych samobójstwach. Oni i tak przeżywają już koszmar z adwokatami rodzin. Przecież temu ośrodkowi grozi całkowita plajta, i tak poniósł już ogromne straty finansowe.

– Musi pan nam pozwolić iść do lasu – powiedział Sparky bardzo cicho.

– Nie, chłopcze. Nie muszę i nie pozwolę.

– Musi pan! Bez dyskusji! – krzyknął Sparky.

– Sparks, na miłość boską! – Jack próbował złapać syna za rękę.

Sparky jednak podszedł sztywno do starszego skauta i popatrzył mu prosto w oczy. Jego głos był teraz kombinacją przenikliwego wrzasku i dziwnego wycia, tak jakby dwie osoby wydzierały się w jednej chwili.

– Musi pan pozwolić nam tam pójść! Zginie pan, jeżeli tam nie pójdziemy!

– Sparks! Dosyć! – zawołał Jack.

Ale wściekły Sparky niemal całkowicie stracił nad sobą panowanie. Tak mocno pchnął męczycznę, że ten stracił równowagę i zatoczył się na tablicę z fotografiami, z której poodpadały zdjęcia skautów i pinezki. Nie czekając, co nastąpi, Sparky podbiegł do drzwi na krótszej ścianie holu, prowadzących na

niewielki taras. Szarpnął klamkę, drzwi były jednak zamknięte na klucz. Spróbował kolejnych, również bez skutku.

– Sparks! – krzyknął Jack i ruszył za synem.

Prawie go złapał, jednak chłopcu udało się otworzyć kolejne drzwi i w końcu wydostał się na taras.

Jack pobiegł za nim, Sparky jednak zbiegał już po zewnętrznych schodach, przeskakując po dwa, trzy stopnie naraz, i kiedy tylko znalazł się na dole, popędził w kierunku lasu. Jack biegł za nim, na wszelki wypadek przytrzymując się drewnianej poręczy schodów.

– Sparks! Wracaj tutaj! Sparks!

Tymczasem na tarasie pojawił się skaut.

– Nie wolno ci biec do lasu! – zawołał, osłoniwszy usta dłońmi, żeby wzmocnić siłę głosu. – *Nie wolno ci biec do lasu!*

Duch białego jelenia

Jack zignorował zdenerwowanego skauta i co sił w nogach pobiegł za synem, jednak już po stu metrach zaczęło mu brakować tchu i poczuł ból w piersiach. Nie zdawał sobie dotychczas sprawy, w jak kiepskiej jest kondycji. Praca w restauracji pochłaniała tak wiele czasu, że musiał zrezygnować z pływania i gry w squasha, a potem nawet z okazjonalnego biegania Montrose Drive, nad brzegiem jeziora.

Było jasne, słoneczne popołudnie, a na niebie niewiele chmur, jednak Sparky miał na sobie koszulkę w kolorze khaki i o ton jaśniejsze spodnie, dlatego natychmiast kiedy dotarł do linii drzew, zniknął Jackowi z oczu. Jeszcze tylko dwukrotnie mignęła pomiędzy drzewami jego jasna czupryna, ale po chwili i jej nie było już widać. Cholera, pomyślał Jack. Kiedy chłopak wpadał we wściekłość, nie było sposobu, żeby odgadnąć, jak długo będzie unikał ludzi i gdzie będzie się przed nimi krył.

Gdyby Sparky był normalnie rozwijającym się dzieckiem, Jack nie pozwalałby mu na tyle swobody. Jego własny ojciec uważał, że solidny klaps w tyłek jest czasem najlepszym sposobem radzenia sobie z nieposłusznymi dziećmi; zasadę tę często stosował w praktyce. Albo też posyłał dzieci do łóżka bez kolacji. Choroba Sparky'ego sprawiała jednak, że był on dzieckiem znerwicowanym i upartym – można było być pewnym, że nie ustanie, dopóki nie osiągnie zamierzonego celu. Jeżeli nie mógł go osiągnąć, dostawał ataku nerwowego, przypominającego atak padaczki.

Dotarłszy do linii drzew, Jack zatrzymał się, ciężko oddychając.

– Sparks! – krzyknął. – Sparks, na miłość boską, wracaj! Jakoś to załatwię i potem będziemy mogli spokojnie wejść do lasu, obiecuję ci!

Tymczasem skaut dołączył do niego. Na pewno był w lepszej kondycji niż Jack, ponieważ nie sapał, jednak na jego opalanej łysinie i tak pojawiły się kropelki potu.

– Lepiej niech pan wyciągnie synalka z lasu, bo w przeciwnym razie będziecie mieli poważne kłopoty. A ja razem z wami. Poszukajmy go i miejmy nadzieję, że wszyscy jakoś się z tego wykaraskamy, oby jak najszybciej.

– O jakich kłopotach pan mówi? Czy chodzi o leśnego ducha? A może o ducha białego jelenia?

– Och, zna pan tę historię? – zdziwił się skaut. W jego głosie zabrzmiało autentyczne zaskoczenie. Wydawał się też zirytowany, tak jakby wiedza o duchu białego jelenia była dotąd jego osobistą tajemnicą. – Duch białego jelenia funkcjonuje w przesądach rdzennych mieszkańców Ameryki. Według nich te lasy są pełne różnych duchów. A duch białego jelenia opiekuje się nimi wszystkimi.

Jack popatrzył na niego uważnie.

– Niech pan posłucha, mój syn jest trochę inny od większości chłopców w jego wieku. Jest chory na zespół Aspergera. Nie chcę pakować pana w dodatkowe kłopoty, dlatego bardzo proszę, niech mi pan pozwoli poszukać go samemu. Kiedy tylko go znajdę, opuścimy ten las. Obiecuję.

Skaut wyjął policzki i wierzchem dłoni otarł pot z czoła.

– Nie wiem – powiedział w końcu. – Mogę wylecieć za to z pracy.

– Nie wyleci pan. Znajdę syna i zaraz sobie stąd pójdziemy. Nikt poza nami nie będzie o niczym wiedział.

Mężczyzna popatrzył na zegarek.

– No dobrze. Daję panu pół godziny. Ani chwili więcej. Potem będę musiał zgłosić władzom, że w lesie znalazły się nieupoważnione osoby.

– Dzięki – powiedział Jack i natychmiast ruszył przed siebie.

Po kilku krokach odwrócił się i pomachał skautowi w podziękowaniu. Ten jednak nie widział tego, bo pośpiesznym krokiem wracał już do budynku.

Las wydawał się nadzwyczaj cichy. Koron sosen nie poruszał nawet najśłabszy wiaterek, nie było słycać świergotu ptaków. Jack szedł w głąb lasu, aż w końcu zabudowania obozu zniknęły mu z oczu. Wtedy dopiero zatrzymał się i zaczął nasłuchiwać. Nic. Ciszy nie mącił żaden dźwięk, żaden ruch.

– Sparks! – zawołał. – Sparks, słyszysz mnie? Gdzie jesteś, Sparks?

Odpowiedziała mu głucha cisza. Las stał się nagle zupełnie bezgłośnym miejscem i Jack zaczął nabierać przekonania, że najzwyczajniej w świecie ogłuchł.

– Sparks! Wyłaż z kryjówki, gdziekolwiek jesteś! Daj spokój, damy sobie radę z tymi skautami, nie musisz się chować!

Nadal odpowiadała mu wyłącznie cisza. Jack znowu zaczął iść, ale im bardziej zagłębiał się w gęstwinę, tym bardziej się martwił, że zabłądzi. Spróbował wypatrzeć słońce ponad drzewami; zobaczył je niemal dokładnie nad swoją głową. Wziąwszy pod uwagę porę dnia, zorientował się, że zmierza na południowy zachód.

– Sparks! Sparks! Na miłość boską, Sparky! Zaczynam tracić cierpliwość!

Kontynuował wędrówkę w nienaturalnie cichym lesie. Teren zaczął opadać dość ostro w dół, a po jego prawej stronie pojawiły się drobne skały. Trochę przypominały mu te, które widział w Puszczy Kampinoskiej, tyle że tutaj pomiędzy nimi wiły się korzenie drzew, wynurzające się z ziemi niczym tajemnicze wąsy. Przywodziły na myśl macki wielkiej kałamarnicy mozolnie próbującej wydostać się spod ziemi.

– Sparks! – znowu krzyknął Jack.

Teraz Jack rozpoznał, gdzie się znajduje. Był niedaleko sadzawki, w której znalazł zwłoki naukowców. Nie wierzył, że syn nie słyszy jego nawoływań. W lesie było tak cicho, że nawet gdyby Sparky przez cały czas biegł, nie mógłby się oddalić na taką odległość, która nie pozwoliłaby mu usłyszeć głosu ojca.

Jack zsunął się po zboczu, na dole zahaczył o jakiś korzeń i omal się nie przewrócił. W tym samym momencie usłyszał piskliwe, jakby drwiące zawodzenie bielika amerykańskiego. Jack rozejrzał się dookoła i zaczął nasłuchiwać. Wtedy zdał sobie sprawę, że to nie on wystraszył ptaka. Pnie drzew skrzypiały, a liście zaczęły szeleścić, jakby próbowały sobie przekazać wiadomość o intruzie, który pojawił się w lesie.

Tylko bez paniki, pomyślał Jack, przecież tutaj niczego nie ma.

Szelest jednak nie ustawał. Wydawał się dochodzić od strony wielkiej kępy sosen oddalonych o kilkadziesiąt metrów.

Nie panikuj, skarcił się w myślach. Niczego tam nie ma. Tak przecież powiedział Sparky. Ale właściwie co to znaczy „nic”?

– Sparks! – krzyknął Jack. Gorący wiatr, który nagle zaczął wiać, połykał jego krzyk, jakby się nim posilał. – Sparks, gdzie jesteś, do diabła?

Odniosł wrażenie, że po lewej stronie, za drzewami, zobaczył coś białego. Może to były tylko promienie słońca odbijające się od kory drzew. Po chwili znowu mignęło, trochę dalej i bardziej z lewej strony. I znowu. Jack nie wiedział, co powinien zrobić. Czy iść w kierunku tego zjawiska? Czy czekać, aż samo się do niego zbliży?

W myślach powtarzał sobie, że powinien postępować racjonalnie i spokojnie. Czuł jednak, że zasycha mu w ustach, a skóra na karku zaczyna cierpnąć. Wpadał w panikę. Wiedział już o tym, chociaż nie miał żadnego powodu do strachu, poza tą niewyraźną sylwetką, która pewnie nie stanowiła dla nikogo większego zagrożenia niż samotny, przestraszony biały jeleni.

Nie możesz wpaść w panikę, powtarzał sobie w myślach. Tutaj naprawdę nie ma nic groźnego. Ale nawet jeżeli jest, chyba pamiętasz, co ci powiedziała dziewczyna bez głowy? „Ten anioł był przerażony, Jack. Był przerażony. Przerażony bardziej od nas”.

A jeżeli dziewczyna miała rację? Jeżeli panika, którą zaczynał odczuwać, była tylko dziwnym stanem ducha, który ogarnia czasem ludzi w różnych sytuacjach?

Próba racjonalnego myślenia niewiele mu pomagała. Zaczynał się pocić, jego oddech przyspieszył. Odczuwał coraz większy ból w piersiach, jakby ktoś mocno zaciskał wokół nich metalową taśmę. Przyszła mu do głowy myśl, że las, w którym się teraz znajduje, wcale nie istnieje, że jedynie go sobie wyobraża, i że on sam też nie istnieje naprawdę; klasyczny objaw chaosu w głowie, który zwiastował atak paniki.

Muszę się stąd wydostać, pomyślał. A co ze Sparkym? Przecież także mój syn jest gdzieś tutaj, samotny między wysokimi drzewami. Może on także zaczyna teraz ulegać panice, podobnie jak ja? Muszę nad sobą zapanować. Muszę koniecznie znaleźć syna; mój strach nie ma żadnego znaczenia.

Ruszył do przodu, chociaż nie miał pojęcia, dokąd właściwie zmierza, i z trudem utrzymywał ciało w pozycji pionowej. Zachowywał się jak pijany. Znowu usłyszał szelest w krzakach, tym razem za plecami. Błyskawicznie się odwrócił i wtedy stracił równowagę. Niezdarnie padł na kolana, jakby zamierzał się modlić. Teraz już z całą pewnością wiedział, że nie jest w tym lesie sam. Coś go uważnie obserwowało, prześladowało, był tego zupełnie pewien. Było to coś tak okrutnego, że tego okrucieństwa nie można było sobie nawet wyobrazić. Chciało go rozerwać na strzępy. Wyrwać mu serce, płuca i wnętrzności, a potem patrzeć, jak umiera w męczarniach.

Zachowujesz się jak głupiec, szeptał sam do siebie. Szukaj Sparky'ego;

znajdź go, a potem się stąd wynoście. Nawet jeśli coś się kryje między drzewami, nie jest na tyle odważne, żeby cię zaatakować, bo przecież gdyby tak nie było, już dawno by cię dopadło. Może ta dziewczyna bez głowy rzeczywiście powiedziała prawdę?

W tym momencie w krzakach coś się poruszyło, gwałtowny wiatr podniósł w powietrze liście, gałązki i igliwie. Drzewa znowu zatrzeszczały straszliwym chórem, a ptaki zaczęły nienaturalnie skrzeczeć. Jack odniósł wrażenie, że cały las mówi do niego, żeby się stąd wynosił, żeby uciekał, ratował swoje życie.

Jack poddał się wszechogarniającej panice. Zaczął biec na oślep. Słyszał, jak podeszwy jego tenisówek chrzęszczą na ściółce leśnej, słyszał swój ciężki oddech i szum krwi w uszach. Nagle ogarnęła go niechęć do życia. Chciał raz na zawsze ze wszystkim skończyć.

Przez głowę przebiegało mu tysiące myśli. Gorączkowo zastanawiał się nad tym, jak mógłby popełnić samobójstwo – nie miał przy sobie noża ani innego ostrego narzędzia, do jeziora było zbyt daleko, a uderzenie głową w pień drzewa mogłoby go najwyżej ogłuszyć, a wtedy biała zjawa dopadłaby go bez trudu.

Wciąż nie miał pojęcia, w jakim kierunku biegnie. Zdawał sobie tylko sprawę, że coraz bardziej zagłębia się w lesie i że nawet jeżeli zjawa go nie rozszarpie, to na pewno zabłądzi. Przez cały czas miał wrażenie, że biały prześladowca znajduje się tuż za nim, i niemal czuł na karku jego oddech.

Znowu padł na kolana i przez chwilę odpoczywał. Serce mu waliło i z trudem łapał powietrze. Spodziewał się, że lada chwila zginie. Jednak nic się nie stało, więc wstał i ruszył przed siebie tak szybko, jak pozwalały mu na to płaczące się nogi.

Boże, to nie ma sensu, rozmyślał. Boże, to mnie i tak dopadnie. Boże, nie

pozwól na to.

Już chciał się poddać, usiąść na ziemi i czekać na to, co nastąpi, kiedy niespodziewanie między koronami drzew ujrzał łopoczącą flagę. Gwiazdy i pasy, flagę Stanów Zjednoczonych. W jasnym słońcu wczesnego popołudnia radośnie łopotała na wietrze. Była to ta sama flaga, która unosiła się nad zabudowaniami ośrodka skautowego. Jack zrozumiał, że jest uratowany.

Resztę drogi na zmianę przebiegł i przekuśtykał. Kiedy dotarł do pierwszego budynku, poczuł, że wiatr słabnie. W powietrzu unosiło się jeszcze kilka liści, ale po chwili wszystkie opadły na ziemię, wirując powoli, jakby były bardzo zmęczone ściganiem Jacka.

Jack dotarł do budynku administracyjnego i po drewnianych schodach powoli wszedł na taras. Otworzył szklane drzwi i wszedł do holu. W bocznej wnęce stał rząd krzeseł. Jack usiadł na jednym z nich, próbując uspokoić oddech.

Panika powoli go opuszczała. Zaczął dochodzić do wniosku, że uciekając z lasu, zachował się absurdalnie. Dlaczego właściwie chciał rozbić sobie głowę o drzewo? Przed czym tak uciekał?

Chociaż nadal oddychał z trudem, wstał i skierował się do biura, by znaleźć starszego skauta. Już miał nacisnąć kłamkę, gdy drzwi niespodziewanie się otworzyły i stanął w nich wiceszeryf Porter. Za jego plecami Jack zobaczył Sally i skauta.

– Cześć, Jack. – Sally uśmiechnęła się do niego. – Właściwie to miałam nadzieję, że wciąż tutaj jesteś. – Zmarszczyła czoło. – Nic ci nie jest? Wyglądasz strasznie! Co się stało?

– Zgubiłem Sparky'ego.

W pośpiechu, dość chaotycznie, opowiedział, jak chłopak dostał ataku hysterii i uciekł do lasu.

– I nie udało ci się go znaleźć? Mój Boże, ale co się działo z tobą? Jesteś

brudny, na ubraniu masz mnóstwo igliwia i wyglądasz na wyczerpanego!

– Dopadł mnie atak paniki, Sal, tak jak wcześniej. Niestety, nie znalazłem Sparky'ego. Nawoływałem go, ale nie odpowiadał. A potem znowu zobaczyłem między drzewami tę białą sylwetkę. Zaczął wiać silny wiatr, a ja wpadłem w panikę. Nie potrafię ci tego opisać. Zrozumiałem, że coś mnie prześladowa, i wołałem się zabić, niż pozwolić, żeby mnie dopadło. Jestem pewien, że właśnie coś takiego przydarzyło się tym skautom.

– Wiesz co? Chyba powinniśmy jednak poszukać Sparky'ego – powiedziała Sally. – To jest teraz priorytet. Dan, jeżeli sami go nie znajdziemy, wezwiesz wsparcie?

– Najpierw pójdę z wami do lasu i zorientuję się w sytuacji – odparł Porter. – Jeśli nie znajdziemy chłopaka, skontaktuję się ze strażnikami leśnymi, a później zorganizuję grupę poszukiwawczą. Mamy już pewne doświadczenie w poszukiwaniach, kilkakrotnie organizowaliśmy takie akcje. Niech się pan nie martwi – popatrzył na Jacka – znajdziemy go. Do tej pory zawsze znajdowaliśmy osoby, których szukaliśmy, nawet jeśli niektóre poszukiwania zabierały dużo czasu. Znajdziemy go, nawet jeżeli on tego nie będzie chciał.

– Oby tylko nie przytrafiło mu się coś złego – wtrącił skaut. – Bo jeżeli odniósł obrażenia, organizacja skautowska będzie musiała wypłacić odszkodowanie.

– Najpierw martwmy się chłopcem, a potem polisą ubezpieczeniową, dobrze? – powiedział z naciskiem policjant. – Jak dawno temu zniknął panu z oczu? – zwrócił się do Jacka.

– Mniej więcej przed trzydziestoma pięcioma minutami. Musimy być jednak bardzo ostrożni. Ja naprawdę nie wpadłem w panikę bez powodu.

– O ile pamiętam, kiedy był pan tutaj ostatnim razem, widział pan podobno coś zagadkowego; jakąś białą postać, czy tak?

– To samo widziałem dzisiaj.

– Ale nadal nie wie pan, co to takiego?

– Nie mam zielonego pojęcia, szeryfie. To mógł być duch, jelen, zjawa albo puma. Albo Jason Voorhees w masce hokejowej. Kto wie? Przyjechaliśmy tutaj ze Sparkym po raz kolejny właśnie po to, żeby się tego dowiedzieć.

– Coś takiego! – zawołał starszy skaut. – A więc wcale nie interesowali was ci biedni skauci, wcale nie chcieliście oddać hołdu zmarłym.

Porter popatrzył na niego groźnie.

– Ambrose, nikogo teraz nie obchodzi, dlaczego oni tu przyjechali. Liczy się tylko to, że powinniśmy znaleźć w lesie zaginionego chłopaka, zanim się ściemni. Znasz ten las lepiej niż ktokolwiek z nas. Może podpowiedziałbyś więc, od czego należałoby rozpocząć poszukiwania?

– Chyba powinniśmy ruszyć w kierunku jeziora Wolverine – zauważył Jack. – Tam zabił się przyjaciel Sparky'ego i właśnie tam po raz pierwszy doświadczyliśmy ataku paniki.

– Dobrze. Pojedziemy tam samochodem i może uda nam się wyprzedzić chłopaka. Jeśli nie czuje się pan na siłach, może pan zostać tutaj – powiedział do Jacka wiceszeryf Porter.

– Nic z tego, jadę z wami – odparł Jack. – Jeśli ktokolwiek jest w stanie uspokoić Sparky'ego, to tylko ja. Muszę wam jednak coś powiedzieć. Jeżeli ktokolwiek z nas poczuje, że go ogarnia panika, niech to nawet będzie pierwszy, słaby objaw niewytłumaczalnego strachu, musi o tym powiedzieć reszcie. Wtedy wszyscy troje powinniśmy wykonać w tył zwrot i uciekać gdzie pieprz rośnie. Ja nie żartuję. Panika to rodzaj szaleństwa. Spanikowany człowiek całkowicie traci poczucie rzeczywistości i nie wie już, co jest dobre, a co złe.

Sally chwyciła dłoń Jacka i lekko ją poklepała.

– Nic się nam nie stanie, Jack. Obiecuję ci. Ja jeszcze nigdy w życiu nie wpadłam w panikę. Kiedyś porwali mnie trzej narkomani i grozili, że będą mnie tak długo przetrzymywać, dopóki jakiś ich kumpel nie zostanie uwolniony z więzienia. Możesz mi wierzyć, daleko mi było do paniki. Nic by mi przecież z tego nie przyszło. W końcu zaczęłam grać z porywaczami w pokera i nawet wygrałam jednaście dolców.

– Chyba nie rozumiesz, z czym mamy tutaj do czynienia... I mam nadzieję, że nie będziesz musiała tego zrozumieć.

Obeszli budynek i podeszli do dżipa należącego do Portera. Skaut, który szedł za nimi, nie miał zbyt szczęśliwej miny.

– Nic się nie martw, Ambrose – powiedział do niego Porter. – Obaj dobrze wiemy, że duchy nie istnieją.

Skaut w milczeniu popatrzył na Jacka. Jego twarz właściwie wyrażała wszystko, co chciałby powiedzieć. Obaj wiemy, że w tym lesie naprawdę są duchy, i to nie chodzi raczej o duchy wodza Owasippe i jego dwóch synów. Są tutaj zupełnie inne duchy, obaj je widzieliśmy, i one są naprawdę przerażające, tak przerażające, że ludzkie słowa nie potrafią tego opisać.

– Będę musiał to zgłosić – powiedział ponuro.

– Jasne, zrób to, Ambrose – zgodził się wiceszeryf. – Przypuszczam jednak, że zanim się spostrzeżesz, wrócimy z tego lasu, i to razem z synem tego dżentelmena.

Mowa martwych głosów

Pojechali leśną drogą w kierunku jeziora. W samochodzie Porter poprosił Jacka, żeby mu przypomniał, jak wygląda Sparky, jak jest ubrany i właściwie dlaczego uciekł do lasu.

– Mój syn czuje wielką potrzebę zrozumienia, dlaczego jego najlepszy przyjaciel popełnił samobójstwo – odpowiedział Jack. – Byli sobie naprawdę bliscy. Sparky jest chłopcem trochę innym niż wszyscy, jeśli rozumie pan, o co mi chodzi, natomiast Malcolm był takim szkolnym popychadłem, Panie, świeć nad jego duszą. Obaj raczej z trudem dogadywali się z innymi kolegami.

– Jasne, rozumiem. Cóż, kiedy znajdziemy pańskiego syna, chyba będę mógł trochę go oświecić. Nasi technicy jeszcze raz dokładnie zbadali miejsca, gdzie znaleziono zwłoki, i przedstawili naprawdę wiarygodną rekonstrukcję wydarzeń, które doprowadziły do śmierci chłopców. To dlatego poprosiłem panią detektyw Faulkner, żeby jeszcze raz przyjechała. Wiemy, że w tej grupie skautów nie praktykowano żadnego pseudoreligijnego kultu. Nie ma mowy o wykorzystywaniu seksualnym ani o zastraszaniu młodszych przez starszych. Była to najbardziej normalna grupa dzieciaków pod słońcem, a ich instruktorzy także nie wzbudzili naszych podejrzeń, na żadnym etapie śledztwa. Jednak w odległości kilkudziesięciu metrów od miejsca, gdzie znaleziono grupę zwłok, natknęliśmy się na połać zwęglonej ziemi. W pierwszej chwili założyliśmy, że krótko przed śmiercią młodzi ludzie rozpalili tam ognisko. Skauci, ogniska, to się nasuwa samo przez się. A jednak wydało nam się to dziwne, bo skauci palą ogniska wieczorem. Rano prowadzą raczej zajęcia w terenie, na przykład z orientacji

w lesie; w trakcie zajęć nie rozpaliliby chyba ognia i nie zostawiliby go niepilnowanego. Kiedy technicy przyjrżeli się bliżej temu domniemanemu ognisku, zorientowali się, że nie ma w nim popiołu ze spalonego drewna i że ziemia oraz drobne rośliny zostały po prostu poddane w tym miejscu działaniu ogromnie wysokiej temperatury. W rzeczy samej wszystko wskazywało na to, że musiał tam uderzyć potężny piorun.

– Rozumiem – przytaknął Jack. – Skauci przestraszyli się pioruna. Ale to chyba nie powód, żeby popełniać samobójstwo, prawda?

– Kto wie? Nawet jeżeli żaden z nich nie został trafiony przez piorun bezpośrednio, wszyscy mogli ucierpieć z powodu tak zwanego rykoszetu elektrycznego. Nie wiedziałem o tym, ale powiedziano mi, że taki rykoszet potrafi przebiec przez ciało człowieka od stóp do głowy i zakłócić funkcjonowanie mózgu. Może to doprowadzić do całkowitej dezorientacji. Kiedy prąd o wysokim napięciu porazi człowieka, ten ulega zwykle poważnemu poparzeniu. Jednak jeśli prąd dotrze do mózgu, mogą nastąpić nieodwracalne zmiany w jego funkcjonowaniu. Nasi patolodzy są właściwie zupełnie pewni, że to właśnie się przydarzyło skautom. No bo kiedy się nad tym zastanowić, nic innego nie mogło się stać.

W czasie jazdy Jack przez cały czas przeczesywał wzrokiem las, mając nadzieję, że zauważy Sparky'ego. Za każdym razem, kiedy widział jakieś miejsce mocniej oświetlone promieniami słońca, mrużył powieki i przez dłuższą chwilę spoglądał w tamtym kierunku, chcąc się upewnić, że to tylko gra światła.

– Sam już nie wiem – powiedział. – Mówi pan, że wszyscy popełnili samobójstwo z powodu uderzenia pioruna?

– Może gdy pierwszy z nich to zrobił, reszta poszła za jego przykładem? Kto to wie? Może pierwszy zabił się któryś z instruktorów, a reszta grupy uczyniła to samo, wzorując się na nim, w przekonaniu, że właśnie tak należy

postąpić?

– Czy takie przypadki już się w przeszłości zdarzały?

– Nasi ludzie to badają. Ale zdaje się, że badania nad wpływem trafienia piorunem na psychikę człowieka prowadzono na uniwersytetach w Chicago i w Finch.

Zobaczyli z przodu skrzącą się taflę jeziora Wolverine. Minęli ustawione przy brzegu baraki oraz molo i podjechali do polany, na której znaleziono martwych skautów. Polanę otaczały metalowe słupki, na których zawieszono żółtą taśmę ostrzegawczą z napisem: URZĄD SZERYFA. ZAKAZ WSTĘPU.

Wyszli z dżipa i schyliwszy się pod taśmą, weszli na polanę. W lesie było cicho, tylko sójki nawoływały się spomiędzy drzew, a liście cichutko szeleściły. Tafla jeziora skrzyła się, a łodzie, przywiązane do mola, delikatnie uderzały jedna o drugą.

– Idylliczne miejsce, prawda? – odezwała się Sally. – A przynajmniej byłoby takie, gdyby te biedne dzieciaki się tutaj nie pozabijały.

Jack nie słuchał jej. Rozglądał się uważnie dookoła. Po chwili spojrzał w górę. Czy liście dębów szeleściły tylko dlatego, że poruszał nimi wiatr wiejący od jeziora? A może rozmawiały ze sobą i przekazywały duchowi białego jelenia ostrzeżenie, że do lasu znowu wtargnęli intruzi?

Miejsca ułożenia zwłok wszystkich skautów oznaczone były białą taśmą, przymocowaną do gruntu szpikulcami. Wiceszeryf poprowadził Sally i Jacka pomiędzy tymi miejscami; omijali je tak ostrożnie, jakby zwłoki wciąż znajdowały się na miejscu. Po chwili przystanęli przed kręgiem czarnej ziemi, o średnicy mniej więcej dwóch metrów. Pośrodku tego kręgu leżało mnóstwo popiołu i trochę nie do końca spopielonych igieł sosnowych. Jack zrozumiał, dlaczego policja początkowo uznała, że są to pozostałości ogniska.

Zgodnie z tym, co wiceszeryf powiedział wcześniej, dookoła nie było jednak widać ani zwęglonych gałęzi, ani żadnych przedmiotów, z którymi zawsze kojarzą się ogniska – nie było pni, na których skauci mogliby usiąść wokół ognia, ani patyków do pieczenia kiełbasy.

– Rozmawialiśmy z meteorologami – powiedział Porter. – Tego dnia niebo nad Owasippe było w większości czyste, odnotowano jednak kilka wyładowań atmosferycznych na północy; niewykluczone, że piorun mógł trafić także tutaj.

– Teraz najważniejsze jest znalezienie Sparky'ego – wtrąciła Sally.

Jack obszedł wypalony krąg ziemi. Rzeczywiście, wszystko wskazywało na to, że uderzył tutaj piorun. Potrafił zrozumieć, że policja starała się znaleźć racjonalną przyczynę tragicznych wydarzeń i zamknąć sprawę. Ale przecież on sam do tej pory już trzykrotnie doświadczył ogromnego przymusu, żeby samemu popełnić samobójstwo – dwa razy w Owasippe i raz w Kampinosie. Tego przymusu z całą pewnością nie wywołały u niego żadne wyładowania elektryczne, żadne pioruny.

– Sparks! – zawołał. – Sparks, słyszysz mnie?

Z gałęzi poderwało się stadko spłoszonych ptaków, ale poza tym w lesie panowała cisza. Słysząc było jedynie szelest liści i stukot łodzi wiosłowych, objających się o siebie przy molo. Ten stukot przywodził na myśl odgłos zderzania się ludzkich czaszek.

– Sparks, jeśli mnie słyszysz, proszę, wyjdź z kryjówki! Chyba już wiemy, co się stało z Malcolmem!

– Sparky! – zawołała z kolei Sally. – To ja, Sal, detektyw Sally Faulkner, z Chicago! Nie bój się, Sparky! Nikt nie ma do ciebie żadnych pretensji! Ale musimy się upewnić, że jesteś bezpieczny!

– Sparky! Wkrótce na dworze się ściemni i co wtedy zrobisz? Przecież nie możesz spędzić całej nocy w lesie! – znowu krzyknął Jack.

Wołali jeszcze kilkakrotnie, a potem czekali w ciszy, jednak nie doczekali się żadnej odpowiedzi. Wiatr się wzmaczał, fale biły niespokojnie o brzeg.

– Co pan o tym myśli? – zapytał Jacka Porter. – W końcu jest pan jego ojcem. Co może chodzić po głowie temu chłopcu? Może boi się kary za swoje zachowanie? A może z jakiegoś powodu jest zły na pana i chce pana za coś ukarać? Albo to jest po prostu niegrzeczny chłopak, który nie słucha ojca?

Jack pokręcił głową.

– Nic z tych rzeczy, naprawdę. Sparky wierzy, że w lesie kryje się jakaś siła i to ona sprawiła, że te dzieciaki się pozabijały.

– Ma pan na myśli tę białą zjawę, o której już pan opowiadał? Tę, która wywołuje u ludzi panikę?

– Coś takiego musi się tutaj kryć, szeryfie. Ale niech mnie pan nie pyta, co to takiego. Ja nie jestem jedyną osobą, która jest przekonana, że to widziała, nie jestem też jedyną osobą, która wpadła w panikę w lesie. To jest dobrze znane i opisane zjawisko. Występuje na całym świecie.

Wiceszeryf zdjął z nosa okulary przeciwsłoneczne w bursztynowych oprawkach i zapatrzył się w las. Po chwili odwrócił się, ponownie założył okulary i powiedział:

– Cóż, ja tutaj żadnej, jak pan powiedział, siły nie widzę. Oczywiście nie będę się z panem teraz sprzeczał, muszę jednak wierzyć przede wszystkim własnym oczom.

Kiedy wiceszeryf się odwrócił, w odległości kilkudziesięciu metrów, mniej więcej w miejscu, na które przed chwilą patrzył, rozległ się w krzakach dziwny, podejrzany szelest. Szeryf momentalnie skierował wzrok w tym kierunku.

– Co to było? Słyszałaś to, Sally? Chyba coś tam jest?

– Rzeczywiście. – Sally wskazała palcem dokładnie na wprost. – Koło tej

sosny. Patrzcie, znowu coś się rusza!

Gęste krzaki rosnące pod sosną zaczęły się gwałtownie trząść, jakby poruszało się między nimi jakieś duże zwierzę.

– Sparky! – zawołał Jack i szybko ruszył w tamtą stronę. – Sparky, to ty?

– Proszę pana! – zawołał Porter. – Proszę pana, niech pan poczeka! To może być niebezpieczne.

Jack zatrzymał się. Krzaki już nie drżały. Nasłuchiwali przez chwilę, ale wokół panował niezmacony spokój.

– Sparkyyyyy! – wrzasnęła niespodziewanie Sally.

– Jezu, Sal, ale mnie wystraszyłaś – powiedział Porter. – Więcej tego nie rób albo przynajmniej uprzedź.

– Przepraszam, Dan.

Jeszcze przez kilka minut uważnie wsłuchiwali się w odgłosy lasu. W końcu wiceszeryf stwierdził:

– To pewnie był tylko szop pracz albo coś podobnego. A jeśli chodzi o chłopca, z pewnością zareagowałyby na twój krzyk, Sally, gdyby był w pobliżu. Umarłego byś obudziła tym wrzaskiem.

– Co teraz zrobimy? – zapytał Jack.

– We troje wiele nie zdziałamy. Miał pan przeczucie, że chłopiec ukrył się w okolicy tej polany. Może i tak jest, ale raczej nie ma zamiaru się nam pokazać. – Porter na moment umilkł, po czym zapytał: – Ile on ma lat? Dwanaście?

– Tak, dwanaście. Niedługo skończy trzynaście.

Wiceszeryf popatrzył na zegarek.

– Cóż, ta ucieczka to był jego pomysł. Nikt go nie napadł, nie uprowadził ani nic w tym rodzaju. I nawet jeśli jest chory na zespół Aspergera, z tego, co mi pan powiedział, wynika, że chłopak jest na tyle bystry, żeby samemu o

siebie zadbać. Nie chciałbym już teraz zarządzać poszukiwań na dużą skalę. Zanim ściągnę ludzi do Owasippe, zrobi się niemal zupełnie ciemno. Proponuję, żebyśmy dali chłopakowi jeszcze trochę czasu na opamiętanie. Przecież wkrótce zgłodnieje, a moje doświadczenie podpowiada mi, że kiedy żołądek przemawia, mózg uważnie słucha.

– Ja jednak jestem pewien, że w tym lesie grasuje jakaś potężna siła – odparł Jack. – I cokolwiek to jest, naprawdę nie chcę zostawiać z tym syna sam na sam.

– Chyba jednak nie mamy wyboru. Gdybyśmy zauważyli tutaj jakiegoś groźnego drapieżnika, pumę albo niedźwiedzia, zagrożenie byłoby oczywiste i sytuacja wyglądałaby zupełnie inaczej. Ale z całym szacunkiem, proszę pana, widział pan tylko nieokreśloną białą postać. A ja przecież nie mogę zarządzić nocnych poszukiwań na pełną skalę z powodu jakiejś zjawy!

Zaledwie wiceszeryf skończył mówić, w lesie, w odległości mniej więcej trzydziestu metrów od nich, rozległ się kolejny wyraźny szelest. Towarzyszyły mu odgłosy truchtu, jakby po ściółce leśnej poruszało się jakieś duże zwierzę. Następnie trzasnęły gałęzie, po czym do ich uszu dotarł głuchy łomot, jakby coś ciężkiego upadło na ziemię.

– Na miły Bóg, co to takiego? – zawołał Porter.

Sally zmarszczyła czoło.

– Dan, to mi się wcale nie podoba.

– Sparky! – krzyknął Jack. – Sparky, to ty? Dalej, chłopcze, natychmiast wyłaź z ukrycia! Sally już ci powiedziała, że nie masz powodu do obaw!

Krzaki zatrzęsły się znowu. Jack poczuł, że brakuje mu tchu, serce waliło mu w piersiach jak oszalałe. Tylko nie to, pomyślał. Przecież jest nas troje, z czego dwie osoby są uzbrojone, niczego nie powinniśmy się bać.

Tymczasem krzaki nadal się poruszały, na ziemię posypały się drobne gałązki i liście. Natychmiast rozszalał się silny wiatr, a drzewa zaczęły się

kołysać. Ich pnie trzeszczały jak drewniane statki na wzburzonym morzu albo jak schody w starym drewnianym domu.

Po prawej stronie, za drzewami, Jack znowu dostrzegł białą zjawę.

– Tam! – zawołał i szarpnął policjanta za rękaw. – Tam jest, niech pan patrzy!

– Co, kurwa? – zdziwił się wiceszeryf.

– Tam! – upierał się Jack. – Niech pan tam popatrzy!

Porter rozpiął kaburę i wyciągnął z niej czarnego automatycznego sig sauera. Sally sięgnęła do kieszeni kurtki i również wyciągnęła broń.

– Na miłość boską, tylko nie strzelajcie! – krzyknął Jack, machając rękami. Wiatr się wzmaczał, wznosząc w powietrze tumany kurzu, igliwie, piasek i suche liście. Mimo że Jack krzyczał ile sił w płucach, ledwo było go słyszeć. – Tam może być Sparky!

Sally popatrzyła na niego wielkimi oczami. Porywisty wiatr szarpał jej włosy, a twarz pozbawiona była koloru. Otwierała i zamykała usta, jednak nie wypowiadała ani słowa, nawet nie próbowała.

Jack poczuł, że dosięga go lodowata, paraliżująca panika, jakby ktoś wylał na niego wiadro zimnej wody. Chciał odciągnąć Sally jak najdalej od tego miejsca, jednak nie wiedział, co powinien zrobić, żeby nogi były mu posłuszne. Zrozumiał, że ona także nie jest w stanie się poruszyć. Stała po prostu w miejscu, z pistoletem w ręce, całkowicie bezsilna i wpatrywała się w Jacka z przerażeniem.

Jack krzyknął do Portera:

– Musimy stąd uciekać! Słyszysz mnie pan?! Musimy uciekać! Jeśli nie zwiejemy, ta zjawia rozszarpie nas na strzępy!

Wiceszeryf wbił w niego wzrok, podobnie jak Sally. Oczy miał wytrzeszczone, a jego twarz była trupio blada. Też poruszał ustami, jakby chciał coś powiedzieć, ale miał trudności nawet z oddychaniem.

– Musimy stąd uciekać! – powtórzył Jack.

Niestety, nie był pewien, czy słowa w ogóle wypływają z jego ust, a nawet jeśli, to nie mógł wiedzieć, czy Sally i wiceszeryf go słyszą.

Wiatr jeszcze bardziej się wzmógł, w powietrzu rozlegał się ogłuszający świst, a kołyszące się drzewa już nie pomrukiwały. Ich gałęzie wręcz wyły i gwałtownie falowały. Na ziemię spadał deszcz szyszek, igliwia i suchych gałązek.

Jack myślał gorączkowo: Jeżeli wyrwę Sally pistolet, będę mógł ją zastrzelić i zaraz potem zabić siebie. O ile wiceszeryf nie wyświadczy mi przysługi i nie strzeli do mnie pierwszy. A co się stanie z Porterem? Pewnie też się zastrzeli, ale mało mnie to obchodzi. Ja chcę tylko jednego: żeby ta przerażająca zjawa mnie nie dorwała. Mam w dupie Portera.

Zdołał wykonać jeden krok, a potem kolejny w kierunku Sally. Był tak przerażony, że ciemniało mu w oczach. Poczuł odrętwienie jak na stole operacyjnym na chwilę przed zaśnięciem. Prawie nie czuł nóg ani rąk i odnosił wrażenie, że na twarzy zamiast skóry ma tekturową maskę. W końcu Sally znalazła się tuż przed nim; wciąż powoli otwierała i zamykała usta.

„Nie dam rady uciec!”, zdawała się krzyczeć do Jacka, chociaż z ruchu jej ust i warg odczytał coś innego: „Ja wcale nie chcę uciekać!”.

Jack wyciągnął rękę, żeby odebrać jej broń, stała jednak trochę dalej, niż początkowo przypuszczał, i musiał zrobić jeszcze przynajmniej dwa kroki, żeby do niej dotrzeć. Kiedy spróbował to uczynić, tuż za plecami usłyszał głośny trzask i w plecy uderzył go grad drobnych przedmiotów. W pierwszej chwili pomyślał, że ktoś wziął do ręki garść żwiru i z całej siły, z bliska, rzucił nim w jego kierunku.

Odwrócił się. Z głowy Portera pozostały jedynie resztki. Pozostała część leżała na ziemi w postaci krwawych strzępów, które bardziej przypominały zakrwawione upierzenie ptaka niż fragmenty ludzkiego ciała. Z lufy

pistoletu, który wiceszeryf jeszcze trzymał w dłoni, unosił się dym. Ciało przez chwilę utrzymywało się w pozycji pionowej, aż wreszcie przewróciło się na ściółkę i znieruchomiło; jedynie lewa noga jeszcze przez chwilę drżała konwulsyjnie. Zwłoki niemal natychmiast przykryły suche liście, gałęzie i igliwie, tak jakby las chciał pośpiesznie ukryć przed światem to, co się przed chwilą tutaj wydarzyło.

Jack popatrzył na Sally i z przerażeniem ujrzał, że ona także uniosła pistolet. Celowała dokładnie w swoje prawe ucho. Oczy miała zamknięte, jakby nie mogła się doczekać chwili, kiedy pociągnie za spust.

Jack doskonale wiedział, co ona teraz czuje. Uważała, że lepsza będzie błyskawiczna śmierć niż straszliwa agonia w szponach leśnego ducha. Jackowi przeszła przez głowę myśl, że Sally jest śliczna i że nie powinna umierać, jednak rozumiał, że teraz jest to dla niej najlepsze wyjście. Właściwie zazdrościł Sally, że zginie pierwsza. Chciał, żeby uczyniła to jak najszybciej, bo wtedy on będzie mógł zabrać jej broń i zakończyć swoją udrękę.

Obejrzał się pośpiesznie i jego serce niemal stanęło, kiedy zobaczył, że tajemnicza istota jest już bardzo blisko, że pomiędzy drzewami błyskają ostre promienie białego światła. Do uszu Jacka docierało dziwne wycie przywodzące na myśl skowyt zgrai wygłodniałych psów. Jak nazwała leśnego ducha kobieta bez głowy? Mówiła o nim „wyjący anioł”.

Znowu popatrzył na Sally. Uczynił to dokładnie w tej chwili, w której pociągnęła za spust i strzeliła sobie w ucho. Nie usłyszał strzału, jednak zobaczył, że lewa połowa głowy dziewczyny eksploduje. Jej dziewięciomilimetrowy półautomatyczny glock był równie potężną bronią jak sig sauer. Rana wlotowa po użyciu takiej broni zwykle jest niewielka, jednak kula robi ogromne spustoszenie w ciele, a rana wylotowa bywa ogromna.

Sally, mój Boże, Sally, pomyślał Jack.

Kiedy ciało policjantki spoczęło na ziemi, Jack natychmiast zanurkował po pistolet, który wypadł jej z dłoni.

Teraz moja kolej na ucieczkę, rozmyślał w panice. Teraz moja kolej, żeby raz na zawsze z tym wszystkim skończyć. Uklęknął i wziął do ręki jeszcze ciepły pistolet. Nie miał wielkiego doświadczenia w posługiwaniu się bronią. Do tej pory tylko kilka razy strzelał z colta ojca, który ten kupił, kiedy członkowie lokalnego gangu zaczęli żądać pieniędzy za „ochronę” restauracji. Dwa albo trzy razy ojciec zabrał Jacka na strzelnicę i wtedy pozwolił mu trochę postrzelać do tarczy.

Jack myślał o tym, kiedy chwycił pistolet rękojeścią do góry i lufę przyłożył sobie do ust. W tym momencie jego panika osiągnęła już takie stadium, że był całkowicie spokojny, opanowany i pogodzony z losem. Oczyma wyobraźni zobaczył ojca stojącego na środku restauracyjnej kuchni. Pomyślał o czasach, kiedy chodził do szkoły i grał w piłkę, pomyślał o mroźnych chicagowskich zimach, tak mroźnych, że ludziom zamarzały gałki oczne.

Przede wszystkim pomyślał jednak o Agnieszce. Zobaczył ją, jak podnosi wzrok znad sukienki, którą akurat szyje, w salonie, do którego wpada tak jasne światło słoneczne, że jej wizerunek jest eteryczny, ledwo uchwytny.

Jack wsunął cuchnącą kordytem lufę do ust i pomyślał irracjonalnie, że wciąga powietrze, którym Sally oddychała w ostatniej sekundzie życia. Wiedział, że jeśli skieruje lufę w górę, kula przeszyje mu mózg, a on już tego nawet nie poczuje.

Idę do ciebie, Aggie, pomyślał i zacisnął powieki. Już nigdy nie będę czuł bólu, niczego nie będę się bał, nigdy nie wpadnę w panikę.

Leśny duch

– Jack – powiedziała Agnieszka; odniósł wrażenie, że mówi prosto do jego ucha. – Słyszysz mnie, Jack? Nie rób tego.

Otworzył oczy. W tym samym momencie wiatr osłabł, a liście, które dotychczas tańczyły w powietrzu, zaczęły opadać na ziemię. Słysząc tylko łagodny szum lasu, drzewa przestały się gwałtownie kołysać, a krzaki już nie szeleściły. Nagle zapanował spokój.

Jack opuścił broń. Był pewien, że słyszał głos żony, ale kiedy się odwrócił, zobaczył nie ją, ale Sparky'ego. Chłopiec stał w odległości mniej więcej dziesięciu metrów od niego, ze zwieszonymi ramionami. Nie uśmiechał się, ale sprawiał wrażenie niezwykle spokojnego. Słońce oświetlało jego postać, jakby otaczając go złotą aurą.

– Sparks? Nic ci nie jest?

Chłopiec spokojnie pokiwał głową.

– Wszystko jest w najlepszym porządku, tato.

Jack wyprostował się i popatrzył na zwłoki Sally oraz wiceszeryfa. Gdyby nie ich roztrzaskane głowy, mogłoby się wydawać, że śpią.

– Jak możesz mówić, że wszystko jest w porządku, Sparks? Tych dwoje ludzi właśnie się zastrzeliło. Ja też bym to zrobił, gdybyś mnie nie powstrzymał.

– To była samoobrona, tato. My nic na to nie możemy poradzić. Tylko w taki sposób możemy się bronić.

– O czym ty mówisz, do diabła? „My” to właściwie kto? I gdzie byłeś przez taki szmat czasu? Muszę zadzwonić po szeryfa.

– Oni nie żyją, tato. Nic już nie możesz dla nich zrobić. To smutne, ale tak to właśnie działa. W chwili, w której człowiek się dowiaduje, że świat wcale nie jest taki, jaki się dotychczas wydawał, przeżywa szok.

– Wydawało mi się, że słyszałem twoją matkę – powiedział Jack.

– Bo ją słyszałeś – odparł Sparky głosem Aggie.

Jack poczuł, że cierpnie mu skóra.

– To ty? Jak to zrobiłeś? Twój głos brzmi dokładnie jak głos mamy.

– Ponieważ tutaj jestem – kontynuował Sparky głosem Aggie. – Duchy zmarłych zawsze trzymają się niedaleko swoich najbliższych. Szukają ich, a potem starają się im pomóc w przezwyciężeniu żalu po stracie drogiej osoby. Oczywiście wcześniej czy później udają się na zasłużony odpoczynek. Bo wszyscy musimy w końcu odpocząć.

– Zaraz zwariuję – powiedział Jack. – Może jednak zaczniemy rozwiązywać sprawy po kolei? Przede wszystkim musimy komuś powiedzieć, że Sally i ten funkcjonariusz się zastrzelili. Sprawy z duchami mogą poczekać. Potrafisz obsługiwać radio policyjne?

– Potrafię, ale nie zamierzam tego robić.

– Daj spokój, Sparks, na miłość boską. Dwie osoby właśnie się zastrzeliły, na naszych oczach. Musimy to zgłosić.

Chłopak wciąż stał w miejscu.

– Niczego nie rozumiesz, tato. To już koniec. Już nie będziemy się wami zajmować. Zaczęliśmy was opuszczać wiele lat temu i teraz została nas na ziemi jedynie garstka. W ciągu tygodnia wszyscy odejdziemy i będziecie musieli radzić sobie sami.

– Sparks, nic z tego nie rozumiem. O czym ty mówisz? Na razie daj mi spokój z tymi wymysłami, weźmy się do tego, co ważne.

Jack nagle zdał sobie sprawę, że będą mu potrzebne kluczyki do dzipa, który prowadził wiceszeryf. Musiał się pochylić nad jego zwłokami,

odwrócić je i wyciągnąć z kieszeni kluczyki przymocowane metalowym łańcuszkiem do paska od spodni. Nad ciałem Portera zaczynały już krążyć muchy.

Kiedy odpiął kluczyki, wyprostował się i powiedział do syna:

– Dobra, Sparks. Idziemy.

Sparky pokręcił głową.

– Już ci mówiłem, tato, to koniec. Próbowaliśmy was chronić, ale wy nie potrafiliście tego docenić. Za nic macie nawet własne dusze.

– Sparks! – krzyknął Jack.

Nerwy powoli brały nad nim górę. Jeszcze się nie otrząsnął z szoku po śmierci Sally i wiceszeryfa i wciąż nie całkiem doszedł do siebie po ataku paniki. A teraz na dodatek Sparky mówił do niego głosem Aggie i plótł jakieś nonsensy o opuszczeniu ludzkości. Zaczynał podejrzewać, że jego syn stracił rozum. W ogóle nie powinien był zabierać go do Owasippe po śmierci Malcolma, a już z pewnością wielkim błędem była podróż do Polski i drugi wyjazd do Michigan. Po powrocie do domu będzie wymagał długotrwałej terapii.

– To nie ma sensu, tato – powiedział Sparky. – Nie wrócę z tobą. Nie mogę. Opuszczam cię. Wszyscy was opuszczamy. Nie wiemy, jak sobie dacie radę zupełnie sami, bez nas, ale nie mamy już sił ani nie chcemy ciągnąć tego dłużej. Jak to się mówi? Miarka się przebrała.

Miarka się przebrała? O czym on mówi? Jack wpatrywał się w Sparky'ego z niedowierzaniem. Chłopak mówił tym samym głosem co dawniej, spokojnym i bez wyrazu, wyglądał jak Sparky – miał bladą twarz i jasną czuprynę, na którą padały promienie słońca. A jednak – nie sposób było wytłumaczyć dlaczego – to już nie był Sparky. Jego słowa nie miały żadnego związku z tym, co mówił lub robił w przeszłości, i Jack go nie rozumiał. To nie był po prostu kolejny objaw zespołu Aspergera. To było coś zupełnie

innego. Jack zaczął dochodzić do przekonania, że Sparky został zahipnotyzowany albo ktoś go wykorzystuje i steruje nim tak jak brzechomówca szmacianą lalką.

– Sparks – powiedział, starając się, żeby jego głos zabrzmiał zdecydowanie i poważnie. – Muszę pojechać do budynku administracyjnego i poprosić o pomoc. Wolałbym, żebyś pojechał ze mną, ale jeśli nie chcesz, bardzo proszę, zostań tutaj i nigdzie się nie ruszaj. Niedługo powinienem wrócić. Tylko niczego tu nie dotykaj.

– To już koniec, tato. Wkrótce odejdziemy.

– Dobrze, wkrótce odejdziecie. Rozumiem. Ale na razie czekaj na mnie tutaj, dopóki nie wrócę.

– To było ostatnie miejsce, gdzie ludzie w nas wierzyli. A zarazem pierwsze. Dziwne, prawda? Nieważne, jak dalekie odbędzie się podróże, nieważne, co się będzie robiło, zawsze wraca się do miejsca, w którym wszystko miało swój początek.

Jack cofnął się o dwa kroki. Poczuł, że ponownie ogarnia go panika. Nie chciał odwrócić się do Sparky'ego plecami, dopóki nie odejdzie od niego na większą odległość. Niespodziewanie odczuł irracjonalny strach, że jego własny syn w każdej chwili może na niego skoczyć i zrobić mu krzywdę.

– Obiecujesz mi, że tu zostaniesz? – powtórzył, gestem podkreślając wagę swoich słów.

– To koniec, tato – odparł Sparky, jednak tym razem jego głos brzmiał zupełnie inaczej niż przed chwilą. Nie był to też głos Aggie ani dziewczyny znalezionej w sadzawce. Sparky mówił teraz chropowatym głosem, z ciężkim akcentem. – Przykro mi z powodu tego, co zrobiłem. Przepraszam. Ale wpadłem w panikę i nie myślałem racjonalnie. Nie myślałem o przyszłości ani w ogóle o niczym. Myślałem tylko o konkretnej chwili i o sobie.

Wymawiając te słowa, Sparky zaczął lśnić, z każdą chwilą coraz jaśniej.

Jego rysy traciły ostrość, zacierały się, jakby przesłoniła go mgła, jedynie dwa ciemne punkty wskazywały, gdzie są oczy. Wkrótce Sparky zaczął się żarzyć, wyglądał jak płonący magnez i Jack musiał osłonić dłonią oczy. Stojąc przed nim, Sparky zamienił się w tę samą oślepiająco jasną postać, którą Jack widział w hotelowej łazience w Warszawie.

Wciąż chroniąc oczy przed intensywnym światłem, rozejrzał się dookoła z niedowierzaniem. Cały las był skąpany w olśniewającym białym blasku, którego źródło było o wiele jaśniejsze niż promienie słońca przebijające się słabo pomiędzy pniami drzew. A przed Jackiem stał oślepiający leśny duch, *nish gite*, duch białego jelenia. Pojawiła się przed nim postać, którą starożytni Grecy nazywali Panem, bogiem lasu.

– Gdzie jest Sparky? – zawołał Jack, z trudem patrząc na lśniąca zjawę. Żadne inne słowa nie przychodziły mu do głowy. Interesowała go tylko jedna sprawa. – Co zrobiłeś z moim synem?

Sparky odpowiedział mu własnym głosem, chociaż tym razem Jack miał wrażenie, że rozlega się on tylko w jego głowie.

– To koniec, tato. Mówiłem ci. Odchodzimy.

– Gdzie jest mój syn? Chcę, żeby do mnie wrócił!

Zrobił krok w kierunku postaci, później jeszcze jeden i kolejny. Sylwetka zawahała się, a potem szybko zaczęła się cofać.

Ta istota była przerażona. Jack przypomniał sobie słowa kobiety: „Ten anioł był przerażony. Był przerażony. Przerażony bardziej od nas”.

– Gdzie jest mój syn? Co zrobiliście, kurwa, z moim synem?

Nagle pomyślał: On mi tego nie daruje. Rozerwie mnie na strzępy, jeśli podejść jeszcze bliżej. Jednak nadal szedł w jego kierunku, a lśniąca postać tylko się cofała. Była przepelniona strachem. Teraz już Jack miał pewność. Kobieta mówiła prawdę. Leśny duch bał się bardziej niż on sam.

Teraz to zrozumiał. Było to jak objawienie. Te zjawy, kimkolwiek były,

bronily się. Ale nie robiły tego, napadając na ludzi, którzy nieproszeni weszli do lasu, lecz wywołując w ich umysłach panikę. Sprawiały, że ludzie szaleli ze strachu i przerażeni, że spotka ich coś strasznego, woleli popełnić samobójstwo. I działo się tak od wielu stuleci w lasach na całym świecie.

– Kim wy jesteście? – zapytał Jack ochryple. – Czym jesteście? Co zrobiliście z moim synem?

– Potrzebowaliśmy go. – Jack usłyszał odpowiedź, wypowiedzianą głosem Sparky'ego, odpowiedź, która pojawiła się wyłącznie w jego głowie.

– Co? Dlaczego? Do czego?

– Był jednym z wielu, którzy zostali nam przyrzeczeni. Zaczęliśmy zdawać sobie sprawę, że wkrótce nadejdzie czas, kiedy będziemy musieli odejść. Istniał tylko jeden sposób, żeby się tutaj spotkać, przyjść ze wszystkich tych miejsc, w których byliśmy porzuceni.

W tym momencie Jack zauważył pomiędzy drzewami więcej podobnych sylwetek. Zbliżały się ze wszystkich kierunków; było ich przynajmniej dwadzieścia, a może więcej. Znalazłszy się w odległości mniej więcej piętnastu metrów od Jacka, zatrzymywały się i zamierały w miejscu, śmiertelnie ciche. Obserwowały i czekały. Słońce powoli zachodziło za horyzontem i las stopniowo wypełniał się cieniami, jakby setki czarnych pajaków zaczęły snuć swoje sieci pomiędzy gałęziami drzew. Zapadający mrok sprawiał, że postaci wyglądały jeszcze bardziej upiornie.

– To są wszyscy, którzy pozostali – rozległ się głos Sparky'ego. – Nie będziesz chciał nas skrzywdzić, prawda, tato? Zanim zdołasz kogoś tu przywołać, nas już nie będzie.

– A dlaczego miałbym was krzywdzić? Chcę się tylko dowiedzieć, gdzie jest mój syn. Słyszę, jak mówi, widzę go, zdawało mi się, że to ty nim jesteś, a to nieprawda. Gdzie on jest?

– Przybyliśmy tutaj wieleset lat temu, żeby chronić wasz świat – mówiła

dalej istota. – Przybyliśmy, żeby chronić wasze lasy i oceany i żeby was uczyć, że planeta i jej mieszkańcy stanowią jedność. Część ludzi zaczęła to ostatnio rozumieć, jednak jest ich zbyt mało. A teraz... teraz jest już za późno. Próbowaliśmy powstrzymać was przed niszczeniem waszego świata własnych lasów i truciem waszych oceanów, ale nie można ich już uratować. Nic więcej nie możemy zrobić.

– Ale skąd się właściwie wzięliście, do cholery? – zawołał Jack. – Może jesteście Marsjanami? Jak możesz mówić, że nas chronicie i bronicie, skoro wywołujecie u małych dzieci taką panikę, że podrzynają sobie gardła?

Sylwetka lekko się zakołysała, a jej blask zaczął przygasać. Z tonu jej głosu Jack wywnioskował, że ogarnia ją wielkie zmęczenie, jakby emitowanie jaskrawego blasku kosztowało ją wiele wysiłku.

– Mieliśmy nadzieję... mieliśmy wielką nadzieję...

– Mów dalej. Jaką nadzieję?

– Mieliśmy nadzieję, że ludzie w końcu zrozumieją, że absolutnie wszystko we wszechświecie jest ze sobą połączone. Wszystko. Rośliny, zwierzęta, ludzie i duchy. Każdym ruchem sterują planety i gwiazdy; i z kolei wy, waszymi poczynaniami, wpływacie na planety i gwiazdy. Część spośród was zaczęła to rozumieć, jednak większość uważa takie opinie za przesady albo za zwyczajną zabawę.

– Masz na myśli astrologię? Mój syn ją rozumie.

– Oczywiście. Bo on zawsze należał do nas, od chwili, w której został poczęty.

– Do was? Co to znaczy „do was”? On nie jest wasz.

– Musimy już iść – powiedziała postać słabym głosem.

– Gdzie jest Sparky? – zapytał Jack z rozpaczą. Podszedł do postaci, z którą rozmawiał, jednak ta błyskawicznie się cofnęła. – Jeżeli mi nie powiesz, gdzie jest mój syn...

– Twój syn jest tutaj, we mnie. Przynajmniej na jakiś czas. Zostawię go, kiedy odejdę, a wtedy... wtedy znajdziesz go gdzieś w lesie, jak wielu innych.

– Przestań bredzić, na miłość boską! Gdzie on jest? Chcę go odzyskać, natychmiast!

– Kiedy odejdę, znajdziesz go w lesie. Jak myślisz, co się dzieje z duchem człowieka po śmierci?

– A skąd mam, do cholery, wiedzieć? Idzie do nieba? Do piekła? Kto to wie?

Jack przyśpieszył, jednak postać cofała się szybciej, niż mógł nadążyć.

– Zamieszkują pnie drzew! – Głos świetlistej istoty brzmiał jak głos Sparky'ego, kiedy chłopiec był zły lub zdenerwowany. – To dlatego musieliśmy chronić wasze lasy! To tam mieszkają duchy zmarłych! W drzewach!

– Co?

– Za każdym razem, kiedy wycinacie las, za każdym razem, kiedy go podpalacie, poświęcacie setki i tysiące duchów! Jak myślisz, dlaczego drzewa ostrzegają się nawzajem, kiedy człowiek wkracza do lasu? Boją się go, boją się tego, co może zrobić! My też się tego boimy! To dlatego sprawiamy, że wpadacie w panikę!

– Co?

Jack czuł, że zaraz oszaleje. To nie mogła być prawda, to musiał być zwykły koszmar. Ale jeśli Sparky był wewnątrz tej dziwacznej postaci, Jack musiał zrobić wszystko, żeby go z niej wydobyć, odzyskać. Zrobił trzy szybkie kroki do przodu i gwałtownie rzucił się na nią. Postać błyskawicznie się cofnęła, odwróciła się i zaczęła biec. Jack co sił w nogach ruszył za nią. W pewnej chwili zdołał ją szarpnąć za ramię i chociaż na pierwszy rzut oka wydawała się jedynie skupionym światłem, Jack poczuł, że dotyka ludzkiego

ramienia – nagiego, zimnego ramienia. Poczuł nawet ruch łopatki pod skórą.

Postać się wyrwała. Jack spróbował złapać ją jeszcze raz, jednak nie zwalniając biegu, zrobiła unik w lewo, następnie w prawo. Inne postaci również biegły między drzewami. Jackowi wydawało się, że szeleszczącym liście poruszane przez wiatr. Można było odnieść wrażenie, że w lesie trwa cichy, upiorny maraton – koszmarne wyścigi, który nie ma wyznaczonej mety.

Biegący wspięli się na szczyt wzniesienia; po drugiej stronie teren opadał bardziej stromo, chwilami wręcz pionowo. Biała postać nawet nie zwolniła, jednak Jack stracił równowagę i zaczął się toczyć w dół, bezradnie wymachując rękami. Chciał złapać jakiś wystający korzeń, ale nie udało mu się. Toczył się tak szybko, że po chwili zderzył się z świetlistą sylwetką i dalej spadał razem z nią, w plątaninie rąk, nóg i oślepiającego białego światła.

Mimo że istota świeciła jasnym światłem, Jack czuł, że zмага się z nagim człowiekiem o odrażającej, zimnej skórze. Mimo obrzydzenia w końcu zdołał usiąść na niej okrakiem i wykręcić jej ręce na plecach.

– Gdzie jest mój syn? – zapytał, ciężko dysząc. – Chcę wiedzieć, co zrobiliście z moim synem.

Postać milczała. Jack czuł tylko jej ciężki oddech.

– Gdzie jest mój syn?! – krzyknął jej do ucha. – Jeśli mi nie powiesz, gdzie on jest, połamię ci te pieprzone ręce!

Postać wciąż milczała. Jack przycisnął ją do ziemi tak mocno, że w końcu wydała dziwny skowyt, bardziej zwierzęcy niż ludzki.

– Gdzie jest mój syn? Nie puszczę cię, dopóki mi nie powiesz!

W tym momencie Jack zdał sobie sprawę, że wokół niego robi się coraz jaśniej. Podniósł wzrok i zobaczył, że dookoła zgromadziło się dwadzieścia albo i trzydzieści świetlistych postaci. One także zdawały się składać

wyłącznie ze światła, jakby były duchami, choć nie były przejrzyste. Zbliżały się dopóty, dopóki nie zamknęły dookoła niego kręgu.

– Ja chcę tylko, żebyście mi oddali syna – powiedział Jack.

Był pewien, że rozróżnia twarze postaci – ich rysy były nieostre niczym na prześwietlonych fotografiach, ale mimo wszystko były to twarze. Nie wyrażały złości ani agresji, jak mógłby się spodziewać. Na wszystkich malowała się rezygnacja i zmęczenie.

Dwie postaci pochylały się i ujęły Jacka pod ramiona. Chociaż zdawały się jedynie skupionymi promieniami światła, ich dotyk był zwyczajny, ludzki. I bardzo silny. Kolejne dwie sylwetki oderwały palce Jacka od nadgarstków postaci, na której siedział, a potem wszystkie cztery go uniosły i postawiły na nogach. Zrobiły to w absolutnej, wręcz upiornej ciszy. Jack nie próbował się opierać ani wyrywać. Przeciwników było zbyt wielu, a poza tym nie miał pojęcia, do czego są zdolni.

Po chwili pięć lub sześć postaci uniosło go w górę; leżał na ich ramionach, twarzą do góry i z rękami szeroko rozrzuconymi, jakby miał za chwilę zostać ukrzyżowany. Niosąc go, okrążyły wzgórze, z którego przed chwilą się stoczył. Zmierzały z powrotem do lasu. Poczł coś dziwnego, coś, czego nigdy dotąd nie odczuwał. Czuł się, jakby płynął na plecach na morzu dłoni. Nad sobą, pomiędzy gałęziami sosen, widział purpurowe niebo wczesnego wieczoru i zarys księżyca.

W końcu znaleźli się w miejscu, w którym leżały zwłoki Sally i wiceszeryfa. Świetliste istoty postawiły go na ziemi i wpatrywały się w niego niemo.

– Wracam po mojego syna – ostrzegł, chociaż nie potrafił zapanować nad drżeniem głosu. – Już więcej mnie nie przestraszycie, kimkolwiek jesteście.

– Kiedy wrócisz, nas już nie będzie, Jack – odpowiedziała jedna z sylwetek głosem Aggie. Mówiła spokojnie, łagodnie i ze smutkiem. – Nic już

tu po nas. Nie potrafimy obronić was przed wami samymi.

– Ale co ze Sparkym? Co z moim synem?

– Obietnica jest obietnicą, Jack. Powiedzą ci to wszystkie dusze, które śpią w tych drzewach.

– Gdzie on jest?! – krzyknął Jack.

Odpowiedziała mu cisza. Wszystkie postacie odwróciły się i ruszyły przed siebie. Jack mógł tylko bezradnie patrzeć, jak znikają między sosnami. Wkrótce stracił z oczu ostatnią. W lesie, w którym gwałtownie zaczęła zapadać ciemność, został sam.

Przez chwilę kusilo go, żeby podnieść z ziemi broń wiceszeryfa i pobiec za zjawami. Po chwili jednak pomyślał, że to nie ma sensu. Przecież on był sam jeden, a ich wiele. Poza tym nie miał pojęcia, ile kul znajduje się w magazynku pistoletu ani czy w ogóle mogą im wyrządzić jakąś szkodę, czy są to istoty z krwi i kości.

Obszedł ciała i pobiegł do dżipa. Zajmując miejsce kierowcy, popatrzył jeszcze w głąb lasu, jednak nie zauważył żadnego światła. Włączył silnik, wycofał samochód na brzeg jeziora i pojechał w stronę zabudowań obozu. Samochód kołysał się i podskakiwał na dziurach, Jack jednak z całej siły naciskał na pedał gazu. Szybkie działanie było jedyną szansą na uratowanie Sparky'ego. Ale właściwie przed czym należało go ratować? Jack nie miał pojęcia, kim były te dziwaczne postaci. Duchami, obcymi z kosmosu, aniołami? Albo czymś, o czym nikt jeszcze nigdy nie słyszał.

Dojechał do głównego budynku i zatrzymał samochód przed schodami. Wbiegł na taras i kiedy próbował dostać się do holu, stwierdził, że wszystkie drzwi są pozamykane na klucz, a w budynku jest ciemno. Kilkakrotnie uderzył pięścią w okno. Nikt nie zareagował. Uderzył jeszcze raz, krzyząc:

– Jest tam kto? Jest tam kto? Miał miejsce wypadek!

Postanowił pobiec do dżipa i sprawdzić, czy uda mu się nawiązać kontakt

z biurem szeryfa przez radio. Niespodziewanie jednak po lewej stronie holu otworzyły się jakieś drzwi i na podłodze pojawiła się smuga światła. Po chwili oczom Jacka ukazał się starszy skaut. Jack wrócił i znowu uderzył pięścią w szkło.

Mężczyzna otworzył drzwi.

– Co się dzieje? – zapytał. – Gdzie wiceszeryf?

– Wpadł w panikę. Zresztą detektyw Faulkner też wpadła w panikę. Zastrzelili się na moich oczach.

– Cholera jasna. A co z pańskim chłopakiem? Znalazł go pan?

Jack pokręcił głową i odparł:

– Jest gdzieś w lesie. Dopadły go te białe stwory. Widziałem je. Jednego nawet goniłem i walczyłem z nim, jednak pozostałe mnie odciągnęły. Niby to są duchy, a jednak, nie wiem dlaczego, bardziej przypominają ludzi niż jakieś istoty niematerialne. Ale czy ludzie mogą świecić?

Skaut patrzył na niego ze zdziwieniem.

– Nie wierzy mi pan, co? Cóż, dobrze, niech mi pan nie wierzy. Ale detektyw Faulkner i wiceszeryf Porter z powodu tych duchów zastrzelili się na moich oczach i leżą teraz martwi w ciemnym lesie. A mój syn zniknął i czy pan w to wierzy czy nie, znajduje się w szponach tych duchów.

– Zadzwoń do biura szeryfa i do straży leśnej. A potem razem poszukamy pańskiego syna. Jeśli złapały go duchy, raczej nie powinna mu się stać żadna krzywda.

– A więc wierzy mi pan?

To pytanie zdenerwowało skauta.

– Oczywiście, że panu wierzę. Przecież opiekuję się tym obozowiskiem od czternastu lat i widziałem tu już różne rzeczy. Nie są to jednak sprawy, o których można rozmawiać ze wszystkimi. Ludzie od razu posądziłiby nas, że postradaliśmy zmysły.

– Duchy powiedziały mi, że odchodzą. Z ich słów wynikało, że zamierzają opuścić ten las, i to natychmiast.

– Natychmiast? Przypuszczałem, że kiedyś stąd odejdą, ale dlaczego akurat teraz, dzisiaj, tak nagle?

Dopiero teraz Jack zauważył, że łysiejący skaut ma jedno oko zielone i jedno brązowe.

– Tak właśnie powiedziały. A w dodatku posługiwały się głosem mojego syna i mojej zmarłej żony.

Skaut pokiwał głową.

– Tak, to ich metoda. Używają głosów, które są dobrze znane ludziom, głosów rodziny lub przyjaciół. Teraz szybko zadzwonię w dwa miejsca i od razu pojedziemy do lasu. Gdzie to się stało? Nad jeziorem?

Jack czekał przy drzwiach, gdy skaut telefonował do biura szeryfa w Muskegon, a potem na posterunek Służby Leśnej Stanów Zjednoczonych. Zakończywszy rozmowy, powiedział:

– W porządku. Nie minie czterdzieści pięć minut i zjawią się tutaj ludzie szeryfa. Strażnicy leśni będą na miejscu za jakąś godzinę. A tymczasem możemy sami zacząć poszukiwania pańskiego syna. Mówmy sobie po imieniu. Jestem Ambrose. Ambrose Weld.

Wyszli na parking i wsiedli do jasnobrązowego chevroleta avalanche, należącego do Ambrose'a. Część ładunkowa pick-upa wypełniona była złożonymi namiotami i innym sprzętem biwakowym – składanymi krzesłami i lampami gazowymi.

– Naprawdę widziałeś te duchy? – zapytał Jack, kiedy ruszyli w kierunku jeziora.

– Jasne. Również je słyszałem. Rozmawiały ze mną głosem mojego przyjaciela Woody'ego, który zmarł ponad siedem lat temu.

– I co mówiły?

– Ostrzegały mnie, żebym się do nich nie zbliżał. To wszystko. Chyba wiedziały, że nie zamierzam krzywdzić lasu. Nigdy nie wpadłem w panikę. Ale mimo wszystko nie lubiły, jak się kręciłem po okolicy. To było jakieś dwa, może trzy lata temu. Wiedziałem o ich istnieniu, już kiedy rozpoczynałem tu pracę, ale wtedy po raz pierwszy zobaczyłem je na własne oczy.

– Wiedziałeś o nich, zanim je zobaczyłeś?

Ambrose zwolnił, żeby nie rozjechać szarej pardwy, która leniwie wkroczyła na leśną drogę. Ptak dwukrotnie podskoczył, a potem wzniósł się do lotu.

– Kiedy dołączyłem do personelu tego ośrodka, pragnąłem, żeby zarządzano tak, by jak najbardziej chronić środowisko naturalne. Rozejrzyj się, Owasippe to przepiękne miejsce. Najpierw postanowiłem, że dowiem się o nim jak najwięcej. W końcu stałem się prawdziwym ekspertem w tej dziedzinie. Rozmawiałem z Jimem Dunnem, starym leśnikiem. Rozmawiałem z najstarszymi członkami plemienia Potawatomi, a także z kilkoma przyrodnikami. Jednym z nich był doktor Claude Duval. Nie mówili mi jedynie o florze i faunie Owasippe, ale także o legendarnych duchach, które przybyły tutaj tysiące lat temu, jeden Bóg wie skąd, żeby chronić las przed jego największym wrogiem.

– A jest nim?

– Homo sapiens, a któż by inny. Albo *Homo* nie bardzo *sapiens*.

– I wiedząc o tych duchach, nie ostrzegłeś przed nimi tych młodych ludzi, zanim rozbili obóz?

– Bo duchy już od wielu lat nie dawały o sobie znać. Nie wiem, dlaczego nagle znowu się pojawiły, ale może to ma coś wspólnego z decyzją o opuszczeniu Owasippe.

– No dobrze, ale dlaczego nie powiedziałeś o tym policji?

Ambrose oderwał wzrok od drogi i przez długą chwilę wpatrywał się w Jacka; na jego twarzy malowało się poczucie winy połączone z irytacją.

– Nawet gdybym to zrobił, jak sądzisz, jaka byłaby reakcja? Uznaliby mnie za natychmiastowego kandydata do domu wariatów, prawda? I pewnie od razu straciłbym pracę.

– Masz rację – odparł Jack. – Przynajmniej zachowałeś robotę. To dobrze. Ale gdybyś na czas opowiedział o swoich doświadczeniach, być może dwoje ludzi by ocalało. Sally była moją dobrą przyjaciółką. No i może nie zaginąłby mój syn.

– Nikt by mi nie uwierzył, i doskonale o tym wiesz! – krzyknął Ambrose. – A zresztą, gdyby nawet mi uwierzył, co z tego? Przecież nie można złapać ani aresztować duchów, bo to są po prostu duchy! Nawet Potawatomi mówią, że nie można schwytać ani zabić Manito Sucsee Wabe.

Byli już bardzo blisko jeziora Wolverine. Jack dostrzegł pomiędzy drzewami lśniąca taflę wody. Niczym od pękniętego lustra odbijał się od niego wizerunek księżyca.

– To prawda – powiedział Jack. – Przepraszam. Po prostu od dłuższego czasu funkcjonuję w cholernej traumie. To miło trafić wreszcie na kogoś, kto nie uważa mnie za szaleńca.

– Zatem albo nie jesteś szaleńcem, albo trafiłeś na takiego samego szaleńca jak ty sam.

Weszli pomiędzy drzewa.

Wcześniej było tutaj cicho i spokojnie, teraz zdawało się, że wszystkie ptaki i zwierzęta w lesie wrzeszczą, wyją i trajkoczą, jakby znaleźli się w sercu tropikalnej dżungli.

– Coś się dzieje – powiedział Ambrose, świecąc dookoła latarką. – Zazwyczaj o tej porze w lesie panuje spokój, szczególnie po zmroku.

Słyszysz ten dźwięk, jakby ktoś walił w bęben? To pardwa uderza skrzydłem o skrzydło.

Ruszyli w tę część lasu, gdzie Jack zostawił ciała Sally i wiceszeryfa. Był pewien, że trafił na właściwe miejsce: doskonale pamiętał układ drzew i trasę po pochyłym terenie. Jednak zwłok tam nie było. Nie znaleźli też wgnieceń w ściółce ani śladów krwi.

– Cóż, albo poprowadziłeś mnie w niewłaściwe miejsce, albo rany twoich samobójców się zagoiły i poszli sobie – stwierdził Ambrose.

– Przecież oboje strzelili sobie w głowę – odparł Jack. – Z odstrzeloną głową raczej nie można chodzić.

Przeszedł kilkadziesiąt metrów dalej. Nigdzie nie było zwłok.

– Pewnie duchy je przeniosły – zasugerował.

– Może tak się stało – zgodził się skaut. – Ale w jakim celu?

– Może duchy przejmują się ludzkimi zwłokami tak jak my? A może to są kosmici, którzy zabrali zwłoki w celach naukowych?

– Cóż, i tego nie można wykluczyć. W każdym razie ci dwoje nie żyją. Teraz musimy szukać twojego syna, zanim i jemu przyjdzie do głowy, żeby popełnić samobójstwo. Jeżeli jeszcze tego nie zrobił.

– Dzięki – mruknął Jack z niechęcią.

– Przepraszam. Po prostu staram się realnie podchodzić do życia.

Kakofonia zwierzęcych głosów trwała bezustannie i stawała się coraz głośniejsza. Od czasu do czasu rozlegało się przeciągłe żałosne wycie.

Powoli ruszyli dalej w głąb lasu. Skaut oświetlał latarką teren – od lewej do prawej strony i z powrotem.

– Sparks! – zaczął wołać Jack. – Sparky, gdzie jesteś? Słyszysz mnie, Sparks?

Ambrose wyciągnął z kieszeni koszuli mosiężny gwizdek i kilkakrotnie

mocno w niego dmuchnął. Potem on również zawołał:

– Sparky! Gdzie jesteś, Sparky? Możesz już wyjść z ukrycia! Nikt nie będzie miał do ciebie o nic pretensji. – Znowu gwizdnął i jeszcze raz zawołał: – Jeśli nie wiesz, gdzie jesteśmy, kieruj się dźwiękiem gwizdka!

Gwizdał mniej więcej co trzydzieści sekund; dwa krótkie gwizdy i jeden długi. Ale odpowiadały mu jedynie zwierzęta, które zachowywały się coraz głośniejsze, jakby były wściekłe, że ktoś im przeszkadza.

– Jeszcze nigdy w życiu nie słyszałem czegoś takiego – powiedział w końcu Ambrose. – Coś je naprawdę mocno rozdrażniło.

Jack się zatrzymał.

– Sparks! Sparky!

W odpowiedzi słyszeli jednak tylko wrzaski, trzepotanie skrzydeł, dudnienie i wycie.

Skaut wyciągnął kompas i oświetlił go latarką.

– Chodzimy półkolami, z lewej strony na prawą i z powrotem – powiedział. – Nazywa się to poszukiwaniem półksiężycowym albo łukowym. Tę metodę stosuje się głównie pod wodą, szczególnie w mulistych akwenach, lecz także w lesie, kiedy poszukiwania prowadzi dwóch ludzi. To zabiera dużo czasu, przyznaję, ale jeśli ktoś celowo się kryje albo stracił przytomność, ta metoda poszukiwań zapewnia największą szansę na odnalezienie. Poza tym w każdej chwili powinni się tu zjawić ludzie szeryfa i strażnicy leśni i będziemy mogli rozbudować front poszukiwań.

Jack pokręcił głową.

– Sparky może się znajdować o wiele kilometrów stąd. Jak duży jest ten las?

– Ma około stu czterdziestu tysięcy akrów powierzchni.

– O rany.

– Znajdziemy go, nie martw się. Policjanci przywiozą przynajmniej jednego psa tropiącego, a to bardzo odmieni naszą sytuację, przekonasz się.

Jakby chciał podkreślić znaczenie swoich słów, znowu mocno gwizdnął.

Pierwszy łuk poszukiwań zawiódł ich niemal na brzeg jeziora. Zanim odwrócili się, żeby nakreślić drugi łuk, Ambrose znowu popatrzył na kompas. W tym czasie Jack rozglądał się po lesie. Nagle dostrzegł za drzewami blade światło. Znajdowało się po lewej stronie, jakieś sześćdziesiąt metrów od nich. Trwało to zaledwie ułamki sekund, jednak Jack był pewien, że było tam co najmniej kilka świetlistych postaci, które wyprowadziły go z lasu.

– Tam są! – rzucił i wskazał palcem. – Widziałem ich, dokładnie tam.

Ambrose popatrzył w ciemność i zmarszczył czoło.

– Jesteś pewien? Bo ja niczego nie widzę.

– Tak, jestem pewien. Absolutnie. Jest ich więcej, nie tylko jeden.

– Czujesz coś? Ogarnia cię panika? – zaniepokoił się skaut.

– Nie, nic z tych rzeczy. Ale może teraz, kiedy wiem, że duchy nie mogą mi niczego zrobić, jest inaczej.

– Nie byłbym tego taki pewien. To, że dotychczas nic ci nie zrobiły, nie oznacza, że tego nie potrafią. Być może po prostu tego nie chcą. Uważam, że wciąż powinniśmy zachowywać ostrożność. Według niektórych legend plemienia Potawatomi duchy potrafią rozerwać człowieka na strzępy.

Jack nadal patrzył w kierunku, gdzie przed chwilą widział światła.

– Jestem pewien, że te duchy mają Sparky'ego. Nie rozumiem, jak to się stało, ale odniosłem wrażenie, że chłopak został opętany przez jednego z nich.

– Opętany? Jak w *Egzorcystyce*?

– Może to nie jest właściwe słowo, ale w jednej chwili ten duch wygląda

jak Sparky, a w następnej znowu jest po prostu jedną z tych tajemniczych białych istot. Może one manipulują mną w taki sam sposób, w jaki wywołują u ludzi panikę? Nie mam jednak wątpliwości, że schwytali mojego syna, że on wciąż żyje i że jesteśmy w stanie go odzyskać.

Właśnie mieli znów ruszyć, gdy po drugiej stronie jeziora dostrzegli podskakujące światła i usłyszeli silniki samochodów terenowych.

– No, widać, że służby ratunkowe nie tracą czasu – powiedział Ambrose.

Cofnął się przez gęste krzaki w kierunku ogrodzonego taśmą miejsca, gdzie znaleziono zwłoki skautów. Jack poszedł za nim. Przez chwilę czekali, aż dwa samochody patrolowe objadą jezioro i zaparkują obok samochodu Ambrose'a. Wskoczyło z nich siedmiu funkcjonariuszy. Wśród nich znajdował się przewodnik psa, posterunkowy Ridout. Prowadził owczarka niemieckiego o imieniu Barrett – tego samego, który wywęszył w sadzawce kobietę bez głowy. Pies ciężko dyszał.

Zastępca szeryfa, wysoki mężczyzna ogolony na zero, z wielkim brzuchem i rudymi brwiami, uścisnął im dłonie na powitanie.

– Cześć, Ambrose – powiedział. – Nadal nie mogę w to uwierzyć. Dan Porter samobójcą... Przecież to najbardziej zrównoważony człowiek, jakiego znałem.

– Pan Wallace był przy nich, kiedy do siebie strzelali. Jack, to jest sierżant Jim Truscott. Jim, poznaj Jacka Wallace'a, ojca zaginionego chłopca.

– Naprawdę widział pan, jak oni popełniają samobójstwo? Na własne oczy? – zapytał sierżant Truscott.

– Kiedy strzelał wiceszeryf Porter, byłem odwrócony do niego tyłem. Usłyszałem huk, tuż za plecami, i kiedy się odwróciłem, zobaczyłem, że Porter odstrzelił sobie głowę. Chwilę później zastrzeliła się detektyw Faulkner.

Jack ułożył palce w pistolet i przyłożył je sobie do ucha, żeby

zademonstrować, w jaki sposób Sally popełniła samobójstwo.

– Rozumiem, że pan, wiceszeryf Porter i ta pani detektyw już wtedy poszukiwaliście chłopca?

– Zgadza się. Ale oni wpadli w panikę. Ja zresztą też, tyle że ja nie miałem przy sobie broni.

– Wpadli w panikę? Przecież oboje byli doświadczonymi funkcjonariuszami. Co ich tak przestraszyło?

Ambrose popatrzył na Jacka, jakby chciał zapytać: „Ty mu powiesz czy chcesz, żebym ja to zrobił?”. Jack wzruszył ramionami, zatem skaut odezwał się:

– W lesie przebywają osobniki, które potrafią w taki sposób oddziaływać na każdego. Wywoływać panikę.

– Osobniki? Jakie osobniki?

– Nie mamy pewności, kim oni są.

Sierżant Truscott na moment zamilkł. Przez chwilę obracał głowę, jakby się za czymś rozglądał. Wreszcie zadał pytanie:

– Gdzie są zwłoki?

– Myślę, że zostały zabrane – odparł Jack.

– Zostały zabrane? Przez kogo? Do ciężkiego diabła, co się tutaj dzieje?

– Jim – powiedział Ambrose. – Moim zdaniem nie mamy wiele czasu. Jack ma powody, żeby przypuszczać, że te osobniki wkrótce stąd odejdą.

– Odejdą? Dokąd? Mają jakieś pojazdy? I o kim my, do diabła, mówimy?

– Myślę, że przetrzymują mojego syna – powiedział Jack. – Ostatni raz widziałem ich jakieś dziesięć minut temu, o, tam. – Wskazał kierunek. – Było ich ze dwudziestu albo nawet trzydziestu. Proszę, ruszajmy, musimy ich dogonić.

– Dobrze, proszę pana, zaraz ruszymy – zgodził się sierżant Truscott. –

Ale kim oni właściwie są? Jak wyglądają? Porwali pańskiego syna z jakiegoś szczególnego powodu? Musiałbym uzyskać od pana trochę więcej informacji. Nie mogę...

– Jim – przerwał mu Ambrose. – Od jak dawna się znamy? Co najmniej od pięciu lat, prawda? Czy mógłbyś w tym przypadku po prostu mi zaufać? Ruszajmy w pościg i tyle. Kiedy ich dopadniemy, wtedy będziemy mogli zadawać pytania kto, co i dlaczego. A na razie przyjmij tylko, że mamy do czynienia z sektą, której członkowie błyszczą dziwnym światłem.

– Błyszczą? Nie wierzę, do cholery.

– Sam zobaczysz, mówię ci. Zaufaj mi, Jim, proszę.

Dookoła nich zgromadzili się pozostali funkcjonariusze. Sierżant Truscott przez chwilę jeszcze się wahał, ale zaraz odwrócił się i powiedział do swoich ludzi:

– Posłuchajcie mnie! Szukamy grupy podejrzanych w liczbie dwudziestu, może więcej. Być może dopuścili się porwania syna tego pana. Ile lat ma chłopak? Niech pan powie, jak ma na imię i jak wygląda.

– To szczupły dwunastolatek o jasnych włosach. Reaguje na ksywkę „Sparky”.

– Rozumiem. Słuchajcie. Szukamy Sparky'ego, który ma dwanaście lat. Jeśli chodzi o podejrzanych, wiemy jedynie, że błyszczą. Zanim zaczniecie w tej kwestii zadawać pytania: nie mam zielonego pojęcia, co to znaczy, ale nie mam wątpliwości, że kiedy ich zobaczycie, to ich na pewno rozpoznacie. Ten kierunek? – Wskazał i popatrzył pytająco na Jacka, który pokiwał głową.

– Mogę pójść z wami? – zapytał.

– Jasne, że pan może. Ale niech się pan trzyma z tyłu, szczególnie jeśli zlokalizujemy jakieś niebezpieczeństwo. Ty, Ambrose, także trzymaj tyły, razem z panem Wallace'em.

Policjanci rozproszyli się w tyralierę i ruszyli między drzewa. Trzech z

nich, także sierżant Truscott, miało na sobie mundury, a pozostali czterej ubrani byli w dżinsy, sportowe koszule i kurtki. Wszyscy byli bardzo młodzi. Jedynie sierżant Truscott i jeden z funkcjonariuszy przekroczyli czterdziestkę, reszta wyglądała jakby dopiero co ukończyli szkołę średnią.

Nie musieli się skradać, bo w lesie nadal panował dziwny hałas. Ptaki ćwierkały jak szalone, a z oddali docierało do nich upiorne wycie, jakby nie z tego świata.

– Te odgłosy świadczą o tym, że coś tutaj się dzieje – zauważył sierżant Truscott. Został trochę w tyle, żeby dołączyć do Jacka i Ambrose'a. – Kiedy ostatnim razem słyszałem w lesie takie hałasy, wkrótce połowa drzew poszła z dymem.

– Moim zdaniem ptaki i zwierzęta niepokoją się dlatego, że te istoty chcą stąd odejść – powiedział skaut.

– Daj spokój, Ambrose. Skąd by o tym wiedziały?

– Te osobniki opiekowały się nimi od bardzo dawna i teraz je opuszczają. Zwierzęta potrafią to wyczuć.

– Nic z tego nie rozumiem, Ambrose. Masz na myśli te twoje błyszczące ludziki? A czy ja je kiedykolwiek widziałem?

– Nie, Jim, nie widziałeś. Widziało je bardzo niewielu ludzi.

– Ale skoro przebywają tu od tak dawna, jak twierdzisz, Ambrose, jak to się stało, że ludzie ich nie zauważali? Przecież populacja hrabstwa Muskegon składa się z zaledwie stu siedemdziesięciu jeden tysięcy trzystu dwóch osób, a ja ich wszystkich znam.

W tym momencie Barrett zaczął warczeć. Wydał z siebie kilka krótkich, ostrych warknięć, a potem zaskowyczał przeciągle, jakby chciał się przyłączyć do chóru odgłosów rozlegających się w lesie.

Posterunkowy Ridout krzyknął na niego:

– Barrett! Uspokój się, Barrett. Co się z tobą dzieje, stary? Barrett! Nie

ciągnij mnie tak! Barrett!

– Co się stało, Eric? – zapytał sierżant Truscott. – Barrett złapał ślad?

Posterunkowy Ridout upuścił latarkę, ale zaraz oświetlili go dwaj inni. Z trudem panował nad Barrettem, który skakał i szarpał się na smyczy.

– Barrett! Niedobry pies! Siad! Powiedziałem, siad! Siad, mówię ci!

Ale w Barretta jakby coś wstąpiło. Ziajał z wywieszonym jęzorem, skakał i wrywał się tak, że zaciskająca się obroża omal go nie udusiła. Nagle padł na ziemię i przeturlał się na plecach, ciągnąc Ridouta tak mocno, że wypuścił końcówkę smyczy z rąk. Barrett natychmiast pobiegł w ciemność i zniknął im z oczu.

– Co się tu dzieje, do diabła? – zawołał Truscott. – Czy ten pies dostał ataku epilepsji?

– Nie wiem, naprawdę nie wiem – wystękał Ridout. – Zaledwie przed tygodniem badał go weterynarz i uznał, że Barrett jest okazem zdrowia. Dał mu pierwszą kategorię. Ten pies nigdy dotąd się tak nie zachowywał, naprawdę.

– Cóż, trudno, na razie dajmy sobie z nim spokój. Kiedy dojdzie do siebie, najprawdopodobniej nas znajdzie.

Ridout jedynie z niedowierzaniem kręcił głową.

– Naprawdę, do tej pory nic takiego mu się nie zdarzyło. To najspokojniejszy pies, jakiego dotąd prowadziłem. Jest spokojniejszy od większości ludzi, na miłość boską!

Nagle – pomiędzy drzewami, na wprost – Jack dostrzegł biegnącą białą postać. Po chwili kolejną i jeszcze jedną. Położył dłoń na ramieniu sierżanta Truscotta i powiedział:

– Tam... Widziałem przynajmniej jednego z nich. Pan też go zauważył?

Białe postaci niemal natychmiast zniknęły, po chwili jednak pojawiły się znowu, dwie lub trzy. Znajdowały się w odległości najwyżej stu metrów od

funkcjonariuszy, może nawet bliżej.

– Teraz wiesz, co mam na myśli, Jim? – zapytał Ambrose. – One błyszczą!

– Dobrze, panowie! – stęknął sierżant Truscott. – Biegiem za nimi! Ale pamiętajcie, że mogą mieć zakładnika, jeżeli więc dojdzie do konieczności użycia broni, bądźcie bardzo ostrożni.

Truscott wyciągnął pistolet z kabury; pozostali policjanci uczynili to samo. Pobiegli na wprost z zapalonymi latarkami i z pistoletami w dłoniach. Jack i Ambrose ruszyli za nimi, jednak spory kawałek z tyłu. Jeżeli miało dojść do użycia broni, Jack nie miał zamiaru znaleźć się w polu rażenia.

Pierwsze trzydzieści metrów przebiegli w zupełnych ciemnościach; hałas z każdym krokiem stawał się coraz bardziej ogłuszający. Nagle Jack zobaczył z przodu kilka białych postaci, błyskających jak zepsute neony. Po chwili pojawiło się ich więcej i z każdą chwilą przybywały nowe.

Przed grupą poszukiwawczą stanęły leśne duchy. Białe postaci, które doprowadziły do śmierci tysięcy ludzi. Jack zdał sobie jednak sprawę, że już się ich nie boi. Sierżant Truscott ani jego ludzie również nie sprawiali wrażenia spanikowanych.

Policjanci wyszli ostrożnie spomiędzy drzew i stanęli na skraju polany, na której zgromadziły się białe istoty. Jack i Ambrose poszli za nimi. Polana tonęła w szarej poświacie. Wycie było tak głośnie, że Jack niemal nie słyszał własnych myśli. Leśne duchy ustawiły się w okręgu i objęły się ramionami. Opuściły głowy, a ich twarze wyrażały głęboki smutek. Były skupione i nic nie wskazywało, że zauważyły przybycie ludzi, a nawet jeśli zauważyły, to nie dały tego po sobie poznać.

Truscott podszedł do Jacka i Ambrose'a.

– Co to za stwory, do diabła? – zawołał, przekrzykując wycie.

– Myślę, że można je nazwać duchami! – odkrzyknął Ambrose.

Truscott z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Nigdy o nich nie słyszałem. Myślisz, że rozumieją po angielsku?

– O tak. Mówią głosami ludzi, którzy są znani ich rozmówcom.

– Nie wierzę własnym oczom – stwierdził sierżant Truscott. Po chwili zwrócił się do Jacka: – Widzi pan gdzieś swojego syna?

– Nie. Nigdzie go nie widzę. I nie potrafię sobie nawet wyobrazić, co oni z nim zrobili.

– W tej sytuacji, bez względu na to, co to za typy, zamierzam przerwać to zgromadzenie. Pan niech przez cały czas wypatruje syna i proszę krzyknąć, jeżeli go pan zobaczy.

– Tak, oczywiście.

Sierżant skinął na swoich ludzi, a ci ustawili się rzędem na wprost koła, z uniesioną bronią.

– Hej, wy, posłuchajcie mnie! – wrzasnął Truscott, starając się przekrzyczeć wycie. – Wasze zgromadzenie jest nielegalne, co ogłaszam na podstawie paragrafu siedemset pięćdziesiątego drugiego, podpunktu pięćset czterdziestego trzeciego kodeksu karnego stanu Michigan! Wtargnęliście na teren prywatny i wzywam was, żebyście natychmiast się rozeszli.

Istoty nadal nie zwracały na niego uwagi. Z każdą chwilą świeciły coraz intensywniej i jaśniej, niemal jak lampy stroboskopowe. Jack wyczuł jednak wzrost napięcia wśród nich – jakby w powietrzu gromadził się ogromny ładunek elektryczny.

– Zająć pozycje! – zagrzmiał Truscott.

Jack zdał sobie sprawę, że w tle bezustannego wycia zaczyna się unosić głębokie buczenie. Drzewa kołysały się i szeleściły, a ptaki na gałęziach dosłownie wrzeszczały. Popatrzył na Ambrose'a i zawołał:

– Co się dzieje?

- Nie wiem! Ale chyba powinniśmy stąd spieprzać!
- Przecież nie mogę zostawić Sparky'ego!
- Nawet nie wiesz, czy on tutaj jest!
- Widziałem go! Mówił do mnie!
- To wszystko iluzja! Te duchy... Chyba od początku źle je oceniałem.

Teraz wcale nie wydają się łagodne!

W tym momencie w powietrzu uniósł się głos sierżanta Truscotta:

- Zamknąć paszcze!

Tym słowom towarzyszył odgłos wystrzału.

Odpowiedź była błyskawiczna. Wycie nie ustało, jednak krąg niespodziewanie się rozerwał i białe sylwetki ruszyły gwałtownie w kierunku sierżanta Truscotta i jego ludzi. Dwie ujęły sierżanta pod pachy, a trzecia przebiła mu pięścią brzuch. Dźwięk rozrywanej skóry przypominał rozdieranie grubego płótna. Trzasnęły pękające żebra. Truscott z przerażeniem patrzył na krwawą masę wylewającą się na ściółkę leśną. Nie krzyczał już. Wyraz jego twarzy świadczył o tym, że nie dowierza własnym oczom. Nie wierzył, że to jego brzuch został przebity i to jego własne wnętrzności wypływają na ziemię. To nie mogło dziać się naprawdę.

W następnej chwili jedna z postaci wykręciła mu rękę w stawie, aż trzasnęły ścięgna. Nie poprzestała na tym, lecz obracała nią dalej. Sierżant Truscott zaczął przeraźliwie krzyczeć. Istota urwała mu najpierw jedną rękę, potem drugą.

Inne duchy dopadły pozostałych policjantów i w ciągu kilku krótkich chwil porozrywały ich na strzępy. Na polanie było mnóstwo krwi, urwanych kończyn i okaleczonych ciał. Wrzaski ludzi zagłuszały wszystko.

Jack cofnął się pomiędzy sosny, a Ambrose pośpieszył za nim. Żegnał się i mrucał:

- Matko Boska, Matko Boska...

Jack miał nadzieję, że zdołali opuścić polanę niezauważeni. Już zamierzał się odwrócić i pobiec przed siebie, kiedy cztery sylwetki dostrzegły żywych ludzi i natychmiast pobiegły za nimi.

– Nie! – krzyknął skaut. – Nie! Przecież ja zawsze o was dbałem! Zawsze chroniłem ten las! Nie! Nigdy was nie skrzywdziłem! Nikomu o was nie mówiłem! Nie!

Jednak cztery istoty chwyciły go i przycisnęły do ziemi. Zaraz pojawiła się też piąta i ruszyła w pogoń za Jackiem, który uciekał co sił w nogach. W ciemności robił zwody niczym piłkarz, starając się unikać zderzenia z drzewami. Przez cały czas słyszał jednak za plecami, że duch dotrzymuje mu kroku. Słyszał, jak jego stopy uderzają w ziemię. Jego blask oświetlał drzewa przed nim bladą poświatą.

Nagle Jack wpadł w jakieś wgłębienie. Biała postać natychmiast rzuciła się na niego i przycisnęła go do ziemi. Była zimna i silna, a Jack był wyczerpany. Leżał, z policzkiem przyciśniętym do igliwia, z trudem łapiąc oddech, zrezygnowany, gotów umrzeć. Słyszał za jego plecami straszliwe wycie Ambrose'a, rozdzieranego na strzępy.

Jack zamknął oczy. Nie myśl już o niczym, nakazywał sobie, wkrótce to się skończy. Postać dosiadała go okrakiem i przyciskała do ziemi, jednak mijały sekundy i nic się nie działo.

Potem nagle zaległa cisza. Wycie ucichło.

– Powinieneś już iść, tato – odezwała się postać głosem Sparky'ego.

– Sparks? To ty?

– To *byłem* ja, tato. Ale już nie jestem sobą.

– Gdzie jest Sparky? Co z nim zrobiłeś?

– Potrzebowaliśmy go. Potrzebowaliśmy wielu. Musieliśmy zgromadzić ich tutaj ze wszystkich miejsc, w których byli rozproszeni. To właśnie tutaj pojawiliśmy się na początku, kiedy przybyliśmy na ziemię, i tylko tutaj

możemy rozpocząć podróż powrotną.

– Pytam jeszcze raz, gdzie jest Sparky? Do cholery, chcę się dowiedzieć, co z nim zrobiliście!

Nastąpiła długa cisza. Powiał chłodny wiatr. Kiedy postać ponownie się odezwała, Jack wyczuł w jej głosie cień smutku.

– Sparky został obiecany, tak jak wielu innych. Nie wiedzieliśmy, jak długo przyjdzie im żyć na tej ziemi. Nie potrafiliśmy powstrzymać was przed bezsensownym niszczeniem piękna i bogactwa, które wam podarowano, nie mogliśmy zapanować nad waszą rosnącą skłonnością do destrukcji, ale też nie chcieliśmy być świadkami waszej bezmyślności, nie chcieliśmy też dłużej was ograniczać. To straciło sens.

– Czy Sparky nie żyje?

– To zależy, co masz na myśli, mówiąc o śmierci. Czy rozumiesz, na czym polega przejście od jednego poziomu egzystencji do następnego. Niektóre wasze kultury niemal to rozumiały. Ale nikt nie pojął tego wystarczająco dogłębnie.

Biała postać puściła Jacka i wyprostowała się. Jack usiadł i wierzchem dłoni wytarł brud z twarzy. Światło bijące od ducha było teraz bardzo słabe, jednak rysy jego twarzy były widoczne. Przypominały twarz Sparky'ego, tylko znacznie starszego.

– A teraz co? Nie rozszarpiesz mnie na kawałki jak wszystkich pozostałych? Albo nie sprawisz, że wpadnę w panikę i sam się zabiję?

Biała postać miała nie tylko smutny głos, lecz także smutną minę.

– Nie, tato. Już na to za późno. Powinieneś odejść. Zapomnij o Sparkym. Zapomnij, że kiedykolwiek nas widziałeś. Będziesz musiał zacząć nowe życie, całkowicie odmienne od poprzedniego.

Wypowiedziawszy te słowa, biała postać odwróciła się i ruszyła w kierunku polany, na której zgromadziły się pozostałe.

– Sparks!

Postać zatrzymała się, zawahała, jednak nie odwróciła się.

– Sparks, kocham cię!

Minęły trzy długie sekundy, po których postać wznowiła marsz ku polanie. Jack był wolny, mógł odejść. Musiał się jednak dowiedzieć, dokąd idzie Sparky i jakie zamiary mają teraz duchy. Przecież nie mógł tak po prostu zapomnieć o swoim synu i o tym wszystkim, co się tutaj wydarzyło.

Zachowując odległość, ruszył za świetlistą postacią. Zbliżając się do polany, zobaczył jednak wśród drzew resztki, które pozostały z ciała Ambrose'a, i musiał się zatrzymać; przycisnął dłoń do ust, by powstrzymać mdłości. Ręce i nogi skauta zostały wyrwane, jego rozdarty tułów wisiał na jednej z gałęzi, a z brzucha zwisały resztki jelit. Głowa kiwała się z boku na bok, a wytrzeszczone oczy wpatrywały się w Jacka tajemniczo, jakby mówiły: Przecież wcale nie chciałem umrzeć w taki sposób, prawda? Chciałem się zestarzeć i umrzeć w łóżku, namaszczony przez księdza na ostatnią drogę.

Jack ukrył się pomiędzy drzewami, a tymczasem biała postać dołączyła do pozostałych i przykucnęła w kręgu. Jack nie chciał podchodzić zbyt blisko, bo nie wierzył, że pozostali także będą gotowi darować mu życie, a poza tym nie chciał patrzeć na zakrwawione szczątki ludzkie porzucane na polanie.

Postaci znowu zgromadziły się w kręgu, objęły ramionami i zaczęły wyć. Ich skowyt z każdą chwilą stawał się głośniejszy, emanujące od nich światło błyskało coraz szybciej, aż wreszcie Jack miał wrażenie, że ogląda ostatnie białe klatki filmu, przesuwane w projektorze.

Kiedy wycie osiągnęło apogeum, krąg białych postaci zaczął się obracać, najpierw powoli, stopniowo jednak nabierał prędkości, aż wreszcie stał się tylko plamą światła, która uniosła się w powietrze na wysokość

wierzchołków drzew. Tam jakby się przez moment zawahała, jakby duchy niechętnie opuszczały las, którego strzegły od niepamiętnych czasów. Bezpośrednio pod nimi roślinność zaczęła dymić i po chwili szerniała. Nad polanę i pomiędzy drzewa powędrował kwaśny dym, szary i cichy jak duchy. Jack zrozumiał teraz, co spowodowało, że na polance przy jeziorze powstał okrąg wypalanej ziemi. Przyczyną nie był ogień z ogniska ani piorun, ale gorąco spowodowane przez białe postaci, unoszące się w powietrze i powracające tam, skąd kiedyś przybyły.

Wyszedł wreszcie na polanę, na której płonące igliwie skrzyło się niczym płonące zabudowania miniaturowego miasta. Przystanął, patrząc w górę na odlatujące białe kształty. Nigdy dotąd nie czuł tak wielkiej rozpaczy. Nigdy też nie znajdował się w stanie takiego uduchowienia, świadomości przemijającej chwili. Myśl o tym, że duchy opuszczają ziemię, doprowadzała go do łez. Od śmierci Aggie czuł się okropnie samotny, ale widok duchów opuszczających świat wywołał u niego jeszcze większe poczucie bezkresnej samotności, tak jakby cały rodzaj ludzki w tej właśnie chwili został osierocony i samotny w zimnym, ciemnym i pustym miejscu w nieskończonej przestrzeni. Już nikt nigdy nie będzie nad nami czuwał, nikt nie będzie nas chronił przed naszą własną ignorancją, przed naszą chciwością i ślełą skłonnością do destrukcji.

Stojąc pod kulą światła, która z każdą chwilą unosiła się wyżej, zaczynał rozumieć, czym są anioły. I był o krok od zrozumienia, czym jest Bóg.

Światło unosiło się bezustannie, aż w końcu przypominało z dołu niewielki papierowy lampion. Przebrnęło przez rozproszone pierzaste chmury, a potem było już tylko drobnym punkcikiem. Wreszcie zupełnie zniknęło. Czy to były leśne duchy, duchy białego jelenia, *nish gite*, czy cokolwiek innego, zniknęły na zawsze.

Jack ruszył w drogę powrotną przez las. Zaczął marznąć i był coraz

bardziej zdezorientowany. Kiedy dotarł do jeziora Wolverine, przystanął na brzegu i kilkakrotnie głęboko odetchnął bryzą, która wiała od wody. Po drugiej stronie jeziora znowu zobaczył światła samochodów i odgadł, że przyjechali strażnicy leśni.

Wciąż stał w bezruchu, gdy usłyszał czyjś głos:

– Jack? Słyszysz mnie?

Był to tak cichy i niewyraźny szept, że jego źródło mogła stanowić wieczorna bryza lub nawet szelest liści.

– Jack, słyszysz mnie?

– Aggie – powiedział tak cicho, że nikt by go nie usłyszał, nawet gdyby stał tuż obok.

– Znajdziesz go tam, gdzie go zostawiłeś, Jack.

– Co to znaczy: „gdzie go zostawiłeś”? Gdzie ja go zostawiłem?

– On ciebie o nic nie obwinia, Jack. Zawsze wiedział, że to nadejdzie, widział to w gwiazdach. Znał swoje przeznaczenie.

– Aggie, o co ci chodzi? Powiedz mi.

Dzipy strażników leśnych okrążyły już jezioro i Jack po chwili słyszał już wyraźnie ich silniki; głos Aggie umilkł. Kiedy samochody były już blisko, wysoko na niebie, dokładnie nad głową Jacka, rozległ się huk, jakby samolot przekroczył barierę dźwięku. Popatrzył w górę w porę, by dostrzec oślepiający rozbłysk białego światła.

Wciąż się wpatrywał w niebo, kiedy podszedł do niego jeden ze strażników leśnych, chudy, żylasty mężczyzna, w krótkich spodniach, z wąsem à la Frank Zappa.

Strażnik leśny również popatrzył w górę i zapytał:

– Do ciężkiej cholery, co to było?

Obietnica

Po dwóch tygodniach, pewnego dnia o szóstej zero siedem nad ranem, rozległ się dzwonek telefonu. Wyciągnął rękę spod kołdry i przypadkowo zrzucił telefon na podłogę. Kiedy go podniósł, zmarszczył czoło i ze zdziwieniem popatrzył na zegar przy łóżku. Wreszcie się odezwał:

– Krystyna? To ty? Która jest godzina?

– Bardzo cię przepraszam. U mnie jest pierwsza w nocy. Wiem, że to dla ciebie bardzo wcześnie.

– Cóż, zazwyczaj o tej porze jestem już na nogach, jednak mam za sobą długi wieczór. Wczoraj otworzyliśmy restaurację po tygodniowym remoncie.

– Przepraszam. Ale właśnie dowiedziałam się czegoś ważnego na temat twojego pradziadka i pomyślałam, że będziesz chciał jak najszybciej poznać tę wiadomość.

– Otrzymałaś pozwolenie na dalsze prace?

– Tak. Władze Kampinoskiego Parku Narodowego dały mi zgodę w piątek, dlatego od razu przystąpiliśmy do pracy i kopaliśmy przez cały weekend.

– Co znaleźliście?

– Kości dziadka pani Koczerskiej, Andrzeja.

– Mów dalej.

– Żadnych innych szczątków nie ma w tym grobie. Są tylko kości Andrzeja. Ślady na jego czaszce wskazują, że popełnił samobójstwo strzałem w głowę.

– Ale zgodnie z wpisami w pamiętniku, zamierzali obaj popełnić

samobójstwo?

– Właśnie w tej sprawie do ciebie dzwonię. Przy kościach, w woreczku na tytoń, znaleźliśmy wiadomość. Większość tej wiadomości da się bez trudu przeczytać. Chcesz ją usłyszeć?

Jack usiadł na skraju łóżka, a tymczasem Krystyna zaczęła czytać. Zabrało to jej zaledwie kilka minut, ale kiedy skończyła, Jack jeszcze przez długą chwilę siedział w milczeniu na łóżku.

– Mam przeczytać jeszcze raz? – zapytała Krystyna.

– Tak. Ale nie przez telefon. Przylecę do Warszawy pierwszym samolotem.

Jack znowu zostawił restaurację na barkach Tomasza i obiecał mu jeszcze większą premię niż poprzednim razem.

– Szefie, nie musisz tego robić – powiedział Tomasz. – Ja również wiem, co to jest ból po stracie najbliższych. Straciłem kiedyś córkę. Porwała ją kobieta, która nie była nawet moją żoną. Do dziś nie wiem, co się z nią dzieje, i muszę z tym żyć.

Jack w milczeniu uściskał Tomasza i poklepał go po plecach.

Jeszcze tego wieczoru pojechał taksówką na lotnisko O'Hare i złapał bezpośredni samolot do Warszawy, wylatujący o 21.50. W samolocie próbował zasnąć, jednak wiadomość, którą przez telefon przeczytała mu Krystyna, odbierała mu sen. Stanowiła pierwszy promyk nadziei od dnia, gdy Sparky zniknął w lesie Owasippe. Pozwalała mu wierzyć, że wkrótce zdoła uzyskać wyjaśnienie, co przydarzyło się chłopcu, i nie będzie musiał przez resztę życia rozmyślać, czy Sparky wciąż żyje, czy umarł, a jeśli umarł, to w jaki sposób i gdzie. Będzie przynajmniej mógł postawić mu grób.

Kiedy przed południem następnego dnia lądował na lotnisku Fryderyka Chopina w Warszawie, było ciepło i słonecznie. Krystyna czekała na niego.

Na nosie miała te same okulary, które nosiła, kiedy ją poznał, na tym samym lotnisku. Pocałował ją – pachniała równie świeżo jak wtedy.

Gdy jechali do centrum miasta, zapytała go:

– Wierzysz w to, co napisał twój pradziadek? Nie sądzisz, że to mogła być jakaś wymówka? Może to Niemcy, uwięziwszy go, zmusili go do napisania listu? Twój pradziadek był w końcu bardzo sławnym człowiekiem. Chociaż to dziwne, że nigdy się nie pochwalili, że go złapali. Zresztą mogło być i tak, że nie zorientowali się, że dostali w swoje ręce sławnego skrzyпка, który walczył w szeregach Armii Krajowej.

– Nie – odparł Jack. – Jestem pewien, że pradziadek napisał całą prawdę.

Umilkł, ponieważ nie mógł znaleźć słów, którymi mógłby opowiedzieć Krystynie, co się stało ze Sparkym. Za każdym razem, kiedy chciał zacząć, coś chwytało go za gardło. W końcu jednak powoli i najspokojniej, jak potrafił, zrelacjonował jej, co się wydarzyło w Owasippe. Opowiedział jej o śmierci Sally i wiceszeryfa Portera. O tym, jak leśne duchy rozerwały na strzępy Ambrose'a i policjantów, a potem wzniosły się ku chmurom, tak jak w scenie wniebowzięcia rodem z Biblii.

Krystyna słuchała go, nie przerywając. W końcu sama doskonale wiedziała, co panika czyni w lesie z ludźmi. Dopiero kiedy skończył, odezwała się:

– A jak zareagowała policja, kiedy się dowiedziała o masakrze?

– Przesłuchiwali mnie przez dwadzieścia trzy godziny bez przerwy, jednak w końcu także dla nich stało się jasne, że to nie ja byłem jej sprawcą. Wkrótce znaleźli wiceszeryfa Portera i moją przyjaciółkę, detektyw Sally Faulkner, w płytkim grobie, przykrytych igliwem i liśćmi. Tyle na koniec zrobiły dla nich leśne duchy... Moim zdaniem kochały nas, przejmowały się naszym losem. Musiały przebywać na ziemi przez wiele tysiącleci. Myślę jednak, że w końcu, tak jak rodzice nastolatków, którym przestaje się

podobać zachowanie ich dzieci, musiały przysłowiowo umyć ręce i z westchnieniem powiedzieć: „Jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz”.

– A jak policja wyjaśniła śmierć tych wszystkich zmasakrowanych funkcjonariuszy?

– Uznano, że zaatakowały ich pumy.

– Pumy?

– Tak, w naszych lasach żyje trochę dzikich dużych kotów. Nie sądzę jednak, żeby medycy sądowi chociaż przez chwilę w to wierzyli. Nawet największa puma nie jest w stanie wyrwać człowiekowi ręki. Jednak dziennikarze zaakceptowali wytłumaczenie z pumą i właściwie tylko to się liczyło.

Krystyna zawiozła Jacka do swojego apartamentu na Sadybie. Mieszkanie znajdowało się na piątym piętrze w spokojnym budynku z brązowej cegły, na strzeżonym osiedlu otoczonym wysokimi drzewami. Było umeblowane nowocześnie, w stylu minimalistycznym. W salonie stała kanapa obita białą skórą, a na jednej ze ścian namalowany był ogromny abstrakcyjny fresk, utrzymany w kolorach szarym i białym. W rogu stała drewniana, grubo ciosana rzeźba nagiej kobiety o smutnej twarzy.

– Napijesz się piwa? – zapytała Krystyna.

– Czytasz w moich myślach.

Podąła mu piwo, a sobie nalała kieliszek schłodzonego białego wina. Usiadła obok Jacka na kanapie i podkurczyła nogi. Na szklanej ławie przed kanapą leżała czerwona tekturowa teczka, kilka książek i podniszczony ciemnobrązowy woreczek z impregnowanego materiału, z rodzaju tych, w jakich żeglarze lub żołnierze przechowywali tytoń.

Krystyna otworzyła woreczek i wyciągnęła z niego dwie złożone kartki papieru. Jedna była wyrwana z notesu i zapisana gęstym, niestarannym pismem, zielonym atramentem. Kartka była poplamiona i podniszczona,

jednak pismo można było łatwo odczytać. Na drugiej kartce znajdował się fragment zapisu nutowego.

Krystyna wzięła do ręki kartkę z notesu i powiedziała:

– Podpisał ją Grzegorz Walach, dnia siedemnastego kwietnia tysiąc dziewięćset czterdziestego szóstego roku, musiała więc zostać dołączona do szczątków dziadka Marii po zakończeniu wojny. Ktokolwiek umieścił ten zapis w grobie, musiał dokładnie wiedzieć, gdzie leży Andrzej; a wiedziała o tym tylko jedna osoba.

– Moja zmarła żona, Aggie – stwierdził Jack. – W przeciwnym wypadku nigdy nie znaleźlibyśmy tego grobu, prawda?

– Daj spokój, Jack. O grobie powiedział ci ktoś, kto mówił jej głosem. A przecież sam mi mówiłeś, że duchy zawsze przemawiają do ludzi głosami ich ukochanych i bliskich. Myślę, że właśnie w ten sposób zyskują ich zaufanie i uwagę.

– Przeczytaj mi ten list jeszcze raz – poprosił Jack.

Krystyna zdjęła okulary.

„Do wszystkich moich przodków, których zraniłem i zdradziłem, adresuję tę wiadomość i modlę się, żeby żaden z nich nigdy jej nie przeczytał. Z całego serca proszę was o wybaczenie. Dwudziestego dziewiątego listopada tysiąc dziewięćset czterdziestego roku Andrzej zakopał dla bezpieczeństwa swój pamiętnik oraz notes i obaj poszliśmy w głąb lasu, żeby odebrać sobie życie.

Kiedy tylko znaleźliśmy spokojne miejsce, biedny Andrzej bez wahania się zastrzelił. Wtedy ja ukląknęłam, żeby pójść w jego ślady, modląc się do Boga, żeby przyjął moją duszę. Jednak już kiedy klęczałam, usłyszałem głos mojej zmarłej siostry Danuty. Przemówiła do mnie, a jej głos słyszałem tak wyraźnie, jakby stała tuż obok mnie. Powiedziała, że jeśli złożę przysięgę leśnemu duchowi, on nie zrobi mi krzywdy i już nigdy więcej nie przyjdzie

mi do głowy, że jedynym sposobem uwolnienia się od paniki i przerażenia jest popełnienie samobójstwa.

Otworzyłem oczy, jednak nikogo nie zobaczyłem. Niemniej jednak nadal nasłuchiwałem, ponieważ szczerze kochałem Danutę. W wieku dziewięciu lat zmarła na zapalenie płuc i od tego czasu bardzo za nią tęskniłem. Teraz mówiła do mnie, że być może za wiele, wiele lat leśny duch będzie musiał opuścić ten las i powędrować do innego lasu, w innej części świata. Mówiła, że duchy przebywają we wszystkich lasach na ziemi, i to od wielu tysięcy lat, ale może nadejść czas, kiedy będą musiały opuścić naszą planetę. Wtedy wszystkie będą musiały się zebrać w miejscu, w którym przed tysiącami lat na nią przybyły.

Aby odbyć podróż do tego miejsca, mówiła Danuta, leśny duch będzie musiał przyjąć postać istoty ludzkiej. Oszczędzi on teraz moje życie i uwolni mnie od paniki, jeżeli mu przysięgnę i zezwolę mu na to, żeby pewnego dnia w dalekiej przyszłości mógł się przemienić w jednego z moich potomków. Danuta dodała, że prawdopodobnie to nigdy nie nastąpi, ale jeśli nawet się wydarzy, to za wiele setek lat. Jeżeli jednak złożę tę przysięgę, już nigdy nie będę mógł się z niej wycofać i któregoś dnia mój potomek, który być może jeszcze się nie narodził, zapłaci najwyższą cenę za moje życie.

Zgodziłem się. Było to okrutne i tchórzliwe z mojej strony, jednak nie sposób opisać, jak bardzo się wówczas bałem i jak bardzo chciałem żyć. Nie wiem, czy mój potomek będzie musiał zapłacić za to moje tchórzostwo, ale nawet jeśli tak się nie stanie, mogę tylko zapewnić, że i tak do końca życia będę czuł wstyd.

Obecnie pracuję jako nauczyciel we Wrocławiu i nazywam się Feliks Wasilewski. Od dnia, w którym złożyłem przysięgę leśnemu duchowi, tylko raz wzięłem do rąk skrzypce, po to żeby skomponować muzykę, którą zapisałem jako requiem dla mojego potomka, który być może będzie musiał

zapłacić za moje tchórzostwo".

– Podpisał Grzegorz Walach – zakończyła Krystyna.

Jack przez długą chwilę siedział w milczeniu. Wreszcie Krystyna delikatnie pogłaskała go po dłoni.

– Cóż. – Jack ciężko westchnął i popatrzył na nią. – Chyba teraz już wiemy, gdzie jest Sparky, prawda?

Powrócili do tej części Puszczy Kampinoskiej, gdzie wcześniej szukali Roberta, razem z komisarzem Poczarkiem, trzema umundurowanymi policjantami, psem tropiącym i dwoma strażnikami leśnymi.

Najpierw znaleźli miejsce, w którym Jack i Krystyna dostali ataku paniki. To wtedy uciekł od nich Sparky. Jack dał psu tropiącemu do powąchania jedną z koszulek syna. Od czasu ich pobytu w puszczy już kilkakrotnie padał deszcz, jednak w gęstym poszyciu lasu zapach mógł przetrwać. Pies zawahał się i zrobił kilka kółek, jednak w końcu ruszył głębiej w las.

Wkrótce dotarli do długiej pochyłości terenu, gdzie sosny rosły tak gęsto, że trudno było się między nimi przeciskać. Puszcza była niesamowicie cicha, mroczna i klaustrofobiczna. Jack zaczął się obawiać, że nie znajdą drogi prowadzącej do miejsca, gdzie wtedy zostawili samochody.

– Jeżeli pański syn gdzieś tutaj jest – odezwał się komisarz Poczarek, chcąc go uspokoić – znajdziemy go. Nos tej psiny jest tak czuły, że potrafi wyczuć zwłoki nawet w rwącej górskiej rzece.

Jack milczał. Chciał znaleźć Sparky'ego, ale nie w rzece.

Mniej więcej po dziesięciu minutach przeciskania się między drzewami pies trzykrotnie głośno zaszczekał i zaczął grzebać łapami w poszyciu leśnym. Jego przewodnik odciągnął go, a dwaj inni funkcjonariusze nałożyli niebieskie lateksowe rękawice, po czym przyklękli i przystąpili do rozgarniania ściółki rękami.

Jack stał z tyłu. Krystyna uścisnęła jego dłoń. Oboje milczeli.

Po kilku minutach policjanci odsłoniли zabrudzone ziemią zwłoki. Komisarz Pocztaerek stanął nad nimi i zdjął czapkę.

– Bardzo mi przykro, ale to chyba pański syn – powiedział do Jacka. – Mógłby pan tutaj podejść i go zidentyfikować?

Krystyna puściła jego dłoń i Jack podszedł na skraj płytkiego grobu. Leśny duch przynajmniej zakopał chłopca, tak że jego ciało nie padło ofiarą drapieżników. Twarz była zmieniona nie do poznania, jednak Jack natychmiast rozpoznał jasne włosy i metalowy wisiołek, który chłopak zawsze nosił, a który należał do jego matki.

– Bardzo mi przykro z powodu pańskiej straty – odezwał się komisarz. – Nadal jednak nic z tego nie rozumiem. Przecież widziałem, jak pański syn wyjeżdża z tego lasu, i zakładam, że razem odlecieliście do Ameryki. W jaki sposób on tutaj wrócił?

Jack odwrócił się od grobu.

– A do mnie dopiero zaczyna docierać, komisarzu, jak wielu rzeczy nie rozumiemy my, ludzie. I nigdy nie zrozumiemy.

Requiem

Dwa tygodnie później Sparky został pochowany obok matki na Cmentarzu Świętego Bonifacego. Był suchy, lecz bardzo wietrzny dzień. Wiatr porywał czarne kapelusze żałobników i łopotał szarfami wieńców.

Kiedy trumnę opuszczono do grobu, samotny skrzypek zagrał requiem napisane przez Grzegorza Walacha dla potomka, którego nigdy nie poznał, a który stracił życie z jego powodu. Jack długo się zastanawiał, czy ta muzyka powinna być grana na pogrzebie, jednak w końcu uznał, że chociaż nie nastąpił jeszcze czas zapomnienia, na pewno przyszedł już czas wybaczenia. Doświadczył przecież takiej samej paniki jak Grzegorz Walach i nie jemu było osądzać pradziadka, który złożył straszliwą przysięgę.

Requiem było niezmiernie smutne. Brzmiał w nim ból i desperacja, które są udziałem wielu ludzi, oraz niepewność jutra. Tylko Jack i Krystyna wiedzieli, co te nuty naprawdę znaczą. Żałobna melodia wspominała stratę, opuszczenie i zdradę. Opowiadała o duchach, które strzegły nas przez wiele tysiącleci i teraz porzuciły na pastwę losu – w wielkim chłodzie pustego i nieskończonego kosmosu.

Kiedy skrzypek przestał grać, Jack rzucił garść ziemi na trumnę Sparky'ego, po czym odwrócił się, wyciągnął z kieszeni chusteczkę i wytarł oczy. Krystyna uśmiechnęła się do niego współczująco.

– Teraz zostałem sam – powiedział do niej.

W milczeniu pokręciła głową. Chwycili się za ręce i ruszyli powoli w kierunku bramy cmentarza. Ze wszystkich stron uważnie obserwowały ich anioły.

Tytuł oryginału: *Panic*

Copyright © Graham Masterton 2012

All rights reserved

Translation copyright © by REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2013

Copyright © for the Polish e-book edition by REBIS Publishing House Ltd.,
Poznań 2013

Informacja o zabezpieczeniach

W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony. Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

Redaktor: Elżbieta Bandel

Projekt i opracowanie graficzne okładki oraz ilustracja na okładce: Zbigniew
Mielnik

Wydanie I e-book

(opracowane na podstawie wydania książkowego:

Panika, wyd. I, Poznań 2013)

ISBN 978-83-7818-197-2

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.

ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań
tel. 61-867-47-08, 61-867-81-40; fax 61-867-37-74

e-mail: rebis@rebis.com.pl

www.rebis.com.pl

Plik opracował i przygotował Woblink

woblink

woblink.com